

GINA B. NAHAI

Pawi Krzyk

(Cry of the Peacock)

(tłum. Teresa Lechowska)

Prolog

1982

W więzieniu kobiecym, do którego Strażnicy Rewolucji zabrali Pawicę, osiem osób spało w jednoosobowej celi. Siedziały zajmując każdy centymetr rojącej się od szczurów podłogi, skute przez wiele tygodni z zawiązanymi oczami, dopóki nie nabawiły się jakiejś choroby, nie zostały stracone albo zwolnione. Dostawały dwa posiłki dziennie - rzucono im na ubrudzoną kałem podłogę chleb i orzechy. Co rano Strażnicy wyprowadzali na podwórze przed pluton egzekucyjny pewną liczbę więźniarek. Zdejmowali im opaski z oczu i stawiali pod zbryzganym krwią betonowym murem. Potem strzelali do nich - czasem prawdziwymi kulami, a czasem ślepymi nabojami.

Mułłowie urządzali fałszywe egzekucje, żeby wymusić przyznanie się do winy albo powiększyć łapówkę, którą każdy więzień powinien dać za swoje uwolnienie. Reżim Boga był zachłanny i nie znał litości. Często aresztowano ludzi nie za przestępstwa, które mogli popełnić w przeszłości, lecz wyłącznie z jednego powodu - żeby zmusić ich do oddania ukrytych albo zainwestowanych za granicą pieniędzy. Kiedy zabrano już wszystkie pieniądze i wymuszono przyznanie do winy, ładowano broń i więzień padał pod murem.

Pawica, tkwiąca w celi skuta, z opaską na oczach, słyszała strzały i mogła zliczyć więźniarki, które powracały żywe. Siedziała w więzieniu od trzech tygodni i wciąż jeszcze nikt nie podjął decyzji co do jej losu. Przybyła tu pewnego popołudnia wojskowym dżipem otoczona przez Strażników Rewolucji, z odsłoniętą twarzą i włosami nie zakrytymi. Jej strój szokował i urągał wszystkim zasadom islamu: jaskrawe szyfony i ogniste jedwabie, żółte chusty, bluzka z cekinami i pas wyszywany złotem na wymiętej aksamitnej spódnicy. Na nogach miała białe pensjonarskie pończochy i atłasowe pantofle ozdobione kryształami górskimi i paciorkami, na nadgarstkach z tuzin złotych bransolet, na szyi niezliczone sznury pereł, na każdym palcu pierścionki. Kieszenie miała pełne złota i drogich kamieni, a w pantoflach tysiącrałowe banknoty. Jednakże to nie ten strój tak zaszokował mułłów, lecz jej wiek. Pawica Żydówka jest tak stara, mówili, że pamięta czasy, kiedy Bóg był dzieckiem.

Więźniowie mułłów byli młodzi i starzy, jedni mieli ledwie sześć lat, inni aż dziewięćdziesiąt. Aresztowano kobiety oskarżane o działalność kontrrewolucyjną i takie, które używały lakieru do paznokci i robiły sobie makijaż. Więziono komunistów i nacjonalistów,

Żydów i wyznawców bahaizmu, a przede wszystkim muzułmanów, którzy nie chcieli przestrzegać reguł narzucanych przez mułłów. Nigdy jednak nie trafił tu nikt równie sędziwy jak Pawica i mułłowie nie wiedzieli, co z nią począć.

Strażnicy zaprowadzili Pawicę do celi, gdzie przeszukała ją kobieta w sukni do pięć z długimi rękawami, o włosach schowanych pod chustą. Zabrała jej całą biżuterię i wszystkie pieniądze. Potem odesłała ją na przesłuchanie.

- Ile masz lat? - spytał młody mułła, nawet na nią nie spojrzawszy.

Pawica wbiła w niego wzrok.

- Odpowiedz! - rozkazał, nadal na nią nie patrząc. - Ile masz lat?

- Urodziłam się w roku zarazy.

Podniósł wzrok.

- Jakiej zarazy?

Nic nie wiedział o przeszłości.

- Jakiej zarazy? - Podniósł się z miejsca, dyszał na nią. - Odpowiedz! - Cuchnął potem i amerykańską whisky.

Urodziłam się w roku zarazy, chciała powiedzieć Pawica, chowałam się w podziemnej jaskini, gdzie w ciemnościach po ścianach laziły wszy i skorpiony, a w każdym wypitym łyku wody pływały robaki.

- Jakiej zarazy?

Strażnicy zaprowadzili ją do celi. Mijały tygodnie. Codziennie słyszała strzały. Współwięźniarki pytały o to samo.

- Ile masz lat?

Kobieta po prawej stronie była komunistką i powiedziała, że chodzi o ludobójstwo. Ta po lewej stronie była gospodynią domową i nie miała pojęcia, dlaczego ją aresztowano. Mehrullah Strażnik stojący na korytarzu był ojcem, który posłał swoje dzieci na wojnę tylko dlatego, że wierzył, iż zginą i pójdą prosto do nieba.

- Pawico! - krzyknął pewnego ranka, gdy na podwórku strzelano. Przyszedł po nią, a zatem jej los został przesądzony. - Pawico! - krzyknął raz jeszcze i wtedy zaczęła chwiejnie podnosić się na nogi.

Otwarto drzwi. Mehrullah Strażnik zdjął jej opaskę z oczu. Oślepiło ją światło, przenikając głowę na wskroś. Wstała oszołomiona i przytrzymała się ściany. Kiedy mogła już coś

widzieć, spostrzegła, że Mehrullah mierzy ją wzrokiem.

- Więc ile miałaś lat? - spytał, jakby jej życie już się skończyło.

Pawica oderwała się od ściany.

- Mam sto szesnaście lat - powiedziała. - I zamierzam jeszcze pożyć.

1796

W celi komunistką, która mówiła, że chodzi o ludobójstwo, posusiała się na podłodze ze śmiechu.

Estera Wróżka była wysoka i szeroka w ramionach, skórę miała ciemną i lśniąca jak oliwa, którą smarowała sobie brzuch i ręce, żeby jej nie pierzchły. Powieki jej oczu, czarnych jak wody Zatoki Perskiej, zawsze przysypane były połyskliwym pudrem z azotanu srebra. Wargi miała grube i czerwone jak serce młodego ptaszka, włosy długie, rozwichrzone i równie ciemne jak oczy, głos głęboki, wibrujący i pełen tajemniczości.

Urodziła się na południu, w portowym mieście Bandar Abbas nad Zatoką Perską. Podobnie jak wiele Żydówek z tych stron dorastała pracując jako służka w haremie u żon bogatych Arabów i Persów. Szyła im ubrania, splatała włosy w warkocze, odbierała przychodzące na świat dzieci. A przy tym uprawiała czary.

Twierdziła, że obejrzawszy dłoń nowo narodzonego dziecka, potrafi przepowiedzieć, co je czeka; umie przygotowywać eliksiry i pisać czarodziejskie formułki, dzięki którym bezpłodne kobiety staną się brzemiennie, potrafi wyganiać strach z serc starców i sprowadzać do domu zabłąkanych małżonków. Zbierała przeróżne rzeczy - kawałki tkanin, zwierzęce szkielety, jaszczurcze i kocie ogony, pasemka włosów zmarłych dziewczyc. Czekwały zamknięte na klucz w skrzyni na taki dzień, gdy przyjdzie jedna z jej pań i poprosi, żeby otruła żonę rywalkę albo wywołała ospę u powinowatej.

- Przynoszę ci, pani, czary i szczęście, i wiedzę zmarłych szeptała Estera kobietom w haremie z muzułmańskim akcentem, którym nauczyła się zastępować własny z getta. - Potrafię sięgnąć w twoją przeszłość, odsłonić tajemnice twojego smutku. Znam twoje grzechy i twoje pragnienia. Potrafię sprawić, by spełniły się twoje życzenia.

Estera Wróżka widziała przyszłość we śnie.

Przed laty, jeszcze jako dziecko, przepowiedziała śmierć marynarzy we wzburzonych

wodach Zatoki Perskiej. Później, nim jeszcze pierwsze brytyjskie statki zjawiły się w porcie Bandar Abbas, całymi nocami opisywała to kobietom w haremie.

- Olbrzymie góry drewna przepłyną przez Zatokę. Będą na nich mężczyźni o oczach w kolorze morza i skórze połyskliwej jak księżyc.

Kobiety z zapartym tchem słuchały jej wieszczb.

- Mężczyźni opuszczą statki i pójdą do miasta. Będą szukać naszych kobiet i dadzą im dzieci o zamglonych oczach, które śnić będą o odległych górach. Bogatych ograbią z ich skarbów, a biednych z honoru. Zostawią nam w zamian dar o wiele cenniejszy od tego, co zabrali: wiedzę - głos Estery dudnił pośród ścian haremu - o szerokim świecie.

Wiedziała więcej, niż mówiła. Znała opowieści tak dziwne i nieprawdopodobne, że nikt w nie by nie uwierzył, tajemnice tak ciemne i przerażające, że zachowywała je dla siebie. Umiała czytać ludziom z oczu, wkładać się w ich sny i przenikać umysły.

Mimo tych wszystkich umiejętności Estera Wróżka pędziła życie w samotności i niewolnictwie. Była Żydówką. Jej matka pracowała i umarła na służbie u rodziny szejka. Szejk odziedziczył też Esterę. Jako niewolnica bez twarzy, skazana była na utratę młodości i pragnień. A później, gdy już będzie za stara, by pracować, odeślą ją do getta poza granice Bandar Abbas i tam umrze. Nigdy nie wyjdzie za mąż - tylko Żyd mógł ją poślubić, ale żaden Żyd nie ożeni się z dziewczyną wychowaną w haremie. Nie będzie mieć dzieci ani własnego domu, ani wolności.

Co wieczór patrzyła, jak żony w haremie malują twarze i usta, nacierają się wonnościami i oczekują na przybycie męża, który wybierał jedną z nich. Potem, leżąc na łóżku, wyobrażała sobie tę żonę w ramionach szejka - ciała splecione ze sobą niczym węże, oddechy wyznaczające upływ czasu. Rozmyślała o świecie poza murami haremu, poza Bandar Abbas. Myślała o miejscach oglądanych w swoich snach. Miała piętnaście lat i jej ciało płonęło z żądz.

Zaczęła w nocy opuszczać harem. Czekala, aż żony położą się do łóżek i zasną rzezańcy. Wtedy przekradała się przez rozległe wyschnięte ogrody domu szejka i wymykała na ulice Bandar Abbas. Wkładała cienki biały zawój zarezerwowany dla muzułmanek, zdejmowała złotą łatę, którą wszyscy Żydzi nosili na ubraniach. Szła do portu, wdychała powietrze pachnące spalonym drewnem, słuchała nawoływań rybaków wśród fal i obserwowała przezroczyście jak duchy cienie łodzi i palm odbijające się w ciemnych wodach. Czekala, zlana potem w bezlitosnym żarze typowym dla krajów południa, włosy miała wilgotne i słone, a w uszach aż jej trzeszczało od chrobotania szczurów biegających w górę i w dół po drzewach. Niekiedy

podchodził do niej jakiś mężczyzna.

- Zabierz mnie stąd. - Uśmiechała się do niego oczami ciemniejszymi od nocy. - Kochaj mnie do starości.

Zabierał ją do drewnianej chaty nad morzem i kładł nagą na dywanie. Estera Wróżka zamykała oczy i modliła się o miłość. Wyczuwała zapach wódki w pocie kochanka, lęk przed morzem w jego oddechu. O świcie szła z nim do portu i patrzyła, jak wiosłuje, odpływając wolno ku rekinom.

Wracała co noc, czekała na mężczyznę, który zaznawszy jej ciepła otworzy swoje serce i rano ją przytuli, prosząc, by została. Używała wszystkich swoich mocy, żeby przekonać mężczyzn, pisała zaklęcia i chowała im we włosy, wieszała talizmany nad ich łózkami. Zjawiała się w snach, gdy spali, wyczarowywała miłość, której sami nigdy by do niej nie czuli. Wszystkie zaklęcia jednak zawodziły, czary zdały się na nic i Estera Wróżka była wciąż sama.

Przez trzy lata szukała mężczyzny w Bandar Abbas. Zawsze wracała z niczym i jeszcze bardziej samotna. Pewnej nocy zapłakała, błagając ciemności o ratunek: „Ratujcie mnie” - prosiła tak dobrze jej znane duchy. „Pomóżcie mi zmienić swój los”.

Kiedy usnęła, przysniła jej się kraina, której nigdy przedtem nie widziała i o której nigdy nie słyszała - świat spokoju i obfitości, gdzie mężczyźni wydawali się więksi od Boga i złoto kwitło na każdym polu. Widziała pałac cały ze szkła, spał w nim król nie lękający się sztyletu zabójcy. Widziała mężczyzn rozporządzających boską mocą, kobiety stąpające po ziemi z dumą, pieniądze i klejnoty i takie piękno, jakiego nie śmiała nawet sobie nigdy wyobrazić.

- Udam się tam - przysięgła ciemnościom. - Będę tam szła i nie spocznę aż do śmierci.

Następnego dnia wzięła wszystkie swoje pieniądze i kupiła sobie miejsce w karawanie kierującej się na północ. Wędrowali przez trzy tygodnie - mężczyźni jechali na przedzie, siedząc po turecku w drewnianych pudłach wiszących na grzbietach wielbłądów i mułów, kobiety szły w tyle za zwierzętami. W nocy obozowali na drodze albo spali w karawanserajach. Estera Wróżka trzymała się osobno i udawała muzułmankę. Kiedy dotarli do Isfahanu, odłączyła się od karawany i poszła szukać żydowskiego getta. Zawędrowałam wystarczająco daleko, pomyślała. Przeznaczenie zgubiło jej ślad.

Żydowskie getto w Isfahanie nazywało się Dżujibar. Składało się z domów i sklepów, starego placu, czterech synagog i trzech łaźni. Zbudowano je na nieużytkach - na warstwie nieprzepuszczalnej gliny, która stanowiła dobry fundament dla domów, ale pozwalała na

wykopanie tylko płytkich studni, a te szybko wysychały. W studniach roilo się od robaków - długich mlecznobiałych stworzeń, które bez końca wypełzały z ziemi w olbrzymich ilościach. Zsuwały się po ścianach studni, wpadały do wody i tam składały jajeczka. Naprzeciwko getta w Isfahanie rzeka Zajande, Dawca Życia, nawadniała setki akrów ziemi i zapewniała jedne z najbogatszych plonów w kraju. Wodą jednak zarządzali mułlowie, a ci odmawiali jej Żydom.

Żydzi żyli w getcie jak mrówki uwięzione w podziemnej norze. Mieszkali w parterowych lepiankach, małych, bez okien, oddzielonych od podwórka koślawymi, wałącymi się filarami z czerwonej gliny. Na podwórku znajdował się zbiornik ze stojącą wodą, gdzie kobiety prały ubrania i zmywały naczynia, w lecie kąpały się dzieci, a nocami kumkały żaby. W rogu była wygodka - zwykła dziura w ziemi - a obok wpuszczony w ziemię piec, którego używali wszyscy mieszkańcy.

Żydów uważano, jak wszędzie w Persji, za nieczystych i niedotykalnych. Nie pozwalano im mieszkać ani pracować poza gettem, sadzić i siać, pić wody z publicznych źródeł. Mężczyźni nosili czerwone albo żółte łąty na ubraniach, kobiety zakrywały twarze zawojami gęstszymi od tych, które obowiązywały muzułmanki. Wszystko, czego dotknął Żyd, było na zawsze splamione. Oskarżony o przestępstwo nie mógł świadczyć w swojej obronie. Nie wolno mu było nawet wyjść z getta w dzień deszczowy, bo obawiano się, że deszcz mógłby zmyć nieczystość z jego ciała i skalać muzułmanina. Estera Wróżka popatrzyła na getto i zrobiło jej się zimno. Uświadomiła sobie, że wprawdzie uciekła z haremu, ale nie wyzwoliła się z więzów.

Próbowała znaleźć sobie jakieś lokum, spotykała się jednak z niechętnym wzrokiem i dociekliwymi pytaniami. Plotkowano o niej od chwili, gdy się pojawiła. Nazywano ją nierządnicą, bo podróżowała bez mężczyzny, i bezbożnicą, bo twierdziła, że zna przyszłość. Mieszkańcy getta byli podejrzliwi, ponieważ mówiła innym dialektem i jadła co innego niż oni. Chcieli wiedzieć, dlaczego opuściła Bandar Abbas.

- Przybyłam, by odmienić swój los - powiedziała im Estera Wróżka, jakby była Bogiem. - Przybyłam tu, żeby rozstać się ze swoim przeznaczeniem i znaleźć nowe życie.

Nikt tego nie rozumiał.

Musiała zostać wygnana, orzekli, ukarana przez swoich i wypędzona za jakieś przestępstwo, które tu chciała ukryć.

Pewno to złodziejka, cudzołożnica, dziwka. Musi stąd odejść i zabrać ze sobą zepsucie.

- Cóż to - krzyknął do Estery rabin Jehuda Sprawiedliwy w czasie sabatowego kazania. -

Odejdź i zabierz swoje talizmany i czary!

Estera Wróżka nie mogła walczyć z gettem. Przybyła jednak do Isfahanu z pewnego powodu i dla tegoż powodu chciała tu pozostać: w sercu miasta, dawnej stolicy Persji, stał, jak jej mówiono, pałac cały ze szkła. Uważała, że sprowadził ją tutaj wieszczy sen.

Wiedziała, że gdyby była zamężna, Żydzi by jej nie wygonili. Rozejrzała się więc i znalazła sobie Grubego Sikającego Izaaka - mężczyznę rosłego, o łysej czaszce i tak nieśmiałego, że odwracał wzrok za każdym razem, gdy go mijała. Miał herbaciarnię na samym skraju getta i mieszkał sam. Pewnego razu będąc dzieckiem usiadł z kolegami, żeby zjeść zupę z miski. Dla wszystkich by nie wystarczyło, chłopcy więc się o zupę pobili. Izaakowi bardzo chciało się jeść, ale był zbyt nieśmiały, żeby się bić, toteż wstał w środku kłótni i nasikał do zupy. A potem siadł i z płaczem ją zjadł.

Ta historia z dzieciństwa Izaaka spodobała się Esterze Wróżce. Podobały jej się też jego oczy, które nie śmiały na nią spojrzeć, i samotność przypominająca jej własną.

Wybrała się wobec tego w odwiedziny do Izaaka - najpierw we snach; zjawiała się w nich co noc i wymawiała jego imię. I kiedy późną nocą, gdy całe getto już spało, zapukała do jego drzwi, wiedziała, że jej nie odrzuci.

Gruby Sikający Izaak leżał przerażony w łóżku. Nie spał o tej późnej porze, grubo po północy, i słuchał wołania Estery. Przez wiele nocy o niej śnił - o wysokiej dziewczynie, którą przedtem już widział, ale której nie mógł umiejscowić. Usiłował przypomnieć sobie we śnie, kim ona jest, i łamał sobie głowę aż do zmerchu. Stała tak blisko niego, że czuł zapach jej skóry. Teraz wreszcie przemówiła i ten głos go przebudził.

Szedł więc ku niej, przyciągany jej wołaniem i chęcią wzięcia Estery w ramiona. Stała u jego drzwi, cień w nocy, i nim jej dotknął, wiedział, że pod czarnym czadorem jest naga, że włosy ma rozpuszczone, długie i ciemne jak oczy, skórę miękką i język bardzo czerwony.

Weszła do domu i wśliznęła się do łóżka Izaaka - pod chłodną kołdrę pachnącą tytoniem i kurzem - i uczyła go tego, czego nauczyła się o miłości w długie ciemne noce w Bandar Abbas. Wracając co noc, pod osłoną ciemności przemykała się do herbaciarni z nory w rumowisku, w której spędzała dni. Izaak bał się, że sąsiedzi zobaczą ją, jak wchodzi do jego domu; czekał na nią ze świecą, po czym zamykał drzwi i modlił się, by nikt nie usłyszał ich szeptów. Częstował ją herbatą i daktylami, i wszystkim, co miał w domu. Przerazała go jej namiętność, a o tysiąc rzeczy nie śmiał pytać. Czekał, aż przemówi pierwsza.

- Poślub mnie - powiedziała - a dam ci syna. Zostanę na zawsze w twoim domu i nigdy nie zaznasz cierpienia.

Izaak leżał obok niej - zimny, milczący. Spodziewał się takiej propozycji i zastanawiał, co powie, gdy ją usłyszy. Jeśli poślubi Estere, zostanie na wieki zhańbiony, nie będzie mógł spojrzeć ludziom w oczy. Wszyscy go wykpią, przyjaciele wykluczą ze swego grona. Nikt nie zeni się z kobietą, o której wiadomo, że nie jest dziewicą.

Jest stara, przekonywał sam siebie, ma pewno z osiemnaście albo i więcej lat, łono zmęczone i skalane nasieniem innych mężczyzn. Może nigdy nie dać mi dziecka, a jeśli da, to nie będę wiedział, czy jest moje.

W czasie długiej ciszy, która zapadła, Estera Wróżka domyśliła się wątpliwości Izaaka i zapłonęła gniewem. Kochała się z nim ponownie, tym razem ze złością, a Izaak przez cały czas nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Potem opuściła jego dom i zapowiedziała, że już nie wróci.

Gruby Sikający Izaak śnił o niej po nocach pełnych udręki i oczekiwania. Widział siebie leżącego obok Estery, a gdy się budził, okazywało się, że jest sam. Stał przez cały dzień przed herbaciarnią, licząc na to, że Estera przejdzie koło jego drzwi. Nie potrafił przestać jej pragnąć; paliło go każde miejsce, którego dotknęła ostatnim razem. Poszedł jej szukać.

- Wróć! - zawołał.

Następnego dnia się pobrali.

W noc swojego wesela Estera Wróżka poczęła. Śnił jej się ptak o ślepych oczach i srebrnych skrzydłach - olbrzym lecący ku niej z czerwonego pustynnego nieba, przed którym pierzchały szczury i skorpiony, kryjąc się w ziemi w panicznym strachu. Zbliżał się, jego skrzydła połyskiwały pod światło i tuż przed wschodem słońca wylądował na dłoniach Estery. Miał kobiece piersi.

Estera Wróżka obudziła się i pomacała swoje ciało. Twarz i szyję miała wilgotne. Włosy przylgnęły jej do gardła, jakby chcąc ją udusić. Dotknęła brzucha, pachwin. Przymknęła oczy. W ciemności ujrzała swoje dziecko.

Powiedziała Izaakowi, że urodzi chłopca i nie będzie on wyglądał jak ci, których zna. Powiedziała, że będzie mądry, przyniesie chwałę ojcu i pewnego dnia będzie kroczył w słońcu w pełni sławy i z dumą w oczach. Izaak chciał jej wierzyć, ale całe getto się śmiało.

Dziecko, mówili, przyjdzie na świat wcześniej niż należy. Będzie wyglądać jak Arab albo jakiś obcy i w ogóle nie będzie podobne do Izaaka. Musiało zostać poczęte w niemałżeńskim

łóżu - przez Izaaka albo może kogoś innego. Estera z pewnością przybyła do Isfahanu już w ciąży. Uciekła z rodzinnego miasta, chcąc ukryć swoją hańbę i znaleźć mężczyznę na tyle naiwnego, żeby się z nią ożenił.

- Strzeżcie się - napominał kobiety w kazaniach rabin Jehuda Sprawiedliwy. - Dziecko poczęte w grzechu naznaczone będzie piętnem hańby swojej matki.

Gruby Sikający Izaak zaczął żywić wątpliwości i nie mógł się ich pozbyć. Kochał Estere, kochał jej zapach, jej głos. Pragnął jej i pragnął obiecanego przez nią syna i byłby całkiem zadowolony, gdyby tylko getto mu na to pozwoliło. Nie mógł nic na to poradzić, że po kilku tygodniach inaczej patrzy na Estere. Udał się do Jehudy Sprawiedliwego.

- Musisz zaczekać, zanim osądzisz - radził rabin. Starał się robić wrażenie spokojnego, ale oczy, jak przypomniał sobie później Izaak, błyszczały mu z podniecenia.

- Oblicz tygodnie brzemienności żony i oznacz dzień rozwiązania. Jeśli dojdzie do niego przed upływem dziewięciu miesięcy i dziewięciu dni, to znaczy, że urodzi bękarta. Wtedy przyjdź do mnie i ustalimy sprawiedliwą karę.

Minał miesiąc, potem drugi. Każdego wieczoru, gdy już leżeli w łóżku, Gruby Sikający Izaak kładł dłonie na brzuchu żony i modlił się, by dziecko, które nosiła w łonie, było jego. Potem zasypiał, a Estera czuwała, zalekniona, jakby uwięziona w pułapce. Wiedziała, co ludzie mówią o niej i o dziecku. Wiedziała, jaki jest los cudzołożnych żon. Dała synowi na imię Noe. Błagała go, żeby odczekał pełnych dziewięć miesięcy, zanim upomni się o swoje miejsce na świecie.

Jednakże pewnej nocy w siódmym miesiącu ich małżeństwa obudziła się i ujrzała, że w łóżku pełno jest krwi. Pobiegła do piwnicy i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Poród odbywała w samotności, bezgłośnie, przez trzy dni nie opuszczając piwnicy. Ukucnęła nad tacą pełną popiołu, wbiła paznokcie w twardą ziemię i gwałtownie wymiotowała przy każdym skurczu, póki nie wyrzuciła z siebie całych ciemności i wszystkich lęków i nie poczuła ciepła dziecka wyslizgującego się spomiędzy jej ud.

Estera Wróżka zawinęła synka w czador, potem spaliła łożysko. Na dworze czekał Jehuda Sprawiedliwy. Otworzyła drzwi piwnicy i wyszła ku swemu przeznaczeniu.

Schodzili się od świtu, stali grupkami wokół głównego placu, w drzwiach domów i sklepów wzdłuż ulicy, na dachach domów wychodzących na plac. Na godzinę przed południem upał stał się nie do zniesienia. Kobiety pocąc się pod czarnymi czadorami i grubymi zasłonami,

przyciskały dzieci do piersi i wzdychały z nadzieją. Mężczyźni stali razem, co chwilę spluwali na ziemię i rozmawiali o sprawach obojętnych. Ich uwaga skoncentrowana była jednak gdzie indziej, głowy mieli zaprzątnięte oczekiwaniem na zdarzenie, które przyszli obejrzyć. Od śmierci Sabije Cudzołożnicy przed pięćdziesięciu laty w getcie nie została ukarana żadna kobieta.

W południe z isfahańskich minaretów doleciał jękliwy ton muzułmańskiego namazu. Chwilę potem przyprowadzono Esterę Wróżkę - z twarzą nie zasłoniętą, nie zakrytym ciałem i gołymi nogami. Jehuda Sprawiedliwy orzekł, że kobiecie, która straciła cześć, nie wolno ukazywać się w przyzwoitym odzieniu.

Usiadła na środku placu, na ziemi, krzyżując nogi i chowając je pod spódnicę. Była blada po porodzie, krwawiła tak mocno, że musiała owijać się wieloma warstwami płótna. Z piersi zamiast pokarmu wydzieliał jej się przezroczysty płyn, gorzki i ostro pachnący. Dziecko, które urodziła i nazwała Noe, musiały karmić obce kobiety. Estera Wróżka straciła wolę walki, nie pamiętała nawet, czego właściwie szukała w Isfahanie. Jej oczy pozbawione były blasku, głos bezdźwięczny.

Jehuda Sprawiedliwy odczekał odpowiednio długą chwilę, po czym ukazał się na placu. Mimo skwaru był w długim czarnym chałacie, białej koszuli zapiętej po samą szyję i czarnym kapeluszu na głowie. Jego rude włosy jarzyły się w słońcu, co sprawiało, że piegowata skóra wydawała się jeszcze bardziej żółta. Podeszedł do Estery Wróżki, spojrzał na widzów, wciągnął powietrze. Wiedział, że to chwila jego triumfu.

Rozpoczął kazanie:

- Powiedziane jest w Torze, że zła niewiasta jest jak wąż - zaczął spokojnie, potem odwrócił się od audytorium i stanął twarzą do Estery. - Zatruiła życie męża i dzieci i rozsiewa nawet po śmierci swoje nasienie na pokolenia, a zatem owoce potępienia kwitnąć będą w jej domu po wieczne czasy.

Widział, że Estera drży, i sprawiało mu to przyjemność. Śnił o tym dniu, przez całe życie z tęsknotą i oczekiwaniem modlił się o jego nadejście. Od dwudziestu lat był głównym rabinem getta. Wygłaszał wszystkie kazania, obchodził wszystkie święta, udzielał wszystkich ślubów, a nawet uczestniczył we wszystkich pogrzebach i przez cały czas czekał na tę szansę - chwilę, w której zostanie wezwany do osądzenia, decydowania o czyimś losie, stanowienia prawa.

- Przewinienia niewiasty wykraczają poza szkodę jednego człowieka! - Podniósł głos. - Grzech przeciwko rodzinie i czci owocuje bluźnierstwem, ściąga wszelkie przekleństwa,

deprawuje społeczność do samych korzeni. Zdrada jednej osoby spowoduje upadek całej wspólnoty!

Przerwał. Siedząca przed nim Estera Wróżka sprawiała wrażenie małej - mniejszej od dziecka, mniejszej od czarodziejek, które w opowieściach szalonych poetów rodziły się z westchnień starych kobiet i łez dziewiczych panien młodych.

Wiedział, że mógł być wystąpić w obronie Estery. Mógł poprosić Izaaka o dowód jej niewierności, rozważyć możliwość, że dziecko urodziło się przedwcześnie. Mógł być zrobić to, co naprawdę głosiła Księga - prosić o pobłażanie, domagać się wybaczenia, zabronić zemsty. Mógł być uratować Esterę i jej dziecko. Lecz żeby tak postąpić, musiałby zrezygnować z jedynej swojej szansy na nieśmiertelność.

- Przeto los jednej osoby musi służyć jako nauczka dla wszystkich - wygłosił werdykt. - Nierządniczy - wskazał na Esterę - nie powinno się skazywać na śmierć, gdyż Tora nie zaleca zemsty. Zamiast tego musi zostać publicznie zawstydzona, aby wszyscy, którzy ją znają, mogli świadczyć o jej przewinie i poznali konsekwencje jej zdrady. Tak by... - Tu przerwał. Panowała ogłuszająca cisza. - Tak by mogła żyć dalej, pohańbiona i bez czci, nie wając się ukazywać swojej twarzy i nie mogąc jej ukryć.

Gruby Sikający Izaak zatykał sobie uszy rękami w odległej herbaciarni, gdzie wciąż widział cień Estery, i płakał jak dziecko.

Kiedy rabin skończył kazanie, wystąpił z nożem Dawid syn Rzeźnika. Chwycił lewą ręką włosy Estery i pociągnął do tyłu, zadzierając jej brodę do góry. Widział teraz szybko pulsującą żyłę z boku szyi. Przystąpił do golenia głowy osądzonej.

Dawid syn Rzeźnika żałował, że podjął się tego zadania. Był dobrym rzeźnikiem, zręcznym i uczciwym, i schludniejszym od większości kolegów po fachu. W swojej jatce potrafił oskubać pięć kurcząt jednocześnie. Trzymał między palcami ich łapy i podcinał kurczakom gardła, potem oskubywał je tak szybko, że biegały jeszcze po jatce bez piór i ze zwisającymi głowami, póki nie wyciekła z nich ostatnia kropla krwi i nie padły na ziemię. Potrafił szybciej od innych mężczyzn w getcie obdrzeć ze skóry owcę i wypatroszyć ją, zanim zagotuje się woda na potrawkę. Lecz nigdy przedtem nie golił kobiecej głowy. Nóż zaplątał mu się we włosach, jak tylko przyłożył go do głowy Estery, musiał wyszarpywać go na siłę. Ciągnął ją za włosy i zacinał czaszkę. Krew sączyła się z każdego kawałka skóry, który udało mu się obnażyć.

Golenie głowy Estery zabrało godzinę. Na ziemi koło stóp kobiety legła sterta włosów. Krew ciekła jej po czaszce, twarzy, szyi. Bez włosów oczy wydawały się większe niż zwykle. Twarz miała bladą i tak ściągniętą, jakby wryto ją rylcem. Dawid syn Rzeźnika popatrzył na nią i zrozumiał, że zgrzeszył. Przez wiele tygodni potem każde zwierzę zabite w jego jatce będzie miało próżne żyły. Zakopywał je w ziemi ponosząc stratę za stratą, koszerne prawo zabrania bowiem Żydom jedzenia zwierząt bez krwi, a muzułmanin nie kupiłby mięsa od Żyda. Dawid syn Rzeźnika naszpikował grunt pod swoją jatką indykami i barankami, i cały czas wiedział, że płaci za swoje przewinienie wobec Wróżki.

Związał Esterze ręce z tyłu i dźwignął ją na nogi. Następnie sięgnął do worka leżącego na ziemi i wyjął barani żołądek - biały, śliski, połyskujący wilgocią. Naciągnął go na ogoloną głowę Estery. Potem złapał ją w pasie i posadził na grzbiecie muła.

Wyprowadzał muła z placu. Tłum cofał się niechętnie. U wylotu ulicy biegnącej od placu utorowała sobie ku nim drogę Parwane Płaczka. Przez trzydzieści siedem lat była żoną mężczyzny o dwóch kikutach, które nigdy nie stały się nogami. Wysforowała się do przodu, zajrzała Esterze w twarz, po czym plunęła na nią, wykrzywiając usta z pogardą.

- Ja pozostałam cnotliwa! - syknęła.

Przez cały ten dzień Dawid syn Rzeźnika paradował z Esterą po getcie. Idąc, bębnił drewnianym kijkiem w blaszaną puszkę i śpiewał:

- Chodźcie, chodźcie wszyscy, zobaczcie nierządnicę!

Ochrypl, ręce go bolały i na stopach porobiły się pęcherze, ale szedł dalej. Zatrzymał się późną nocą, gdy kara dobiegła końca. Rozwiązał ręce Esterze i oddał jej czador.

- Idź - powiedział, nie patrząc na nią.

Po opuszczeniu Dżujibaru Estera Wróżka przez długi czas miała wrażenie, że wędruje przez znaną sobie krainę. Nawet raz lub dwa razy odwróciła się, żeby popatrzeć na getto. Z tyłu za nią żydowskie miasto kurczyło się w promieniach słońca, jego bramy i liczne wygięte w łuk dachy malały, gdy oddalała się od nich i szła do miasta, które przez tyle wieków było chlubą Persji.

Lecz i tu domy były brudne, zatłoczone i na pół zrujnowane, ulice wąskie i ciemne, dzieci głodne i mizerne. Starcy, którzy siedzieli na progach, paląc opium, mieli żółtą skórę i byli bezzębni; oczy wyżarła im jaglica, a twarze pozoczyła ospa, plaga ich dzieciństwa.

Estera znalazła się na długiej i bardzo wąskiej uliczce, gdzie stały ciche domy z zamkniętymi drzwiami, a w powietrzu wisiała niepokojąca cisza. Nie widziała tu ludzi, nikt nie szedł ulicą, nie bawiły się tutaj dzieci. Wszystkie drzwi pomalowano tą samą wyblakłą szarą farbą. Zza niektórych dochodziły, jak jej się wydawało, przyciszone kobiece szepty i stłumiony płacz niemowląt. Przystanąła, ogarnięta lękiem wyniesionym z getta, instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo, którego nie mogła zidentyfikować. Zza zasłony ciszy, która rozpościerała się nad uliczką i jej domami, usłyszała rytmiczny, metaliczny dźwięk zbliżających się wielbłądzich dzwonek.

Nagle poczuła, że gapią się na nią czyjeś oczy, spoglądające przez drzwi po obu stronach ulicy. Wyobraziła sobie twarze obserwujących ją ludzi i wydało jej się, że słyszy oddechy i szepty. Przybyła do Zamku.

Była to ulica, na której mieszkały wszystkie isfahańskie prostytutki ze swoimi „opiekunami” i licznymi bękartami. Większość czasu spędzały w domach z twarzami zakwefionymi i ciałami zasłoniętymi, czekając, aż zapadnie noc i odwiedzą je kryjący się w ciemnościach muzułmanie. Mężczyźni wślizgiwali się przez nieoznaczone drzwi do małych izdebek, w których oczekiwali wraz z tuzinem towarzyszy na swoją kolej. Jeden po drugim kładli się do łóżek cuchnących potem, brudem i ciałami innych mężczyzn. Przejmowali z kobiecych ciał liczne choroby i pozostawiali w nich nasienie, z którego wyrastały bękarty skazane na patrzeć, jak ich matki co noc sypiają z obcymi - dopóki chłopcy nie dorosli na tyle, by móc opuścić dom, a dziewczynki nie były na tyle dojrzałe, żeby można było je sprzedać jako dziewice.

Wstęp do Zamku Żydom był zakazany. prostytutka, która miała kontakt z ciałem Żyda, skalałaby się na wieki i kalałaby przychodzących do niej później muzułmanów. Gruby Sikający Izaak opowiadał Esterze o Zamku. Przed wielu laty pewien Żyd zdjął ze swego ubrania żółtą łatę i spał z tutejszą prostytutką. Nie zdradziło go ciało, ponieważ muzułmańscy chłopcy podobnie jak Żydzi są obrzezani. Lecz w euforii wywołanej pierwszym miłosnym doznaniem zapomniał się i przemówił do kobiety. Rozpoznała w jego mowie zniekształcony język isfahańskich Żydów będący mieszaniną starodawnego farsi, arabskiego i niepoprawnej hebrajszczyzny. Wezwała swojego opiekuna, a ten przyszedł z trzema innymi; przywiązali Żyda do drzewa i obcięli mu członek.

Estera usłyszała kroki i obróciła się szybko. Wydawało jej się, że z tyłu za sobą, pod

otworem w łukowatym dachu, przez który świeciło słońce w kształcie idealnego cylindra, widzi Jehudę Sprawiedliwego.

Ruszyła znów przed siebie, jak najdalej od Jehudy, ku odległej muzyce dzwonek. Pobiegnęła w dół uliczki między domami ciągnącymi się po obu stronach, w stronę wylotu tunelu, który zaczynał się tam, gdzie kończył Zamek. Prowadziły doń trzy stopnie i panowały w nim ciemności choć oko wykol. Weszła do niego. Zatechłe powietrze zmroziło kropelki potu na jej twarzy. Ziemna ścieżka najpierw stromo opadła, po czym wolno prowadziła w górę i siedmioma stopniami wynurzała się z tunelu na opuszczony szewski jarmark, koło małych, zabitych deskami i zapomnianych sklepików. Na końcu korytarza Estera ujrzała światło dzienne. Utkwiła wzrok w tym świetle, a jej ciało poddało się własnemu rozpędowi. Jeszcze jeden krok i znalazła się na powietrzu.

Zatrzymała się, zerwała barani żołądek z głowy, odrzuciła czador. Oto nastał świt w Persji. Estera Wróżka wreszcie się uwolniła.

Wokół niej rozciągała się bezkresna otwarta przestrzeń. Ulica była szeroka i długa, wybrukowana kocimi łbami i wysadzana starymi wierzbami, które lekko drżały w podmuchach popołudniowego wietrzyka. Powietrze, jasnyniebieskie i słodkie, pachniało jaśminem i jabłkami. W arykach płynęła woda niczym potoki płynnego szkła. Dalej za nimi i drzewami do końca ulicy ciągnęły się ceglane mury.

Nad nią było niebo, spokojne, nieprzytłaczające, nieskończoność światła i barw - czerwonej cegły, marmuru i dachówek. Horyzont upstrzony był brązowymi minaretami i błękitnymi kopułami meczetów. W oddali zobaczyła zielone jadeitowe kolumny Placu Szacha. Słońce czerwieniało w szklanych ścianach Pałacu Czterdziestu Kolumn.

Estera Wróżka stała, czując się dziwnie pomniejszona. Słyszała dźwięki trąbek i bębnów, okrzyki kobiet i mężczyzn. Na końcu ulicy pojawił się tłum podnieconych ludzi, mieszanina kolorów i dźwięków. Estera wspięła się na występ wzdłuż muru i patrzyła: do Isfahanu przybył Aga Muhammad Szah i ulicą Czar Bag przejeżdżał jego orszak.

Ujrzała na przedzie dwugarbnego wielbłąda okrytego haftowanym fioletowym czaprakiem, na którym jechał Najwyższy Marszałek Królewskich Poganiaczy Wielbłądów. Za nim podążał sznur arabskich wielbłądów obciążonych skrzyniami, każdy z dwoma dzwonekami wiszącymi u boków na grubych srebrnych łańcuchach. Dalej jechał Królewski Muł okryty

ozdobami i draperiami, a na nim Wysoki Dowódca Poganiaczy Mułów Szacha. Za nim kroczyło trzysta innych mułów obciążonych namiotami i sprzętem, z dzwonekami innego kształtu i wielkości.

Teraz nastąpiła przerwa, a potem nadszedł orszak strzelców. Ubrani byli w czarne mundury i buty do konnej jazdy, przez ramię mieli przewieszony strzelby i po dwa pasy z nabojami. Za nimi nadjechali Wojownicy Szacha, nie noszący żadnej broni prócz ozdobnych mieczy.

Potem nadszła wielobarwna kawalkada wysokich urzędników i królewskiej świty, dworzan i paziów, wróżbitów, astrologów i szpiegów. Wszyscy mieli na sobie wyszukane stroje z haftowanego jedwabiu i aksamitu, jechali na arabskich wierzchowcach o ogonach ufarbowanych na czerwono, co świadczyło o czystości rasy.

Następnie szli eunuchowie - młodzi piękni chłopcy o bladych twarzach i wygiętych łukach brwi, w ozdobionych klejnotami szatach, wyglądający smutno i nostalgicznie.

Estera Wróżka wychynęła ze swojego kąta i podeszła do orszaku. Tłum walczył o to, żeby dostać się bliżej kawalkady. Ludzie cisnęli się do przodu, czepiali rękami. Aga Muhammad Szah, Król Królów, Cień Boga, przybył do ich miasta. Przybył tu i skoro go widzieli, ich życie nigdy już nie będzie takie samo.

Nadeszła kolejna grupa Wojowników Szacha, potem kolumna dzieci - chłopcy i dziewczynki o uszczęśliwionych twarzach, których sama obecność, jak wierzył szach, broniła go przed złem. Przygłopolował pojedynczy jeździec, krzycząc:

- Jego Cesarska Mość! Cień Allaha!

Deszcz złota spadł na Esterę. Podniosła wzrok. Słońce rozprysnęło się na milion cząsteczek - drobne krążki połyskliwego złota tańczyły w powietrzu, gdy dwa tuziny jeźdźców rzucały monety w tłum.

Kareta szacha toczyła się wolno - olbrzymi pojazd o lakierowanych ścianach i drzwiczkach zdobionych złotem i drogimi kamieniami. Wokół niej szły młode kobiety w białych koronkowych czadorach i złotych zasłonach. Obrzucały karete garściami ofiarnych kwiatów wiśni i jabłoni, słodkimi migdałami, liśćmi mięty i cynamonu, ziarnami granatów w kolorze rubinów z szat eunuchów, fiołkami i różami, a zwłaszcza jaśminem - górami białego jaśminu.

Kareta zwolniła, po czym przystanąła. Biała ręka uniosła aksamitną zasłonę przysłaniającą szklany przód i odsłoniła twarz monarchy. Ze stóp Estery wystrzelił ogień, objął

uda, brzuch i klatkę piersiową - ona знаła szacha Agę Muhammada. Widziała go w swoich snach.

Ciemności szybko przesączały powietrze. Tłum podążał za karawaną szacha na plac przed Pałacem Czterdziestu Kolumn. Estera Wróżka poszła wraz z nim, żeby znaleźć głównego eunucha dworu.

Znała przyszłość Agi Muhammada Chana. Widziała jego śmierć. Przed laty, kiedy jeszcze przebywała w haremie, a on nie był królem, słyszała opowieści o toczonych przez niego bitwach w drodze do tronu. Pewnego wieczoru wcierała w oczy niewidomej córki szejka leczniczy złoty pył. Położywszy dziecko spać, poszła umyć ręce. Spojrzała wówczas na swoją pozłoconą, lśniącą dłoń i ujrzała umierającego szacha.

Ta wiedza przeraziła Esterę Wróżkę, bo zdawała sobie sprawę, że jeśli ją ujawni, król będzie jej szukał i skaze na śmierć. Przez lata utrzymywała ją w tajemnicy, ale tego wieczoru już się nie lękała. Zamierzała przemówić.

W roku 1789 pojawiła się w Persji nowa dynastia. Przedtem kraj przez wiele lat pograżony był w wojnach, rozdzielany przez rywalizujące ze sobą plemiona, wojowników i dziedziców dawnych i wymarłych dynastii, którzy dzierżyli władzę nad pobratymcami, lecz nie potrafili zjednoczyć całego narodu. W końcu zwyciężył Aga Muhammad Chan.

Był to młody następca tronu Kadzarów, jednego z turkmeńskich plemion władających północno-zachodnią częścią Persji - brzydki, okrutny i bezlitosny. Powodowała nim furia płynąca z głębi jestestwa i plamiąca krwią jego tron.

Jako dziecko wzięty do niewoli przez przywódcę plemienia Zandów, trzymany był w charakterze zakładnika na dworze w Szirazie. Został wykastrowany - żeby nie mógł spłodzić syna, który pewnego dnia zechciałby go pomścić - ale wychowywano go z całą czcią należną więźniowi królewskiej krwi. Niemniej gdy dorósł, z każdym dniem trawiła go coraz większa nienawiść.

W roku 1789 Aga Muhammad Chan uciekł z dworu Zandów, wrócił na swoje plemienne ziemie i obwołał się przywódcą Kadzarów. Zaczekał na śmierć króla Zandów, po czym poprowadził swe wojska do Szirazu, gdzie oślepił i zamordował w okrutny sposób prawowitego następcę tronu. Stamtąd wyruszył na podbój Persji.

Walczył z lokalnymi władcami i wojowniczymi plemionami, wyrzynał buntowników, złodziei i zwykłych ludzi, których podejrzewał o zdradę. W Kermanie rozkazał swoim wojskom zgwałcić wszystkie kobiety, oślepić dwadzieścia tysięcy mężczyzn i zbudować piramidę z czaszek ofiar. W Tyflisie pozabijał starych i chorych, a wszystkich innych uprowadził w niewolę. W Teheranie obiecał swojemu bratu rządu w Isfahanie, zwabiając w ten sposób do pałacu, po czym skazał go na śmierć. Więził żyjących w nędzy rolników, groził im śmiercią i uwalniał za okupem. Cała Persja drżała na dźwięk imienia Agi Muhammada Chana.

Estera Wróżka z odległości mogła rozpoznać Plac Szacha okolony rzędami piętrowych ceglanych sklepów z balkonikami z zielonego marmuru. Zapadała noc, plac krył się w mroku. Niedługo potem pojawiło się na nim światelko. Przez chwilę migotało, po czym już płonęło pewnie. Zapalił się następny płomień, później kolejny i jeszcze jeden. Ze wszystkich narożników błyskało światło, oświetlając całą budowlę, aż jarzyła się w ciemnościach.

Pięć tysięcy lampek oliwnych płonęło na przestrzeni o powierzchni nie większej niż sto trzydzieści pięć metrów na dwadzieścia - pięć tysięcy maleńkich lampeczek z abażurami z delikatnego kryształu, zamówionych przed dwustu laty przez szacha Abbasa Wielkiego. Były wszędzie, wisiały na ścianach, filarach, balkonach, wszystkie ręcznie pomalowane na rozmaite odcienie czerwieni i różu. W nich dusza szacha Abbasa nadal żyła.

Kiedy kawalkada szacha zbliżyła się do placu, szeregi pięknie ubranych młodzieńców skłoniły się głęboko przed monarchą: wybrano ich ze względu na urodę i kazano paradować z boku ulicy, żeby szach im się przyjrzał. Królewska karetka zatrzymywała się co jakiś czas i szach przywoływał któregoś z młodzieńców, a ten biegł do niego, przerażony i zaszczycony zarazem, i prezentował się panującemu.

Po młodzieńcach przyjmowała szacha grupa mułłów Pisznamazów, którzy śpiewali głośno, życząc zdrowia monarsze. Jednocześnie zabijali w ofierze liczne woły i owieczki i rzucali krwawiące zwierzęce łby pod kopyta koni szacha. Śpiewali i modlili się również derwisze. Mieli szklane wazy pełne cukru, które rzucali na ziemię, tłukąc przed kareta szacha.

Uliczni sprzedawcy i rzemieślnicy wystawiali na pokaz swoje towary. Poeci o szkolonych głosach i imponujących gestach recytowali wiersze z Księgi Królów. Pośród tłumu tańczyli akrobaci, aktorzy odtwarzali bitwę pod Kerbelą, gdzie męczeńską śmierć poniósł uczeń proroka Mahometa, święty Abbas.

W czasie bitwy podczas odwrotu wojsk Abbas usiłował zanieść wodę rannym

żołnierzom. Był to młodzieniec o niewinnych oczach i anielskim obliczu. Jego najgorszy wróg, wódz Jazyd, rosły i brzydki, malował sobie twarz w czarne pasy, chcąc budzić większy postrach.

- Stój! - wrzasnął mężczyzna, który przedstawiał Jazyda, zagradzając drogę Abbasowi. - Oby woda nigdy nie dotarła do warg umierających.

Abbas zignorował go i podążał swoją drogą.

- Rozkazuję ci, stój! - Jazyd uniósł miecz i udawał, że odcina Abbasowi prawą rękę. Woda rozlała się na ziemię i zmieszała z krwią.

Abbas wydał okrzyk. Lewą ręką podniósł worek z wodą i ruszył w stronę swoich spragnionych żołnierzy.

Miecz Jazyda przeciął znów powietrze. Kiedy opadł, odciął Abbasowi lewą rękę.

Tym razem nie było słycać krzyku bóleści. Abbas schylił się i chwycił worek w zęby.

Kobiety na widowni szlochały, mężczyźni się biczowali.

Jazyd, zaskoczony męstwem Abbasa, przez moment się wahał. Potem uniósł miecz po raz ostatni i jednym ciosem odciął mu głowę. Szyici uważają Abbasa za męczennika - umarł za wiarę, poświęcił życie, walcząc z niesprawiedliwością.

Na skraju pola odgrywanej bitwy chłopci sprzedawali owce i konie, kręgarze oferowali leki na reumatyzm i starość, medycy siedzieli po turecku na małych dywanikach, czekając na pacjentów. Po jednej stronie placu przed namiotami wystawiano na pokaz kobiety, a ich opiekunowie gotowi byli negocjować cenę. Islam szyicki pozwala mężczyźnie na posiadanie trzech żon i dowolnej liczby żon „chwilowych”. Może je poślubić na pięć minut albo na dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Ktoś chwycił Esterę za spódnice. Była to żebraczka - młoda kobieta ze śpiącym dzieckiem przy piersi. Obnażony sutek pokryty był krwawiącymi strupami, siedziało na nim mnóstwo głodnych much.

W północnym narożniku placu stał Meczet Szacha - wysoki, monumentalny i pyszny jak sam Bóg. Dokładnie naprzeciwko niego znajdowała się Ali Kapu - brama do Pałacu Czterdziestu Kolumn, próg uważany za tak święty, że nikt, nawet sam szach nie śmiał przekroczyć go konno. To tu w czasach Abbasa Wielkiego szukali ucieczki osądzeni przestępcy i drobne złodziejzki. Tu nie mógł ich osiągnąć nikt prócz szacha. Oczekiwali tu na jego łaskę. Nawet gdy jej odmówił, nie można ich było przepędzić z Ali Kapu. Odmawiano im jedynie dostępu do jedzenia

i wody i musieli wybierać między śmiercią głodową w królewskim azylu a śmiercią poza nim z rąk prześladowców.

Po obu stronach Ali Kapu stały metrowej wysokości tarasy zbudowane z zielonego jaspisu. Tutaj zasiedli najlepsi w kraju złotnicy i kupcy bławatni. Zwabieni opowieściami o obsesyjnej zachłanności szacha, rozłożyli swoje wyroby na czarnym aksamicie w nadziei, że zechce je obejrzyć w drodze do pałacu.

Aga Muhammad Szach nie zamierzał przystawać. Pragnął dotrzeć do pałacu, pozbyć się królewskich szat i świty. Zobaczył jednak klejnoty, chciwość wzięła górę i polecił zatrzymać karawanę. Gdyby okazał zainteresowanie którymkolwiek z klejnotów, kupcy błagaliby, żeby przyjął go w darze. Inni królowie przyjęliby dar i wynagrodzili kupca wartym dziesięciokrotnie więcej złotem. Aga Muhammad Szah brał to, co mu ofiarowano, i niczego w zamian nie dawał.

Zatrzymał się więc; karawana stanęła. Ministrowie bili pokłony, sprzedawcy padali plackiem na ziemię, a żołnierze otoczyli kręgiem karete szacha, by osłaniać go przed tłumem. Drzwiczki karety otworzyły się i wysiadł z niej niewielki mężczyzna o pomarszczonym obliczu i małych podejrzliwych oczkach. Skórę miał bladą, gładką i bez zarostu, wargi cienkie, surowe. Był w żołnierskim stroju - długim płaszczu, ciemnych wysokich butach. Wokół talii miał pas wysadzany klejnotami i królewski sztylet. Guziki były diamentowe.

W tłumie rozległo się westchnienie. Aga Muhammad skinął na Mirzę Fatha Alego - swego siostrzeńca i następcę tronu, który towarzyszył mu w tej podróży. Razem podeszli do tarasu pełnego klejnotów i podziwiali wszystkie wystawione okazy.

- Czy wolno mi złożyć ofiarę? - spytał starzec z białą brodą, zbliżając się do szacha. Był to Szaaban, niegdyś jeden z największych isfahańskich złotników, teraz zrujnowany przez opium. Drżąc, zaoferował szachowi olbrzymi rubin, bezcenny, jak twierdził.

- To największy kamień, jaki kiedykolwiek miałem - powiedział. - Nie jest wart twoich najędźniejszych sług, ale byłbym nieskończenie wdzięczny, gdyby Wasza Królewska Mość zechciał przyjąć go jako drobny dar. - Głos mu się załamał przy ostatnim słowie.

Aga Muhammad Szah ujrzał błysk rubinu i rozpromienił się z zadowolenia. Już miał przyjąć dar, gdy za sobą usłyszał szamotaninę. Obrócił się.

- Cofnij się! - Kobięcy krzyk odbijał się echem po placu. - Rusz się albo poślę do piekieł twoją duszę!

Estera Wróżka przepchnęła się przez tłum i przerwała pierścień żołnierzy wokół szacha.

Była łyśa i niezakwefiona, czaszkę miała w ranach, twarz ze smugami krwi.

Podeszła do szacha, uniosła palec i opisała mu jego śmierć.

- Strzeż się - dodała - rąk mszczących się niewolników.

Aga Muhammad Szah wyciągnął miecz, ale nie przestraszył Estery.

- Ręce dosięgną twego łóża pośród nocy - ciągnęła - opanowane i spokojne, bez lęku.

Kiedy zamkniesz oczy, by śnić o podboju, odbiorą ci życie, ratując własne.

Aga Muhammad Szah wydał demoniczny okrzyk i natarł na Esterę. Trafił wszakże tylko w żołnierza, który padł bez głowy na ziemię. Tam, gdzie przed chwilą stała Estera Wróżka, była jedynie ciemność.

Po tym zdarzeniu Aga Muhammad Szah kazał swoim żołnierzom przez wiele miesięcy szukać w Isfahanie łysey wróżki o złym języku. Zaglądali do każdej dzielnicy i do każdego domu, udali się nawet do Dżujibaru. Przeszukiwali piwnice i dachy. Opisywali zjawę, którą widział szach.

- To Estera Wróżka - rzekł rabin Jehuda Sprawiedliwy, z dumą identyfikując swoją ofiarę.

- Nie szukajcie jej w getcie. Została stąd wypędzona i nigdy tu nie wróci.

Żołnierze zdecydowani odnaleźć Esterę podzielili się na oddziały i wyruszyli do wszystkich prowincji i miast leżących w promieniu dwudziestu mil od Dżujibaru. Przetrzęsali jaskinie w górach Zagros, wytwórnice win Szirazu, ruiny Persepolis i siedziby nomadów rozrzucone na Wielkiej Pustyni Słonej. Wszędzie opowiadali historię Estery Wróżki i głosili jej imię. Wreszcie trzęsąc się ze strachu powrócili do szacha i przyznali się do porażki. Zaklinali się, że kobieta na placu nie była żywą istotą, lecz zjawą, złym duchem posłanym przez Żydów, by przynieść nieszczęście szachowi.

Następca tronu, Fath Ali Mirza, na własną rękę poszukiwał Estery Wróżki i też niczego nie osiągnął. Aga Muhammad Szah był niezadowolony. Kazał stracić wszystkich, którzy go zawiedli. Po czym wyjechał z Isfahanu.

- Dopóki nie odnajdziecie tej wróżki - oznajmił namiestnikowi Isfahanu - wasze miasto nie będzie się cieszyło moją pieczęcią i łaskawością.

Udał się do Chorasanu na poszukiwanie swojego starego wroga, Szarucha, który miał sześćdziesiąt lat i dziedziczył tron wymarłej dynastii. Choć Szaruch nie dysponował siłą

polityczną, to w spadku po przodkach miał mnóstwo klejnotów, które pieczołowicie ukrył na wypadek ataku nieprzyjaciela. Aga Muhammad Szah schwytął Szarucha i zażądał wydania skarbu. Ten zaprzeczył, by taki skarb w ogóle istniał. Szach nakazał poddać go torturom. Szaruch oddawał kamienie jeden po drugim.

- Już nie - błagał, gdy lano mu gorący olej do oczu. - Więcej nie ma.

Aga Muhammad Szah nie był zadowolony. Domagał się największego kamienia, słynnego rubinu Aurangzeb, którego Szaruch bronił jak życia.

Kazał podnieść go na nogi, wokół głowy umieścić mu opaskę z gliny i lać w nią roztopiony ołów. Szaruch oddał rubin, a potem wyzionął ducha.

Minął rok od pobytu w Isfahanie. W roku 1797 Aga Muhammad Szah jechał do Gruzji, żeby zaatakować swojego odwiecznego wroga, Ereklego. W drodze obudziła go nocą sprzeczka dwóch służących. Zirytowany hałasem rozkazał powiesić obu rano. Potem znów zasnął myśląc, że słudzy pokornie skończą swoją pracę przed godziną egzekucji.

A oni wśliznęli się do namiotu i pozbawili go życia.

W Teheranie wybuchła wojna. Po zamordowaniu Agi Muhammada Szaha o nieobsadzony tron ubiegali się rywalizujący ze sobą kuzyni i dziedzice szacha i odmawiali podporządkowania się następcy tronu Fathowi Alemu Mirzy. Ostatecznie rok później, w 1798, ukoronowany został Fath Ali Szah.

Był młody, przystojny i prózny, interesowały go bardziej bogactwa i kobiety niż dyplomacja. Miał cztery stałe żony i osiemdziesiąt cztery chwilowe, trzy tysiące eunuchów, stu krawców, kilkudziesięciu jubilerów i biografów. Nie lubił Pałacu Kadzarów. Zbudował sobie inny - Pałac Róż - i zappełnił harem tysiącem chwilowych żon. Dni upływały mu na pozowaniu do portretów, słuchaniu zamówionych pieśni i projektowaniu nowych szat dla siebie i dworzan. Siedział na tronie w otoczeniu pięciu ulubionych eunuchów i oglądał procesje dziewic sprowadzanych z całego kraju.

Z każdym dniem coraz bardziej przerażał go mord popełniony na wuju i trafność przepowiedni wróżki. Aga Muhammad Szah, jak uważał jego siostrzeniec, mógł być unikać swego przeznaczenia, zmylić czas i miejsce i ukryć się przed Aniołem Śmierci. Musiałby tylko wróżce uwierzyć, a na to był zbyt prózny.

Za to Fath Ali Szah tak bardzo wierzył w moc wróżbitów, że radził się ich co do najdrobniejszych szczegółów swojego życia. Dzień dzielił się na chwile pomyślne i złe; przed

każdą złą astrolodzy ostrzegali szacha. Wszędzie nosił ze sobą zegarek: każde wejście i wyjście, każdy czyn i każde słowo musiało mieć miejsce w odpowiednim czasie wyznaczonym przez astrologów.

Następca tronu, Abbas Mirza, i jego wezyr, Kaim Magam, znali tę obsesję szacha i na próżno usiłowali wytłumaczyć mu absurdalność takiego postępowania. Ostrzegali go przed niebezpieczeństwem zbytnej wiary w słowa jasnowidzów i wróżek. Lecz Fath Ali Szah miał ostatnie słowo. Abbas Mirza zmarł przed nim, wezyr zaś nauczył się trzymać język za zębami i skrywać urazę. Szach poinformował tymczasem doradców, że najważniejsza ze wszystkich kwestia, sprawa życia i śmierci Jego Królewskiej Mości, musi jeszcze zostać rozwiązana; nikt jednak nie śmiał narazić się na gniew szacha, przewidując czas i sposób, w jaki nadejść miał jego koniec. Wobec nieudolności własnych sług Fath Ali Szah raz jeszcze polecił odnaleźć Estere Wróżkę.

Jak Persja długa i szeroka posłańcy i żołnierze wykrzykiwali jej imię. Odpowiadała im jedynie cisza. Przekonani, że chodzi o ducha, zwracali się do wszystkich magików i czarnoksiężników, i mułłów, lecz bez rezultatu.

- Przepowiedz naszą śmierć - błagał Fath Ali Szah, ale Estera Wróżka, choć słyszała jego głos i pojmowała prośbę, nie odpowiadała.

Estera Wróżka powędrowała na północ, przez Persję i jeszcze dalej, i na własne oczy oglądała to, co już widziała we snach. Postarzała się, zmądrzała i chociaż nigdy nie znalazła domu ani mężczyzny, osiągnęła w końcu spokój: zbuntowała się przeciwko własnemu losowi i zarzuciła wędkę snów w serca swoich dzieci, a to już wystarczyło, by wiedziała, że odniosła triumf.

Po wyjściu z getta nie nosiła czadoru i nigdy nie zapuściła włosów, pozostała łysa i milcząca. Oczy miała ciemne, skórę tłustą, wyglądała tak osobliwie i dziwacznie, że nikt nie odważył się jej zatrzymać, by zapytać o imię. Kiedy widziano, że nadchodzi, cofano się z lękiem. Ziemia drżała pod jej stopami.

Właśnie to drzenie - odgłos chodzącej na wolności Estery Wróżki - doprowadzało Grubego Sikającego Izaaka do szaleństwa. Usłyszał ten odgłos po raz pierwszy w tydzień po jej ukaraniu i uważał go za fakt.

- Trzęsienie ziemi! - krzyknął i wybiegł z herbaciarni. Nikt jednak nie poszedł w jego

ślady.

- Trzęsienie ziemi! - krzyknął raz jeszcze. - Wychodźcie, bo zostaniecie pogrzebani!

Ludzie na ulicy zachowali spokój i patrzyli na niego zdumieni.

Gruby Sikający Izaak zmieszał się i stropił.

- Czuję coś - próbował wyjaśniać, a ziemia znowu zadrżała mu pod stopami. - O, znów się trzęsie. - Pozostał jednak osamotniony.

Mówił sobie, że to stan przejściowy, skutek wstrząsów przeżytych w ostatnich miesiącach, i że odzyska równowagę, jak uspokoją mu się nerwy i zdoła zapomnieć o Esterze Wróżce. Zamknął herbaciarnię i przesiadywał w swoim pokoju, gdzie usiłował odpoczywać. Lecz w domu drzenie stawało się mocniejsze i odgłos walącego się świata napawał go jeszcze większym strachem. Zaczął bać się ścian. Tęsknił za wygodą łoża Estery Wróżki.

Ludzie w getcie myśleli, że umarła, bo zniknęła tak szybko po ukaraniu. Zabiła się, mówili, wykopała dziurę na pustyni, schowała w niej głowę i trzymała tak długo, aż przestała oddychać, a jej ciało pożarły dzikie zwierzęta. Albo porwali ją bandyci, zgwałcili i zostawili, by dokonała żywota. Może powędrowała do domu, do Bandar Abbas, i rzuciła się w wody Zatoki Perskiej.

Gruby Sikający Izaak teraz pragnął ją odnaleźć i wdychać jej oddech. Pragnął zamknąć oczy, leżeć w ciemnościach i słuchać, jak Estera mówi o przeszłości i przyszłości. Pragnął wahać jej skórę, płakać u jej piersi i pytać ją - pytać tak długo, póki nie zostaną rozwiane wszelkie wątpliwości i nie ucichną śmiechy przyjaciół, a on będzie mógł uwierzyć. Pragnął jej teraz, ale ona odeszła. Gruby Sikający Izaak zawiódł ją i wiedział, że nie zazna spokoju ani szczęścia, póki nie uciszy jej gniewu.

Poszedł do Mamy Akuszerki, której powierzono wychowanie dziecka Estery. Izaak słyszał opowieści o Noem - ludzie pchali się codziennie do domu Akuszerki, chcąc zobaczyć chłopca. Zachwyceni, wracali następnego dnia i potem. On syna nie widział. Teraz poprosił, żeby mu go pokazano.

- Po co? - protestowała Mama Akuszerka.

- Przynieś go.

Mama Akuszerka poszła do tylnej izby i wróciła z Noem wciąż zawiniętym w czador Estery Wróżki. Odsoniła twarz dziecka i zobaczyła, że Izaak zbladł.

Noe Złoto był jak promienna gwiazda. Miał olśniewającą skórę, złote oczy, włosy koloru

żółtych agatów, długie kończyny, wyraziste rysy i urzekający uśmiech. Kiedy przyniesiono go w dniu narodzin, Mama Akuszerka pomyślała, że to anioł. Zniosła niemowlę na dach i zostawiła pod koszem ze słomy, żeby Bóg je zabrał. Przez trzy dni czuwała.

Przy najlżejszym porywie wiatru albo zmianie pogody myślała, że to ulatuje dusza Noego. Kiedy jednak unosiła kosz, przekonywała się, że dziecko wciąż żyje. Doszła do wniosku, że Bóg je zesłał, by odmienić jej życie.

- Zostaw mi go - poprosiła teraz Grubego Sikającego Izaaka. - Pozwól, bym go wychowała.

Izaaka ścisnęło w gardle. Potrząsnął odmownie głową.

- To będzie moja pokuta - powiedział. - Wychowam to dziecko, które pozbawiłem matki.

I tak Noe Złoto wyrósł w domu Izaaka i nauczył się godzić ze swym bólem. W następnych latach widział, że Izaak opętany jest całkowicie własną winą - gdy Estera stawiała kolejny krok, nawiedzała go wizja rozpadającego się świata, rozsypującego się domu i walącego nieba. Noe poznał historię swoich narodzin, los matki. Znał Estere, zjawiała mu się co noc we śnie.

Na początku był sen - szeptała synowi Estera Wróżka w ciepłym świetle, które wносиła w jego ciemność. Brała go za rękę, prowadziła ścieżką roziskrzoną promieniami słońca - długim ciepłym tunelem bieli. Na jej końcu przystawała i malowała baśń na niebie.

Astjagesowi, królowi Medów, śniło się, że z boku jego córki wyrosła winorośl i pochłonęła Azję. Wezwał wróżbitów, by wyłożyli mu sens tego snu.

- Bogowie cię ostrzegają - powiedzieli królowi wróżbici. - Twoja córka pewnego dnia powije syna, który zrzuci cię z tronu i podbije Azję.

Astjages uwierzył w ich słowa. Wydał za mąż córkę i posłał ją do sąsiedniego królestwa. Tam urodziła syna. Astjages wykradł dziecko i kazał je zgladzić, ale sługa uratował chłopca, zabrał go w góry i oddał na wychowanie pasterzowi. Pasterz nadał chłopcu imię Cyrus.

Cyrus został żołnierzem, zbuntował się przeciwko Astjagesowi, zdobył Babilon. Spotkał tam Żydów, potomków niewolników sprowadzonych przez Nabuchodonozora po zburzeniu Drugiej Świątyni. Cyrus uwolnił Żydów. Rządził całym perskim plemieniem, stał się założycielem perskiego imperium.

- Jestem Cyrus - mówił - Król Świata.

Noe Złoto miał trzy latka, gdy po raz pierwszy usłyszał historię Cyrusa. Tryskał energią, był duży, pełen ochoty do życia, nie poddawał się lękom ani bólowi. Całe dni spędzał poza domem, bawił się z innymi chłopcami. Ganiał za nimi po ulicy, ściągał ich wzrokiem i uśmiechem, aż matkom znudziło się ostrzeganie własnych dzieci przed bękarcim synem Estery Wróżki. Siadywał z klientami Izaaka w herbaciarni i wciągał ich do rozmowy, aż zapomnieli, że to Noe był przyczyną upadku Izaaka. Chodził nawet do świątyni - świątyni Jehudy Sprawiedliwego - i po każdym szabatowym kazaniu stał na podwórku, póki rabin go nie przepędził.

- To dziecko jest złe - ostrzegał Jehuda, ale Żydzi wnet przestali go słuchać. Noe Złoto stał się ulubieńcem getta.

Dzieci Cyrusa miały Boga. - Estera Wróżka przynosiła ze sobą powiew światła i śmiechu, zimny podmuch płomienia, który przepalał noc i zalewał ciemność błękitem nieba.

Ahura Mazda, Bóg Persów, splodził dwóch synów bliźniaków. Każdemu z nich dał wybór. Jeden, Ormuzd, wybrał światło, życie i dobro. Drugi, Aryman, wybrał śmierć, ciemność i zło. Ahura Mazda podzielił między synów świat. Ormuzd stworzył niebo i ziemię, Aryman demony i śmierć.

- Rzecz nie w tym - powiedział swemu ojcu Aryman - że jestem niezdolny do czynienia dobra. Lecz w tym, że wybrałem zło.

Żeby udowodnić światu własną wielkość, Aryman stworzył Pawia.

Grubego Sikającego Izaaka sparaliżował strach. Jego świat drżał tak długo, że po kilku latach on też zaczął trząść się wraz z nim. Chód zrobił mu się niepewny, ręce się trzęsły, podskakiwał i dygotał tak często, że nie mógł utrzymać filiżanki z herbatą. Bał się, że herbata wyleje się i go poparzy. Noe zaproponował, że go zastąpi. Miał sześć lat, ale był sprawny, i choć Gruby Sikający Izaak przez całe życie żywił do niego urazę, nie miał wyboru, musiał się zgodzić.

Za Wielkim Cesarzem nadciągnęli wielcy najeźdźcy. - W oddali, tam gdzie Estera Wróżka pokazywała ręką, Noe Złoto ujrział wojska Aleksandra Wielkiego maszerujące na Persję.

W Persepolis, stolicy Cyrusa, Aleksander poślubił perską księżniczkę, Roksanę, i wziął tysiąc perskich żon dla tysiąca swoich żołnierzy. Niedługo potem upił się pewnej nocy winem z

Szirazu i puścił z dymem Persepolis.

Po nim nadciągnęli Turcy, potem muzułmanie.

Na Półwyspie Arabskim zjawił się prorok i wojownik zwany Mahometem. Mówił o nowym Bogu i stworzył nowe imperium.

W wieku dziesięciu lat Noe sam prowadził herbaciarnię. Utrzymywał siebie i Grubego Sikającego Izaaka, który teraz nic nie robił, tylko dygotał jak pies i szepta! - bo brakowało mu już sił i przekonania: - Trzęsienie ziemi. Trzęsienie ziemi. Trzęsienie ziemi.

Żeby powstrzymać drzenie, Izaak pił wywar z rumianku i herbatkę z pierwiosnków, które uspokajały mu nerwy i czyniły go sennym. Przez cały czas chodził więc oszołomiony, otumaniony od snu, i wciąż się trząsał jak nałogowy palacz opium. Potem zaczął je palić. Zapewniało mu na jakiś czas spokój i pozwalało spać bez uczucia, że lada chwila łóżko się rozewrze jak paszcza i go pochłonie. Palił coraz większe dawki i coraz częściej, i tak się uzależnił, że ani na chwilę nie chciał odejść od patelni, na której podgrzewał opium.

Przez siedemset lat Arabowie panowali w Persji, rządząc za pośrednictwem kalifów w Bagdadzie.

Islam przyniósł wiek oświecenia, odrodzenie sztuki i nauki, tolerancję wobec innych religii.

Lecz w czternastym stuleciu królem Persji został Ismail, który proklamował niezależność od imperium arabskiego. Arabowie w przeważającej większości byli sunnitami. Dla podkreślenia zerwania z nimi Ismail wprowadził w Persji szyizm.

W państwie szyickim rządzą mulłowie, wysłannicy Boga, którzy rozmawiali z nim i przekazywali jego słowa innym wiernym. Mulłowie uznali wyznawców wszystkich innych religii, nawet sunnitów, za nieczystych i niedotykalnych. Mówili, że świat ma być rządzony przez szyickich duchownych. Wszyscy inni, a zwłaszcza szachowie, to uzurpatorzy boskiego imienia; nie zasługują na swoje bogactwo i potęgę.

Opium przestało działać. Izaak przerzucił się więc na palenie *szire* - znacznie silniejszego narkotyku, który robi się z tego, co pozostaje z wypalonego opium. Gotował resztki, przygotowywał z nich pastę i tę dopiero palił. Po kilku latach jednak zawiódł go nawet *szire*.

- Wezwij swoją matkę - błagał przed śmiercią Noego.

- Powiedz jej, żeby mi wybaczyła.

Muła Mirza był najstarszym medykiem w getcie i wzbudzał największy strach. Nazywano go Mułłą - był to tytuł muzułmańskich kapłanów, ale Żydzi mówili tak o każdym, kto dysponował szczególną wiedzą - i Mirzą, co znaczy „doktor”, a określa każdego, kto umie czytać. Był niski i kościsty, chude oblicze obramowane miał długą brodą sięgającą po pępek. Kiedyś dawno była czarna, potem szara, siwa, biała - aż w końcu pożółkła i pozostała już tego koloru. Brwi, gęste i krzaczaste, nie chciały pójść w ślady brody. Pozostały ciemne, szokująco kontrastując z resztą twarzy. Oczy pod nimi były sprytnie i bystre, pełne bezgranicznej chciwości i ambicji, które rządziły życiem Mułły, przybierając na sile, w miarę jak czuł, że zbliża się do grobu. W ustach miał trzy żółte zęby - dwa na górze i jeden na dole - reumatyzm w nogach i nieprzyjemny tik: gdy się podniecił, wykręcało mu głowę i szyję w prawo. Palce sękaty ze starości i zazólcone od tytoniu, który ustawicznie palił, były jednak mocne i pewne. Nieustannie nerwowo macał przedmioty wokół siebie, jakby gnany przymusem odkrywania ich tajemnic albo chęcią ich posiadania.

Ludzie mówili, że w młodości Muła Mirza postanowił zostać uczonym. Jego ojciec, lekarz amator w Dżujibarze, przyniósł pewnego dnia do domu olbrzymią księgę pisaną częściowo po persku, a częściowo po arabsku. Jej autorem miał być wielki perski uczony Zakarija Razi.

- Kryje się w niej, poza zasięgiem zwykłych ludzi, tajemnica ogromnego bogactwa i nieśmiertelnej potęgi - powiedział synowi.

Razi, poeta, filozof, matematyk i chemik zarazem, poświęcił życie alchemii, ale zamiast kamienia filozoficznego odkrył alkohol. Niezadowolony ze swego wynalazku do końca życia czuł, że od znalezienia formuły na przemianę zwykłego metalu w złoto dzieli go tylko krok. Umarł ślepy i w biedzie, pozostawiwszy stos tomów z jeleniej skóry, w których zapisywał rezultaty swoich eksperymentów.

Mułłę Mirzę zafascynowała historia Raziego. Otwierał księgę i głaskał symbole, których nie potrafił rozszyfrować.

- Mój Boże - wzdychał - posiadać całe to złoto. Następnego dnia oznajmił, że zamierza nauczyć się czytać po persku i arabsku. Ojciec się roześmiał.

- Żydzi nie uczą się niczego prócz hebrajskiego - powiedział. - Arabski to język Koranu.

Mułowie mówią, że jeśli będziemy się go uczyć, to splugawimy ich świętą księgę. Perski jest językiem Persów. Oni twierdzą, że nie będziemy Persami, jeśli nie zostaniemy muzułmanami. Jeśli chcesz nauczyć się czytać, musisz iść do rabina i studiować Torę.

Muły Mirzy nie interesowała Tora. Pragnął poznać tajemnice Razięgo.

- Chcę zostać uczniem - oznajmił. - Być bogaty, szanowany, nieśmiertelny.

Przez chwilę igrał z myślą, żeby przejść na islam, tak by pozwolono mu uczyć się perskiego. Potem znalazł lepszy sposób.

Udał się do muzułmańskiego pisarza, który siedział na połamanym stołku przed karawanserajem szacha w Isfahanie. Za niewielką opłatą pisał ludziom listy. Pod koniec każdego dnia zbierał pieniądze i wędrował do getta kupić wino.

Żydzi mieli monopol na wyrób wina w Persji. Islam zabrania wiernym pić napoje alkoholowe. Muzułmanie, którzy nie mogli oprzeć się pokusom pijaństwa, chodzili kupować wino do getta. Grzech, pocieszali się, spada na tego, kto produkuje zły napój - a nie na tego, kto go pije. W trudnych czasach mułowie często wzywali lud do oczyszczenia świata z „niewiernych wyrabiających wino” i posyłali motłoch do getta, by włamywał się do domów i niszczył piwnice, w których Żydzi składowali wino.

- Przyniosę ci co tydzień dzban pięcioletniego wina, jeśli będziesz mnie uczył czytać - powiedział MuHa Mirza pisarzowi. - Nie powiem nigdy nikomu o naszej umowie. Gdyby ktoś odkrył, że umiem czytać, oskarżę innego pisarza o to, że mnie nauczył. Jeśli weźmiesz moje wino, a potem mnie zawiedziesz, to cię otruję.

Pisarz nie odmówił.

W trzy lata od chwili, gdy ujrzał księgę Razięgo, Muła Mirza nauczył się czytać po persku i arabsku. Wyprowadził się od ojca, wynajął na kredyt piwnicę w jatce Dawida Rzeźnika i rozpoczął karierę uczonego.

Od tego czasu getto obserwowało, jak Mułę Mirzę z wolna zżera obsesja. Wiecznie zamykał się w piwnicy, ślęczał nad parującymi kociołkami, wertował księgę Razięgo, aż znał na pamięć każdą linijkę. Powtarzał nieudane eksperymenty, póki nie skończyły mu się metale, paliwo i kwas. Wtedy nagle znów się pojawiał. Dawid Rzeźnik prosił go, żeby zapłacił za wynajem: nie zobaczył ani grosza od dnia, gdy Muła Mirza zajął piwnicę.

- Odejdź - atakował Dawida przekonany o swojej racji. - Jak śmiesz, jak śmiesz mówić o pieniądzach, gdy ja jestem bliski stworzenia świata na nowo!

Przez jakiś czas przetrząsał wszystkie księgarnie w Isfahanie, szukając dzieł innych alchemików. Wymuszał na sklepikarzach i gospodyniach domowych „ofiarowanie” tego, czego potrzebował do swoich eksperymentów. Podróżował do odległych miast i wsi, gdzie jak słyszał, inni uczeni prowadzili podobne poszukiwania. Potem wracał do piwnicy - uzbrojony, jak sądził, w ostateczną wiedzę - i rozpoczynał wszystko od nowa.

Z upływem czasu jego ciało zaczęło zdradzać oznaki wyczerpania. Dłonie pokryły się brodawkami, ranami i bliznami. Gliniane ściany piwnicy osmałił zar i przesiąknęły zapachem mikstur, a zbudowaną przez Mułłę metalową skrytkę wypełniły szczelnie małe kawałki papieru z pospiesznie zapisywanymi odkryciami. Strzegł jej zazdrośnie w wiecznym lęku, że jakiś rywalizujący z nim uczoney spróbuje wykraść mu tajemnice. Oskarżał ludzi, którzy nie umieli czytać, o to, że go podglądają, gdy sporządza notatki. Pewnego razu, gdy sufit piwnicy załamał się pod stopami Dawida Rzeźnika i ten spadł wraz z kupą gruzu do laboratorium, Mułła Mirza wycelował mu w oczy ostry metalowy szpikulec na powitanie.

- Złodzieju! - krzyknął. - Wykluję ci oczy i rzucę je psom, a nie pozwolę zabrać mojej skrytki.

Od tej pory Mułła Mirza spał z ręką przykutą łańcuchem do skrytki.

Był tak zaabsorbowany poszukiwaniem złota, że przegapił czas, kiedy powinien był się ożenić. Przpracował okres dojrzewania, całą młodość, śmierć rodziców. Nigdy nie zapłacił czynszu rzeźnikowi. Nigdy nie sprawił sobie nowej pary płóciennych pantofli ani nowej koszuli. Ludzie przychodzili do niego poradzić się i leczyć, wierząc, że ma dostęp do środków nieznanymi zwykłym doktorom, zaintrygowani jego ekstrawaganckim zachowaniem, wspaniałymi projektami, pewnością siebie, z którą ogłosił się „panem natury, zwycięzcą ziemskich chorób”.

Z kolei Mirza nigdy nie rozczarował widowni. Domagał się wygórowanych honorariów i zapisywał egzotyczne, spektakularne kuracje, obliczone bardziej na popisanie się własną wiedzą niż na ulżenie pacjentowi w cierpieniu. Kiedy odwiedzał chorego w domu, sąsiedzi porzucali zajęcia i przychodzili patrzeć na starego mistrza w akcji. Wszystkie dochody przeznaczał na książki i metale i wciąż był nieusatysfakcjonowany. Po latach cierpień i trudów wiedział, że wcale nie jest bliższy stworzenia złota niż na początku.

W miarę jak się starzał i rozczarowywał poszukiwaniami, kuracje stosowane przez niego stawały się coraz bardziej nieszablonowe. Nie ograniczał się już do nieszkodliwych pokazów

ekstrawagancji - leczenia biegunki musującymi miksturami, które wywoływały katastrofalne zatwardzenie, albo sięgania pacjentowi do żołądka przez gardło długim metalowym prętem, żeby „poprzestawiać wnętrzości”. Teraz wypróbował nowe receptury, które wymyślał w nocne pełne udręki i eksperymentów.

Na skutek owych okrutnych zabiegów trwale okaleczył co najmniej trzech pacjentów. Niekiedy zaś opatrując proste złamanie wpadał w taką furję, że ręka zaczynała mu drżeć, umysł się zaćmiewał, a pacjenta ogarniał strach i chwilowo zapominał o bólu.

A jednak Mułła Mirza zdawał sobie sprawę, choć nigdy nie przyznałby tego otwarcie, że wielkość i bogactwo na zawsze pozostaną dlań niedostępne.

- To nie umysł mnie zawiódł - wściekał się nocą w samotności swojej pracowni, stając w obliczu kolejnej porażki - tylko los. Los nie dość mi sprzyja.

Na początku modlił się do Boga.

- Daj mi wskazówkę, jedną radę - błagał. - Pokaż mi jedną odpowiedź za to wszystko, czego mi odmówiłeś.

Potem przeklął wszystko, co święte, i wypowiedział wojnę niebiosom i ziemi.

- Przeklinam twoją małośćkowość - krzyczał. - Pluję na twoje skąpstwo. Złorzeczę twojej zazdrości, która powstrzymuje cię przed ofiarowaniem mi tego, co uczyniłoby mnie większym od ciebie.

Zauważył, że ludzie go unikają. Chodzili do mniej uczonych, lecz i mniej groźnych lekarzy. Ogarnęła go wściekłość: oto śmiało powątpiewać w jego pracę i kwestionować metody; ich lęk i niewiedza stają na drodze nauce; powracają do starych i bezużytecznych metod innych medyków, bojąc się metod postępowych - i dlatego, jak przyznawał, ryzykownych. Nade wszystko zaś opuszczają go teraz - teraz, gdy stoi na krawędzi porażki i utraty nadziei.

Pewnego ranka wdrapał się na górę do jatki rzeźnika, budząc zainteresowanie wśród jego klientów. Stał tam przez chwilę w długiej czarnej szacie i podartych płóciennych pantoflach, ze wzrokiem wbitym w zakrwawiony nóż w rękę Dawida, po czym wygłosił proste oświadczenie:

- Ogłasza się wszem, że Mułła Mirza jest mistrzem lekarskim w tym piekielnym getcie. Od teraz każdy, kto szuka porady u innego medyka, przeklęty będzie aż po grób.

Nikt się nie odezwał. Mułła Mirza zdradził swoją słabość. Był zrozpaczony i świadom, że przegrał.

Minęły lata od tamtej chwili w jatce, a Mułła Mirza nie odzyskiwał równowagi. Porzucił stopniowo eksperymenty i przestał wertować księgi. Po jakimś czasie zaczął nawet przejmować się takimi samymi sprawami jak zwykli śmiertelnicy. Dolegał mu reumatyzm i wrzody, nie dopisywał wzrok. Czuł się osamotniony, rozgoryczony, biedny. Wierzył, że potrafi dokonać cudu - nie umiał więc żyć z prawdą o swojej porażce. Już miał porzucić wszelką nadzieję, gdy umarł Gruby Sikający Izaak. Jehuda Sprawiedliwy zamknął i zapieczętował herbaciarnię. Noe nie jest dzieckiem Izaaka, orzekł rabin, nie może więc po nim dziedziczyć. Piętnastoletni Noe Złoto, sam na świecie jak palec, zaczął szukać pracy.

Pewnego ranka latem roku 1811 zapukał do drzwi Mułły Mirzy i zaoferował „Wielkiemu Mistrzowi” swoje usługi w zamian za jedzenie.

Mułła Mirza przyglądał się chłopcu stojącemu tego dnia na progu tak, jak Mama Akuszerka piętnaście lat wcześniej - i pomyślał, że zesłano mu anioła. Wciągnął Noego do laboratorium, postawił przed kociołkiem z najświeższą formułą i dał mu kawał zardzewiałego metalu.

- Zrób złoto - rozkazał niczym Bóg. - Zmień świat w złoto.

Ściany laboratorium Mułły Mirzy błyszczały, podłoga wybrukowana była złotem, szafki zapchane, sufit niemal walił się pod ciężarem zawieszzonego pod nim skarbu. Mułła Mirza dostarczał codziennie Noemu nowe zapasy metali, żeby produkował złoto. Codziennie śmiał się jak szalony i ścisnął chłopca z wdzięcznością.

- Nareszcie - wołał. - Nareszcie!

Noe Złoto patrzył na piętrzące się wokół sterty złomu i dziwił się szaleństwu Mirzy.

- Przecież jest tak jak i przedtem - upierał się na próżno. Mułła Mirza obawiając się, że Żydzi mogliby przyjść i ukraść mu skarby, założył na drzwiach piwnicy jedenaście zamków i nie wypuszczał z niej Noego nawet na godzinę. Pragnął zachować w tajemnicy odkrycie, skopiować tę recepturę, nauczyć się metody Noego.

- Pracujesz dla mnie - ostrzegał go co dzień. - Robisz złoto tylko dla mnie.

Wykupił wszystkie blaszane naczynia, opróżnił piwnice sąsiada. Wpadał do kuchni obcych ludzi, szarpał się z nimi i zabierał naczynia kuchenne i narzędzia ogrodnicze. Żydzi nie widzieli nigdy Mułły Mirzy tak podekscytowanego. Kiedy założył na drzwiach zamki, zastanawiali się, czy dokonał jakiegoś ważnego odkrycia. Kiedy zwoził do domu żelastwo i

niczego nie wyrzucał, zbierali się pod laboratorium i pytali o jego eksperymenty. Mułła Mirza wzmocnił drzwi dodatkowymi sztabami i pozostał tajemniczy. W pewnym momencie, widział to jasno, będzie musiał zabić Noego, żeby uchronić receptę na złoto. Raz lub dwa razy miał nawet wizję, jak wpycha chłopaka do kotła z eliksirem i zamienia go - to promienne dziecko boskiego zmiłowania - w złoty posąg, który na wieki zachowa swoje piękno. Lecz zanim będzie mógł to uczynić, musi jeszcze zdobyć recepturę. Pewnego późnego popołudnia zebrał całą odwagę i zajął miejsce Noego przy przekształcaniu stopu.

- W imię Boga... - zaczął.

Drżał. Był tak poruszony wielkością tej chwili, że nie zdołał opanować potoku łez, tak uszczęśliwiony urzeczywistnieniem swojego marzenia, że nie śmiał przystąpić do dzieła; dopiero Noe go do tego skłonił.

Zanurzył stalowy sztylet w kotle, trzymał go tam przez chwilę, po czym wyciągnął z okrzykiem triumfu, który zamienił się natychmiast w jęk rozpaczny.

Coś było nie tak.

Mułła Mirza z nieludzką siłą rzucił się na Noego.

- Zmieniłeś recepturę!

Chłopak przysięgał na Boga, że jest niewinny.

Błagał mistrza, żeby spróbował znowu, ale metal nie uległ przemianie. Mułła Mirza podał mu sztylet. Tym razem sztylet zamienił się w złoto.

Tego dnia Mułła Mirza tysiąc razy powtarzał eksperyment. Nazajutrz o świcie był całkiem wyczerpany i szalony płakał z wściekłości i rozczarowania, błagając Noego o odpowiedź.

- Ale przecież nie ma złota - bronił się Noe. - Nigdy nie było żadnego złota.

To wtedy stojąc przed chłopcem, który odmawiał mu uczynienia cudu, wobec pewności życiowego fiaska i góry żelastwa, które uważał za złoto, Mułła Mirza zrozumiał.

- Na Boga - szepnął. - Śniło mi się to wszystko.

I zaczął się śmiać - tak niepohamowanie, że aż się zgiął do przodu, dotykając brodą stóp, i tak długo, że twarz zalały mu strumienie łez. I tak pozostał - mała, pokurczona figurka, pozbawiona wszelkiej zawziętości, już niegroźna; drobny starzec zgięty w pół na środku piwnicy, śmiejący się z absurdalności swego życia, z lat poszukiwań i nocy modlitw w pogoni za niemożliwym. Śmiał się tak niewinnie i z taką rezygnacją, że wywołał nawet uśmiech na ustach

Noego. A potem członki mu zeszywniały, zabrakło oddechu, upadł do przodu, na głowę, wywinął koziołka i umarł.

W roku 1801 Rosja ogłosiła swoje rządy w Gruzji, perskiej prowincji. Cztery lata później car zaanektował Baku i Derbent. Fath Ali Szah, rozważając ewentualność stawienia oporu, zapytał o stan własnej armii i odkrył, że w ogóle jej nie posiada; od lat nie płacił swoim żołnierzom. Ci, którzy formalnie nie porzucili posterunków, na ogół palili nałogowo opium albo byli wieśniakami niewyszkolonymi w wojennym rzemiośle. Nie mieli mundurów, broni ani dowódców. W arsenale w Tabrizie - strategicznie ważnym z powodu bliskości Rosji - wysłannicy szacha znaleźli ledwie kilka pocisków armatnich, które i tak nie pasowały do dział. Próbowali kupić na miejscu ołów i przekonali się, że szach wydał wszystkie pieniądze ze skarbcza narodowego. Poprosili o pieniądze na nową broń, otrzymali jednak odpowiedź odmowną. Fath Ali Szah oznajmił, że nie zamierza trwonić środków na walkę z Rosjanami o kilka prowincji. Gdyby zaś zechciał odzyskać te tereny, z łatwością zastraszy cara i skłoni go do ich oddania.

Ogłosił oficjalną audiencję i wezwał tysiąc książąt do Ogrodu Marmurowego Tronu w niedawno ukończonym Pałacu Róż.

Przybyli ubrani we wspaniałe stroje, każdy otoczony własnymi żołnierzami, strażą i paziami, na okrytych jedwabnymi haftowanymi czaprakami komach z ufarbowanymi na czerwono ogonami i złotymi uzdami. Obok każdego znakomitego męża kroczył Strażnik Wodzy, niosąc na ramieniu starannie złożoną fioletowo-czarną wyszywaną derkę pod siodło. Przed każdym wielmożą jechali dwaj strażnicy, a trzeci, najbardziej zaufany, z tyłu.

Na Placu Armat przed Pałacem Róż oczekiwali na gości królewscy paziowie w jasnoczerwonych mundurach i wyszukanych nakryciach głowy. Poprowadzili ich przez pałacowe bramy na wąski pas ogrodu, pod elegancko sklepienymi łukami i do Ogrodu Marmurowego Tronu. Goście zaczęli szeptać: taras, zazwyczaj przesłonięty ogromną kotarą, teraz był całkowicie widoczny. Stał na nim gigantyczny tron wyrzeźbiony z zielonego marmuru z naturalnej wielkości postaciami dżinów i nimf w charakterze nóg.

Kiedy wszystkie znakomitości zgromadziły się w ogrodzie, ulubieni eunuchowie Fatha Alego weszli na taras. Było ich pięciu, cali w bieli, w długich kaftanach ściągniętych w talii i długich spódnicach w formie dzwonu. Przy każdym filarze tronu stał jeden eunuch. Piąty, najprzystojniejszy, zajął miejsce z przodu. Trzymał ozdobioną drogimi kamieniami poduszkę, na której spoczywał Święty Miecz.

Pojawił się królewski paź.

- Z drogi! - krzyknął. - Jego Cesarska Wysokość! Król Królów! Chorąży Islamu! Cień Allaha! Szach Persji!

Zabrzmiały trąby. Zagrzmiały bębny. Pojawił się Fath Ali Szah ubrany w Szaty Gniewu.

Miał długi kaftan z czerwonego aksamitu cały pokryty rubinami, potrójną rubinową koronę, wysadzany rubinami sztylet, naszyjnik z rubinów, pierścienie i bransolety z rubinami.

Zadrżeli książęta zebrani w Ogrodzie Tarasu Marmurowego Tronu: Fath Ali Szah wkładał Szaty Gniewu jedynie wtedy, gdy miał ogłosić wyrok śmierci na szanowanego wroga. W tych szatach i zasiadając na tymże tronie rozkazał oślepić i stracić własnego brata. Innym razem przyglądał się, jak gotowano żywcem jego premiera w kotle z olejem.

Wszedł po trzech stopniach, potem rozsiadł się na Marmurowym Tronie.

- Nieszczęśni Rosjanie - odezwał się - zbezczeszcili uświęconą ziemię naszego kraju. Nie wątpimy, że nasze niezrównane oddziały z Sari zdolne są do zniszczenia najdzikszych wojsk cara. A wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy wysłali przeciw nim królewską kawalerię?

Królewska kawaleria, jak wszyscy wiedzieli, służyła jedynie do ochrony osoby szacha. Carscy żołnierze rozgromiliby ją w ciągu kilku godzin. Arystokraci jednak, pragnąc przypodobać się monarsze, krzyczeli i tarzali się po ziemi z radości na myśl o klęskach, które zada Rosjanom kawaleria.

- Za pozwoleniem, najjaśniejszy panie - odezwał się jeden z nich, wysuwając się do przodu. - Twoja kawaleria zagna najeźdźców z powrotem do Moskwy!

Szach łaskawie się zgodził.

- A jeśli - ciągnął - to my sami udalibyśmy się na front?

To już przechodziło wyobrażenie - te tortury, jakie mógłby zadać carowi osobiście Fath Ali Szah.

- A zatem wszystko jest ustalone - podsumował, zadowolony już ze swego triumfu.,- Rozgłoście to, żeby Rosjanie byli uprzedzeni!

Wojna w Azerbejdżanie trwała trzynaście lat i zakończyła się klęską. Carem nie wstrząsnął gniew Fatha Alego Szaha. Perskim wojskom nigdy nie udało się naprawdę walczyć. Opór, jaki napotykał car, stawiali prawie bezbronni patriotycznie nastawieni mieszkańcy, którzy nie chcieli się zgodzić na rosyjskie rządy. Wreszcie w roku 1813 Fath Ali Szah poddał prowincje już okupowane przez cara. Zgodził się też zapłacić Rosjanom olbrzymie reparacje, by dodatkowo

ugłaskać sąsiada. Lamentowano w całej Persji. Mułlowie i duchowni nazywali szacha zdrajcą i domagali się, by ustąpił z tronu. Twierdzili, że jest słaby i sprzedajny, roztrwonił bogactwa Persji i ugiął się przed siłą niewiernych. Fath Ali Szah trzęsąc się na tronie, przerażony, że mułlowie ogłoszą dżihad - świętą wojnę - przeciwko Koronie, kazał raz jeszcze wezwać żydowską wróżkę z Isfahanu. Tym razem stawiała się na wezwanie.

Zjawiła się pewnego dnia na Placu Armat obok słynnej Perłowej Armaty, gdzie szukali ucieczki przed prawem złodzieje i mordercy, gdzie siadywały stare panny, póki los nie zesłał im mężczyzny, i gdzie skuwali się łańcuchami kochankowie w nadziei na połączenie na wieki. Kawalerzyści królewscy, którzy mieli wzrok stale zamglony przez opium i arak, ujrzeli, jak Estera nadchodzi, i natychmiast rozpoznali wróżkę ze snów Fatha Alego Szaha. Była łyśa i bez zasłony, skórę miała oliwkową, pachniała dalekimi, nieznanymi drogami.

- *Allahu Akbar!* - żołnierze padli na kolana. Pewni byli, że to duch. - *Allahu Akbar!* Bóg jest wielki!

Zabrali ją do pałacu i posłali po Najwyższego Eunucha. Przybiegł wraz z setką innych rzeźniców i unikając wzroku wróżki, by ustrzec się przed złym, zaprowadził ją do Sali Lustrzanej: tu ściany i sufit pokrywała mozaika z małych lusterek odbijających światło, które wpadało do środka przez łukowate portale. Lusterka, jak wiadomo, bronią przed demonami.

Najwyższy Eunuch poszedł zawiadomić szacha. Przez całą drogę z Sali Lustrzanej do komnat króla modlił się na głos o własne życie. Fath Ali Szah nie znał litości dla tych, którzy przerwali mu sen. Poprzedniej nocy zmarnował całe godziny, usiłując uzyskać dostęp do własnego haremu.

Chciał się przespać z najnowszym nabytkiem - młodą Miriam, która jak wielu podejrzewało, była Żydówką. Wcześniej tego dnia szach posłał Najwyższego Eunucha, żeby przygotował dziewczynę na jego przybycie. Miriam wykapała się w kozim mleku i natarła ciało wodą różaną, podmałowała oczy antymonem, uróżowała policzki pastą z pokruszonych owadów zwaną szandzarf. Oczekiwała szacha na łożu z róż i szyfonu. Jednakże w chwili gdy Jego Królewska Mość chciał jej dotknąć, w sąsiedniej komnacie ktoś kichnął.

Szach natychmiast ją opuścił. Kichnięcie, jak wszyscy wiedzą, to znak od Boga, żeby powstrzymać się od czynu, który miało się podjąć. Fath Ali Szah odczekał godzinę w swoich komnatach, po czym udał się znów do haremu i ponownie usłyszał kichnięcie.

Odczekał następną godzinę. I znowu usłyszał kichnięcie. Domyślił się wówczas, że któraś z jego żon musiała wynająć „zawodową kichaczkę” - kobieta ta przebrana za haremową służącą i wynajęta przez zazdrosną żonę miała nie dopuścić do obcowania szacha z nowymi dziewczynami. Fałszywe kichanie karano, jak ogólnie wiadomo, śmiercią. Fath Ali Szah rozkazał stracić wszystkie pokojówki i rozwiódł się z żonami, które zamieszkiwały komnaty w zasięgu słuchu Miriam. Nie śmiał jednak rzucić wyzwania kichaniu. Postanowił odczekać kolejną godzinę i zasnął, nie nasyciwszy się Miriam.

Pod drzwiami komnat królewskich Najwyższego Eunucha pozdrowili trzej żołnierze. Przeszedł przez pokój eunuchów do pierwszej sypialni, gdzie co noc spał komendant pałacowej straży w mundurze i z obnażonym mieczem u boku.

- Za pozwoleniem - rzekł, próbując obudzić szacha. Ten nie reagował. Najwyższy Eunuch zagryzł wargi i zebrał się na odwagę.

- Za pozwoleniem, najjaśniejszy panie - powtórzył. - Wygląda na to, że stawił się na wezwanie demon twego przeznaczenia.

Fath Ali Szah zbladł jak poduszka, na której spoczywał. Nie poruszył się, oczy miał wciąż zamknięte, a potem usiadł, chwytając się prześcieradła. Kiedy indziej ucieszyłby się z przybycia Estery. Teraz, z carem za progiem i mułami wzywającymi do ustąpienia z tronu, przeraził się, że Estera przyszła wywróżyć mu upadek. Popatrzył na eunucha, który spostrzegł jego gniew i natychmiast padł na kolana.

- Proszę o wybaczenie, o cieniu Allaha. Miałem nieszczęście przynieść ci te wieści. Jeśli taka jest twoja królewska wola, każę tę kobietę wychłostać, poćwiartować i rzucić twoim najdzikszym psom na pożarcie.

Fath Ali Szah wstał z łoża. Ręce wyraźnie mu się trzęsły. Skinął na garderobianych, żeby podeszli.

- Trzymaj ją pod strażą - powiedział do Najwyższego Eunucha. - Daj nam czas na przygotowania.

Godzinę po południu Król Królów zjawił się w Sali Lustrzanej. Na głowie miał potrójną koronę z ogromnych diamentów. Ubrany był w długi kaftan ze złotej tkaniny kapiący od diamentów i ozdobiony dwoma sznurami pereł, każda wielkości orzecha, skrzyżowanymi na

ramionach. Pas i bransoleta składały się z diamentów. Rękojeść sztyletu wysadzana była diamentami. Szach przywołał wróżkę, a gdy ta obróciła twarz w jego stronę, poznał z siły jej wzroku, że doprawdy jest duchem.

- Mów! - rozkazał. Wszyscy rzezańcy pilnujący Estery czym prędzej pobiegli się schować. Wiedzieli, że jeśli szach nie będzie zadowolony z przepowiedni, skaże na śmierć w męczarniach wszystkich, którzy słyszeli proroctwo.

- Powiedz, jaki los nas czeka.

Estera Wróżka uśmiechnęła się do szacha szerniałymi wargami i przemówiła anielskim głosem:

- Umrzesz staro i w spokoju na swoim tronie za dwadzieścia lat i tysiąc dzieci od dziś.

Estera Wróżka śpiąc wyrzeźbiła ze swoich snów kobietę, istotę ze światła jak Noe, o dziwnej piękności i głosie muzy. Podarowała ją Noemu jako swój ostatni dar, a potem porzuciła go, pogrążając się tak głęboko w świecie halucynacji, że nic z niej mu nie pozostało prócz niknącego głosu i snów pełnych zachodów słońca. Bez niej Noe czuł się zagubiony. Dni i noce zlały mu się w jedno, sen i jawa stały się nieodróżnialne, a miraż rzucały cienie na ściany.

Pochował Mułłę Mirzę, lecz nigdy nie wyzwolił się od jego dziedzictwa. Przez długie lata po śmierci Mirzy przychodzili do niego mieszkańcy getta, domagając się prawdy o złocie. Co takiego doprowadziło Mułłę Mirzę do ekstazy? Czy znalazł właściwą recepturę? Czy podzielił się tajemnicą z Noem?

Nawet Jehuda Sprawiedliwy przyszedł go odwiedzić.

- Jestem strażnikiem wszystkich dusz - oświadczył. - Muszę znać wszystkie sekrety.

Jehuda Sprawiedliwy zdjął nawet pieczęć z herbaciarni i pozwolił młodzieńcowi wprowadzić się do domu Grubego Sikającego Izaaka, żeby przekonać go o swoich dobrych intencjach i zyskać zaufanie. Ilekroć wszakże pytał o eliksir, Noe odmownie potrząsał głową.

Otworzył znów herbaciarnię i próbował odzyskać dawnych klientów. Oni jednak przychodzili tylko pytać o eliksir. Kiedy zawiódł ich nadzieje, odmówili mu swojej przyjaźni.

Minęło dwadzieścia lat od śmierci Mułły Mirzy. Noe Złoto cierpiał w getcie samotność i biedę. Pewnej nocy wiosną roku 1831 wezwał Esterę Wróżkę.

- Muszę mieć żonę - powiedział. - Muszę bronić się przed demonem czasu.

W roku 1831 zaginęło w Tabrizie muzułmańskie dziecko. Rodzice na próżno szukali chłopczyka; w końcu doszli do wniosku, że ukradli go Cyganie albo pożarły wilki. Po jakimś czasie zjawił się u nich młody handlarz z targowiska.

- Szokrullah Żyd zamordował waszego syna - powiedział rodzicom malca. - Ukradł dziecko i zabrał do domu, bo potrzebował jego krwi na Paschę. Trup znajduje się wciąż w piwnicy Szokrullaha.

Rodzice udali się do getta i przeszukali dom Szokrullaha. W piwnicy odnaleźli ciało syna - już na pół rozłożone.

Szokrullah Żyd zaklinał się, że jest niewinny. Nie widział na oczy trupa, póki nie odkryli go rodzice chłopca. Podczas Paschy pił tylko wino. Młody mężczyzna, który go oskarżył, winien mu był pieniądze i pewno chciał uniknąć spłacenia długu, licząc na to, że mułłowie zabiją Szokrullaha.

Nikt mu nie uwierzył. Mułłowie kazali ukarać nie tylko Szokrullaha, lecz także całą wspólnotę: wszyscy Żydzi ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie jednego. Mułłowie nakazali masakrę.

Tym razem, jak oznajmili, nie zaoferują Żydom szansy przejścia na islam i uniknięcia śmierci. Tym razem pragnęli odwetu - krwi żydowskich dzieci za krew muzułmańskiego chłopca, rozpaczy ich rodziców za ból, jakiego przyczynił muzułmanom Szokrullah. Wysłali motłoch do getta i rozkazali zebrać wszystkie żydowskie dzieci. Na głównym placu wbito na sztorc w ziemię sto sztyletów i rzucano na nie dzieci, nadziewając je na ostrza niczym dzikie zwierzęta. Potem mordowano dorosłych. Ci, którzy pochowali się w piwnicach, zostali w nich zamknięci, a ich domy podpalono. Tym, którzy nosili na szyi i nadgarstku złotą biżuterię, odrąbano ją wraz z kawałkami ciała. Tym, którzy błagali o zmiłowanie, obcięto języki. Motłoch powracał do getta przez wiele dni, przetrząsał domy i wszystkie świątynie, rabował sklepy, bił mężczyzn i gwałcił kobiety.

W domu Kamar tłuszczka zabiła wszystkich prócz niej, bo padła na ziemię i udawała nieżywą. Motłoch wracał jeszcze dwukrotnie, szukając ocalałych. Kamar nasunęła na siebie ciało siostry i wstrzymywała oddech, póki napastnicy nie odeszli. Pewnej nocy, gdy myślała, że pogrom się skończył, uciekła. Na ulicach leżały zamarznięte trupy. Na głównym placu umierały na sztyletach ostatnie dzieci. Woda deszczowa w ściekach nabrała koloru krwi. Nigdy już w dziejach Persji żaden Żyd nie zamieszkał w Tabrizie.

Kamar Cyganka powędrowała na wschód, w stronę Rasztu nad Morzem Kaspijskim. Przekroczyła góry otaczające Tabriz, wspinała się zdradliwymi ścieżkami, którymi ośmielali się chodzić tylko bandyci, pokonywała doliny tak głębokie, że pochłaniały całe karawany. Lasy wokół Rasztu były bujne i gęste, pełne zapachów słodkiego deszczu, tygrysich i lamparcich ryków. Dalej rozpościerała się równina granicząca z Morzem Kaspijskim, a na niej pola ryżowe - jasnozielone, złote i srebrne o świcie. Kamar przystanąła. Usłyszała głos Estery Wróżki.

Kamar Cyganka dotarła do Teheranu, a potem do świętego miasta Gom, gdzie kształcili się najwięksi mułowie. Tu spotkała karawanę pielgrzymów i udała się z nią na południe. Pielgrzymami byli przeważnie biedacy wędrujący na piechotę albo jadący na wychudzonych wielbłądach i osłach. Wszyscy dźwigali na plecach wielkie płócienne worki ze szczątkami kogoś bliskiego lub przyjaciela, który prosił o pochowanie w muzułmańskich świętych miastach Nedżef i Kerbela. W tych miastach były świątynie, uświęcone miejsca, gdzie od wieków grzebano zmarłych. Kładziono ich warstwami i oczekiwali tam dnia, gdy zstąpi na ziemię Allah i zabierze ich do nieba.

Kamar Cyganka trzymała się w dużej odległości od pielgrzymów. Byli to ludzie, którzy wyruszywszy ze świętą misją, nie pozwoliliby, żeby zbrukała ją obecność Żydówki. Wędrowali w drogę wczesnym rankiem i późnym popołudniem; odpoczywali w południe, gdy słońce było zbyt palące, i w nocy, gdy pustynia zamarzała. Kamar, bojąc się, że ją zauważą, ukrywała się przez cały dzień i podążała za nimi przy świetle księżyca, kierując się dźwiękiem wielbłądzich dzwonek i głosem Estery Wróżki. Nawet wtedy czuła trupi fetor zwłok, które pielgrzymi nieśli w swoich workach. Prawo w Persji i imperium otomańskim nakazywało zagrzebywanie zwłok na rok przed ich przenoszeniem, żeby zapobiec niebezpieczeństwu szerzenia się zarazy. Jednakże w kraju muzułmańskim przestrzegano jedynie praw boskich. Pielgrzymi dźwigali niedawno zmarłych, a chcąc zachować zwłoki w dobrym stanie, obmywali je w strumieniach i rzekach, z których pili wodę inni. Dla zneutralizowania smrodu wkładali do worków zielone jabłka. Zatrzymywali się w każdej wsi i kupowali świeże, a wyjęte z worków stare jabłka rozdawali żebrzącym dzieciom, które wgryzały się w nie z wdzięcznością.

Noe Złoto pogwizdywał w ciemnościach. Stał po wyjściu klientów późnym wieczorem przed herbaciarnią i gwizdał melodię, która dźwięczała mu w głowie. Sąsiedzi byli przerażeni.

- Przestań! - wołali. - Usłyszają cię duchy ciemności i przyjdą nas wszystkich udusić.

Noe Złoto słyszał o demonach, które przyciąga gwizd w ciemnościach. Jednakże melodia w jego głowie brzmiała tak wyraźnie, że nie mógł jej się pozbyć, gwizdał więc, póki nie przywołał Kamar Cyganki.

Była niska i chuda, cienka w talii. Miała stopy porcelanowej lalki, ciemną karnację, oczy w kształcie łez i aureolę rudych włosów wokół głowy, przypominającą rozpasany zachód słońca. Przybyła do Dżujibaru bez pieniędzy, bez choćby jednej przyjaznej duszy - uciekła, jak twierdziła, z masakry getta w Tabrizie, w sercu Azerbejdżanu. Mówiła mieszaniną perskiego i tureckiego i słabo rozumiała dialekt Dżujibaru. Zjawiła się, gdy było ciepło, ale przyniosła ze sobą zimne powietrze z Tabrizu, zamieniając lato w Isfahanie w śnieżną i mroźną zimą.

- Uciekłam przed zarazą zza gór Elbrus - powiedziała Noemu głosem chłodnym i kojącym jak wiatr, który przyniosła - i po drodze widziałam świat pełen dziwów.

Noe Złoto zabrał Kamar do swojej izby i nie pozwolił jej odejść. Trzymał ją we własnym świetle, Ignął do niej niemal przy każdym oddechu. Dotykał skóry, chłonał zapach sosen i deszczu z jej włosów. Ręce Kamar były opanowane i nie wymagające, wzrok łagodny, język - cierpliwy i spokojny - pozostawiał chłodny ślad w miejscu, którego dotknął. Po kilku tygodniach Jehuda Sprawiedliwy, rozgniewany tym, że mężczyzna i, kobieta obcuja ze sobą bez ślubu, wtargnął do domu Noego i zaślubił go z Kamar. Nawet wtedy nie przestali trzymać się za ręce. Kochali się w południe, w pociemniałej izbie z wiatrem wyjącym na progu. W nocy, gdy w domu było spokojnie, siadali obok siebie przy świetle księżycy i rozmawiali. Ich cienie lekko się chwiały na słupach z czerwonej gliny na podwórku - przypominały dwie figurki tańczące przy dźwiękach cichej melodii słyszanej tylko przez nich. Wszyscy, którzy ich widzieli, uważali potem, że to istoty z zaczarowanego świata.

W lecie roku 1834 Fath Ali Szah udał się do Isfahanu. Pewnej nocy stał w pałacu otoczony przez Królewskich Garderobianych, przywdziewając ozdobione klejnotami szaty, w których miał wystąpić podczas kolacji. Nagle upadł na ziemię.

Umarł dwadzieścia lat po tym, jak przed jego obliczem w Lustrzanej Sali Pałacu Róż stanęła Estera Wróżka. Pozostawił po sobie trzystu synów i ponad tysiąc wnuków.

Natychmiast po śmierci szacha w Teheranie wybuchła wojna: wszyscy synowie w liczbie trzystu rościli sobie prawa do tronu. Każdego kandydata popierał inny odłamek arystokracji albo inne zagraniczne mocarstwo. Następca tronu, Abbas Mirza, zmarł przed Fathem Alim.

Ostatecznie na skutek interwencji poselstwa brytyjskiego w Azerbejdżanie na tronie osadzony został syn Abbasa, Muhammad Chan. Rosjanie też dali mu swoje błogosławieństwo, bo był to człowiek słaby na ciele i umyśle i przyrzekł nie przeciwstawiać się cudzoziemskim zabiegom w Persji.

Premier Muhammada Szaha, Hadżi Mirza Agasi, zorientował się, że król odziedziczył po dziadku wiarę w mistyczne siły, i natychmiast zaczął to wykorzystywać: zamiast nakazać nowe poszukiwania Estery Wróżki, wpoił szachowi zasady sufizmu i odtąd większość czasu spędzał z królem na praktykach duchowych. Ostatni wezyr Abbasa Mirzy, Kaim Magam, dojrzał niebezpieczeństwo grożące władcy, który utracił kontakt z rzeczywistością i światem. Usiłował ostrzec króla przed podstępny pierwszym ministrem. Pisał listy do Muhammada Szaha, pouczał go, jakby był nadal uczniem, wyliczał wszystkie nieszczęścia narodu, nie okraszając ich żadnymi przyjemnymi kłamstwami. Oznajmił szachowi, że robi z siebie głupca przed całym krajem, że dwie osoby, które stoją na jego czele - szach i premier - nazywane są „dwoma derwiszami Persji”. Twierdził, że Agasi otumaniał szacha, i zalecał mu drogę ascetyzmu tylko po to, by go uczynić bezsilnym. Te listy zdenerwowały i rozgniewały Muhammada Szaha: Kaim Magam musi zrozumieć, uważał, że król ma przywilej oglądania jedynie piękna i słuchania wyłącznie miłych rzeczy. Wezyr pisał listy, żeby dręczyć szacha i odbierać mu spokój umysłu.

Muhammad Szah wezwał Magama do ogrodu w Teheranie i tam kazał go udusić. Uwolniwszy się od jedyne go głosu rozsądku, który naruszał mu spokój, oddawał się sufickim praktykom aż do śmierci dziesięć lat później, w lecie roku 1848.

W roku 1836 Kamar Cyganka zaszła w ciążę. Rodziła w zimną noc, podczas zadymki, która uśmierciła wiele osób. Zima sprowadzona przez nią z Tabrizu ciągnęła się bez końca i była coraz ostrzejsza. Każdego dnia dzieci zamarzały przy piersiach matek. Także młodzieńcy opuściwszy domy, już do nich nie wracali. Znajdowano późno w nocy ich zwłoki pokryte lodem.

Przez cały ten czas Kamar nie odczuwała zimna. Kiedy miała urodzić, wyszła na podwórko, a śnieg tajał od ciepła jej stóp. Udała się do piwnicy, gdzie przed laty Estera Wróżka urodziła Noego, i wyciągnęła wielką miedzianą tacę używaną przez wszystkie kobiety. Nasypała na nią popiołu wygarniętego z dna węglowego pieca, po czym położyła na ziemi obok zbiornika. Woda w nim zamarzła, zamykając jak w pułapce siedzące tam żaby. Kamar przykucnęła nad tacą, rozsunąwszy kolana, i w milczeniu zносиła bóle.

Była noc, ale Kamar Cyganka miała słońce w oczach. O świcie nastąpiło rozwiązanie. Spomiędzy ud wyciągnęła niemowlę - chłopca o białej skórze, złotych włosach i oczach marynarzy tamtych dawnych nocy w Bandar Abbas, którzy pierwsi zasiali nasienie życia w ciele Estery Wróżki. Po chwili wynurzyła się druga główka - tym razem dziewczynki o takich samych rysach, która nie krzyczała i nie drżała jak jej brat. Dzieci leżały w popiele, a śnieg padał im na nagą skórę.

Do Dżujbaru przysła wiosna. Kamar Cyganka dała synowi na imię Mosze, a córce Lejla. Kapała dzieci co dzień na słońcu i czesała im włosy palcami mokrymi od porannej rosy. Kładła je do snu na ganku, gdzie przychodzili na nie popatrzeć sąsiedzi. Opowiadała im o świecie poza murami getta. Kiedy umiały już chodzić, brała je za rączki i prowadziła na skraj Dżujbaru, tam gdzie za bramami rozciągała się niezdojta pustynia wzywająca w dal.

- Musicie pewnego dnia iść - mówiła im - tysiąc mil, tysiąc dni. Musicie iść i nie zatrzymywać się nigdy, dopóki nie znajdziecie swojej wolności.

Dzieci rosły. Ośmioletni Mosze przybiegł pewnego dnia do domu z podwórka sąsiada i zawołał ojca.

- Czy to prawda - spytał - że potrafisz zrobić złoto?

Noe Złoto pobladł. Zrozumiał, że dni radości syna dobiegły kresu. W oczach chłopca ujrział to samo pragnienie, które zrujnowało Mułłę Mirzę.

Zaprzeczył. Mosze mu nie uwierzył. Zaprowadził więc chłopca do piwnicy Mułły Mirzy.

- Popatrz - powiedział. - Nie ma tu nigdzie ani śladu złota.

Co dzień jednak przyglądając się, jak syn rośnie, widział, że dręczy go niewiara.

Mosze, opanowany pragnieniem złota, nagle zdał sobie sprawę ze swego ubóstwa i niskiej pozycji Żyda. Zauważył, że większość Żydów jest brzydka. Są niscy i nieforemni na skutek niedożywienia, naznaczeni bliznami i chorobami ojców, którzy żenili się w obrębie getta i utrwalali własną niedolę. Widział, że są brudniejsi od muzułmanów, ich domy są bardziej zatłoczone i nie okazują sobie nawzajem współczucia. Mosze czuł się poniżony restrykcjami, jakie nakładało na niego szyckie prawo; zamiast jednak winić mułłów, obarczał winą Żydów za to, że uważają go za swego. Zrozumiał, że póki będzie Żydem, nigdy nie będzie cieszyć się szacunkiem, nie będzie mieć pieniędzy ani spokoju. Zamiast pogodzić się ze swoim losem, marzył o przejściu na islam. W wieku dwunastu lat poznał historię Estery Wróżki: te same dzieci, które powiedziały mu o Mulle Mirzy, klęły się, że matce Noego Złoto zerwano zasłonę i ukarano

ją za cudzołóstwo. Odtąd Mosze przez wiele tygodni nie chciał wychodzić na dwór.

Siedział w domu i jakby chcąc zemścić się na ojcu, dostał wysokiej gorączki. Na skórze wystąpiły mu bąble od gorąca. Pewnego ranka Noe Złoto zauważył, że Mosze przeciera oczy i rozgląda się, jakby chcąc uciec przed światłem. Dotknął czoła chłopca i cofnął rękę przerażony.

- Szybko! - krzyknął do Kamar. - Pomóż mi.

Wziął syna na plecy i zaniósł do domu Jehudy Sprawiedliwego, gdzie był zbiornik z wodą. Przewiązali chłopca sznurem w pasie i opuścili do wody tym samym otworem, przez który przed laty wpadł i utopił się jedyny syn rabina. Mosze tkwił tam, trzęsąc się w gorączce, przez cały dzień. Woda była ciemna i stęchła, pełna brudów i padliny, która rozkładała się na słońcu w suchych arykach getta, bo mułłowice tylko dwa razy w tygodniu otwierali tamy i wpuszczali wodę z rzeki do Dżujbaru. Wtedy wszyscy zbiegali się, napełniali wiadra i banie. G, co mieli zbiornik, kierowali wodę do swojego domu i napełniali go. W czasach posuchy, gdy mułłowice odmawiali Żydom dostępu do rzeki, wodę ze zbiornika sprzedawano po cenie złota.

Mosze siedział spokojnie i przysłuchiwał się duchom zamieszkującym zbiornik - demonom, które słyszał, gdy był młodszy, jednookim olbrzymem pożerającym dzieci. Wcale się ich nie bał. Siedział na wąskim pomoście pod klapą, a woda sięgała mu do brody. Czuł się bezpieczny daleko od domu i swojej udręki. Mógł podciągnąć kolana do piersi, zgarnąć wokół siebie ciemności i spać.

Demony go zbudziły.

- Dostałeś gorączki szaleństwa - oznajmiły dźwięcznymi głosami, wolno i groźnie. - Kiedy powróci światło, przyjdzie po ciebie rabin. Zabierze cię do doktora, a ten puści ci krew.

Otaczały go ze wszystkich stron, wraz z ruchem wody zmieniając co chwila swoją postać.

- Musisz uciekać. Odejść, zanim on się zjawi. Mosze wstał. Demony zniknęły. Była tylko ciemność i odór rozkładających się kotów.

- Wezwijcie pijawkarza. - Mosze rozpoznał głos Jehudy Sprawiedliwego.

Buchnęło mu w oczy słońce. Leżał na ziemi obok zbiornika. Wokół stali ludzie - wysocy, groźni. Żona rabina schyliła się, żeby na niego popatrzeć. Widniało na niej piętno zaniku, jakby starość wyzarła jej kości. Od lat nie opuszczała własnego podwórka. Siadywała tu dniami i nocami - strzegąc się, jak mówiła, śmierci, która przyszła pewnego razu, gdy nie uważała, i zabrała jej syna.

- Chłopak dostał gorączki szaleństwa - powiedział Jehuda Sprawiedliwy do żony. - Trzeba mu przystawić pijawki, upuścić złą krew, która wylała się, uszkodziła mózg i wywołała gorączkę.

Mosze wpadł w panikę. Szarpnął się ode światła, oślepiany białymi plamami, które jarzyły się z każdego kąta. Zerwał się i zaczął uciekać. Rabin usiłował go zatrzymać, ale za późno. Chłopiec przebiegł przez podwórko i wypadł za bramę. Woda parowała mu z ubrania na słońcu, unosząc się wokół na kształt mgiełki.

Pędził ulicą, a Jehuda go gonił. Mosze usiłował znaleźć drogę do domu. Wciąż oślepiony wpadał na ludzi, tratował towar ulicznych sprzedawców.

- Mamo! - krzyczał, biegnąc.

Jehuda Sprawiedliwy zbliżał się coraz bardziej.

- Zatrzymajcie to dziecko! - wrzeszczał i Mosze wiedział, że zaraz zostanie schwytany. Biegł szybciej, ale zgubił drogę. Teraz gonili go i inni - dzieci o zmienionych przez światło twarzach, z połyskującymi zębami.

- Mamo! - Pędził jeszcze szybciej. Dzieci go otaczały. Śpiewały rymowaną.

- Szalony, szalony, Mosze oszalał.

- Mamo! - Światło było nie do zniesienia.

Potknął się o coś, prawie upadł, z trudem utrzymał równowagę.

- Szalony, szalony, Mosze oszalał!

Przejrzał przez białe plamy. Zobaczył dzieci - twarze miały potworne, oczy wylupiaсте, wydłużone palce, które niemal go dotykały. Chwycił go Jehuda Sprawiedliwy.

Koło kręciło się i kręciło, póki nie zamieniło się w świetlny wir i nie pochłonęło Moszego.

Obudził się w ciemnościach. W izbie słychać było dźwięki, ciche kobiece mrużenie, pachniało paloną dziką rutą. Podciągnął się trochę, na tyle żeby oprzeć głowę o ścianę i patrzeć. Na wysokości oczu na ziemi płonął węgiel w małym koszu, służącym w zimie jako grzejnik. Kamar Cyganka stała przy skrzyni i monotonna nuciła. Jehuda Sprawiedliwy przytasczył go tu z powrotem i Mosze był teraz uwięziony w izbie rodziców.

- To gorączka szaleństwa - oznajmił zadowolony, że stwierdził chorobę u chłopca, co dowodziło trafności jego przepowiedni ogłoszonej w dniu narodzin bliźniąt: że wnuków Estery

Wróżki nie czeka nic prócz nieszczęścia i choroby. - Musicie wezwać pijawkarza.

Kamar i Noe z początku się wzbraniali, ale Mosze miał coraz wyższą gorączkę, uświadomili więc sobie, że go tracą. Posłali po pijawkarza i teraz Kamar podjęła ostatnią próbę ratowania syna przed katuszami tej kuracji - dokonywała obrzędu „pokonywania złego oka”.

Pochyliła się nad koszem i rzuciła garść dzikiej ruty na węgiel.

- Przeklęty niech będzie diabeł - rzekła i gdy nasiona pękały z gorąca, pomarańczowy blask ognia lizał jej twarz, pozostawiając tylko cienie pod oczami, poniżej kości policzkowych i czarną jamę ust, w której błyskały bielą jej zęby.

Kłęcząca na podłodze, trzymając w jednej ręce surowe jajko i sięgając do skrzyni z węglem. Palcami kreśliła na skorupce koła wyobrażające oczy. Kiedy pokryła nimi całą powierzchnię skorupki, włożyła jajko do ognia: jeśli popęka, to udało jej się uwolnić syna od złego oka. Czekąca. Zło było silniejsze od modlitwy. Jajko pozostało nietknięte.

Spróbowała raz jeszcze z drugim jajkiem. Śpiewała głośniejsz, nakreśliła więcej kółek na skorupce, niemal wrzuciła jajko do ognia. Nic się nie zdarzyło.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi - lekko, jakby ostrzegawczo - i odszedł. Mosze zaalarmowany usiadł. Kamar Cyganka dotknęła jego czoła, sprawdzając gorączkę. Jej palce wydały mu się lodowate.

- Przyszedł pijawkarz - powiedziała. - Nie bój się. Mosze obrzucił wzrokiem izbę, na próżno szukając pomocy. Słyszał kroki na podwórku.

Jeden.

Dwa.

Trzy i przerwa - ułamek sekundy, gdy uświadomił sobie ogrom naciągającego niebezpieczeństwa.

Raz. Dwa. Pijawkarz przeszedł koło zbiornika.

Podszedł do drzwi.

Na górę po stopniach.

Zatrzymał się.

Mosze chwycił rękę matki.

- Nie wpuszczaj go.

Twarz zalewał mu pot, oczy miał bezbarwne, skórę szarą. Kamar Cyganka wyrwała mu rękę z płaczem - Mosze nigdy jej tego nie daruje - i poszła do drzwi.

Za nimi stał Lotfullah Pijawkarz. W jednej ręce trzymał bicz, w drugiej słój pełen czarnych pijawek.

- Zwiążcie go - rozkazał Lotfullah Pijawkarz, wskazując leżącego na ziemi Moszego. Dwóch ludzi z podwórka przyszło mu pomóc. Związali chłopcu nadgarstki i nogi w kostkach i ściągnęli z niego całe ubranie. Mosze się nie bronił. Tylko płakał - wielkie łzy strachu i gniewu padały na posłanie i wypalały dziury w sercu Kamar Cyganki. Izbę wypełnili gapie. Lotfullah Pijawkarz przystąpił do dzieła.

Uniósł bat i wciągnął powietrze.

- Złe i nieczyste duchy strzeżcie się, przybywa pan dusz, żeby was unicestwić.

Zaczął okładać batem bosą stopę chłopca. Z początku wolno, licząc każde uderzenie. Potem coraz szybciej, jak gwałtownie tykający oszalały zegar. Wykrzykiwał, opuszczając bat - a ten krzyk gniewu i triumfu wstrząsał domem i odbierał Moszemu ochotę do obrony.

- Och wy, bałamutne i opętańcze duchy! Przygotujcie się do porzucenia ciała tego dziecka! Wynoście się, już! - Uderzył ostatni raz. Krew obryzgała mu twarz i koszulę. Potem zapadła cisza.

Lotfullah Pijawkarz czekał, aż serce mu się uspokoi. Potem wziął słój z pijawkami. Od tygodni je głodził. Obrócił słój i pokazał chłopcu pijawki.

- Oczyszczą ci krew - wyjaśnił. Wyjmował po jednej pijawce i przykładał mu je do nagich pleców. Wpijały się w skórę i ssaly krew. Mosze wrzeszczał i zaczął wymiotować na łóżko. Potem zemdlał.

Kiedy pijawki zrobiły się duże, osiągając wielkość sześć razy większą od pierwotnej, odpadały od ciała chłopca, żeby przetrwać posiłek. Lotfullah Pijawkarz umieścił je z powrotem w słoju.

- Przyjdę znów jutro.

W lecie roku 1848 pijawkarz przez dwa tygodnie przychodził co wieczór do domu Noego. Poił Moszego wywarami leczniczymi, katował go, bijąc po piętach. Zastąpił jednak pijawki czymś, co nazywał „ssaniem powietrza”.

Podgrzewał do czerwoności pięć szklanych baniek, po czym pozwalał im na tyle wystygnąć, by nie poparzyły ciała. Podtrzymując kawałkiem płótna dno bańki, przystawiał ją do

nagich, pokrytych pęcherzami pleców chłopca. Zostawiał tam bańki, aż skóra nabrała bursztynowego odcienia, i wtedy nagle je odrywał - odciągając, jak twierdził, gorączkę i „szkodliwe powietrze” z duszy Moszego. Rano odchodził, wyczerpany, osłabiony przez gniew, który trawił go podczas walki z diabłem w duszy chłopca. Pod koniec drugiego tygodnia gorączka ustąpiła. Lotfullah Pijawkarz oznajmił, że Mosze wyzdrowiał, wziął więc należną mu zapłatę i odszedł.

Spokój powrócił do domu Noego. Mosze leżał w łóżku milczący i cichy, wargi miał pobladłe, oczy tak wyblakłe, że wydawały się niemal przezroczyste. Nie rozmawiał już z ojcem. Nie przestał śnić o bogactwie. Pozostawał w domu dwa miesiące, dochodząc do siebie po kuracji, ale przez cały czas obmyślał ucieczkę. Wiedział, że pójdzie do Isfahanu i zostanie muzułmaninem. Zmieni nazwisko, zaprzeczy, jakoby kiedykolwiek był Żydem. Będzie bogaty, szanowany, możny i pewnego dnia wróci do Dżujibaru, żeby zademonstrować swój triumf. Wstał z łóżka i opuścił dom.

Miał dwanaście lat. Przeszedł przez całe getto, prosząc o pracę. Pukał do wszystkich drzwi i oferował swoje usługi za posiłki. Niemal wszędzie mu odmawiano, jako że był szalonym synem Noego, wnukiem Estery Wróżki, i nikt nie wierzył w jego dobre zamiary. Otrzymał tylko jedną ofertę, pracy kanalarza - miał wyławiać ekskrementy wypływające z wygódek w domach do otwartych ścieków ulicznych. Odrzucił ją. Wiedział, gdzie chce pracować: w sklepie Uczciwego Antykwariusza, gdzie schowany był skarb. Musiał ukryć swoje ambicje, żeby dostać tę pracę.

Latem roku 1848 zmarł Muhammad Szah Derwiz. Następca tronu, szesnastoletni Naser ad-Din, był wtedy daleko od stolicy, w Tabrizie. Podczas jego nieobecności doszło w Teheranie i Isfahanie do zamieszek w walce o sukcesję. Raz jeszcze poselstwa brytyjskie i rosyjskie w Teheranie pomogły następcy tronu dotrzeć do stolicy i przejąć rządy. Szah Naser ad-Din panował przez pół stulecia i nie zapomniał o tej przysłudze.

Był to mężczyzna wysoki, z bujnym wąsem i twarzą nie zdradzającą słabości. Miał silną wolę, ambitne plany, wielki zmysł dyplomatyczny. Interesował się historią, zwłaszcza zaś swoim wizerunkiem w oczach potomnych. Wierzył w dobre obyczaje, wielkość i bogactwo.

Najmował artystów i rzeźbiarzy, żeby upiększali jego pałac w Teheranie. Całe dni spędzał na pozowaniu do portretów ukazujących go w królewskim stroju, w klejnotach i

jedwabiacz. Później, gdy sprowadził z Europy sztukę fotografii, trzymał na dworze fotografa i nie przepuścił okazji do pozowania przed obiektywem.

Naser ad-Din płacił biografom i historykom, by opisywali jego rządy, korespondował z głowami innych państw, chcąc mieć pewność, że o nim nie zapomną. Nadskakiwał cudzoziemskim posłom i królom zapraszanym do Teheranu, dbał, by odnieśli jak najlepsze wrażenie i zechcieli znowu przyjechać. Wydał fortunę na ekstrawaganckie podróże do Europy, w które zabierał za każdym razem niemal stuosobową świtę. Za granicą pozostawał tak długo, że gdy powracał do własnego królestwa, czuł się w nim obco. Jego zdaniem podróże były warte zachodu i nieodzowne. Persja niezbędnie potrzebowała modernizacji przy pomocy Zachodu. Szach jeździł więc za granicę, żeby reprezentować swój naród i przemawiać w jego imieniu.

Dążąc do postępu, Naser ad-Din kierował się jednak w swoich działaniach prorocztwami wróżbitów. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie poszukać Estery Wróżki. Potem zdolny minister, chcąc odwrócić uwagę szacha od spraw tamtego świata, powiedział mu, że poszukiwanie to najprawdopodobniej skazane jest na niepowodzenie. Owa kobieta na Placu Szacha w Isfahanie, wyjaśniał minister, była duchem - co zaświadczył nie kto inny, tylko sam Fath Ali Szah, który widział ją z bliska i nawet z nią rozmawiał. Duchy nie zawsze pojawiają się pod jedną postacią. Zamiast szukać po całym świecie Żydówki z Isfahanu - i zwracać uwagę obcych mocarstw na swoje zainteresowanie siłami nadprzyrodzonymi - szach zrobi lepiej, jeśli weźmie pod uwagę rady nadwornych astrologów.

Naser ad-Din zgodził się z nim, ale pod jednym warunkiem: osoba, która przepowie mu śmierć, musi być kobietą - bo nawet kobiecy duch nie ma mocy stania się mężczyzną - i musi być Żydówką, bo Żydzi mają zdolności nie znane prawowiernym.

Minister sprowadził Żydówkę, obiecał, że nie dosięgnie jej gniew królewski, i kazał przedstawić przyszłość Jego Królewskiej Mości.

- Zostaniesz otruty przez jedną z żon - przepowiedziała kobieta i wkrótce spotkała ją przedwczesna śmierć. Szach Naser ad-Din zadowolony, że panuje teraz nad swoim losem, najął trzystu ludzi, którzy mieli próbować każdy kęs jadła przeznaczonego dla królewskiego podniebienia. Podwoił sztab szpiegów i eunuchów pilnujących kobiet w jego haremie i na zawsze zrezygnował z poszukiwania Estery Wróżki.

Uczciwy Antykwariusz był czołowym znawcą staroci i najbogatszym człowiekiem w

Dżujibarze. Miał mały sklepik na końcu najwęższej uliczki w getcie. Tkwił w nim przez czterdzieści siedem lat, ożenił się i wychował dzieci na tyłach sklepu i przez cały czas ani razu go nie sprzątał. Kurz, jak wierzył, nadawał jego towarom autentyczność. Ponadto stwarzał wrażenie ubóstwa, co odstręczało muzułmanów od rabunków. Nagromadził w sklepie tyle rupieci, że wprost nie sposób było odróżnić prawdziwe antyki od podróbek. Kupował tanio, sprzedawał drogo i to, co sprzedawał, często nie było antykiem. W roku 1796 Uczciwy Antykwariusz trzy razy sprzedał czaszkę Aleksandra Wielkiego trzem różnym Anglikom z tej samej firmy podróźniczej. Wraz z pieniędzmi, jak wierzyli Żydzi, zdobył drogocenny kamień - rubin, który szach Aga Muhammad dostał w darze od złotnika Szaabana. Wszyscy słyszeli o tym nabytku, ale nikt go nie oglądał. Uczciwy Antykwariusz przysięgał na grób matki, że jego oczy nigdy nie widziały niczego tak cennego.

Spędzał życie siedząc na krześle na tyłach sklepu i pilnując klientów, którzy wchodzili i wychodzili, i targowali się o niewielkie różnice w cenach. Przebywał tam tak długo, że nabawił się astmy od kurzu i reumatyzmu z powodu braku słońca. Kiedy się zestarzał, synowie zaoferowali się, że pomogą mu prowadzić sklep, ale odmówił.

- Ograbilibyście mnie do cna - powiedział - a ja nie mógłbym was wydać w ręce kata, bo jesteście z mojej krwi i kości.

Z czasem legenda o ukrytym rubinie straciła wśród mieszkańców getta swoją pierwotną atrakcyjność. Pomimo to Uczciwy Antykwariusz nadal wzbierał się przed najęciem pomocnika czy wprowadzeniem synów do interesu. Zbliżywszy się do osiemdziesiątki, zrobił się jednak całkiem niedołążny.

Oddychanie sprawiało mu wielką trudność, bo pogłębiła się astma. Stawy miał tak obrzmiałe, że ledwie mógł się poruszać. Na gwałt potrzebował pomocy i kiedy zgłosił się do niego Mosze, przypomniał sobie, że chłopak jest szalony, co uznawszy za plus - przecież głupek nie będzie miał dość oleju w głowie, żeby go ograbić - najął go do pracy.

Mosze pracował u Uczciwego Antykwariusza przez pięć lat i każdego dnia planował kradzież rubinu. Próbował przyswoić sobie sposób myślenia starca i domyślić się, gdzie schował kamień. Chciał wziąć rubin, uciec do Isfahanu i zostać muzułmaninem. Nie czuł się winny wobec Noego czy Kamar Cyganki. Nie było w nim miłości - nawet do siostry bliźniaczki, Lejli. Wszyscy go opuścili, oddając w ręce pijawkarza, a teraz Mosze porzuci ich w biedzie.

Od samego początku zakładał, że kamień został ukryty w sklepie. To tutaj Uczciwy

Antykwariusz spędzał całe życie, tu - na krześle - przesypiał nawet noce, gdy zeszywniałe stawy nie pozwalały mu przenieść się do izby na zapleczu. Nie wychodził już nawet do synagogi - ani w sabat, ani w Jom Kipur. Twierdził, że nie może chodzić, ale Mosze w to nie wierzył. Od chwili gdy wieść o rubinie zaczęła krążyć po getcie, Uczciwy Antykwariusz przesiadywał na krześle w tym samym miejscu pod ścianą.

Kiedy Mosze skończył siedemnaście lat, tajemnica wymknęła się staremu z rąk.

Było lato i przez trzy tygodnie żaden klient nie przyszedł do sklepu. W piątek wieczorem Uczciwy Antykwariusz zamknął go wcześniej i opuścił rolety, zostawiając jedynie wąską szparę dla dostępu powietrza. Mosze mógł przez nią zajrzeć do środka. Antykwariusz siedział na krześle i jadł kolację przyniesioną przez żonę. Kiedy odeszła, siedział jeszcze przez chwilę, oczy miał zamknięte, nogi nieruchome i gwałtownie kaszląc przeklinał Boga. Upał pogarszał jego astmę. Potem podniósł się i zaczął chodzić po sklepie, przedzierając się z trudem przez panujący w nim kurz i bałagan. Miał nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się kaszlu, uciszy ból w stawach i przywoła sen. Nagle przystanął przed tylną ścianą - przy stercie srebrnych pucharów, które jak twierdził, raz tylko były w użyciu - na weselu Aleksandra Wielkiego i księżniczki Roksany. Gapił się na ścianę przed sobą, stojąc nieruchomo, po czym siadł i usnął. Mosze wszedł do sklepu tylnym wejściem, wziął antyczny sztylet i wbił w ścianę, tam gdzie przedtem wpatrywał się Uczciwy Antykwariusz. Gлина wykruszyła się, odsłaniając niewielki otwór, w którym ukryty był skarb.

Przebudziwszy się, Uczciwy Antykwariusz zobaczył rozbity ścianę i ani śladu rubinu. Zwlókł się z krzesła, próbował krzyknąć, ale brakowało mu tchu w płucach, a nogi nie chciały go słuchać.

- Złodziej! - wrzasnął w końcu, lecz Mosze już zniknął. Opuścił sklep, przeszedł przez getto i skierował się do Isfahanu, który jak pomyślał, otoczył go ciepłym tysięcy słońc.

Mosze ściągnął na Dżujibar masakrę - trzeciego dnia święta Aszura, gdy muzułmanie opłakiwali śmierć Trzeciego Ucznia, rano w dzień sabatu, gdy Uczciwy Antykwariusz wciąż opłakiwał ukochany kamień, a Noe Złoto przestał poszukiwać syna - wysłał setki mężczyzn ze sztyletami, kijami i płonącymi pochodniami, by zniszczyli to, co za sobą pozostawił.

Przywędrował do Isfahanu, zmienił nazwisko i został muzułmaninem. Znalazł Piątka

Imama i poinformował go, że Żydzi zmawiają się, by się wzbogacić, że Mułła Mirza nauczył się czytać po persku i arabsku, a Noe Złoto zawarł pakt z diabłem i dzięki temu potrafi produkować złoto. Imam nawet nie sprawdzał prawdziwości tych twierdzeń. Zarządził pogrom.

Przyszli więc i przez trzy dni latem roku 1853 pustoszyli Dżujibar, palili bóżnice, sklepy i domy. Wyciągnęli Noego z jego herbaciarni i podpalili mu włosy. Znaleźli żonę Jehudy Sprawiedliwego wciąż siedzącą na podwórku; wyrzucili ją na ulicę, gdzie umarła z pragnienia. Już pierwszego dnia nawróciło się na islam jedenaście osób, a potem jeszcze więcej. Muzułmanie powracali co dzień, póki nie spustoszyli wszystkich domów i nie skrzywdzili wszystkich mieszkańców, ale nadal nie byli zadowoleni. Szukali Jehudy Sprawiedliwego - przywódcy Żydów - i nigdzie nie mogli go znaleźć.

A on wykopał sobie w ziemi dziurę i siedział w niej, porzuciwszy rodzinę i ziomek. Cierpiał głód i pragnienie, aż nabrał pewności, że umrze, i wtedy nagle się poddał. Jehuda Sprawiedliwy miał dziewięćdziesiąt lat i był samotny w dniu, gdy szedł na spotkanie śmierci. Dożył niemal setki i nigdy nie przeboleł owej chwili - dawno, przed laty, zanim poznał strach przed śmiercią - kiedy to skazał na potępienie Esterę Wrózkę. Osądził ją niesprawiedliwie, zyskując na godności w oczach mieszkańców Dżujibaru, lecz ostatecznie był tylko rabinem w przeklętym getcie dawno zapomnianym przez Boga. Umrze i nikt nie będzie pamiętał jego imienia.

Poszedł na plac i stanął przed swoimi katami. Oczy miał całkiem białe, skórę żółtą ze strachu. Pokazali mu miecz, którym zostanie rozplątany, a on zaczął krzyczeć, ale nadal nie chciał zamknąć oczu. Przynieśli Torę i kazali mu na nią splunąć. Jehuda Sprawiedliwy popatrzył na stojących przed nim mężczyzn i pierwszy raz w życiu zdobył się na wielki czyn - splunął na swoich zabójców.

Ktoś uniósł miecz i rozplątał go od szyi po brzuch. Wnętrznosci trysnęły jak fontanna, a głowa krzyczała nawet po oddzieleniu od szyi.

Rozpołowione ciało powieszono po obu stronach bramy getta. Pozostało tam przez siedem dni, rozkładając się na słońcu. W nocy Jehudę Sprawiedliwego obszczekiwały psy, nim pożarły jego zwłoki.

Szalona Maruszka chciała być bogata. W młodości śniła o poślubieniu mężczyzny, który zabierze ją z domu w Baku do Moskwy i Sankt Petersburga, i do Europy. Wyobrażała sobie, jak mknie obok kochanka szerokimi drogami, stoi na pokładzie parowca lub siedzi w pociągu,

podróżując z nim do nowego świata. Marzyła o namiętności, przygodzie i wiecznej miłości.

Mając lat szesnaście, wyszła za kupca, który handlował antykami i studiował sztukę. Był to dobry człowiek, uprzejmy, delikatny i niewymagający, ale nigdy nie pojął namiętności Maruszki. Miał białą skórę, blade wargi, które poruszały się w cichym szepcie, nawet gdy nic nie mówił, i drewnianą nogę co wieczór wieszaną z boku łóżka i każdego rana przypasywaną do kolana. Przez dwadzieścia trzy lata Szalona Maruszka co noc, leżąc w łóżku, czuła na ciele chłód palców męża. Rozmyślała o świecie, którego nigdy nie zobaczy, i wyobrażała sobie, że skóra bieleje jej w miejscu dotykanych przez męża. Każdej nocy modliła się, żeby umarł we śnie.

Była to niewysoka kobieta o ciemnej karnacji, kędzierzawych czarnych włosach i spiczastych kościach, które nadawały jej wygląd jędzy. Gdy była młodsza, miała ciało chłopaka, jak zawsze mówiła jej matka, i żądzę, do której zdolny jest tylko mężczyzna. Wychowana na granicy persko-rosyjskiej mówiła oboma tymi językami. Była Żydówką, podobnie jak jej mąż, ale nie przejmowała się ani Bogiem, ani jego prorokami. Szalona Maruszka wierna była jedynie swoim namiętnościom.

Miała trzech synów poczętych w złości, a ci czuli zawsze w kościach, gdzie nigdy nie tajał ziać Baku, obojętność kobiety, która powinna była ich kochać. Pewnego dnia, gdy miała lat czterdzieści, synowie dorośli i już się pożenili, Szalona Maruszka otworzyła drzwi i znalazła miłość.

Był to Mosze - teraz Muhammad - przejeżdżał przez Baku w drodze do Rosji. Szukał noclegu. Miał osiemnaście lat, był zmęczony i głodny, lecz jak zawsze olśniewająco piękny. Szalona Maruszka rozpoznała na jego twarzy takie samo pragnienie ucieczki, jakie odbierało jej spokój w życiu. Wpuściła go do domu.

Mimo obiekcji męża pozwoliła Muhammadowi zasiąść przy ich stole, potem położyła go w dawnej sypialni synów. Tej nocy, gdy leżał w łóżku, stanęła goła na progu.

Kochała się z nim na stojąco przy otwartych drzwiach. W świetle świecy przywarła do Muhammada w tym samym pokoju, w którym spędziła młodość, dokąd przychodziła co noc, zaglądając do dzieci i modląc się, żeby zniknęły - jak cienie wypłoszone przez światło - by mogła uciec w świat w pogoni za swoimi marzeniami. Potem zabrała go na dwór, na mróz, i tam językiem kreśliła mu koła na piersiach, brzuchu i członku do chwili, gdy wciągnął ją z powrotem do domu i po schodach na górę do sypialni synów. I znowu się z nią kochał, a mąż nasłuchiwał z drugiego pokoju.

Kochali się tygodniami, bezwstydnie i dziko, aż synowie Maruszki, nie mogąc dłużej znieść hańby, przyszli zabić kochankę matki. Szalona Maruszka osłoniła Muhammada własnym ciałem.

- Dotknijcie go - powiedziała synom - a przysięgam, że was wszystkich pozabijam.

Jej okrucieństwo przeraziło Muhammada. Uświadomił sobie, że powinien ją zostawić. Następnego dnia jednak zmarł jej mąż i Muhammad znalazł się w potrzasku.

Mąż umarł cicho, udusił się we śnie, nie wydawszy głosu ani jęku. Kiedy Maruszka znalazła go rano, nie wiedziała, że nie żyje, gdyby nie kredowa bladość i sztywność jego członków. Nie dała znać synom. Wezwała właściciela zakładu pogrzebowego i natychmiast pochowała męża bez żadnych obrzędów i nawet bez czuwania przy zwłokach. Potem wyprzedala cały majątek.

Sprzedala wszystko - dom, sklep, antyki, nawet dziedzictwo swoich dzieci. Zamieniła to na gotówkę, kupiła konia i powóz, po czym oznajmiła Muhammadowi, że zabiera go do Rosji.

Zaczekała, aż wyjadą z Baku, i dopiero wtedy zaczęła zadawać pytania.

Wiedziała, że Muhammad ma jakąś tajemnicę i że uciekł z kraju. Wiedziała, że jest Żydem - poznała to po jego akcencie, sposobie bycia i nawet ulubionym jedzeniu. Wiedziała o kamieniu zawiniętym w kawałek materiału i przypasywanym do nogi.

- Pozwól mi go zobaczyć - zażądała, a on bał się odmówić.

Piękno rubinu zaparło jej dech.

- Uczyni z nas bogaczy - oznajmiła. Muhammad Żyd poczuł, że żołądek skręca mu się ze zdenerwowania - Szalona Maruszka chciała go mieć na całe życie.

Nagle zauważył, że jest stara i skórę ma suchą. Kiedy go pocałowała, przypomniał sobie, że w obronie kochanki gotowa była zabić własnych synów. Kiedy się na nim położyła, chcąc się z nim kochać, przypomniał sobie, jak się spieszyła z pochowaniem męża. Właściciel zakładu pogrzebowego nie miał nawet czasu wypchać zwłok bawełną. Podczas pogrzebu wnętrzności zmarłego wzburzyły się i poplamiały całun. Szalona Maruszka nie pozwoliła jednak odwinąć męża i oczyścić go przed ułożeniem na wieczny spoczynek.

Szalona Maruszka wyczuła zmianę w kochanku i zrozumiała, że Muhammad myśli o ucieczce. Kiedy się kochali, zauważyła jego niechęć, wyczuła też urazę podczas rozmowy o przyszłości. Niemniej domagała się jego miłości i ciała, jeździła z nim po zamarzniętych drogach do sławnych niegdyś miast popadającego w ruinę carskiego imperium. Sama powoziła, siedząc

na koźle, z twarzą niezakwefioną i włosami powiewającymi na wietrze. A w każdym walącym się mieście i na każdej pokrytej lawiną przełęczy, którą mijali, zatrzymywała powóz i tak długo kazała się kochać Muhammadowi, że aż drżała z wyczerpania.

- Jeśli mnie porzucisz - powiedziała mu raz i tylko raz - pójdę za tobą na koniec świata i zamienię twoje łyzy w krew.

Z Moskwy zabrała go do Sankt Petersburga, a stamtąd z powrotem do Persji. Podróżowali przez rok, wydawali jej pieniądze bez celu i szaleńczo, nie troszcząc się o przyszłość. Na każdym postoju Muhammad Żyd obiecywał sobie, że w następnym mieście porzuci Maruszkę. I w każdym mieście powstrzymywała go chciwość i strach przed jej zemstą.

W roku 1855 Szalona Maruszka oznajmiła, że skończyły jej się pieniądze.

- Musimy sprzedać rubin - powiedziała. Muhammad Żyd zrozumiał, że nadszedł koniec. Byli w prowincji Chorasán na północno-wschodniej granicy Persji. Szalona Maruszka przyjechała tutaj, szukając opuszczonej „wioski grabarzy”.

Dawni zoroastryjczycy czcili życie i wierzyli w zło śmierci. Każdy, kto dotknął zmarłego - a więc wszyscy grabarze - uważany był za nieczystego i banitę. Ludzie tacy mieszkali osobno, dziedziczyli po ojcach swoją profesję i żenili się we własnym gronie. Nie chowali zmarłych, ponieważ ziemia była święta i pogrzebane ciało by ją skałało. Budowali wieże pogrzebowe i tam umieszczali zmarłych na słońcu - co ich oczyszczało - zostawiając zwłoki sępom na pożarcie.

Szalona Maruszka przywołała Muhammada Żyda i kochała się z nim przy okropnej wichurze pod wieżą pogrzebową w choraszańskim wiosce.

Leżał pod nią tego dnia, a chłód jej skóry wydawał mu się wstrętny. Gardził nią. Powtarzał ruchy praktykowane przez trzy lata i kiedy skończyli się kochać, a ona usnęła w jego ramionach, wstał, ubrał się, potem spalił ubranie Maruszki, wziął sakiewkę z pieniędzmi jej męża, swój rubin, konie, jedzenie i wodę. Odjechał i zostawił Maruszkę, by tam umarła.

Józef Winiarz miał trzydzieści lat i poszukiwał żony.

Był już raz żonaty, pojął za żonę córkę Pięciogłowego Mojżesza wraz z obietnicą dwu złotych monet i dwunastu złotych bransolet. Miał wówczas osiemnaście lat, a ona siedem. W noc poślubną zamęczył ją na śmierć.

Na imię miała Chatun. Była mała i krucha, i tak niewinna, że nie wiedziała, co to znaczy

być poślubioną, aż było za późno. Miała czarne oczy, czarne włosy i skórę w kolorze białych tulipanów. W noc weselną przybyła do domu Józefa ubrana w nowe szaty i biały czador. Podniecona uwagą, jaką ją otaczano, bawiła się z innymi dziećmi, po czym zasnęła u matki na kolanach. Kiedy goście zaczęli się rozchodzić, Chatun obudziła się i chciała z nią wracać do domu.

Wy tłumaczono jej, że została poślubiona przez Józefa Winiarza, że musi zostać w swoim nowym domu i spać „pod” mężem. Zaniesiono ją do sypialni Józefa nad wytwórnię wina, kazano jej rozebrać się i czekać, aż do niej przyjdzie. Chatun przerażona zaczęła płakać. Błagała, żeby ją wypuścili.

Józef Winiarz nigdy przedtem nie spał z kobietą. Przyszedł tej nocy do pokoju zobaczyć żonę i znalazł w swoim łóżku płaczące dziecko. Za drzwiami zebrało się kilkanaście osób czekających na skonsumowanie małżeństwa. Byli wśród nich rodzice panny młodej i pana młodego, rabin, który ich zaślubił, starszyzna domagająca się szacunku wyłącznie z powodu swojego wieku i lat swoich cierpień. Mieli tam czekać, aż Józef zdobędzie pannę młodą - udowodni swoją męskość i jej niewinność. Gdyby zbyt długo zwlekał z wypełnieniem tego obowiązku, zarzuciliby mu słabość. Gdyby mu się nie udało, wiedzieliby, że jest impotentem.

Próbował uspokoić Chatun. Namawiał ją, żeby oddała mu się dobrowolnie. Wziął ją za rękę, głaskał po włosach, obiecywał, że jej nie skrzywdzi, jeśli nie będzie mu się opierać. Nie czuł pożądania - jak sobie potem przypominał - tylko strach, że zawiedzie i stanie się pośmiewiskiem getta. Czas uciekał, ludzie za drzwiami się niecierpliwicko, a mała Chatun z każdą chwilą krzyczała coraz bardziej i coraz głośniejszym głosem wzywała matkę.

Józef Winiarz zaczął się pocić. Przycisnął Chatun do ziemi i położył się na niej. Myślał, że wniknie w nią i obali mur jej cnoty, a kiedy audytorium odejdzie spod drzwi, uciszy lęk Chatun.

Lecz ona się wyrывała, szarpała i kopała. Józefa Winiarza ogarnęła wściekłość. Słyszał, jak ludzie za drzwiami szepczą, wyobrażał sobie ich miny, gdy jeden drugiemu mówi, że Józef nie potrafi uporać się z żoną, że musi być słaby, niemęski i cierpiący na niemoc płciową. Kolana mu się trzęsły, członek sflaczał, nie udawało mu się uciszyć Chatun. Uderzył ją w twarz. Przygryzła sobie wargę i rozcięła ją do krwi. Wrzasnęła, wyrwała się spod niego i pobiegła ku drzwiom. Na oczach przerażonego Józefa Winiarza otworzyła je i rzuciła się w ramiona matki.

Wszystko przepadło. Józef Winiarz oczyma duszy widział już swoje imię pohańbione i

stracił głowę. Zabrał Chatun od matki, wciągnął ją do sypialni. Porwał na pasy biały czador i skrepował jej ręce z tyłu. Potem wziął dłuższy kawałek materiału i uniósłszy dziewczynce kolana, przywiązał je do szyi - tak że była zgięta w pół i srom miała odsłonięty. Wówczas w nią wszedł.

Potem otarł jej dziewiczą krew białą chusteczką i pokazał czekającym za drzwiami. Audytorium rozeszło się, upewnione co do niewinności panny młodej i potencji pana młodego. Józef Winiarz postanowił dać żonie nauczkę. Zostawił ją związaną na całą noc, zatrzasnął drzwi, nie słuchając jej błagania. Rano znalazł Chatun martwą, ze złamanym kręgosłupem i wyschniętymi żyłami.

Przez następnych dziesięć lat usiłował uporać się ze wspomnieniem o Chatun. Mówił ludziom, że postąpił tak z niewiedzy, nie ze złej woli, że jej śmierć była wypadkiem, że nie pragnął niczego więcej na świecie, jak być panem swego domu szanowanym przez żonę. Przypominał każdemu, że nie on pierwszy spowodował śmierć żony. Ruhullah Szewc zabił dwie, kopiąc je w brzuch, gdy były w ciąży. Nadżim Ślepiec tak głośno krzyczał na żonę, że przestało jej bić serce. Lecz spośród mężczyzn, którzy katowali żony, tylko Józefa Winiarza uznano za przestępcę. Odsunęła się od niego własna rodzina, przestali odwiedzać znajomi i jego winiarnia niemal zawsze świeciła pustkami, jeśli nie liczyć muzułmanów zabierających wino do Isfahanu. To niewinności Chatun, bardziej niż czego innego, ludzie nie mogli zapomnieć.

Nawet ci, co przeżyli masakrę spowodowaną przez Muhammada Żyda, nie mogli darować Józefowi przeszłości.

On sam z upływem czasu pogodził się z losem. Zdecydował, że może żyć z nienawiścią świata, ale nie może pozwolić, by go pozbawiono przyszłości. Przeżywszy pogrom postanowił ponownie się ożenić.

Odwiedził wszystkie swatki w getcie i obiecał im godziwą zapłatę za dostarczenie ofert. Rozgłosił, że nie liczy na posag, że odda wszystkie oszczędności rodzicom dziewczyny jako „cenę za matczyne mleko”. Wypytywał nawet podróżnych przybywających do Isfahanu z innych gett.

- Znajdźcie mi dziewczynę w swoim mieście - prosił. - Przyjadę po nią.

Zdecydował, że zadowoli się starszą, a nawet brzydką. Zgodzi się na niewielki defekt, złą

sławę. Może wziąć i taką, która nie będzie dziewicą - pod warunkiem że jest płodna i uczciwa. Upłynęły jednak trzy lata, a Józef Winiarz nadal był samotny.

W roku 1854 miał, według własnej oceny, trzydzieści trzy lata i rozpaczliwie pragnął się ożenić. Przestał liczyć na wszystkie znane mu swatki, poszedł do Tarane i zagroził jej po raz ostatni:

- Znajdź mi kobietę albo przysięgam, że zostanę muzułmaninem i wychowam dzieci w nienawiści do Żydów.

Tarane Tulipan zaśmiała się i z jej oczu Józef wyczytał, że zna pewną dziewczynę.

- Jest ktoś - powiedziała. - To bliźniacza siostra Moszego, który zesłał masakrę. Poślubi cię, bo jest samotna, ma osiemnaście lat i nikt inny by jej nie tknął.

Wieczorem w dniu wesela Józef siedział w swojej winiarni i czekał na pannę młodą, która miała zawitać do jego domu. Godzinę po zmroku usłyszał, że reb Jahja rozmawia z sąsiadami na podwórku. Rabin przyszedł z Lejlą. Zaprowadził ją do sypialni Józefa, gdzie przed laty umarła Chatun, i zostawił, żeby tam czekała. Po czym zszedł po schodach do winiarni, otworzył drzwi i zobaczył Józefa. Twarz gorzała mu w półmroku, oczy miał lekko wybałuszone i pełne powątpiewania. Reb Jahja poczuł zapach kwaśnego wina i zamknął drzwi.

Kiedy rabin poszedł, Józef Winiarz wypił ostatni kubek wina i opuścił piwnicę. Głowa bolała go od wina, ukląkł więc przy zbiorniku na wodę na podwórku, by umyć sobie twarz. Sąsiedzi go obserwowali. Przystanął przed sypialnią. W domu panowała taka cisza, że słyszał szczury biegające w odległych kątach podwórka.

Otworzył drzwi. Zobaczył kobietę opierającą się o ścianę. Z tyłu na półce paliła się słabym płomieniem lampka oliwna. Na podłodze rozłożona była jego stara kołdra. Józef Winiarz modlił się w duchu o zmiłowanie.

- No - powiedział, zmuszając się do wejścia do środka. Brakowało mu słów. Zobaczył, że Lejla drży, i modlił się, żeby jej nie przestraszyć. Pragnął, by pojęła, co się wydarzyło z Chatun; pragnął, by ta obca osoba, która nagle stała się jego żoną, wybaczyła mu przeszłość, nie zwracała uwagi na błąd popełniony przed laty. „Byłem wtedy młody” - chciał powiedzieć - „i nikt nie nauczył mnie delikatności”.

Czekał, aż Lejla zdejmie zasłonę. Chcąc ją ośmielić, sam zaczął się rozbierać.

Zrzucił płócienne pantofle, które nosił jak sandały, przydeptane na piętach. Ściągnął

chałat, rozwiązał modlitewny szal, którym się opasywał. Pot ściekał mu po szyi.

Wyobraził sobie Lejlę pobladłą i bez życia, nadmiernie postarzałą jak na swój wiek, niechętną. Widział siebie leżącego obok niej, duszącego się w jej milczeniu, gdy będzie próbował się z nią kochać.

Opuścił spodnie, rozwiązał troczki bielizny. Był nagi, a ona nie zdjęła nawet zasłony.

Wziął oliwną lampkę z półki i przysunął do twarzy Lejli.

- Jeśli zaraz się nie rozbierzesz - powiedział - nie zrobię ci krzywdy, ale wezwę reba Jahję, oznajmię mu, że nie jesteś dziewicą, i unieważnię ślub.

Zdjęła zasłonę. Jej oczy miały kolor młodej sosny.

Zdjęła czador. Skórę miała białą, włosy długie i błyszczące, jakby skąpane w słońcu.

Zdjęła suknię. Zobaczył długą i gładką szyję, zgrabną figurę, piękne ciało.

Józef Winiarz poczuł, że lampka drży mu w ręce, omiatając falą żółtego światła ciało Lejli.

Muhammad Żyd parł na zachód, uciekając od Maruszki, i nie odważył się zatrzymać nawet wówczas, gdy dotarł na przeciwległy koniec Persji, nad granicę imperium osmańskiego. Pojechał do Bagdadu, odnalazł księcia Kazima Miłośnika Chłopców i stawił się przed jego obliczem. Mówił sobie, że zostanie kochankiem księcia, będzie z nim sypiać przez rok, a potem otrzyma zwyczajową zapłatę w monetach i drogich kamieniach, co mu pomoże założyć sklep. To był jedyny sposób, jaki znał, by zostać bogatym, bo nigdy nie sprzeda swojego rubinu. Potrzebował go - przypominał mu, że porzucił Dżujibar.

Księcia Kazima Miłośnika Chłopców zachwylił wygląd Muhammada. Dotknął go palcem, jakby chcąc wypróbować ciało młodzieńca. Spytał, czy jest prawiczkim. Muhammad Żyd, trzęsąc się z obrzydzenia, potwierdził.

Został kochankiem księcia, jego faworytem, największą namiętnością. Pograżył się w nowym życiu, uczył się arabskiego od księcia, angielskiego od jego lekarzy i doradców. Próbował nawet zapomnieć o Szalonej Maruszce, lecz przez wszystkie dni i noce swojego życia słyszał, jak woła go po imieniu.

Powiedział sobie, że musi pokonać strach, zwalczyć go - tak jak sądził, że zwalczył pamięć o Dżujibarze. Mówił sobie, że Maruszka umarła, bo nikt nie mógł przeżyć na pustyni, gdzie ją zostawił. Usiłował wierzyć, że jeśli nawet żyje, to poszła swoją drogą, zapomniała już o

nim, przekleła go i puściła w niepamięć. Utrzymywał swoją przeszłość w tajemnicy i żył bez przyjaciół, niepewny nawet kochanka. A jednak za każdym razem gdy jechał ulicą, wypatrywał w tłumie Maruszki; za każdym razem gdy słyszał swoje imię, myślał, że to ona go woła.

Z końcem pierwszego roku przyjaźni z księciem Muhammad Żyd poprosił o pozwolenie odejścia. Kazim Miłośnik Chłopców błagał o zwłokę. Zaoferował mu pieniądze i ziemię, klejnoty i konie, i wszystkich niewolników w Bagdadzie.

Muhammad Żyd został. Z każdym rokiem stawał się coraz bogatszy i bardziej uwięziony. Widział, że książę pozbywa się innych kochanków: rozdaje ich przyjaciołom, uwalnia albo każe otruć eunuchom. Cały swój czas spędzał z Muhammadem, nie chciał jeść, jeśli ten nie siedział obok niego, nie mógł spać, jeśli nie czuwał przy nim. Obawiając się jego ucieczki, wyznaczył strażników, którzy mieli go wciąż pilnować, a żeby nie znudził się obcowaniem wyłącznie z mężczyzną, przekupywał kobiety, by z nim spały. Wreszcie obiecał Muhammadowi całą swoją fortunę, jeśli zostanie z nim aż do śmierci.

Dziesięć lat od chwili, gdy po raz pierwszy dotknął Muhammada Żyda, książę Kazim Miłośnik Chłopców sporządził testament i uczynił go swoim jedynym dziedzicem. Pewnego ranka, leżąc w wannie z kozim mlekiem osłodzonym miodem, poprosił Muhammada o codzienną porcję byczej spermy, którą pił dla zapewnienia sobie długowieczności. Zamknął oczy, wyciągnął się w wannie i nie poczuł nawet, że nóż rozplątał mu gardło.

Muhammad Żyd pochował Miłośnika Chłopców, zabrał swoje dziedzictwo i pospiesznie opuścił Bagdad. Miał trzydzieści cztery lata i był bogaczem. Wrócił do Isfahanu.

W roku 1866 do Dżujbaru zawitała tragedia. Poprzednia zima była krótka i sucha. Ziemia stała się jałowa. Józef Winiarz zaczął liczyć kolejne oznaki klęski. Niemowlęta marły w łonach matek, strach nawiedzał młodsze dzieci w snach. Ziemia rodziła truciznę, bydło padało na polach i drogach. Potem przyszła zaraza.

Było lato i codziennie wieści o śmierci i zniszczeniu docierały do Isfahanu. Na północy, gdzie zaraza wybuchła najwcześniej, liczba zmarłych rosła tak szybko, że nie nadążano kopać masowych grobów, by pomieścić wszystkich. Szach Naser ad-Din uciekł z pałacu w Teheranie, pozostawiając żony. Wprowadził kwarantannę na terenach otaczających letnią rezydencję w górach i rozkazał żołnierzom przepędzać każdego, kto zwracał się do niego o pomoc.

Wielu mułłów poszło w ślady szacha i opuściło miasta. Ci, co zostali, głosili, że zarazę

ściągnęli Żydzi i cudzoziemcy. W rocznicę bitwy pod Kerbelą, w której Trzeci Uczeń, Husein, zginął z rąk Jazyda, na ulicach wszystkich miast i wsi w Persji panował większy niż normalnie smutek. Ze zwiększonym ferworem urządzano tradycyjne procesje, w których szli biczący się mężczyźni i chłopcy, oplakując tę śmierć sprzed tysiąca lat. Odbywano z większym żalem symboliczne czuwania, podczas których kobiety szlochały i wrywały sobie garściami włosy z głowy. A tymczasem zaraza szerzyła się nadal, uszy Boga zaś pozostawały głuche.

Bogaci mułlowie w Isfahanie pakowali manatki i opuszczali miasto. Zaraza pojawiła się na północy, wyruszyli więc na południe. Inni zostali i wsłuchiwali się w narastającą ciszę, widząc cień nadchodzącej śmierci.

W getcie Lejla przygotowywała się na zarazę. W roku 1865 urodziła pierwsze dziecko - Hannę o złotych włosach, złotych oczach i rączkach jak motyle. Teraz znów była brzemienna. Wiedziała, że Żydzi nie mają gdzie uciekać - szyckie prawo przykuwało ich do getta. Gromadziła więc żywność w domu i czekała.

Na północy i wschodzie pustoszały całe miasteczka, zaraza kosiła ludzi tak nagle, że brakowało czasu i nie było komu chować zmarłych. Miasta pogrążyły się w rwących potokach krwi. Ziemia stała się brzemienna w trupy.

Każdego dnia karawany uciekinierów przekraczały bramy Isfahanu - ludzie wyprzedzali o jeden krok zarazę, porzuciwszy swoje rodziny, swoje domy, swoją ziemię. Szerzyli wokół odór śmierci i przenosili dalej jej zarodki. Dźwigali zwłoki tych, którzy zmarli w drodze, przytroczone na plecach i rozkładające się w płóciennych workach, gdzie upał i pustynne robaki rozprawiły się z tym, czego nie tknęła choroba. Zatrzymywali się na bazarach i sprzedawali odzienie zmarłych za grosze, które odkładali na pogrzeb. Obozowali nad rzekami, obmywali zwłoki w ich wodach, licząc, że w ten sposób się uchronią. Potem zaraza dotarła do Isfahanu.

To była szalona ucieczka. Wszyscy, od gubernatora Isfahanu po jedynego doktora w mieście - Anglika, który przed laty przybył tu z południa - udali się na pustynię. Kobiety i dzieci, kapłani, żołnierze i starcy wędrowali w panice drogami pełnymi pyłu, prac naprzód, gdy z każdym dniem zaraza zbliżała się ku nim coraz bardziej, i modląc się gorąco o to, by ją wyprzedzić. W końcu ich dopadła - z dala od domów, wśród węży i skorpionów, pod słońcem nie znającym litości.

Żeby ratować siebie i dzieci, Lejla ukryła się w podziemnej jaskini poza obrębem getta. Przed setkami lat wydrążyli ją inni Żydzi ukrywający się przed mułłami. Józef Winiarz nie chciał

z nią iść. Został w winiarni, żeby pilnować swoich dzbanów i starego samowara. Zaryglował drzwi od wewnątrz i siedział w samotności, zatykając rękami uszy, żeby nie słyszeć dzieci krzyczących z bólu, z sercem bijącym z trwogi, szepcząc po tysiąc razy na dzień:

- Następnym razem, gdy zaczerpniesz oddechu... Lejla mieszkała w jaskini wraz z dzieckiem w łonie. Piła wodę, którą zabrała, jadła to, co nagromadziła we wczesnym okresie plagi. Nocą widywała w snach Esterę Wrózkę.

Estera wynurzała się z ciszy łona Lejli, tak jak przed laty nawiedzała ciemne noce Noego. Podchodziła co noc bliżej - pilnowała dziecka w łonie Lejli, póki się nie urodziło. Powitała je uśmiechem.

Józef Winiarz przyszedł obejrzyć swoją drugą córkę.

- Równie dobrze może nie przeżyć zarazy - powiedział ze smutkiem. - I tak nie wyżywiłbym następnej dziewczynki.

Lejla mu wierzyła. Dziecko było małe, słabe, niedożywione. Pierwsze padnie ofiarą choroby, pierwsze umrze w ciemnościach jaskini. Trzymała dziewczynkę w ramionach i czekała, aż śmierć ją zabierze.

Czekała dzień, tydzień, miesiąc. Nie nadała córce imienia, bo trudniej pochować dziecko, które miało żyć. Każdego dnia jednak słyszała kwilenie, widziała ruch małych piąstek, które usiłowały chwycić każdy, choćby najślabszy promyk światła. Kiedy niemowlę dostało gorączki, Lejla przegrała swoją wojnę.

- Trzymałam ją zbyt długo - błagała Boga. - Ona jest moja.

Przez tydzień czuwała, pielęgnując dziecko. Ósmej nocy usnęła i przyśniła jej się śmierć. Obudziła się i podeszła do wyjścia z jaskini. Na pustyni ujrzała światło. Estera Wróзка szła w jej stronę.

Estera Wróзка przybyła w świetle poranka. Szła przez pustynię jak zjawą w słońcu, kobieta z kopytami klaczy. I zjawiła się w Dżujibarze tuż po zarazie.

- To śmierć - szepnęła Lejla do Hanny, gdy ją ujrzała. - Przyszła zabrać mi małą.

Modliła się, żeby Estera nie zatrzymywała się u jej drzwi, aby poszła dalej i zabrała inne dziecko od matki. Utkwiła wzrok w drewnianej klapie na szczycie schodów i nasłuchiwała.

Estera Wróзка była coraz bliżej. Zatrzymała się przy jaskini. Lejla słyszała, jak pustynia

wokół niej ożywa, powietrze faluje z jej oddechem. Dostrzegła zarys ciała - nie rzucającego cienia i bladego jak sen sączący się przez szpary w kłapie: Nagle Estera otworzyła szeroko drzwi.

- Przyszłam nadać imię twojemu dziecku.

Stała, jaśniejac w szarym świetle brzasku. Jej głos, cichy i daleki, był jak bolesne wspomnienie przeżytych dawno cierpień. Lejla zobaczyła ją i przycisnęła mocniej dziecko do piersi.

To musi być zjawą, pomyślała. Przyszła mnie postraszyć, żebym straciła poczucie czasu i pozwoliła wśliznąć się śmierci.

Estera Wróżka wpatrywała się w dziecko. Niebo za nią robiło się srebrnobłękitne, a powietrze wibrowało od porannej modlitwy rozbrzmiewającej z isfahańskich minaretów.

- Zostaw nas - powiedziała Lejla. Czowała, że gorączka w ciele dziecka się podnosi. Widziała życie trzepoczące się w jej rękach.

Estera Wróżka zaśmiała się, a piasek wokół niej zafalował jak pustynny ocean niebieskiego światła. Sięgnęła do jaskini - jej ręce przypominały gałęzie starego drzewa - i wzięła niemowlę.

- O brzasku czasu nadejdzie przełom - powiedziała.

- Z oczu tego dziecka promieniować będzie światło i dziewczynka ujrzy w nim inny świat, gdzie każde niemowlę jest stare i każdy początek osiągnął kres.

Dziecko na rękach Estery leżało spokojnie, jakby nagle pozbyło się gorączki.

- Pojawi się mąż, jadący z północy, z krwią na rękach i gniewem Boga w oczach - ciągnęła Wróżka. - Zasiądzie na Tronie Słońca, jednym ruchem ręki sięgnie przez cały kraj i uwolni nasz lud. Jego syn nazwie siebie Królem Królów, dziedzicem imperium Cyrusa. Podniesie to dziecko z popiołów i obdarzy je dumą. Lecz strzeżcie się! Albowiem Król Królów padnie i jego tron się rozsypie, a mężowie Boga skórę tego narodu pomalują krwią.

Uniosła dziewczynkę, żeby padało na nią światło, i nadała jej imię:

- Pawica.

Tarane Tulipan знаła tańce dwudziestu plemion perskich. Była mistrzynią gry na san torze, uczyła się muzyki ze słuchu, pisała własne pieśni. Pracowała z dwoma mężczyznami - jeden grał na instrumencie zwanym tar, drugi na donbaku. Występowali na weselach, przy obrzezaniach, w Nowy Rok i w noc święta Jalda. Zawsze pod koniec występu Tarane Tulipan

malowała sobie twarz, wkładała kostium i odgrywała jednoosobową sztukę.

Urodziła się w Szirazie jako córka rabina i nie wiedziała, jak wygląda, dopóki nie wyszła za mąż. Ojciec nie pozwalał mieć lustra w domu: wierzył, że kobieta, która zobaczyła swoje odbicie, może stać się próżna, podziwiać piękność i myśleć o grzechu. Tarane Tulipan wyobrażała sobie tylko własną postać, patrząc na starszą siostrę, gdy ta się rozbierała. Siostra miała dwadzieścia lat, ale wciąż była niezamężna. Mieszkała w oddzielnym pokoju, nigdy nie jadała wraz z rodziną, nigdy, przenigdy nie rozmawiała z ojcem.

- Twoja siostra zgrzeszyła - powtarzała matka za każdym razem, gdy Tarane dziwiła się kłopotliwemu położeniu siostry. Nic więcej nie mówiła. Tarane Tulipan zawsze się zastanawiała, czy to uroda siostry przyczyniła się do tego, że zgrzeszyła. Była ciekawa, czy sama też jest piękna. Kiedyś, mając sześć lat, siedziała w zimie na słońcu i usiłowała przejrzeć się w bryle topniejącego lodu. Rabin ją na tym przyłapał. Ogolił jej głowę, żeby nauczyć córkę moresu.

Tarane Tulipan zamknęła się w piwnicy ich domu i przysięgła, że nigdy z niej nie wyjdzie. Myślała, że już zawsze będzie łysa, szlochała pod ścianą i kajała się za grzech. Kiedy jednak włosy zaczęły odrastać i pamięć o karze przybladła, uległa dziecięcej ciekawości i po raz pierwszy zaczęła myszkować w piwnicy. Grzebała w zgromadzonych tam rupieciach, zastanawiając się, czemu mogły służyć. Znalazła ślubny strój matki, pierwszy szal modlitewny ojca, Toreę, w której pradziadek zapisywał narodziny wszystkich swoich dzieci, flakonik na łzy, do którego płakała babka po śmierci męża. Pod stertą rupieci we wnęce ściennej odkryła skrzynię na posag.

- Nie ruszaj tego - wrzasnęła matka zastawszy ją przy skrzyni, gdy przyniosła córce kolację. Rzuciła jedzenie na ziemię, odciągnęła dziewczynkę od skrzyni i nogą zasunęła ją z powrotem na miejsce. W oczach malowało jej się przerażenie.

- Ta przeklęta rzecz przynosi nieszczęście.

Potem Tarane słyszała, że matka szepce tę historię innej kobiecie, popłakując w czador i milknąc, gdy córka się zbliżała.

Odbyło się wesele, a nazajutrz rano przyszła matka pana młodego, żeby obejrzeć wiano. Uniosła wieko, po czym natychmiast obudziła pannę młodą i odesłała ją do domu, do ojca.

- To ta skrzynia. Ona przynosi nieszczęście - upierała się matka Tarane.

Tarane Tulipan nagle zdała sobie sprawę, że panną młodą z tej opowieści była jej starsza siostra.

Przez dziesięć dni swojej miesięcznej pokuty Tarane Tulipan usiłowała walczyć z własną ciekawością. Chodziła po piwnicy od rana do nocy, skrzyżowawszy ręce jakby w obronie przed grzechem, i wpatrywała się w skrzynię, która wniosła zło w życie jej siostry. W końcu - skazując się na piekło - wyłamała zamek i obejrzała posag. Były tam dwa lichtarze, kilka wyszywanych prześcieradeł, obrus, kołdra i mały dywanik. Znalazła też ukryty w całunie santor zapakowany w płótno i obwiązany sznurem.

Położyła go przed sobą na ziemi, wzięła parę cienkich metalowych pałeczek i trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym przyłożyła do strun. Usłyszała westchnienie santoru i już wiedziała, że jest zgubiona.

Grała w tajemnicy przez dziesięć lat - w domu ojca, gdzie uczyła ją gry siostra, potem w domu męża. Poślubiła innego rabina, brata ojca i zdawała sobie sprawę, że wyzywa los, ukrywając instrument w skrzyni na posag. Dwa lata później mąż go znalazł. Zanim odesłał ją do rodzinnego domu, gdzie czekałoby ją to co siostrę, Tarane Tulipan uciekła z Szirazu i nigdy już tam nie wróciła.

Jeździła po całej Persji, przepędzana z jednego getta do drugiego, i wszędzie uczyła się ludowych tańców i muzyki. Kiedy przybyła do Dżujbaru, miała dwadzieścia sześć lat i była zdecydowana tam pozostać. Reb Jahja natychmiast zaatakował ją w sabatowym kazaniu, ostrzegając wiernych przed „przybłądą z grzesznym instrumentem”. Tarane uświadomiła sobie, że musi walczyć. Tego wieczoru pojawiła się na placu w getcie ubrana w szkarłatną szatę, z dłońmi i twarzą pomalowanymi na purpurowo, z karminowymi włosami. Zaczekała, aż zbiorą się widzowie, a wtedy ukloniła się i zaczęła tańczyć. Był to taniec powolny i pełen gracji, trwał dwanaście minut i przedstawiał życie tulipana od początku do końca. Nikt już potem nie nazwał jej „nierządnicą”.

W ten sposób została w Dżujbarze i by mieć dodatkowy dochód, pracowała jako swatka, kucharka i służąca. Zaadoptowała Salmana Sprzedawcę Węgla, który stracił rodziców w wieku trzech lat i nie miał żadnych krewnych. Po jakimś czasie zaczęto ją zapraszać na występy do Isfahanu. W roku 1869 miała wystąpić na weselu syna gubernatora miasta, który żenił się z córką isfahańskiego Imama Piątka. Tarane Tulipan zepsuła uroczystość, kradnąc pana młodego.

To było wydarzenie bez precedensu, największe wesele stulecia. Zaproszono na nie

wszystkie ważne i szacowne osoby. Pan młody miał lat dwadzieścia, wychował się w Bagdadzie i był tak bogaty, że zrezygnował z prawa do posagu. ”Rodzice panny młodej tak się palili do zawarcia tego związku, że nalegali, by zaślubiny odbyły się zaledwie w dwa tygodnie od rozpoczęcia konkurów. Podczas wieczornych uroczystości odkryli ku swemu oburzeniu, że tancerka jest Żydówką. Nie chcąc jednak psuć świętowania, pozwolili jej wystąpić. Podczas tego występu syn gubernatora unieważnił małżeństwo, oznajmiając, że zakochał się w Żydówce w szkarłatnej szacie.

Przez rok Isfahan trzął się od plotek. W końcu Tarane Tulipan poślubiła syna gubernatora, opuściła Dżujibar i zamieszkała w domu pełnym muzyki.

Po powrocie do Isfahanu Muhammad Żyd zbudował sobie dom na ulicy Czar Bag, najął służących, służki i ogrodników. Wynajął pięć połączonych ze sobą sklepów na Bazarze Szacha i wypełnił je antykami, perskimi dywanami i srebrami. Ubrany w jedwabie i aksamit jeździł na arabskim rumaku po mieście. Na głowie miał wysoki cylinder wyszywany złotymi nićmi i rubin tak oszałamiający, że ludzie przystawali na ulicy i gapili się jeszcze długo po tym, jak jeździec przemknął koło nich.

Przybył nie wiadomo skąd - obcy, z legendarną fortuną, o twarzy pięknej jak marzenie i oczach tak nieprzyjemnych, że mało kto śmiał w nie spojrzeć. Przez większość roku podróżował samotnie, handlował antykami, dywanami i kamieniami szlachetnymi. Mieszkał sam, otoczony wysokimi ścianami domu z cegieł i starymi drzewami, które osłaniały go przed promieniami słońca. Nigdy nikogo nie przyjmował, nigdy nie rozmawiał z sąsiadami na bazarze. W nocy, przysięgały służące, w ogóle nie spał.

Słyszały, jak chodził po sypialni od zmierzchu do świtu, wyglądał przez okno do ogrodu pełnego cieni i złych duchów zmarłych, i w końcu zapadał w sen przy porannym wiatku, który owiewał mu twarz, a o brzasku budzili go uliczni sprzedawcy zachwalający głośno swój towar. W ciągu dnia miał się na baczności, był czujny i podejrzliwy, zawsze gotów wypytywać służących albo pracowników o ich intencje w dowolnej kwestii, zawsze skłonny do angażowania się w dyskusję z klientami czy sąsiadami, a nawet gośćmi. Wszyscy mówili, że Muhammad Żyd to uciekinier.

W roku 1871 Muhammad wyruszył do Kurdystanu na spotkanie z wodzem plemiennym Firuzem Chanem, który posłał po niego przed rokiem, pytając o szlachetne kamienie. Jechał

przez nagie góry przypiekany bezlitosnym słońcem, przez strome doliny wymoszczone kurzem i pocięte korytami wyschniętych strumieni i rzek. Wreszcie znalazł wyludnioną równinę pocętkowaną czarnymi namiotami nomadów, przedarł się przez stada spragnionych owiec i wielbłądów daremnie szukających trawiastych łąk. Koło obozowiska obszczeakały go psy, zagradzając drogę. Przed namiotem siedziała młoda kobieta bez zasłony i tkala kilim; w pobliżu spał jej ojciec. Kurdyjskie kobiety nie noszą czadorów. Ujrzawszy Muhammada domyśliła się, że to gość, którego oczekiwał wódz. Odwołała psy.

Firuz Chan przyjął Muhammada z wyrazami ubolewania. Chciał kupić szlachetne kamienie, mówił, ale przed kilkoma tygodniami szarańcza spustoszyła równinę, na której co roku obozuje plemię, i teraz jego bydło przymiera w skwarze głodem. Nie miał pieniędzy ani bydła do zaoferowania w zamian za klejnoty.

Muhammad Żyd zjadł kolację z wodzem, po czym poszedł spać do swojego namiotu. Po północy stamtąd wyszedł, gnany jak zwykle poczuciem zagrożenia, i powędrował na polanę na tyłach obozowiska. Zobaczył dziewczynę o ciemnej skórze i czarnych włosach jadącą nago na koniu. Galopowała tam i z powrotem u podnóża góry, jej koń był zdyszany, a ona okryta potem. Po dłuższej chwili poczuła na sobie wzrok Muhammada, odwróciła się, zobaczyła go i odjechała. Muhammad Żyd rozpoznał w niej kobietę, która powitała go tego ranka.

- Daj mi ją - poprosił nazajutrz Firuz Chana.

- Będzie to wystarczająca zapłata za wszystkie klejnoty, jakie zechcesz.

Nazywała się Afak. Miała czternaście lat i tyle słodczy, że oczarowywała najbardziej zażartych wrogów. Muhammad Żyd pokochał ją tak mocno, że - jak mówili ludzie - zrobił się łagodny, pobłażliwy i nawet przyjaźnie nastawiony do świata. Najął siedem dziewcząt, żeby jej służyły, ozdobił pokój Afak jedwabnymi draperiami i poduszkami wyszywanymi perłami, a pod oknem założył ogród jaśminowy. Przynosił francuskie perfumy przemycane do Bandar Abbas na europejskich statkach, opłacał artystów z Teheranu, żeby malowali jej portrety. Wydawał uczyty i zapraszał wszystkich isfahańskich dygnitarzy, częstował ich winem w złotych kubkach i jagnięcina na wysadzanych szlachetnymi kamieniami półmiskach, po czym rozsiadał się i kazał im podziwiać dziewczynę, którą znalazł w górach Kurdystanu.

Potem Afak stała się brzemienna. Muhammad Żyd zbladł usłyszawszy tę nowinę i błagał ją, żeby zabiła płód.

- Nie chcę dziedziców - powiedział. - Nie chcę pozostawić po sobie żadnych śladów.

Wiedli spór przez kilka miesięcy. W końcu urodziła syna. Muhammad Żyd zobaczył chłopca i przeklął go publicznie.

Afak prosiła, żeby dał imię swojemu dziecku. Wybrał Esrafila - Anioła Śmierci - i przez całe życie nigdy syna nie dotknął.

W roku 1871 do Persji zawiał głód. Panował dłużej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać, i nim się skończył, zmarła trzecia część mieszkańców. Początkowo ludzie jedli padlinę, łapali węże, smażyli koniki polne i muchy, a nawet skorpiony. Żywili się liśćmi, korzonkami i gałęziami drzew. Dzieci łykały błoto, by przytłumić nieustanny głód. Ciężarne kobiety skrobały ściany i zużyły glinę. Kiedy nie pozostało już nic innego, zaczęto jeść zmarłych.

Upłynęło dziesięciolecie, zanim ktoś, kto przeżył Wielki Głód w roku 1871, ośmielił się przyznać do kanibalizmu. W normalnych czasach muzułmanie nie jadali ani wieprzowiny, ani niczego, czego dotyczył niewierny. Ormianie spożywali w piątki tylko rybę, a Żydzi obywali się w ogóle bez mięsa, jeśli nie było koszerne. Teraz wszyscy smażyli cienkie paski wycięte z ludzkiego ciała i połykali je, by żyć.

Codziennie czekano na cmentarzach - padlinożercy czaili się za kamieniami nagrobnymi obserwując ludzi, którzy chowali krewnych zmarłych z głodu. Kiedy pogrzeb się skończył, wykopywali ciała i wycinali z nich policzki, bicepsy i pośladki. Jeśli zwłoki były wychudzone i zbyt mało było na nich mięsa, otwierali brzuchy, zabierali jelita i wątrobę. Zazwyczaj potem zakopywali ciała, ale wielu zostawiało je sępom na pożarcie.

W drugim roku głodu Żydzi z teherańskiego getta napisali list w języku hebrajskim, prosząc żydowskich przywódców w Europie o pomoc.

W ten czy inny sposób, jeśli to możliwe - błągali - wywieźcie nas z płonącego piekła Persji do Ziemi Świętej albo weźcie pod swoje opiekuńcze skrzydła, albo pomóżcie nam wyemigrować do innych krajów.

Upłynął rok, zanim ten list powierzony posłańcowi, który wyjechał z Persji, dotarł do miejsca przeznaczenia. Europejscy i amerykańscy Żydzi zebrali dziewiętnaście tysięcy funtów brytyjskich i wysłali je do Persji, gdzie „miały być rozdzielone zarówno wśród Żydów, jak i nie-Żydów”. Rząd szacha Nasera ad-Dina, poszukując środków na sfinansowanie następnej podróży do Europy, chciał koniecznie opodatkować te pieniądze i dopiero pod presją Europy musiał ustąpić.

Więść o pieniądzach obudziła nadzieję w mieszkańcach Isfahanu. Karawany przywiozą

żywność, myśleli ludzie, wystarczająco dużo żywności, żeby uratować wszystkich. Mułowie, którzy zawsze ostrzegali przed niewiernymi, teraz zmuszeni byli jakoś wyjaśnić hojność Europy. Ogłosili, że żywność zesłana została przez Boga - na prośbę Jego Świątobliwości isfahańskiego Imama Piątka - i wobec tego Europejczycy bezprawnie przypisują sobie zasługę. Członkowie rodziny królewskiej, która nie zrobiła nic, żeby pomóc swoim poddanym, też byli zakłopotani. Oznajmili, że żywność wysłano z kuchni szacha, a fundusze zaczerpnięto z osobistego skarbcza Jego Królewskiej Mości. Żydzi, którzy znali prawdę, wierzyli tylko, że skończyły się ich cierpienia.

Mijały jednak miesiące, ludzie dalej umierali z głodu, a karawana z żywnością nigdy się nie pojawiła w Isfahanie. Do Żydów z wolna docierała świadomość, że w Persji nie ma żadnej żywności, którą można by kupić, a niewielka ilość sprowadzona z zagranicy znalazła się w rękach bogaczy; że pieniądze przysyłane z Europy krążyły pomiędzy perskimi urzędnikami i skorumpowanymi mułami i w końcu zniknęły w ich kieszeniach. Nie śmieli mimo wszystko porzucać nadziei. Choć okazała się płonna, jeszcze długo matki w Dżujibarze, układając dzieci do snu, obiecywały, że gdy nadejdzie ranek, do bram miasta przybędzie karawana z żywnością.

W domu Józefa Winiarza mała Pawica od dawna czekała na tę karawanę i każdego ranka budząc się nalegała, by szli jej szukać.

- Zabłądziła - wołała do Lejli święcie o tym przekonana i nic nie skłoniłoby jej do zmiany zdania. - Jeśli szybko jej nie znajdziemy, to zawróci i pojedzie z powrotem do Teheranu. I już jej do śmierci nie ujrzymy.

Skończyła siedem lat, była mała, chuda i tak koścista, że Lejla dziwiła się, że w ogóle może chodzić. Skórę miała ciemną i postarzałą z braku pożywienia. Zęby jej się psuły, zanim wyrosły. Była drobna i wątła. Miała jednak oczy matki - te zielone oczy, które przyprawiały serca mężczyzn o drżenie - i obdarzona była niezwykłym duchem.

Czasami gdy zostawały same i Pawica zasypiała w jej ramionach, Lejla patrzyła na swoje dziecko i wierzyła, że córka miała być piękna. Że dorósłszy przypominałaby ją; że byłaby silna i śmiała. Że los przyniósłby jej w udziale, jak to zapowiadała Estera Wróżka, szczęście i durnej Józef Winiarz zabrał Pawicę na żebrzy do Isfahanu. Niósł ją przez większość drogi do miasta, bo tak osłabła z głodu, że nie mogła chodzić zbyt daleko. Miała osiem lat. Wyrывała mu się przez cały czas, krzyczała i przysięgała, że nie pójdzie żebrac.

- Oni nie dadzą nam jedzenia - mówiła. - Nie karmią Żydów.

Józef Winiarz tłumił w sobie gorycz i modlił się o powodzenie. Od chwili powrotu Muhammada Żyda do Isfahanu w getcie krążyły pogłoski, że to syn Noego Złoto, bliźniaczy brat Lejli, spowodował masakrę w roku 1853. Ludzie wyprawiali się nawet do miasta, zaczajali pod domem Muhammada lub jego sklepem na bazarze, żeby na niego zerknąć, a potem wracali i mówili: Tak, Muhammad Żyd to doprawdy syn Noego Złoto. Przez cały ten czas Muhammad nigdy nie odezwał się do siostry w getcie. Kiedy zaczął się głód, sprowadzał żywność z zagranicy, wynajął uzbrojonych mężczyzn do walki z bandytami i złodziejami, którzy napadali na karawany, i rozdawał to, czego nie zjadł on i jego służba. Przez dwa lata jego kuchnia żywiła codziennie kilkadziesiąt osób - wyłącznie muzułmanów, ponieważ surowo nakazał przepędzać Żydów. Niemniej Józef Winiarz nalegał, żeby Lejla udała się do niego po pomoc.

- Jesteś jego siostrą! - krzyczał. - Urodziłaś się z tego samego nasienia, wyrosłaś w tym samym łonie. Człowiek nie może gardzić własną krwią!

Lejla nigdy nie poszła do brata. Muhammad Żyd nigdy po nią nie posłał.

Przeżyli pierwsze dwa lata głodu tylko dzięki Tarane Tulipan. Zjawiała się w getcie raz w miesiącu ubrana w piękny strój, jadąc na arabskiej klaczy z ufarbowanym na czerwono ogonem. Przywoziła Lejli worek ryżu, beczułkę oleju i bańkę wody. Śpiewała dzieciom i grała na santorze w winiarni Józefa. Jednakże Tarane Tulipan w roku 1873 wyjechała z Isfahanu; ojciec jej męża przestał być namiestnikiem miasta. Przeniósł się do Teheranu i zabrał do stolicy wszystkie swoje dzieci, żeby zamieszkały razem z nim. Tarane Tulipan przyjechała pożegnać się z Dżujibarem. Józef Winiarz płakał, widząc, jak odjeżdża. Wiedział, że bez niej wszyscy umrą z głodu. Raz jeszcze pomyślał o Muhammadzie Żydzie.

Pod jego domem w Isfahanie Józef zobaczył oczekujący tłum, dołączył więc do niego. Był późny ranek, kuchni jeszcze raz otwarto dla żebraków. Znalazł miejsce koło głównej bramy i opuścił na ziemię Pawicę.

- Kiedy otworzą bramę - powiedział wolno, żeby zapamiętała - przepchnij się do środka i nie zatrzymuj, dopóki nie znajdziesz kuchni.

Wręczył jej pusty płócienny worek.

- Daj ten worek służącemu i poproś, żeby go napelniono. Powiedz, że jesteś siostrzenicą Muhammada Żyda, córką Lejli, i umrzesz, jeśli cię nie nakarmią.

Koło południa bramę otworzono i wszyscy żebracy wtargnęli do środka. Józef trącił

Pawicę i pchnął ją do przodu.

- Idź - powiedział, ale głos mu się łamał. - Wróc z jedzeniem.

Pawica przycisnęła worek do żółtej łąty na piersiach i szybko ruszyła za innymi przez pusty ogród. Weszła na podwórze tak duże jak główny plac w Dżujibarze. Zobaczyła kuchnię; żebracy już ustawili się przed nią w ogonku. Zająła miejsce i czekała. Nie podniosła głowy, dopóki nie nadeszła jej kolej. Właśnie otwierała worek przed służącą, która rozdelała jedzenie, gdy ktoś ją pchnął.

- Żadnych Żydów.

Zrobił to chłopiec, Esrafil, syn Muhammada, młodszy od niej. Ona jednak była słaba, głodna i wystraszona, więc się przeraziła.

- Powiedziałem, żadnych Żydów.

Pchnął ją znowu. Upadła. Wyrwał jej z ręki worek i rzucił na ziemię. Pawica chciała po niego sięgnąć, ale zagroził jej drogę.

- Wynocha. - Kopnął ją.

Popatrzyła na niego. Oczy miał żółte. Zobaczyła je i już wiedziała, że jest smutny, przerażony i niechciany.

Podniosła się z ziemi i dała chłopcu nauczkę, uderzyła go tak mocno w pierś, że nie mógł złapać powietrza i upadł. Służący ruszyli w ich stronę, ale Pawica chwyciła swój czador i już miała uciec, gdy ktoś ją chwycił.

- Ona mnie uderzyła - poskarżył się chłopak. - Ta żydowska dziewczynka mnie uderzyła.

Kobieta przyklękła i popatrzyła na jej twarz.

- To dziecko jest głodne - powiedziała i Pawica poczuła, że złość jej mija. - Musimy ją nakarmić, zanim Muhammad wróci do domu.

Chłopiec zaczął protestować. Kobieta wzięła Pawicę za rękę i zaprowadziła do kuchni, z dala od zazdrosnych oczu innych żebraków i groźnych spojrzeń służących.

Chłopiec biegł za nimi.

- Ale ojciec mówił: „żadnych Żydów”.

Weszły do domu pełnego słońca i zapachu życia, przeszły przez pokoje z mnóstwem jedwabi, koronek, aksamitów, perskich dywanów i dębowych szaf, w których jak sobie wyobraziła Pawica, ktoś zamknął wszystkie skarby świata. Zatrzymały się w magazynie.

Kobieta pochyliła się i wyjęła jej worek z ręki.

- Wracaj, kiedy tylko zechcesz - szepnęła, otwierając drzwi w ścianie.

Były tam worki pełne ryżu i mąki, tace migdałów, orzechów i daktyli, kosze suszonych warzyw i owoców. Kobieta napełniła worek. Wzięła z tacy daktyla i podała go Pawicy.

- Masz - powiedziała. - Zjedz to teraz.

Pawica poczuła cukier na języku i usiłowała go połknąć, ale słodycz wydała jej się przytłaczająca, musiała zwymiotować.

- Ona jest chora! - wykrzyknął z obrzydzeniem chłopiec, gdy na czador i obuwie dziewczynki trysnęła żółć. Afak schyliła się, żeby jej pomóc, lecz Pawica wypuściła worek z ręki i zaczęła uciekać, - Zaczekaj! - wołała Afak, Pawica jednak wybiegła przez drzwi, przez dom i wypadła za bramę na ulicę pełną kurzu i głodu, gdzie Józef Winiarz przyjął ją z chłodnym przerażeniem.

Przez całe życie Pawica będzie opłakiwać jedzenie, które wtedy zostawiła.

Tarane Tulipan przyjechała z Teheranu zobaczyć się z Lejlą. Przywiozła żywność i nadzieję, i optymizm, który chronił ją zawsze przed utratą sił życiowych. Siedziała na podwórku w domu Józefa Winiarza, nad schodami prowadzącymi do winiarni w piwnicy, i trzymała Pawicę na kolanach. Dziewięcioletnia Hanna spała w cieniu jednej z kolumn okalających ganek. Drżała we śnie. Była chuda i wątła, ale wciąż śliczna. Tarane Tulipan uświadomiła sobie, że Hanna wkrótce umrze z głodu.

- Wydaj za męż córki - powiedziała Lejli. - Skoro nie możesz ich wyżywić, daj je komuś, kto będzie mógł.

Lejla uśmiechnęła się gorzko i potrząsnęła głową. Nawet gdyby nie było głodu, odparła, kto poślubiłby córki Józefa Winiarza, a prawnuczki Estery Wróżki, którą ukarano za cudzołóstwo?

Tarane Tulipan nie dawała za wygraną.

- To daj je jakiemuś muzułmaninowi - nalegała. - Znajdź bogatego muzułmanina i módl się, żeby były kochane.

Powiedziała Lejli o Zilu as-Sultanie. Był to najbardziej wpływowy z synów Nasera ad-Dina, bardziej lubiany od następcy tronu, i szach powierzył mu zarządzanie całą południową połową Persji. Jego tytuł, Zil as-Sultan, znaczył „Cień Króla”. Rozporządzał władzą ustępującą jedynie władzy szacha. Przyjechał do Pałacu Czterdziestu Kolumn na miejsce teścia Tarane jako

namiestnik Isfahanu, przynosząc promień nadziei Żydom. W bliskości panującego albo jego dzieci mułłowie mieli mniejszą władzę; w Teheranie, gdzie mieszkał szach, i w innych miastach, w których gubernatorami byli jego synowie, zdecydowanie rządu dochodziło do pogromów i prześladowań.

Zil as-Sultan budził jednak lęk. Był szczodry, ale okrutny; silny, ale porywczy. W żyłach wszystkich jego czterech stałych żon płynęła błękitna krew, lecz poślubił je tylko po to, by zapewnić sobie pozycję u potężnych rodów teherańskich. Odnosił się do stałych żon z obojętnością, większość czasu spędzał z setkami żon chwilowych, które poślubiał zawierając kontrakt na czas ograniczony i oddał, gdy tylko skończył się ten okres.

- Zaprowadź Hanne do Zila as-Sultana - ponaglała Tarane Tulipan Lejlę. - Nie mów im, że jest Żydówką, bo jak się dowiedzą, haremowi rzeźnicy ją otrują. Podaruj ją księciu i módl się, żeby ją polubił.

Lejla zrozumiała, że nie ma wyboru, ponieważ wkrótce niedożywione córki umrą, a ona też niedługo się zagłodzi i pozostawi dziewczynki bez nadziei. Pewnej nocy, gdy Józef zasnął, wykopała spod podłogi w winiarni niewielki skarb, który tam ukrył na wypadek pogromu. Było tam dwanaście złotych bransolet i dwie złote monety - kiedyś podarował je rodzicom Chatun i odebrał po śmierci panny młodej. Lejla wypełniła dziurę ziemią i zakryła ją dywanikiem. Następnego dnia powiedziała mężowi, że idzie zebrać o jedzenie w Isfahanie. Zamiast tego poszła na bazar.

Sprzedawała bransolety i kupiła za nie koronki, zamówiła atlas i kryształy górskie, i parę białych pantofelków z kwiatkami wyszywanymi jedwabiem. Przemyciła materiał do domu i codziennie w tajemnicy szyła. Połączyła pasy koronki i atlasu, uszyła pięciowarstwową spódnice, kaftanik, długą zasłonę, którą ozdobiła kryształkami górkimi, aż cała lśniła. Z większych kryształów zrobiła nieduży diadem. Właśnie dokończyła pracę, gdy Józef Winiarz odkrył, że bransolety zniknęły.

- Złodzieje! - krzyknął pewnego wieczoru i zwrócił się o wyjaśnienia do żony. Lejla chwyciła w ramiona Hanne, zarzuciła na plecy węzełek z ubraniami i wybiegła z domu.

Było ciemno, Hanna się bała. Szły do Isfahanu, kryjąc się w cieniu murów i zatrzymując na każdym rogu. Nikomu, a tym bardziej Żydom, nie wolno było chodzić w nocy po ulicach Isfahanu. Szach i jego dziedzice podejrzewali, że świat przeciwko nim spiskuje, wprowadzili więc stałą godzinę policyjną, by uniemożliwić konspiratorom spotkanie się pod osłoną

ciemności.

Po ulicy Czar Bag w Isfahanie przechadzał się nocny strażnik z latarnią zawieszoną na długiej drewnianej żerdzi. Do jego obowiązków należało aresztowanie każdego, kto nie znał hasła na tę noc utrzymywanego w tajemnicy wśród najbardziej zaufanych przyjaciół Zila. Był jednak pijany i gdy przechodził koło Lejli, zamroczone przez arak oczy jej nie spostrzegły.

- W cieniu Króla każdy jest bezpieczny! - wykrzyknął, znikając na końcu ulicy.

Dotarły do Placu Szacha. Lejla czekała na świt i wezwania na poranny namaz - muzułmańską modlitwę odmawianą publicznie pięć razy dziennie - rozbrzmiewające z minaretu Meczetu Szacha. Potem pokazała Hannie weselne szaty.

- Mam zostać zaślubiona? - zdumiała się dziewczynka.

Lejla ujęła jej twarz w swoje dłonie. Przyklękła i ucałowała oczy córki.

- Masz się starać - odparła.

Patrzyła, jak Hanna wkłada ślubne szaty. Dała jej pantofle, włożyła na głowę diadem, narzuciła zasłonę. Potem położyła jej rękę na głowie i pobłogosławiła.

- Otwórz dłonie - powiedziała i na każdej z nich umieściła złotą monetę.

- Trzymaj je w zaciśniętych rękach, nie pokazuj nikomu oprócz męża.

Weszły na zatłoczoną ulicę, kobieta w wypłowiałym czadorze prowadząca dziewczynkę w ślubnej szacie. Poszły ulicą Czar Bag na Plac Szacha, przez plac w stronę Ali Kapu, gdzie chronili się złodzieje i mordercy. Ludzie się na nie gapili, mężczyźni wychodzili ze swoich sklepów szli za nimi, kobiety, ciągnąc dzieci, wybiegały z domów, żeby na nie popatrzeć.

Już w Ali Kapu Lejla zatrzymała się i zwróciła twarz ku Hannie.

- Zostań tu - rozkazała, choć serce pękało jej z bólu. - Nie ruszaj się stąd, dopóki nie przyjdą po ciebie z pałacu.

Odwróciła się i odeszła. Nigdy więcej nie ujrzała córki.

I tak pierwszego dnia pierwszego miesiąca lata roku 1875 Hanna stała w południe w palących promieniach słońca i wpatrywała się w ogród Pałacu Czterdziestu Kolumn. Nie wiedziała, dlaczego tam się znalazła i czego ma oczekiwać. Stała, błyszcząc jak diament w świetle, ubrana w strój skromny, biały i piękny, a jej zasłona odbijała promienie słońca, oślepiając nawet najbardziej obojętnych przechodniów, tak że przystawali i gapili się na nią. Zadawali pytania, na które nie umiała odpowiedzieć, przesłuchiwali ją, lecz tknąć jej nie śmieli.

Stała otoczona gęstniejącym tłumem i czekała, jak przykazała matka - czekała, a tymczasem dzień ustąpił wieczorowi i słońce zapadło w cienistych zakątkach Pałacu Czterdziestu Kolumn. W końcu Zil as-Sultan usłyszał o dziecięcej panie młodej w diademie z kryształów górskich czekającej w Ali Kapu.

- Przywieźcie ją do mnie - rozkazał.

Strażnicy zabrali Hannę na wewnętrzny podwórzec pałacu i unieśli jej zasłonę przed Zilem as-Sultanem. Uśmiechnął się na widok jej piękna. Pomyślał, że ma szczęśliwą twarz.

- Kto cię zostawił? - zapytał, ale Hanna bała się odpowiedzieć. - Jak masz na imię? Skąd pochodzisz?

Milczała. Stała przed nim zagubiona, przerażona, oniemiała i drżąca, potem wyciągnęła ramiona i otworzyła dłonie, ukazując na każdej z nich złotą monetę. Zil as-Sultan był zaskoczony.

Posłał ją do swojej haremowej ulubienicy, a ta obejrzała ją od stóp do głów i była zadowolona. Wezwała mułłę, który ogłosił, że Hanna jest muzułmanką, i wydał ją za Zila as-Sultana. Dostała nowe imię: Tadżbanu - Pani Korony. Nie pytano jej nigdy o rodzinę. Przybyła do jego haremu i odtąd nie miała innego życia. Drzwi się zamknęły, przeszłość przybladła i Hanna wiedziała, choć tego jej nie mówiono, że nigdy nie będzie mogła obejrzeć się za siebie. W haremie żony ją rozebrały, zbadały włosy i ciało. Namaściły jej skórę oczyszczającymi ziołami i wyszorowały uzdrawiającymi kamieniami. Polały brzuch olejem, uperfumowały włosy i zanurzyły ją w płytkim basenie z ciemnoniebieskich kafelków napełnionym źródlaną wodą ogrzewaną stałym płomieniem. Umyły i osuszyły skórę, po czym natarły jaśminową esencją. Podmalowały powieki azotanem srebra, a wargi i policzki ubarwiły płatkami róż, ozdobiły włosy perłami, zawiesiły na szyi diamenty. Nauczyły ją, jak ma chodzić przed księciem, jak mówić. Potem zaprowadziły do jego sypialni. Miała dziewięć lat i gdy Zil as-Sultan całował ją tej nocy, wyczuł w jej ustach chwiejący się ząb.

Muhammad Żyd stał się obcym we własnym domu. Narodziny syna wytworzyły między nim a Afak dystans, którego nie potrafił pokonać. Kiedy widział ją z Esrafilem, mógł tylko myśleć o Noem Złoto i Kamar Cygance, o ciemnej izbie w getcie, gdzie woda, którą pił, roila się od robactwa. Nie mógł dzielić się z Afak swym cierpieniem, ale oczekiwał, że go zrozumie, a gdy tak się nie stało, zrobił się obojętny i równie srogi wobec niej jak wobec obcych. Zostawiał ją

z dzieckiem i wyruszał w jedną podróż po drugiej, powracając za każdym razem na krócej i z większą udręką. Spał z nią jeszcze tylko raz i znów zaszła w ciążę. W roku 1875 wyjechał z Isfahanu i zagroził, że nigdy nie wróci. Wtedy był już zgubiony: odnalazła go Szalona Maruszka i wybierała się w odwiedzin.

Pewnego dnia wczesnym rankiem załomotała w drzwi jego domu, budząc domowników. Było jeszcze ciemno, ale służący otworzyli drzwi. Ujrzeni starą kobietę o długich włosach związanych w węzeł, skórze pełnej blizn i strupów, tak brudną, że rozkasłali się od bijącego od niej smrodu.

- Zawołajcie swoją panią - warknęła. Wiedziała, że Muhammad wyjechał. Ucałowała kolana Afak.

- Proszę - błagała. - Potrzebuję pracy.

Afak nie potrzebowała służących. Nie wolno jej było najmować nikogo bez zgody męża. Poruszyły ją jednak starość, ubóstwo i odrażający zapach Maruszki. Pozwoliła jej zostać.

- Spełnię każde twoje polecenie. - Szalona Maruszka popłakała się z wdzięczności, roniąc łzy na dłoń Afak. - Odbiorę ci nawet poród.

Odnosiła się do swojej pani z matczyną życzliwością. Usługiwała Afak w dzień i w nocy, stała się jej przyjaciółką, zyskała zaufanie. Kiedy Afak zaczęła rodzić, Maruszka zabrała ją do sypialni i usłała na podłodze łoże z prześcieradeł i poduszek. Kazała Afak kucnąć na prześcieradłach, zamknęła drzwi od wewnątrz i zabroniła służbie wzywać akuszerkę.

Poród trwał przez cały dzień i noc. Skurcze były długotrwałe i częste, ale rodzenie powolne, a łono Afak niechętnie. Szalona Maruszka usiadła przy niej i masowała jej plecy, obmywała twarz zimną wodą, podtrzymywała, gdy Afak nie miała już siły kuć. Nazajutrz o świcie wsunęła jej rękę do środka i oznajmiła, że nadszedł czas.

- Przyj - rozkazała. - Jest tutaj.

Afak zebrała siły i parła. Wokół nadgarstka Maruszki chlusnęła krew i pojawiła się główka dziecka. Szalona Maruszka chwyciła ją i wepchnęła z powrotem.

- Przyj! - krzyknęła znowu. - Przyj mocniej. Poczwała, że główka ugina się pod jej palcami.

- Przyj. Skręciła szyję.

Afak w panicznym strachu uświadomiła sobie, że za chwilę zostanie zamordowana razem

z dzieckiem. Zaczęła się szarpać, zrezygnowała jednak pod wpływem kolejnego skurczu. Szalona Maruszka zlaną potem, zwycięska, podniosła wzrok i ujrzała Esrafilą - stał na balkonie pod oknem sypialni z rękami rozpostartymi na szybie, z twarzą zniekształconą w niemym krzyku. Zaniepokojona uwolniła na chwilę napór na Afak i pozwoliła na ostatnie parcie.

Afak urodziła, potem odchyliła się do tyłu, zamknęła oczy i umarła.

Słyszając po raz pierwszy śpiew Salomona Mężczyzny późną nocą, gdy całe getto spało i nawet koty ucichły, Pawica usiadła drżąc na łóżku i pomyślała o ucieczce z domu ojca.

Była to noc święta Jalda, najdłuższa noc w roku, którą dawni Persowie czcili muzyką, pieśnią i opowiadaniem starych legend dzieciom wokół ognia. Kiedyś dawno, przed zarazą w roku 1866, Józef Winiarz zostawiał winiarnię otwartą w tę noc. Wyciągał skrzypki i śpiewał klientom głosem szorstkim i ochrypłym, dopóki ktoś nie poprosił, żeby przestał.

- To nic takiego - przyznawał klientom - ale byłaby ładna ta muzyka, gdybym wiedział, jak ją odpowiednio zagrać.

Lecz dźwięki muzyki dawno umilkły w Dżujibarze. Przez te wszystkie lata od urodzenia Pawicy Józef Winiarz nigdy nie grał na skrzypkach. Muzyka - tak jak deszcz - była tylko mglistym wspomnieniem we snach wszystkich.

Toteż owej nocy gdy usłyszała pieśń Salomona, Pawica pomyślała, że śni, i zamknęła znów oczy. Czuła, że cierpka gorycz głodu podchodzi jej do gardła, podciągnęła więc kolana do piersi i w ciemnościach obok siebie poszukała ciepłego ciała Hanny. Wymacała jednak tylko gołe prześcieradło. Przypomniała sobie, że siostry nie ma, zniknęła bez wieści, zupełnie jakby nigdy jej nie było. Usiłowała ponownie zasnąć, lecz muzyka i śpiew nie cichły. Był to męski głos, jakiego nie słyszała nigdy przedtem. Rozbrzmiewał przy cichych dźwiękach fletu, głęboki, aksamitny i przepełniony bólem tysięcy serc. Śpiewał o smutku, o zabłąkanej miłości, o nocach zimnych i pustych, spędzanych przy winie i muzyce samotności.

Pomiędzy strofkami mężczyzna grał na flecie. Poszczególne nuty melodii unosiły się w powietrze - jak pyłki, które zamieniały pustynię snu Pawicy w fiołkowe pole. Lejla leżąca obok też się przebudziła. Zaintrygowana muzyką, tym głosem, który buchnął z ciszy kilkunastu lat, wstała z łóżka i poszła do drzwi. Wyjrząwszy przez szparę na podwórko, zobaczyła, że otwierają się drzwi innych mieszkań i ludzie wychodzą posłuchać.

Pawica naśladowując matkę, też podeszła do drzwi. Chwilę później zbudził się Józef.

- Odejdźcie stamtąd! - ryknął. - Kobiety nie mają po co wyglądać na dwór w środku nocy!

Podciągnął spodnie i wsunął stopy w płócienne pantofle. Wyjdzie na dwór, mamrotał, znajdzie źródło tego hałasu i go uciszy. Pawica przyglądała się ojcu. Jego ciało wyglądało jak stos kości, na których powieszono skórę znacznie większego mężczyzny. Poruszał się z trudem w ciemnościach. Modliła się w duchu, jak sobie uświadomiła, żeby ojciec nie odnalazł intruza, żeby nie udało mu się go odpędzić i uciszyć tego głosu. Kiedy wyszedł, powróciła do drzwi i wyjrzała.

Na podwórku stali zasłuchani ludzie - mężczyźni, kobiety i dzieci o sennych oczach, wielkich głowach i rozdętych brzuchach. Od wielu lat sen omijał Dżujibar. Głód osłabił ludzką wytrzymałość, choroby naraziły na cierpienia. Błąkali się po nocy - duchy, które mimo wszystko odczuwały ból, miały wspomnienia - kładli się tu i ówdzie, gdy gasło w nich życie. Nie znajdowali powodu, by wracać do własnych domów, gdzie bliscy umierali w ich ramionach, gdzie nie było ognia, jedzenia ani spokoju.

- Głos dolatuje z drugiego końca ulicy - powiedział jeden z mężczyzn. - To musi być jakiś podróżny, co zgubił drogę.

Muzyka ucichła. Potem usłyszeli śmiech - nagły i spontaniczny, niemal nierzeczywisty, wybuch czyjejś niepohamowanej radości, tak uderzający i fantastyczny jak muzyka, która przebudziła Dżujibar.

Pawica otworzyła drzwi i wyszła na podwórko. Oparta o kolumnę otuliła się szczerze czadorem i przymknęła oczy. Słuchała, mając nadzieję, że wyłowi z ciemności ostatnie echa muzyki i zachowa je na zawsze w sercu. Lecz muzyka ucichła. Słyszeć było inny dźwięk - cichy, miarowy szum, który pamiętała z przeszłości, ale nie potrafiła go skojarzyć. Otworzyła oczy. Powietrze pachniało wilgotnym kurzem - słodkim, przesłodkim zapachem życia. Kropla spadła jej na policzek.

Ten nieznaną śpiewak grający na flecie sprowadził deszcz do Dżujibaru.

Szalona Maruszka wróciła. Opłaciły jej się zbrodnie.

Przeniosła się do sypialni Afak, nosiła jej ubrania i sypiała w jej łóżku. Rządziła domem Muhammada Żyda, spraszała gości, wydawała sute uczyty, wynajmowała mężczyzn, żeby spali w jej łóżu i jedli w jej kuchni. Składała zamówienia u krawców, złotników i kupców, co dzień spędzała wiele godzin przed lustrem. Malowała policzki i powieki, czesała włosy i wplatała w nie sznury pereł Afak, usiłując przydać sobie urody, którą nigdy nie mogła się szczycić, i młodości,

która dawno minęła. Przez cały ten czas ani razu nie dręczyło jej poczucie winy, nie prześladowała pamięć Afak ani nie trwożył lęk i nienawiść widziane na twarzy Esrafila.

Muhammad Żyd wrócił do Isfahanu wiele miesięcy po urodzeniu się córki. Jechał przez miasto na swoim arabskim rumaku, skradziony rubin wciąż błyszczał nad jego czołem, a w pewnej odległości za nim podążała karawana osłów obładowana antykami. Dojechał do Isfahanu w południe. Na ulicach panowała cisza, słychać było tylko echo południowego namazu odbijające się od sklepionych dachów w uliczkach biegnących od meczetów. Muhammad Żyd nie zatrzymał się, żeby się pomodlić. Jechał w stronę domu, minął żelazną bramę, różane ogrody i sady zniszczone przez suszę.

Zostawił konia w stajni i poszedł do głównego budynku. Drzwi były szeroko otwarte. Korytarz prowadzący z ogrodu na podwórko zalatywał zapachem koni i męskiego potu. Na balkonie stały dwie służące z twarzami tylko do połowy zakwefionymi i chichotały z młodym mężczyzną, którego Muhammad nie znał. Kiedy dziewczyny go zobaczyły, zasłoniły szczelnie twarze czadorami i uciekły. Mężczyzna pozostał na miejscu, patrzył na Muhammada zuchwałymi oczami.

Muhammad Żyd wkroczył do kobiecej części domu i ruszył w górę po schodach. Drzwi do wszystkich pokoi były otwarte, porządne niegdyś meble w nieładzie. Na schodach dźwięczał śmiech kobiet. Któraś z nich niezakwefiona podeszła do drzwi i zerknęła na niego, gdy przechodził.

Na drugim piętrze skierował się do sypialni Afak. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Zalane słonecznym światłem łóżko było nieposłane, podniesiona moskitiera unosiła się nad nim jak koronkowa piramida. Panował tu upał. W pokoju, jak uświadomił sobie natychmiast, pachniało Szaloną Maruszką.

Stała na balkonie przy sypialni. Miała na sobie ubranie Afak, jej pantofle, jej klejnoty, wysadzany perłami grzebień we włosach. Zobaczyła Muhammada i wróciła do pokoju.

- Twoja żona nie żyje - powiedziała. - To ja ją zabiłam.

Muhammad Żyd nie wyobrażał sobie, że mógłby pozbyć się Maruszki, teraz gdy go odnalazła. Zostawił jej wszystko, a sam pogrążył się w żałobie. Poczował się do winy, że zostawił Afak samą i nawet jej nie ostrzegł. Córce dał na imię Sanam i zabrał ją do siebie, do oddzielonej części domu. Esrafila nie wziął. Całkowicie go ignorował.

Sanam urodziła się zdeformowana i niedorozwinięta. Głowę miała zniekształconą, szyję

skreconą, oczy przerażone. Jako niemowlę darła się tak okropnie, że mamki paliły opium - miały nadzieję, iż uspokoi ją mleko z dodatkiem narkotyku. Później, zanim jeszcze zaczęła chodzić, dostawała tak gwałtownych ataków wściekłości, że musiały ją przyciskać do ziemi i na siłę rozwierać szczęki, by mogła oddychać. Nigdy nie nauczyła się mówić. Wydawała tylko piskliwe wrzaski, które wprawiały niańki w drżenie, i dlatego nie mogły jej pokochać. Nie poznawała nikogo - nawet Muhammada - i nikt nie mógł jej dotykać. Przy pierwszym kontakcie zaczynała krzyczeć, zrywała z siebie ubranie i biegła nago po domu. Służące goniły ją po ogrodzie, gdzie wspinała się na drzewo jak kot i chowała w gałęziach.

Muhammad Żyd sprowadzał doktorów z Teheranu, Bagdadu i Rosji. Pisał do Anglika poznanego w Indiach, zasięgał porad i opinii nawet w dalekiej Europie. Wszyscy mówili to samo: stan Sanam nigdy się nie polepszy. Dla niej byłoby lepiej, gdyby umarła.

- Dajcie jej trutki na szczury - radziła żartobliwie Maruszka, ilekroć widziała, że służące gonią Sanam. - Wsadźcie ją do płóciennego worka i wrzucicie do rzeki.

W wieku czterech lat Sanam zrobiła się niebezpieczna dla siebie i innych. Atakowała Muhammada, tak mocno waliła głową w ścianę, że pękła jej kość czołowa. Wpakowała ręce w rozżarzony węgiel na spodzie pieca, na skutek czego palce stopiły jej się w jedno. Ściągała z ognia garnki z gotującą się wodą i rzucała nimi w służbę. Pewnego razu usiadła na kuchni, pod którą rozpalono ogień, i nieczuła, że ją parzy, aż było za późno. Po tym wypadku Muhammad Żyd kazał przywiązywać ją do łóżka. Wszyscy lekarze po kolei przestawali ją odwiedzać, niańki nie przychodziły do pracy, żeby nie wiem ile płacił im Muhammad, a służące, nie mogąc wytrzymać cierpień dziecka, za wszelką cenę jej unikały.

- Zabijcie ją - powtarzały Muhammadowi co roku, gdy Sanam rosła i cierpiała coraz większe katusze. - Uwolnijcie ją od cierpień.

Muhammad wiedział, że powinien tak postąpić - byłby to akt największego miłosierdzia - a jednak odmawiał. Przypatrywał się czasami córce po ataku szaleństwa - gdy już ją powściągnięto, uspokojono i przywiązano do łóżka. Będzie leżała spokojnie przez wiele godzin i stopniowo jej twarz uwolni się od udręki. Wtedy już nie będzie groźna ani nawet brzydka. Jej skóra będzie jaśnieć, oczy zaszklą się łzami, potem się uśmiechnie, zamknie oczy i uśnie.

Muhammad Żyd wiedział, że potrafiłby zabić każdego, lecz nie tego anioła, który leżał śniąc w łańcuchach.

Salomon Mężczyzna był prawnukiem Pięknego Eliasza, kochanka szacha Abbasa II. To w pogoni za nim dawno temu, w siedemnastym wieku, szach zagroził zniszczeniem całego miasta Kaszan. Przybył tam z kawalkadą lwów i słoni.

U bram miasta powitało go grono przystojnych młodzieńców, dobranych specjalnie przez namiestnika, by sprawić przyjemność Jego Królewskiej Mości. Kiedy szach dokonywał ich przeglądu, mułłowie modlili się głośno za jego zdrowie, ormiańscy księża recytowali wyjątki z Nowego Testamentu, naczelnny rabin Kaszanu śpiewał hebrajskie strofy, lecz szach Abbas II widział tylko jednego młodzieńca.

- To Żyd - opisywał później Eliasza swoim żołnierzom - z twarzą piękną jak księżyc i małym pieprzykiem koło ust. Sprowadźcie mi go, bo inaczej już nigdy nie usnę.

Eliasza tymczasem ukrył się przed żołnierzami szacha w kaszanskim getcie; miał żonę, od niedawna był ojcem i nie życzył sobie zostać kochankiem króla.

- Poddaj mi się - powiedział szach Abbas II i wysłał swoje wojsko do getta. - Przyjdź do mnie albo zniszczę Kaszan i żywcem pogrzebię wszystkie jego dzieci.

Salomon Mężczyzna był wysoki i smukły, ciało miał muskularne, skórę niestarzejącą się i jędrną, ciemną karnację, lśniące czarne włosy, skrzące się onyksowe oczy. Był w nim spokój i niewinność; potrafił rozmawiać z obcymi, jakby chodziło o starych przyjaciół, miał uśmiech w oczach nawet w obliczu cierpienia. Szczęście, jak się wydawało, towarzyszyło Salomonowi wszędzie. Opatrzność mu sprzyjała, Bóg darzył go uśmiechem.

Przybył do Isfahanu w roku 1875 - sam jeden, bez grosza, tylko z fletem, na którym sam nauczył się grać. Przyszedł poszukując szczęścia, jak powiedział, do księcia Ziła as-Sultana, namiestnika Isfahanu, żeby zademonstrować mu swoje talenty. Jego obecność zaniepokoiła Żydów. Smucili się od tak dawna i nie znajdowali żadnego powodu do radości. Przez wieki życia w Persji przyswoili sobie pogląd mułłów, że muzyka i pieśni to dzieło diabła - godne jedynie ludzi tak niskiego stanu jak Winiarz.

- Musisz skończyć z tym śpiewaniem - powiedział reb Jahja trzeciego wieczoru pobytu Salomona w Dżujibarze.

- Śpiew jest dla nierządnic, a muzyka dla błaznów. Znajdź sobie jakieś zajęcie i żyj jak człowiek obyczajny.

Salomon Mężczyzna uśmiechnął się do reba Jahji i zaoferował mu czarnekę wina. Nazajutrz

udał się do miasta, znalazł pałac Ziła as-Sultana i zapukał do jego bram.

Strażnicy prosili, żeby sobie poszedł. Jego Książęca Wysokość nie przyjmuje Żydów, powiedzieli. Salomon pozostał jednak przy bramie, czarując strażników swoją urodą i uśmiechem. Potem wyjął flet i zaśpiewał. Odśpiewał trzy wiersze, zanim jego głos doleciał do wewnętrznych komnat pałacu. Usłyszał go Zil as-Sultan, wyszedł i od tej pory Salomon Mężczyzna siadywał z księciem.

Oddawał się przyjemnościom i rozpuście. Podbijał każdego: króla i błazna, muzułmanina i Żyda. Nigdy nie ukrywał, że jest Żydem, ale ludzie z nim zaprzyjaźnieni nie uważali go za nieczystego. Nierządnicę sypiały z nim za darmo, damy z klasą i charakterem płaciły mu za miłość, a bogaci mężczyźni z dobrych rodów całkowicie mu ufali.

Raz w miesiącu Salomon Mężczyzna spraszał do siebie tuzin nagich nierządnic i bawił się z nimi w miłosną grę: leżał na wznak otoczony wianuszkami kobiet, umieściwszy złotą monetę na czubku wzwiedzonego członka. Nierządnicę próbowały unieść językiem pieniędzy nie strącając go i nie używając rąk. Ta, której się udało, zatrzymywała złotą monetę. Jeśli żadna nie zdołała tego zrobić, Salomon Mężczyzna dawał im drugą szansę.

Miał jedną cechę ujmującą każdego: niepohamowaną pasję do rzeczy pięknych, obsesję miłości, gotowość poświęcenia wszystkiego dla natychmiastowej przyjemności. Wychował się w biedzie, a wydawał pieniądze, jakby zawsze był królem. Przez całą noc śpiewał w pałacu, rano zaś za wszystkie zarobione pieniądze wynajmował muła obciążonego żywnością, którą zabierał do getta, by karmić dzieci. Dostawał prezenty od bogatych kochanek i oddawał je innym. Otrzymał od księcia worek pełen złota i przepuścił je jednej nocy w Zamku.

- Cięży na mnie przekleństwo - śmiał się, gdy reb Jahja przyszedł go ostrzec przed grzechem braku umiaru. - Urodziłem się, żeby dobrze żyć.

Wzbogacił się tak szybko, że nie wiedział, co począć z pieniędzmi. Postanowił zbudować dom, biały budynek z oknami, ogrodem i tak wielką kuchnią, by móc nakarmić stu ludzi w ciągu jednego dnia. Chciał kupić grunt, ale w getcie nie było wolnej ziemi, ponadto mułowie Żydom pozwalali budować tylko domy parterowe. Niewiernym, jak twierdzili, nie wolno pozwolić na wywyższanie się nad szyitów. Żyd nie może mieszkać na piętrze w tym samym mieście, gdzie po ulicy chodzą muzułmanie.

Salomon Mężczyzna o tym wiedział, a mimo to kupił najlepszy dom w getcie, po czym go zburzył. Na jego miejscu zaczął budować inny, piętrowy i z oknami.

Reb Jahja był przerażony.

- Rozbierz go jeszcze dzisiejszej nocy! - krzyknął do Salomona, ujrawszy budowany dom. - Zburz, zanim go zobaczą i przyjdą wytarzać cię w błocie.

Salomon Mężczyzna zachował dom i nie przejmował się skargami mułłów. Miał pozwolenie wydane osobiście przez Ziła as-Sultana. Gdy ukończono budowę, książę przybył do getta; obdarował Salomona złotem i tuzinem nierządnic. Potem zasiedli razem i popijali najstarsze wino Józefa Winiarza, póki nie usnęli.

- Koniec świata - oświadczył reb Jahja na widok Ziła as-Sultana opuszczającego rankiem dom Salomona. - Jagnię i lew ułożyły się do snu w jednym legowisku.

Salomon Mężczyzna będzie przez wiele lat mieszkał w Dżujibarze. Dla tych, którzy go znali, jego przybycie oznaczało początek nowych czasów w getcie. Od chwili gdy się pojawił, zaczął padać deszcz i nie ustał, dopóki nie skończył się głód i do rzek nie powróciło życie. We dnie szumiało od opowieści o rozpuszczeniu Salomona, a noce rozbrzmiewały dźwiękami jego muzyki. I jak tylko się zaśmiał, oszołomione getto cichło, jakby w oczekiwaniu na wielką chwilę, gdy tworzą się wspomnienia i zaczyna historia.

Tarane Tulipan przynosiła Lejli wieści o córce. Raz w roku udawała się do Isfahanu i przy tej okazji składała wizytę w haremie, żeby pokłonić się żonom Ziła as-Sultana.

Odwiedzała faworytę haremową, wręczała prezenty jej i innym żonom, po czym siadała i gawędziła z nimi przez większość popołudnia. Nigdy nie rozmawiała z Hanną. Bała się zbyt długo na nią patrzeć, okazać, że ją poznaje, zrobić jakiś gest, którym zdradziłaby setkom haremowych szpiegów pochodzenie Hanny. Po każdej wizycie Tarane Tulipan szła zobaczyć się z Lejlą.

- Twoja córka urosła - zameldowała jej pierwszego roku. - W oczach ma tęsknotę, ale wkrótce zapomni i będzie zadowolona.

Lejla jej nie wierzyła. Zostawiła Hannę w Ali Kapu i widziała, jak znika w pałacu. Od tej chwili miała uczucie, że popchnęła córkę ku zgubie - Hanna zostanie zgłodzona przez Ziła albo otruta przez inne jego żony. Kiedy wygaśnie kontrakt, wygnają ją z pałacu bez pieniędzy i ochrony. Nie będzie mogła powrócić do Żydów, bo ci nie tolerują odszczepieńców, a będzie prześladowana przez muzułmanów, którzy konkubiny traktują jak prostytutki.

- Musisz być dumna - mówiła Tarane Tulipan, lecz na próżno. - Twoja córka jest żoną

księcia. Jeśli nauczy się bronić przed innymi żonami, to trudno przewidzieć, jak długo przetrwa w haremie. Szach może odnowić jej kontrakt. A nawet poślubić na stałe.

Józef Winiarz z początku przysięgał, że zabije Lejlę za kradzież bransolet, teraz wszakże pochwalał jej czyn.

- Moja córka - chełpił się przed innymi Żydami - córka Józefa jest żoną Ziła as-Sultana.

Lejla jednak przez całe lata od chwili, gdy po raz ostatni widziała Hannę, budziła się w nocy i szukała jej wzrokiem. Codziennie pod koniec dnia czekała na jej powrót. Potem nagle przypominała sobie Ziła as-Sultana, bolała nad losem własnego dziecka i usypiała z płaczem. We śnie przychodził do niej duch, by ją przekląć: - Zmusiłaś Hannę do zmiany wiary - oskarżał Lejlę. - Kiedy umrze, nie pochowa jej ani Żyd, ani muzułmanin.

Hanna dorastała w haremie. Nauczyła się uśmiechać i bronić przed innymi żonami. Pozbyła się żydowskiego akcentu i przerażenia malującego się z początku na jej obliczu. Kiedy osiągnęła wiek pokwitania, faworyta haremowa obdarzyła ją workiem diamentów. Kiedy urodziła pierwsze dziecko - dziewczynkę o włosach Lejli i oczach Noego Złoto - Zil as-Sultan podarował jej pałac. Pozwolił Hannie opuścić harem - znak poważania dla żony - po czym natychmiast po nią posłał.

- Tęsknię za tobą - powiedział i przez wiele nocy zatrzymywał Hannę w swojej sypialni.

Kiedy Tarane Tulipan przyszła tam ostatnim razem w odwiedzin, Hanna nawet na nią nie spojrzała; Tarane zrozumiała, że zapomniała o przeszłości. Zaczęła się uważać za członka rodziny królewskiej.

- Nadejdzie czas, gdy zostaniesz kobietą i twoje ciało stanie się nieczyste. Będziesz krwawić przez kilka dni z miejsca między nogami, którym teraz siusiasz. Będziesz krwawić co miesiąc i od dnia, w którym zacznie się krwawienie, przez dni piętnaście będziesz nieczysta. Jeśli dotkniesz czegoś, co dotyka twój mąż, albo jeśli ugotujesz coś, co inni zjedzą, to oni też zostaną skalani. Jeśli legniesz ze swoim mężem, to zgrzeszysz. Jeśli poczniesz dziecko, on odmówi mu swojego nazwiska. Wszyscy cię przeklną i Bóg się od ciebie odwróci.

Lejla stała na środku izby - jej wysoka, smukła postać wyglądała jak cień w nierzeczywistej aureoli światła lampki oliwnej. Zaznajamiała Pawicę z nakazami czystości.

- Po odliczeniu piętnastu dni pójdziesz się wykapać w studni. Zanurzysz ciało w zimnej wodzie i staniesz się znowu czysta. Wówczas będziesz mogła wszystkiego dotykać, leżeć w

łóżku męża i rodzić dzieci.

Głos Lejli zadrżał, gdy wspomniała o studni. Odwróciła głowę od córki, na chwilę spuściła wzrok, potem odeszła.

Całą noc stała przy drzwiach, wpatrując się w puste podwórko jak dziecko oczekujące anioła. Pawica patrzyła na nią, chciała spytać o wiele rzeczy, ale bała się zadawać pytania. Koło północy Józef Winiarz wyszedł z pustej już winiarni i wspiał się po schodach do izby. Usnął i gorzkość jego snów wypełniła powietrze.

- Kobiety umierały w tej studni - powiedziała Lejla, upewniwszy się, że Józef śpi. - Czasami któraś tam zejdzie i nie wraca, dopiero studnia wyrzucają po wielu godzinach. Czasami znika na zawsze.

Pawica usiadła. W nocnej ciszy słychać było tylko oddech Józefa. Wsłuchiwała się znowu. Demony skrzeczały mu w gardle. Poszła do Lejli i dotknęła jej ręki.

Wyszły przed świtem. Drzwi niektórych domów skrzypiały, wolno się otwierając, wymykały się z nich inne kobiety ubrane na czarno, by udać się w tę samą drogę co Lejla i Pawica. W świetle księżyca i tysiąca gwiazd na niebie przypominały tańczące cienie, które ożyły, żeby dokonać jakiegoś starodawnego, sekretnego, im tylko znanego obrzędu.

Sprzedawcy uliczni nieśli swój towar na ramionach, udając się do pobliskich wiosek, gdzie jak wiedzieli, nie znajdą nań klientów. Młodzi chłopcy o ogolonych głowach i sennych oczach zamiatali ulicę przed sklepami, gdzie pozwalano im spać, żeby odstraszyć złodziei. Bezzębni starcy o ciałach znękanych bezsennością siedzieli obok wyschniętych aryków na skraju ulic, oczekując nadejścia poranka lub śmierci.

Lejla i Pawica przeszły koło opuszczonej piwnicy, w której Mułła Mirza męczył się poszukując złota, koło podziemnej świątyni, gdzie zbierali się na modlitwę Żydzi w czasach, gdy zmuszano ich do przejścia na islam, a oni nadal wyznawali judaizm. W pobliżu bramy getta stał duży ceglany budynek o koślawych ścianach z drewnianymi drzwiami pomalowanymi na jaskrawoniebieski kolor. Te drzwi świecące w mroku prowadziły do mykwy.

Pawica miała ochotę zawrócić i zniknąć w ciemnościach aksamitnej zimnej nocy. Trzymano ją jednak za rękę, nogi zrobiły się słabe, głos wiązał w gardle.

Usłyszała, że Lejla puka do drzwi. Potem czyjaś ręka uniosła drewniany drąg ryglujący je od środka. Zobaczyła poziome rysy w drewnie, tam gdzie odłupała się farba przy otwieraniu

drzwi, oraz starą kobietę - bladą, kościstą, o zbrudzonej twarzy, płonących oczach i srebrnoniebieskich włosach nierównej długości zwisających po obu stronach twarzy.

- Znowu ty - warknęła starucha na widok Lejli. - Jesteś mi jeszcze winna za ostatni raz.

Była to Mama Akuszerka. Jej mąż prowadził mykwę.

Lejla weszła, odsuwając ją na bok i szepcząc, że wkrótce zapłaci. Pociągnęła za sobą córkę.

Weszły do wielkiego pomieszczenia o ceglanych ścianach i wysokim suficie. Na środku znajdował się basen z wodą, do którego przychodziły się myć kobiety po odwiedzeniu studni. Pomieszczenie było ciemne i teraz puste, ale za dwie godziny wypełnią je gołe kobiece ciała i echo ich głosów. Co rano mąż Mamy napełniał basen wodą ze studni, zimną, za to czystą. Kobiety śpieszyły się, żeby wejść do basenu wcześniej, zanim wykąpie się w nim zbyt wiele osób. Schodziły po drabinie, siadały na wąskim pomoście i zmywały z siebie dwutygodniowy brud. Do chwili zamknięcia mykwy i opróżnienia basenu przez męża Mamy woda robi się czarna.

Lejla poprowadziła Pawicę ku małym drzwiczkom na końcu pomieszczenia. Przeszedłszy przez nie, znalazły się na pustym podwórku ze studnią. Lejla podeszła do studni i przystanąła. Akuszerka zbliżyła się do niej z trzymaną w jednej ręce latarnią, która rzucała wokół mdłe, żółte światło, pogłębiając jeszcze bruzdy na jej twarzy. Drugą rękę położyła Lejli na czole.

- Stań się czysta i niewinna - powiedziała - i zmyte niech zostaną wszystkie twoje grzechy, a twoje ciało niech będzie niepokalane jak ciało nowo narodzonego dziecka.

Skinęła głową w stronę Pawicy.

- Pójdzie z tobą? - spytała.

- Będzie tylko patrzeć.

Studnia była ciemna i wilgotna, oblepione mokrym mułem schody wąskie i śliskie. Lustro wody znajdowało się jakieś czterdzieści stopni poniżej powierzchni ziemi.

Lejla stanęła na małym pomoście przy końcu schodów, żeby się rozebrać. Córka patrzyła, jak zdejmuje z siebie kolejne ciemne warstwy i z wolna spod zasłon wiecznie otulającego ją materiału wyłaniają się jej kształty. Pawica była oszołomiona. Lejla jaśniała w księżycowym świetle niczym zjawą, jej włosy przypominały złoty potok, skóra miała kolor ciepłego mleka, ciało było miękkie, uświęcone, doskonałe. Pawica wpatrywała się w matkę i zanim jeszcze Lejla dotknęła wody, ujrzała ją utopioną w studni.

Przerażona zamknęła oczy i usiłowała odegnąć tę wizję. Spojrzawszy znowu na Lejlę, zapragnęła wrócić do chwili poczęcia, do czasu gdy powstawała z ciała matki - do miejsca, gdzie był spokój i piękno.

Zacisnęła wargi, a łzy popłynęły jej po policzkach. Lejla zanurzyła stopy w wodzie. Kręgi, które powstały, rozszerzały się, aż sięgnęły ścian studni, po czym wróciły, obejmując jej nogi, biodra, talię. Trzymając się obiema rękami brzegu pomostu, zanurzyła się, by woda sięgała jej do piersi, a potem wyżej, po ramiona i szyję.

Zatrzymała się i przez jedną ulotną chwilę jej zielone oczy przesywały ciemność. Potem zniknęła.

Zniknęła po koniuszki złotych włosów. Zniknęła po czubki palców, które dopiero co tak mocno trzymały pomost. Pawica widziała kręgi, które powracały na skraj studni.

Wciągnięta przez duchy utopionych kobiet. Wciągnięta przez studnię.

Pawica rzuciła się do przodu, zanurzyła ręce w wodzie. Gorączkowo przeszukiwała ją wzrokiem, na próżno machała rękami, sięgając coraz głębiej, aż nagle poczuła zimny uścisk śmierci, gdy chwyciła ją biała dłoń o długich palcach. Krzyknęła i zaczęła się wyrwać.

Lejla wychyliła głowę z wody, chwytając powietrze. Wargi miała sine, oczy jak szklane. Chwilę później drugą ręką wymacała pomost i uwolniła córkę.

Pawica podniosła się, cofnęła pod ścianę i widząc, że matka oddycha, poczuła ciepłą strugę moczu, ciekącą jej po nogach i tworzącą małą kałużę na ziemi.

*

Tej nocy Lejla leżała na podłodze, twarzą w górę, i czekała, aż przyjdzie i zażąda jej mąż. Pawica słyszała przez prowizoryczną kotarę oddzielającą jej część izby od części rodziców, jak Józef Winiarz kładzie się na Lejli i szepcze pożądliwie:

- Zobaczmy, czy warta byłaś oczekiwania.

Pawica wiedziała, że jej matka leżąc pod mężem będzie mieć ręce i stopy zimne jak lód. Wiedziała, że oddech Józefa, zaspokajającego swoją żądzę, będzie taki sam jak poprzedniej nocy, gdy spał.

I wiedziała, że przez całe życie będzie cierpieć w samotności, ponieważ zna śmierć swojej matki.

Tarane Tulipan wróciła i zamieszkała znowu w Dżujibarze.

Była zamężna od trzydziestu pięciu lat, gdy jej mąż wypił szklanekę zatrutej herbaty i umarł we śnie. Do czajnika wpadł wąż, a służąca przez przeoczenie ugotowała gada i podała swojemu panu.

Tarane Tulipan urządziła w Teheranie roczne czuwanie przy zmarłym. Wynajęła dwa tuziny zawodowych płaczek, które zawodziły na pogrzebie, opłaciła mułkę, żeby zamieszkał u niej i nieustannie modlił się za duszę jej małżonka. Ubierała się na czarno, zawiesiła czarne kotary i położyła czarne obrusy, zakryła meble i łóżko czarnymi narzutami. Przez czterdzieści dni drzwi jej domu otwarte były dla przyjaciół i krewnych. Potem co miesiąc oferowała obiady i modlitwy setce kobiet.

Kiedy upłynął rok żałoby, Tarane Tulipan spakowała czarne szaty i zwolniła służbę. Pozostawszy sama, spaliła wszystkie instrumenty, na których kiedykolwiek grała. Posłała po rodzinę męża i oznajmiła, że wyjeżdża z Teheranu. Wraca do Dżujibaru, żeby tam umrzeć.

Zachorowała w czasie żałoby. Była stara, nękał ją reumatyzm, dokuczały nieustanne bóle. Stawy miała opuchnięte, ręce i stopy zniekształcone, kręgosłup skrzywiony. Ta kobieta, która tańczyła w całym imperium, chodziła teraz o lasce i co parę kroków musiała stawać i odpoczywać. Żydzi patrzyli, jak podupada, i biadali nad jej stratą. Tarane Tulipan, mówili, chce umrzeć.

Kupiła pokój w getcie, w domu naprzeciw rezydencji Salomona Mężczyzny, i uwięziła się w nim. Z nikim nie rozmawiała, odrzucała zaproszenia sąsiadów, nie przyjmowała żadnych odwiedzających. Wychodziła dwa razy w miesiącu do mykwy i w drodze do domu zatrzymywała się na placu w getcie, żeby kupić miskę gotowanej soczewicy. Przez resztę czasu siedziała w swoim pokoju albo na schodkach na podwórku i wsłuchiwała się w odgłosy getta.

Salomon Mężczyzna co noc wydawał u siebie ucztę i spraszał setki gości. Wynajmował dziwki z Isfahanu, ściągał tancerzy i muzyków z sąsiednich miast, zapraszał Żydów i muzułmanów, by przyszli i napili się jego wina. Sprowadził z Ahwazu ślepego *donbaki* potrafiącego naśladować burzę lepiej od samego Boga i skrzypaczkę z Szirazu grającą tylko nago. Ściągnął starego grajka na tarze, który umarł z podniecenia w środku występu z nagą skrzypaczką, i rosyjskiego pianistę, gościa szacha Nasera ad-Dina w Teheranie, który przybył do Dżujibaru tylko po to, by się przekonać, że jego fortepian nie zmieści się w uliczce prowadzącej do domu Salomona. Miał indyjską tancerkę przepędzoną z miasta przez żony uwiedzionych przez nią mężczyzn i egipską śpiewaczkę, której głos wybudzał z zimowego snu żółwie. A potem na

największą ze wszystkich uczt sprowadził młodzieńca o żółtej skórze i mongolskich oczach, potomka Tamerlana Kulawca, słynącego w całej Azji z gry na santorze.

Grajek ów przybył do Isfahanu na zaproszenie Ziła as-Sultana, koncertował przez jedenaście nocy i po każdym występie domagał się wielbłąda obładowanego złotem. Kiedy Salomon Mężczyzna zaprosił go do swojego domu w Dżujibarze, ten zażądał następnej góry złota.

- Uważaj, synu Tamerlana - ostrzegł go rozzłoszczony Zil as-Sultan. - Chciwość zniszczy twój talent. Zagraj mojemu przyjacielowi, to oszczędzę twoje ręce. A jeśli poprosisz o złoto, każę je usmażyć w oleju.

Salomon Mężczyzna sprosił całe getto, żeby zobaczyło, jak Syn Tamerlana będzie grał w jego domu. W dniu przybycia Mongoła mężczyźni pozamykali wcześniej sklepy i pospieszyli do rezydencji Salomona zająć miejsca na dziedzińcu. Kobiety łąpały dzieciaki i wspinały się na dachy sąsiadów. Do zachodu słońca we wszystkich uliczkach prowadzących do jego domu tłoczyli się widzowie. O dziesiątej przybył Zil as-Sultan. Godzinę później dwunastu Mongołów - część orszaku grajka - przemaszerowało przez drzwi rezydencji Solomona, bijąc w bębny i skandując:

Zejdźcie z drogi Boskiemu i Wspianiałemu, Synowi Tamerlana, Największemu muzykowi naszych czasów.

Syn Tamerlana ubrany w ozdobione klejnotami szaty przyjechał na czarnym koniu, nie zwracając uwagi na czekający na niego tłum ani na gospodarza, który go witał. Usiadł na jedwabnym kobiercu, rozpakował santor odlany ze złota i ozdobiony rubinami i grał dokładnie przez godzinę. Kiedy skończył, Zil as-Sultan go pochwalił, a Salomon mu podziękował, ale Mongoł pragnął jak najprędzej odjechać. Już miał zapakować swój instrument, gdy zwrócił uwagę na nagłą ciszę i podniósł wzrok. Stała nad nim Tarane Tulipan - ze skrzywionym kręgosłupem, z wychudłymi i zdeformowanymi rękami - gotowa do walki. Nachyliła się, wzięła pałeczki Mongoła, przytrzymała je szponiastymi palcami i uśmiechnęła się z dawnym optymizmem.

- Myślisz, że ty potrafisz grać? - rzuciła wyzywająco i przyłożyła pałeczki do instrumentu.

Grała przez dziesięć minut skoczną i olśniewającą melodię, elektryzującą i

niezapomnianą zarazem. I gdy skończyła, zepsuła reputację Mongołowi i odmieniła wszystkim poglądy na muzykę.

Wiosną roku 1876 Zil as-Sultan zarządził w Isfahanie uroczyste tygodniowe obchody. Przez wiele miesięcy padał deszcz, a wobec tego, jak chciał wierzyć, głód wkrótce się skończy. Udekorował zatem Pałac Czterdziestu Kolumn, oświetlił Plac Szacha, zaprosił do pałacu muzyków, poetów i artystów, po czym przez siedem dni i nocy kazał lać wino do zdobionych klejnotami kubków i piec jagnięta na otwartym ogniu. Przez cały ten czas nie pozwolił Salomonowi Mężczyźnie odejść od swojego boku.

Szóstej nocy obchodów Zil as-Sultan wezwał kobiety z haremu do głównych komnat i pozwolił żonom wziąć udział w uroczystościach. Przyszły w zasłonach przybranych klejnotami i w haftowanych czadorach - trzy tuziny kobiet ze służkami, dziećmi i eunuchami - i przemaszerowały przez salę recepcyjną chichoczące i figlarne jak uczennice na wakacjach. Zil as-Sultan przyglądał się z dumą, gdy wypełniały mniejsze komnaty po obu stronach sali: rozmiary haremu świadczą o bogactwie i potędze mężczyzny.

Tego wieczoru więcej wypił i rozmawiał z Salomonem o swoich żonach. Pokazał mu ostatnią pannę młodą - księżniczkę Samirę o wygiętych w łuk brwiach i malutkim pieprzyku na karku, który przyprawiał go o dreszcz przy każdym pocałunku; i swoją kuzynkę, tę brzydulę, którą poślubił, gdy już była stara - miała bowiem niemal dwadzieścia lat - w pokojowym geście wobec jej wojowniczego ojca. Zil as-Sultan nie spał z nią - nie mógł się do tego zmusić - póki jego stryj nie zagroził wojną.

Pokazał też Salomonowi Arabkę o czarnej skórze i złotych włosach, wiedzącą więcej o miłości, jak przysięgał, od wszystkich nierządnic szacha, i Turczynkę, która według eunuchów utopiła dwie żony-rywalki w haremowej sadzawce.

- A ta - pokazał mu jeszcze jedną kobietę - ta przyszła do mnie już w stroju panny młodej.

Salomon Mężczyzna popatrzył w tym kierunku i ujrzał kobietę siedzącą w komnacie najbardziej oddalonej od sali recepcyjnej. Miała szmaragdowy czador i zasłonę i siedziała po turecku w towarzystwie trzech stojących za nią służek, gotowych na każde jej skinienie. Nie rozmawiała z nikim ani nie paliła fajki wodnej.

Po raz pierwszy w ciągu tych sześciu dni Salomon Mężczyzna poczuł się urzeczony.

- Skąd ona pochodzi? - zapytał, nie spuszczając wzroku z Hanny.

Księżę się zaśmiał.

- Nie wiem - odparł. - Rzezańcy mówią, że to Żydówka.

Salomon Mężczyzna wciągnął w płuca porządną dawkę opium, żeby ukryć poruszenie. Myślał o opowieści usłyszanej w Dżujbarze, w którą nie wierzył: o córce winiarza, co poślubiła księcia i zniknęła z getta, jakby nigdy nie istniała. Żona winiarza zabrała dziewczynkę pewnego dnia do Isfahanu i wróciła sama, twierdząc, że zostawiła córkę, by poślubił ją Zil as-Sultan. Jak wszyscy, którzy słyszeli tę historię, Salomon uważał, że Lejla sprzedała córkę jakiemuś muzułmaninowi i ukryła przed Józefem pieniądze.

- Dlaczego ją zatrzymałeś? - spytał księcia, nie mogąc dłużej pohamować ciekawości. - Była taka piękna?

Zil as-Sultan już miał odpowiedzieć, nagle się jednak wstrzymał. Chciał przypomnieć sobie ten dzień, gdy po raz pierwszy ujrzał Hannę, ożywić moment spotkania, zrozumieć motywy, które skłoniły go do tego, że ją poślubił.

- Była piękna. - Zobaczył błysk dwu złotych monet na jej dłoniach. Zrobiło mu się ciepło na sercu. - Wyglądała jak sierota - próbował wyjaśniać - jakby złożono mi ją w ofierze. Nie mogłem odmówić.

Zatęsknił za Hanną. Przywołał eunucha, który podbiegł i padł przed nim na twarz.

- Zawołaj Tadżbanu. - Wybrał to imię sam, miało szczęśliwe brzmienie, czarowny dźwięk.

Salomon Mężczyzna patrzył, jak eunuch podchodzi do kobiety w odległej komnacie. Szepnął jej słówko, a ona wstała i ruszyła przez zatłoczoną pałacową salę, zapatrzona w księcia. Zbliżała się do niego przez mgłę dymu tytoniowego i opium, fale muzyki i śmiechu, które muskały ją, wcale nie wzruszając. Stała przed Zilem as-Sultanem i ucałowała jego dłoń. Księżę przedstawił ją Salomonowi Mężczyźnie..

- Moja żona - powiedział, a ona uniosła wzrok. Oczy Hanny za zasłoną przypominały żółte szafiry. Salomon Mężczyzna przyglądał jej się, ale nic więcej nie mógł dojrzeć, póki się nie obróciła, by odejść. Wtedy kształt ciała pod czadorem uświadomił mu, że jest brzemienna. Patrzył, jak odchodzi, i wiedział, że przepadł.

Hanna opętała Salomona Mężczyznę - aż do szaleństwa, aż do granic rozsądku. Myślał tylko o niej, nie tęsknił do żadnej innej kobiety, nie pragnął niczego, tylko ujrzeć ją bez zasłony - zniweczyć misterium jej obecności, zobaczyć na własne oczy szczęsną pannę młodą Ziła as-

Sultana. Wyobrażał ją sobie, jak stoi jako dziecko w Ali Kapu, ubrana w południe w ślubny strój, rozgląda się na wszystkie strony z gardłem pełnym łez, płacze za zasłoną i modli się, by matka przysłała jej na pomoc. Wyobrażał ją sobie leżącą w łóżu Ziła as-Sultana z pobladłymi oczami i chwiejącymi się zębami. Wyobrażał sobie tę córkę Józefa Winiarza, jak żyje w Pałacu Czterdziestu Kolumn, niedaleko swojego domu, lecz nie wolno jej tam wrócić; jest blisko rodziców, ale nie wolno jej nigdy ich zobaczyć ani nawet wymówić ich nazwiska.

Szukał jej w pałacu; wypytywał o Tadżbanu eunuchów tak otwarcie, że poczuli się urażeni jego bezczelnością i przestali odpowiadać. Poszedł do winiarni w Dżujbarze i spotkał się z Józefem, zagadywał jego znajomych o Lejlę. Poznał wszystkie rodzinne historie - od opowieści o Esterze Wróżce po tę o Noem Złocie i Kamar Cygance, a nawet o muzułmańskim bracie Lejli. Usłyszał już wszystkie opowieści i zadał wszystkie pytania, a jednak nadal trawiło go pragnienie poznania. Przez czterdzieści dni i nocy nie robił nic innego, tylko myślał o Hannie. W końcu spędziwszy na rozmyślaniach całą trzeźwą noc, poszedł rano zobaczyć się z Józefem Winiarzem. Pogodził się z tym, że Hanna jest nieosiągalna, i poprosił o rękę jej siostry.

Wiść o zaręczynach Salomona Mężczyzny z córką Józefa Winiarza rozeszła się szybciej i wywołała więcej animozji w Isfahanie i Dżujbarze niż jakiegokolwiek inne wydarzenie za świeżej pamięci. W getcie matki dziewcząt na wydaniu wbijały sobie paznokcie w policzki i lamentowały. Zagniewane swatki biegały jedna do drugiej, usiłując odkryć, która z nich doprowadziła do tych zaręczyn. Młodzieńcy desperowali, że wśród tych, co uganiają się za kobietami, i rozpustników zabraknie Salomona, obiektu wszystkich ich fantazji.

Isfahańskie nierządnicę spluwały, przeklinając swój pech. Arystokratyczne damy czuły się zdradzone i przysięgały zbolalymi głosami, że nigdy więcej nie przyjmą Salomona do swojego grona. Nawet Ził as-Sultan, nieświadom motywacji przyjaciela, zmarszczywszy po królewsku brwi, zapytał go, jaką zaletę dostrzega w życiu monogamicznym. Salomon Mężczyzna uśmiechał się w obliczu wszystkich przeciwności i zmierzał do realizacji małżeńskich planów, jakby miał po swojej stronie cały świat.

Posłał do Kaszanu po matkę, żeby przyjechała i zajęła się weselem. Przyjechała po tygodniu. Była to tęga kobieta o jasnej skórze, bez śladu urody, którą los obdarzył jej syna. Siedziała w powozie wynajętym za pieniądze Salomona, narzekając na upał i pustynny pył, a gdy dotarła do bram Isfahanu i musiała wysiąść - żaden Żyd bowiem nie mógł przejeżdżać przez miasto - wydostanie się przy jej tuszy z powozu wymagało dziesięciu minut szarpaniny. Zjechała

z jedenastoma córkami i dziewczyną ciemniejszą i jeszcze brzydszą od reszty, o której twierdziła, że jest sierotą wychowywaną przez nią od dzieciństwa. Salomon Mężczyzna przysięgał, że to jego siostra. Matka, jak uważał, wypierała się jej, bo nie mogła znieść myśli, że ma tak szpetną córkę.

Gadere Oianum - Ta Zdatna - została przez cały tydzień i rządziła się w domu Salomona. Ona i jej córki zasiadały w pokoju przyjęć, rozparte na jedwabnych poduszkach, i głaskały emaliowane cybuchy wodnych fajek. Zmuszały się do ich palenia, arystokratki bowiem miały to w zwyczaju, a one wierzyły, że dzięki bogactwu Salomona też teraz weszły do tej sfery. W Kaszanie trudniły się tkaniem dywanów. Mieszkały w norze i pracowały od trzeciego roku życia, siedząc po turecku przy drewnianych ramach, na których wiązały maleńkie węzłki z wełny i jedwabiu. Pracowałyby tak do ślepoty i pylicy płuc od wdychania wełny, gdyby nie Salomon i osiągnięty przez niego sukces. Teraz siedziały w jego domu i robiły afront ludziom, którzy przyszli je powitać.

Pod koniec tygodnia Ta Zdatna i jej córki niespodziewanie odwiedziły dom Pawicy. Zgodnie ze zwyczajem zjawily się tam wcześniej rano, zanim Pawica zdążyła się uczesać i ukryć swoje braki zwodniczym ubraniem. Weszły na podwórko bez pukania, pozdrowiły sąsiadów wyniosłym skinieniem głowy i bojowo wtargnęły do izby Lejli i Józefa.

- Witajcie. - Lejla stała przed nimi niezakwefiona. Ta Zdatna zmarszczyła brwi na widok jej urody. Wpakowała tłuste dłonie we włosy Lejli i mocno je pociągnęła, żeby się upewnić, czy są prawdziwe. Przesunęła palce po skórze Lejli, pomacała jej ramiona i uda, sprawdziła przez bluzkę jędrność piersi. Zdegustowana stwierdzoną doskonałością obróciła się do córek i ogłosiła pierwszy werdykt.

- Nie daj Boże! - powiedziała. - Kobieta z taką urodą nie mogła pozostać na drodze cnoty.

Rozejrzała się po izbie i nie spodobało jej się to, że jest zakopcona.

- Wyprowadźcie dziewczynę na dwór - poleciła, wychodząc na podwórko. - Nie mogę oddychać w tej norze.

Kiedy znalazły się za drzwiami, Pawica nadal nie chciała wyjść spod kołdry.

- Odeślij je - prosiła Lejlę. - Przekonaj, żeby sobie poszły.

Od momentu ogłoszenia przez Józefa Winiarza jej zaręczyn z Salomonem Pawica płakała i błagała, i przysięgała, że nie wyjdzie za mąż. Wydawało się to wprost niedorzeczne: Pawica odrzuca mężczyznę pożądanego przez wszystkie. Nawet Lejla nie mogła pojąć zachowania

swojej córki. Chwyciła ją za rękę i prosiła:

- Przez wzgląd na mnie wyjdź na dwór i nie przynoś mi wstydu.

*

Ta Zdatna spędziła u nich z córkami cały ranek. Poddały oględzinom Pawicę, komentowały grubość jej skóry i ciemny kolor dziąseł. Orzekły, że wąskie biodra uniemożliwią jej urodzenie żywego dziecka. Kazały przejść z jednej strony podwórka na drugą, by zobaczyć, jak chodzi. Zbadały też kolana i utyskiwały, że jest zbyt chuda - nieodżywiona przez rodziców - dały więc Pawicy tacę pełną świeżych rzodkiewek, mięty i dymki.

- Przyniosłyśmy własną żywność - oznajmiła Ta Zdatna, nie przepuszczając okazji wytknięcia biedy w domu Józefa Winiarza. Obserwowały Pawicę, poddając ją tradycyjnemu testowi: jeśli odrzuci zbyt dużo warzyw przy ich oczyszczaniu, będą wiedzieć, że jest rozrzutna. Jeśli odrzuci zbyt mało, jest skąpa. Jeśli pracuje zbyt szybko, to nie ma cierpliwości. Jeśli pracuje wolno, to jest leniwa. Pawica w żadnym względzie nie spełniła ich oczekiwań. Potem Ta Zdatna zwołała córki i opuściła dom Józefa Winiarza.

- Zostańcie na obiedzie - zapraszała Lejla, ale Ta Zdatna ją wyśmiała. Wiedziała, że nie mają nic do jedzenia.

Następnego dnia wraz z córkami przystąpiła do zapraszania ludzi na wesele. Odwiedzały każdy dom całą dwunastką i zostawały przez pół dnia, popijając herbatę i gawędząc, póki nie nadszedł czas odejścia, a wtedy Ta Zdatna występowała z zaproszeniem na wesele Salomona. Gospodyni zrywała się na równe nogi niezwykle podniecona i biegła do spizarni. Wracła z chustą pełną rodzynek i orzechów, które im ofiarowywała, one zaś obiecywały, że podadzą je na przyjęciu. Trudziły się tak aż do wieczora przed weselem, a osobom, których nie miały okazji odwiedzić osobiście, posyłały wiadomość. Zapewniały, że Salomon Mężczyzna zamierza wydać ucztę życia.

Dla mieszkańców Dżujibaru ślub Pawicy z Salomonem Mężczyzną oznaczał koniec Wielkiego Głodu z roku 1871. Choćż ziemia przez następnych dziesięć lat wciąż nie rodziła zdrowych plonów i bieda w przyszłości miała stać się jeszcze dotkliwsza, to jednak te trzy dni i noce świętowania w domu Salomona zdołały stworzyć w umysłach nawet najzatwardziały sceptyków trwałą iluzję dobrobytu i zbiorową pamięć niekończącego się bogactwa.

Świętowanie rozpoczęło się o świcie w poniedziałek, a skończyło dopiero o pomocy w środę. Mężczyźni zgromadzili się w domu Salomona, jedli, pili i tańczyli przy muzyce granej

przez siedem kapel sprowadzonych przez niego z daleka, z Teheranu i Rasztu. Na śniadanie jedli jajka, miód, nerkowce i chałwę, do południa popijali zimny sok wiśniowy i zakąszali jabłkami duszonymi w wodzie różanej, podczas obiadu rozkoszowali się pieczonymi jagniętami, chlebem, ryżem i złotymi placuszkami. Po południu grały orkiestry, na podwórku tańczyli akrobaci, starzy opowiadacze recytowali poematy z księgi królów, a poeci powtarzali wiersze Omara Chajjama. Przed zachodem słońca Józef Winiarz chodził po pokojach i nalewał wszystkim perskie wino i rosyjską wódkę. Kiedy Homa Ryżarz podawał kolację, wszyscy mężczyźni byli już pijani.

W przypadku kobiet świętowanie miało charakter poważniejszy, choć równie ekstrawagancki. Jak nakazywała tradycja, zebrały się w domu Józefa Winiarza, gdzie wszystkie wydatki pokrywał Salomon. Ta Zdatna i jej jedenaście córek występowały jako gospodynie. Pierwszego dnia zabrały Pawicę do ślubnej kąpieli.

Wyszły jeszcze w ciemnościach, zaopatrzone w jedzenie, orzechy i słodczyce, dzbany z zimnymi napojami i co najważniejsze, w zapas henny. W mykwie Ta Zdatna zaprowadziła Pawicę do studni i asystowała przy rytualnej kąpieli. Potem wszystkie kobiety weszły do mykwy, stanęły wokół basenu i zdjęły z siebie ubrania. Nago wystąpiła również damska orkiestra wynajęta dzięki wsparciu Salomona Mężczyzny. Pari Henna stanęła na przedzie i mlaskając wydawała okrzyki zachęty, które odbijały się echem w całej mykwie i w końcu zrobiły się ogłuszające. Obdarzyła Pawicę miłym uśmiechem i poklepała ją uspokajająco po ramieniu. Zachwycała się urodą panny młodej, chwaliła jej młodość, potem zabrała się do „przemienienia jej w kobietę”.

Obwiązała końce dwu długich nici wokół kciuka i palca wskazującego, przyłożyła je do brwi Pawicy i wrywała pojedyncze włoski, póki nie nadała brwiom kształtu dwu łukowatych linii. Potem wydepilowała nogi Pawicy, usunęła owłosienie ze sromu i pach. Na koniec przygotowała pastę z henny, którą nałożyła na paznokcie u rąk i nóg, a także na włosy panny młodej. Inne kobiety radośnie pokrzykując też zaczęły farbować sobie włosy.

We wtorek kobiety zebrały się w domu winiarza, żeby pobłogosławić pannę młodą. Zaprowadziły Pawicę na podwórko i włożyły na nią półprzezroczysty czador utkany ze złotej nici.

Podczas gdy córki ronily łzy zazdrości, Ta Zdatna niechętnie wręczyła Pawicy dary, które przysłał Salomon: tuzin złotych łańcuszków, naszyjnik z szafirów, kolczyki z turkusami i bransoletę z diamentów. Wszystkim dech zaparło z podziwu. Ta Zdatna wyciągnęła woreczek ze

złotymi monetami i postawiła Pawicy na kolanach kryształową miskę. Potem przyciskała jej do czoła jeden pieniążek za drugim tak, żeby na chwilę się przylepiały - na szczęście, aby odtąd na czole panny młodej widać było radość i powodzenie. Pawica pochylała głowę i pieniążek spadał do miski. W węglowych piecykach palono nasiona dzikiej ruty i dym snuł się w powietrzu.

Trzeciego dnia delegacja kobiet poszła do domu Salomona urządzić ślubną komnatę. Postawiły łoże w stronę Jerozolimy - żeby zapewnić poczęcie syna przy pierwszym zbliżeniu. Skropiły pościel wodą różaną, rozsypały na niej płatki róż i jaśminu. Nad poduszkami umieściły białą chustkę, którą Salomon Mężczyzna miał wytrzeć krew Pawicy i zademonstrować ją po stosunku.

Po południu do domu pana młodego przybył reb Jahja, by odprawić pierwszą część ceremonii. Salomon Mężczyzna wykapał się, ogolił, włożył garnitur uszyty na modłę europejską i cylinder. Powtórzył słowa ślubowania, potem dla ich uczczenia uniósł kielich.

- Przyprawdźcie ją do mnie - powiedział i wznosił toast.

Wtedy Pari Henna wyszła z domu Salomona Mężczyzny, by zanieść pannie młodej ślubne szaty.

A w domu Józefa Winiarza Lejla z wypiekami na twarzy biegała gorączkowo z izby do izby; inne kobiety przeszukiwały każdy kąt. Rozeszły się pogłoski, że panna młoda zginęła; zniknęła przed południem i nikt nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

Józef Winiarz przemierzył każdy centymetr getta i w końcu znalazł córkę w piwnicy Mułły Mirzy, pustej i opuszczonej od masakry Żydów spowodowanej przez Muhammada. Pawica siedziała tam przerażona własnym nieposłuszeństwem, przerażona ścianami cuchnącymi trucizną i wonią niepokoju Mułły Mirzy. Jednakże gdy Józef ją złapał, chwyciła go za rękę i błagała, by odwołał to małżeństwo.

- Salomon mnie porzuci - płakała.

Józef Winiarz zabrał córkę do domu i ubrał w wyszywaną perłami szatę i zasłonę - dar haremu Ziła as-Sultana - utkaną ze srebrnych i złotych nici. Zobaczył, że nosi klejnoty, które dostała od Salomona, i ledwo zdołał opanować łzy radości.

- Wierz w szczęście - szepnął, prowadząc ją przed reba Jahję.

Po ceremonii zaślubin korowód kobiet wyruszył z domu winiarza do domu pana młodego. Pawica jechała przodem na czarnym koniu Salomona. Na końcu uliczki prowadzącej do jego

domu zatrzymała się, czekając na posłańców, którzy zaanonsują jej przybycie.

- A jeśli oni wiedzą, że Pawica uciekła? - spytała Lejla Józefa, który zadrżał wobec takiej możliwości.

Lecz w domu Salomona nie przestała rozbrzmiewać muzyka i śmiechy, toteż szybko zapomniano o zniknięciu panny młodej. Mężczyźni słysząc, że wkrótce przybędzie, zaczęli wznosić okrzyki i wszystkie siedem kapel zagrało jednocześnie. Kobiety zapaliły nasiona dzikiej ruty i rzuciły pannie młodej na drogę kandyzowane migdały. Wprowadzono ją do domu i prosto do ślubnej komnaty, gdzie miała czekać na koniec przyjęcia. Lejla powiodła tam córkę, pocałowała na pożegnanie, a potem nagle Pawica została sama.

Stała wyprostowana, patrząc przed siebie i próbując zebrać odwagę straconą po drodze. Mówiła sobie, że tu nie zostanie, że nikt nie może jej do tego zmusić. Wspominała swój sen: stara, samotna, ze złamanym sercem szła ulicami nieznanego miasta i wykrzykiwała imię Salomona. Wiedziała w tym śnie, że to ona jest ową staruszką.

Rozejrzała się po pokoju. Ściany otynkowane były na biało, sufit ozdobiony ręcznie malowanymi ornamentami. W pokoju było okno. Pawica przypomniała sobie dom Muhammada Żyda.

- Ale ja tu nie zostanę - upomniała siebie.

Czuła zapach potraw dochodzący z dworu.

- Kiedy on tu wejdzie, powiem mu, że musi mnie odesłać. „Trzymasz nierządnicę”, powiem. „Nie chcę mężczyzny, który trzyma nierządnicę.”

Czekała, ale godziny płynęły i ścierpły jej nogi od stania, a śmiechy w domu nie ustawały. Usiadła na podłodze, rozpostarła dokoła czador i podziwiała miękkość swoich szat, połysk klejnotów, piękno zasłony. Położyła głowę na poduszce z dala od łóżka i usnęła.

Śniło jej się, że drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna. Był wysoki, miał długie ręce, jego ubranie pachniało deszczem. Przyniósł ze sobą kawałek nieba oświetlonego księżycowym blaskiem.

Śniła, że stanął nad nią, patrzył, po czym schylił się, podniósł ją z ziemi i położył na łóżku. Pomyślała, że zamierza zdjąć jej zasłonę, powinna więc go powstrzymać, ale on ją dotknął i już się nie bała. Zdjął zasłonę z jej twarzy.

Wpatrywał się w nią - jego oczy kryły się w niebieskim świetle świtu - potem naciągnął na nią białe prześcieradło, zimne jak wiatr zrywający się przed każdym deszczem. I wyszedł. Bez

niego pokój wydawał się ogromny i pusty.

Pawica usiadła, obudzona porannym namazem, i rozejrzała się wokół. Była w obcym łóżku, sama, lecz niezakwefiona, i oczy wciąż ją paliły od gniewu ostatniej nocy. Przypomniała sobie swój sen. Zobaczyła, że przykryta jest białym prześcieradłem. Zrozumiała, że Salomon Mężczyzna ją widział.

Stała na materacu i obejrzała swój strój, poszukując na nim krwi. Sprawdziła prześcieradło, ale nie znalazła ani plamki. Odetchnęła z ulgą; nie tknął jej. Potem uświadomiła sobie dlaczego: ujrzał jej twarz i uznał, że jest za brzydka, by ją tknąć. Podniosła z podłogi czador i wyszła.

- Dzień dobry - powitał ją czyjś głos na ganku. Salomon miał oczy zaspane, a twarz nieogoloną. Siedział na stopniach, palił fajkę wodną i oglądał wschód słońca.

- Wcześniej się budzisz - powiedział.

Pawica zdrętwiała. Rozbroiło ją jego swobodne zachowanie, jego uśmiech. Pomyślała, że oczy tego mężczyzny igrają z jej oczami.

- Posłałem wszystkich do domu - rzekł. - Powiedziałem: „Moja żona śpi i ja na nią zaczekam”. Twój ojciec nalegał, żebym wykonał swoje zadanie. Obawia się, że zmienię zdanie co do naszego małżeństwa.

Pawica cofnęła się o krok.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła. - Sama pójdę. Uniósł brwi i uśmiechnął się lekko.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek. - Ale straciła już pewność. - Gdziekolwiek. Tutaj nie mogę zostać. Ty trzymasz nierządnicę.

Zaśmiał się i wyciągnął po nią rękę. Pomyślała, że powinna się odsunąć, lecz jakoś nie mogła.

- Poślubiłaś mnie. - Dźwignął ją w górę. - Nie możesz tak po prostu porzucić kogoś, za kogo wyszłaś za męża.

Otworzył drzwi i wszedł do domu. Chciała z nim walczyć, ale postawił ją na ziemi, wolno rozplótł warkocze, wyjął z włosów sznury pereł, upuścił je na łożo posypane wędzącymi płatkami róż i obumierającym jaśminem, po czym zdjął jej pantofelki i suknię. Położył ją nagą na pościeli i kochał się z nią, jakby rzeczywiście była kobietą - jakby wybrał ją świadomie, jakby była ładna i pożądana, i zasługiwała na to, by ją dotykał. Potem leżał obok niej i patrzył, jak

płacze - być może na skutek wstrząsu albo ulgi, że została zaakceptowana - następnie ją pocałował, nakrył znów prześcieradłem i kazał spać.

- Jesteś piękna.

Słyszała jego głos i zastanawiała się, czy kłamie. Modliła się jednak, by nigdy się tego nie dowiedzieć. Widziała, jak odchodził; tęskniła za jego zapachem, dotykiem i śmiechem. Usnęła. Śniła o jego oczach i miłości aż po grób.

Salomon Mężczyzna siedział w domu przez sto dni po weselu. Kochał się z Pawicą co noc aż do świtu, kąpał się z nią w mleku oślicy i wodzie różanej, potem sadzał ją na podwórku i pędzlem maczanym w hennie malował miniaturowe figurki na spodach jej stóp. Ubierał ją w suknie, które sam wybierał, zaplatał warkocze i popołudniami zabierał do Isfahanu. Pokazał jej Czar Bag, Plac Szacha i Ali Kapu. Pokazał domy przyjaciół, prowadził do meczetów, gdzie żadnemu Żydowi nie wolno było wchodzić. Zabierał ją na bazar i kupował ręcznie robione lalki o atłasowej skórze i oczach z węgielków drzewnych. Potem zaprowadził do pałacu Ziła as-Sultana i przedstawił księciu. Ów dla upamiętnienia tego wydarzenia wezwał fotografa i pozował do zdjęcia z Salomonem i Pawicą.

Pod koniec trzeciego miesiąca małżeństwa Salomon Mężczyzna wrócił do Isfahanu i znów śpiewał w pałacu. Przez jakiś czas jednak nie chodził do Zamku i odrzucał zaproszenia od zaprzyjaźnionych dam. Nawet później, gdy jego postanowienie osłabło i ulegał pokusom cielesnym, wierzył, że duchem pozostał wierny Pawicy. Traktował ją dobrze, spełniał każde życzenie i nigdy nie dopuścił, by zważyła, że jest królową we własnym domu. Kiedy osiągnęła wiek pokwitania, nie pozwolił, by zamknęła się w „nieczystym pokoju”. Urządził dla niej sypialnię na głównym piętrze i upierał się, że będzie jadł tylko to, co ona mu przyrządzi. Kiedy Ta Zdatna protestowała przeciwko nowym porządkom, Salomon wynajął powóz i odesłał ją z córkami do Kaszanu.

Dwa lata po poślubieniu Pawicy Salomon Mężczyzna wciąż budził się każdego ranka ze snów o żonie Ziła as-Sultana i co noc zasypiał, myśląc o kobiecie o szafirowych oczach i lśniących dłoniach.

Zabrał Pawicę do pierwszej rytualnej kąpieli, po czym przyprowadził do domu i do swojego łóżka, gdzie głośno się modlił, żeby poczęła dziecko. Pierwszej córce dał na imię Sabrina - na pamiątkę Rosjanki, którą kiedyś adorował - i celebrował jej narodziny tak, jakby

była chłopcem. Drugą córkę nazwał Heszmat i ani razu nie poprosił Pawicy o syna, a wtedy już Józef Winiarz wpadł w popłoch.

- To źle! - ryczał na Pawicę za każdym razem, gdy urodziła się córka. - Nie możesz wciąż sprowadzać na świat dziewczynek jak twoja matka. Żaden mężczyzna świadom wartości swego penisa nie będzie trzymał żony chorej na „dziewczyńkorództwo”.

Jakby na potwierdzenie prawdziwości jego słów Salomon Mężczyzna zapomniał o Pawicy po narodzinach Heszmat. Poznał w roku 1882 żonę tureckiego ambasadora w Isfahanie i miał z nią przez rok romans, który skończył się skandalem. Porzucił Turczynkę pod presją Ziła as-Sultana, wrócił do domu tylko na miesiąc, po czym znalazł sobie Ormiankę, dziewicę, która uciekła z domu ojca w pasie cnoty. W roku 1884 zawarł tymczasowy kontrakt małżeński z kobietą spokrewnioną z egipskim księciem, a potem nagle wyjechał do Indii - żeby zobaczyć na własne oczy najpiękniejszą, jak przysięgało wielu, kobietę kontynentu.

- Urodź chłopca! - krzyczał Józef Winiarz na córkę za każdym razem, gdy Salomon Mężczyzna znajdował nową namiętność. - Urodź chłopca, inaczej stracisz na dobre swojego mężczyznę!

W roku 1885 umarła Lejla. Pewnego ranka poszła samotnie do oczyszczającej kąpieli i już nie wynurzyła się ze studni. Mama Akuszerka zaniepokojona jej długą nieobecnością zeszła na dół i spędziła wiele godzin przeszukując wodę długim wiosłem, którego używała, gdy zniknęła jakaś kobieta. W końcu wdrapała się na górę zła i wyczerpana.

- Takiej piękności nie dane jest żyć długo - oznajmiła Pawicy, która przyszła zabrać zwłoki matki. Lejla umarła, ale ciała nie było, nie było też pogrzebu ani tygodniowego oplakiwania zmarłej.

- Urodź chłopca - powiedział Józef Winiarz Pawicy, która płakała za matką jak dziecko. - Urodź chłopca, inaczej ty też pewnego dnia umrzesz, nie pozostawiając po sobie ciała.

Pawica miała dwadzieścia lat. Odwiedzała wszystkie akuszerki w getcie, brała od nich napoje na poczęcie chłopca. Jadła daktyle, rodzyнки i chałwę, opychała się orzechami włoskimi i szafranem. Chodziła na wszystkie obrzezania i połykała odcięte napletki. Piła nawet wino - stare wino, które przynosił jej w sekrecie Józef i które popijała z przyjemnością. Gdy Salomon Mężczyzna wrócił z Indii, wśliznęła się do jego łóżka i poprosiła, żeby się z nią kochał. A on ją przyjął z otwartymi ramionami, jakby zawsze jej pragnął.

Potem Pawica nie spała i obserwowała Salomona pogrążonego we śnie: jego profil wydawał się uświęcony, skóra święta. Powtarzała sobie, że z nim zostanie - przez tygodnie i lata samotności, przez całą młodość, mimo dumy i namiętności - pozostanie z nim, aż on zdobywszy wszystkie kobiety świata, poczuje się znużony i zniechęcony i powróci do niej, zbyt już stary, by uciec. Wtedy go zatrzyma i będzie już zawsze należał tylko do niej.

Szalona Maruszka znalazła się w ogniowej pułapce. Leżała w łóżku, mocno spała, a okno było zamknięte. Płomienie wdarły się pod drzwiami i ogarnęły dywan. Zajęły się zasłony, buchając słupami dymu w stronę sufitu. Ogień dotarł do kolumnienek baldachimu i pochłaniał moskitierę. Szalona Maruszka obudziła się z krzykiem.

- Pali się! - wrzasnął ktoś na zewnątrz. Szalona Maruszka przeskoczyła przez palącą się siatkę, pobiegła do drzwi i pociągnęła za klamkę. Sparzyła sobie rękę.

- Pali się! - krzyknął ktoś znowu. - Pomóżcie! Szalona Maruszka dusiła się od czarnego dymu. Skórę pokryły jej pęcherze. Wytarła dłonie w nocną koszulę i raz jeszcze szarpnęła za klamkę. Przekonała się, że drzwi zamknięto od zewnątrz.

Pobiegła do okna - też było zamknięte. Wzięła z toaletki lustro i rzuciła w szybę. Wystawiła głowę za okno, zaczerpnęła powietrza.

Ogień ogarnął cały dom. Przekroczył podwórze i buzował teraz w pokoju, w którym spał Muhammad Żyd z córką przytroczoną łańcuchem do łóżka. Uciszył już służące na korytarzu. Szalona Maruszka była sama i wkrótce miała umrzeć.

Oderwała dół koszuli i zasłoniła sobie twarz. Wydostała się przez płonące jaśminy na balkon i chwyciła balustrady. Metal wrył jej się w dłoni.

Opuściła się z balkonu, sięgnęła do metalowej rynny biegnącej z boku ściany i zaczęła schodzić w dół. Widziała drzewa palące się na podwórku.

Słyszała spłoszone konie uwięzione w stajni. Znalazłszy się na ziemi, zakryła twarz dłońmi i uciekała.

Biegła przez dym i płomienie, póki nie była pewna, że jest bezpieczna. Padła na bruk i zaczęła wymiotować. Sąsiedzi gapili się na nią - zakłopotani jej nagością, wstrząśnięci widokiem dłoni, na których ciało odchodziło od kości. Jakaś kobieta nakryła ją czadorem. Dziecko dało jej wody.

Szalona Maruszka poczuła na sobie palące spojrzenie i uniosła głowę. Ujrzała Esrafila w

nie tkniętym przez ogień ubrani, z twarzą nieosmoloną. Patrzył na nią wzrokiem kata.

Następnego ranka niebo miało kolor piasku. Szalona Maruszka przeszła przez spustoszony ogród do poczerńiałych zgliszczy domu Muhammada. Jego zwłoki znalazła w pokoju Sanam. Ich kości stopiły się ze sobą, czaszki popękały od ognia. Szalona Maruszka przetrząsnęła dom, szukając szkatułki z klejnotami, antyków, dywanów, bogactw, które przysła tu kiedyś zdobyć.

- Moje klejnoty! - krzyczała. - Gdzie są moje klejnoty!

Wynajęła tuzin mężczyzn do przeszukiwania zgliszczy. Drużyny robotników z matematyczną precyzją przetrząsały dom. Młodzi ludzie obozowali w nocy w ogrodzie, a w dzień polowali na skarb. Dzieci, rozbawione poszukiwaniami Maruszki, bawiły się w ratowanie straconej fortuny.

- Znajdźcie moje klejnoty!

Kiedy poszukiwacze odeszli, wynajęła zwykłych robotników. A gdy ci zrezygnowali, udała się do pałacu Ziła as-Sultana, domagając się przysłania jej na pomoc królewskiego wojska. Wreszcie nie mając nikogo do pomocy, sama zaczęła rozgrzebywać popiół poranionymi rękami.

- Ograbiono mnie - stwierdziła na koniec. - Esrafil zabrał moje klejnoty i podpalił dom, żeby mnie zgładzić.

Esrafil Mściciel, jedyny dziedzic majątku Muhammada, wyprzedał pośpiesznie wszystkie posiadłości ojca, zamierzając najszybciej jak się da przenieść się do Teheranu.

- Trzymajcie go! - krzyczała Szalona Maruszka za każdym razem, gdy widziała zbliżającego się Esrafila. - Chwyćcie go, zanim mnie zabije.

Nabrała przekonania, że Esrafil na nią poluje i nie spocznie, póki nie pomści śmierci swojej matki. Widziała go w ciemnych kątach, budziła się w nocy z uczuciem, że czai się nad nią. Bała się już zostawać sama. Całymi dniami chodziła po ulicach, błąkała się, a noce spędzała u kogoś z przyjaciół. Nawet wtedy czuwała, żeby bronić się przed Esrafilem.

Ludzie szeptali, że Maruszka jest stara, pogrążona w smutku i straciła rozum. Przestali zapraszać ją do swoich domów, patrzyli w inną stronę, gdy wołała ich na ulicy. Nie mieli już dla niej izby. Nie mieli czasu słuchać jej opowieści o straconych klejnotach. Szalona Maruszka zrozumiała, że czas odejść, opuściła więc Isfahan.

Nie miała dokąd pójść, nie miała pieniędzy ani żadnych planów. Da sobie jakoś radę,

uspokajała sama siebie, może zacząć wszystko od nowa. Lecz nawet na pustyni prześladował ją Esrafil Mściciel. Szła tylko przez jeden dzień, gdy zatrzymała się i zrozumiała jego grę: katował ją jej własnym strachem.

Obróciła się i stanęła twarzą do niego. Na pustyni zapadał zmrok. Esrafil Mściciel trzymał broń.

- Zrób to - wyzwała go Szalona Maruszka. - Zrób to, jeśli jesteś mężczyzną.

Strzelił dwukrotnie - w obie kostki u nóg - i odszedł.

- Niech cię piekło pochłonie! - wykrzyknęła, padając w bólu. - Ja żyłam!

W pałacu Ziła as-Sultana najwyższą władzę dzierżyła Tala. Była córką Hanny i księżę kochał ją bardziej od innych swoich dzieci, nawet bardziej niż synów. Jako dziecko stale przebywała z Zilem. Siedziała z nim, gdy przyjmował najwyższych dostojników, biegła boso po sali audiencyjnej, w której konferował z najważniejszymi doradcami. Przychodziła w odwiedziny do jego pokoju późną nocą i Zil as-Sultan z radością odsyłał swoje kobiety, a Tale sadzał na łóżku i patrzył, jak się śmieje.

Miała złote włosy - stąd jej imię, które oznacza złoto - zielone oczy, białą karnację, ciało wysmukłe i idealnie ukształtowane, którego przeznaczeniem było przynoszenie zguby mężczyznom. Umiała czytać i pisać, malować i grać w polo, mówić po angielsku, po francusku i po rosyjsku. Dorastała, wierząc, że świat jest życzliwy, wszystko można dostać, każde życzenie się spełni. Mając osiem lat, powiedziała ojcu, że chce uczyć się muzyki.

Zil as-Sultan nie był skłonny na to przystać, ale nie mógł odmówić Tali, wynajął więc Salomona Mężczyznę, żeby udzielał jej lekcji. Przez trzy lata Tala raz w tygodniu siadała naprzeciwko niego w Szmaragdowej Sali w Pałacu Czterdziestu Kolumn i uczyła się grać na tarze. Przez cały czas była zakwefiona i pilnowana przez dwóch eunuchów, którzy stali przy niej z obu stron i nie odchodzili nawet na moment, póki Salomon przebywał w tym pomieszczeniu. Pracowała ciężko i starała się wyrzucić na nim wrażenie, ale Salomon Mężczyzna nigdy nie patrzył na nią dłużej niż przez chwilę i tylko od czasu do czasu, wiedziała też, że nie myśli o niej, gdy odchodzi po lekcji. Potem nagle i niespodziewanie zniknął; pojechał do Indii w poszukiwaniu piękna, jak jej powiedziano.

Tala dowiedziawszy się o tym, szalała. Tak rozgniewała ją nieobecność Salomona, że sparzyła stopy służki gorącym szpikulcem, po czym dała jej tyle złota, że mogłaby sprawić sobie

nowe nogi. Potem, szlochając w łóżku, zrozumiała powód swojego gniewu: pragnie Salomona Mężczyzny i jeśli nie będzie go mieć, zniszczy siebie i wszystkich dokoła.

Czekała, aż Salomon wróci z Indii. Miała dwanaście lat, gdy przyjechał. Wezwała go do pałacu i odesłała eunuchów.

- Popatrz na mnie. - Odśloniła twarz. - Powiedz mi, że nie jestem tą, której szukasz.

Salomon Mężczyzna znalazł nieśmiertelną miłość. Tego dnia, kiedy zobaczył twarz Tali, poszedł do Ziła as-Sultana i poprosił o jej rękę.

Księżę poblądł z gniewu.

- Co za bezczelność! - krzyknął pełen wrogości. Położył drżącą rękę na sztylcie zatkniętym za pas. - Wynoś się - rozkazał. - Uciekaj, inaczej oślepię twoje oczy, które splamiły moją córkę i pohańbiły jej cześć.

Wygnał Salomona z pałacu. Zabiłby każdego, kto odśloniłby oblicze Tali. Poprzysiągł wieczną nienawiść Salomonowi i zabronił wspominać jego imię. Potem wezwał Hannę, swoją Tadżbanu, i oskarżył ją o wychowanie nieprzyzwoitego dziecka.

- Twoja córka - wściekał się na swoją ulubioną królową. - Twoja córka zhańbiła mój dom!

Rozwiódł się z Hanną, po czym wysłał ją do najciemniejszego lochu. Eunuchom polecił trzymać Tale uwięzioną w haremie, a straży nakazał uciąć jej głowę, gdyby próbowała uciec. Całą arystokrację isfahańską powiadomił, że Salomon Mężczyzna jest jego wrogiem. Tala szlochała u kolan ojca i błagała, żeby pozwolił jej zobaczyć się z ukochanym. Hanna słała codziennie listy, które nadzorca pisał atramentem rozcieńczonym jej łzami, błagając o wyrozumiałość. Lecz Zil as-Sultan był mściwy i pozostał niezłomny.

Salomon Mężczyzna zamknął się na cały rok w domu w Dżujibarze i nigdy nie opuszczał swojego pokoju, nawet żeby przyjąć gości. Przestał śpiewać, przestał się śmiać. Obserwował Pawicę, która krzątała się koło niego z twarzą pełną niepokoju, z figurą - jak sobie w końcu uświadomił - zniekształconą przez ciążę.

- Módl się, żeby to był chłopiec - powiedział córce Józef Winiarz, gdy wszyscy już wiedzieli o miłości Salomona do Tali. Kiedy dziecko przyszło na świat, Pawica usłyszała radosny okrzyk akuszerki i wiedziała, że urodziła Salomonowi dziedzica. Potem wzięła maleństwo w

ramiona i patrzyła, jak szuka piersi. Wtedy nagle przeniknął ją do szpiku kości śmiertelny smutek.

- On nie będzie mój - powiedziała akuszerce. - Stracę to dziecko wraz z jego ojcem.

Nazwała go Aresz, na cześć bohatera perskiego, wybawcy swego ludu. Przez rok po porodzie usiłowała walczyć z nieodpartą pewnością, że nie będzie widzieć dorostania syna. Pewnej nocy usłyszała Tale u swoich drzwi.

Tej nocy, gdy Tala przyszła do Dżujibaru, Pawica nie spała i nasłuchiwała w ciemnościach głosu swojego przeznaczenia. Po północy usłyszała szelest kobiecej spódnicy, pobiegła więc do drzwi. Wyjrzała. Niczego nie zobaczyła. Pomyślała, że jej się zdawało.

Po chwili jednak rozległ się śmiech Salomona - ten sam charakterystyczny śmiech, który słyszała owej nocy, gdy zbudził cały Dżujibar swoim śpiewem. Doleciał wtedy do serca Boga i jego aniołów i sprowadził pierwszy od dziesięciu lat deszcz. Pawica otworzyła drzwi i wyszła z pokoju.

Zobaczyła ich na schodach koło sypialni Salomona. Dziewczyna odwrócona była do niej plecami, długie włosy sięgały jej do bioder, a zielona satynowa suknia odbijała przy każdym ruchu blask księżyca. Stała blisko Salomona i szepnęła mu coś, czego Pawica nie dosłyszała. Potem zarzuciła mu ręce na szyję i podciągnęła się na jego piersi. Pawica spostrzegła złote bransolety na nadgarstkach dziewczyny. Zobaczyła, że Salomon Mężczyzna bierze ją na ręce i niesie do sypialni. Drzwi się zamknęły. Całą noc Pawica słyszała w ciemności pobrząkiwanie bransolet.

Wróciła do swojego pokoju i płakała do flakonika na łzy. Przyszła do niej Sabrina. Zbudziła się z lękiem w oczach Heszmat. Aresz spał w kołysce, Aresz - chłopiec, który miał przywrócić jej Salomona - leżał spokojny i nieświadomy niczego. Pawica nie widziała dzieci. Spoglądała w noc i myślała tylko o Hannie, swojej siostrze, która ją opuściła, żeby poślubić syna szacha, o co zawsze miała do niej pretensję. Myślała o Hannie takiej, jaką znała w dzieciństwie: Hannie, która spała z nią w tym samym łóżku, opierając głowę na tej samej poduszce, która jadła z tej samej miski i myła się w tej samej wodzie. A teraz córka Hanny przyszła i rościła sobie prawo do życia Pawicy. Zastanawiała się, czy Hanna wie, że Salomon to jej mąż, a Tala kradnie życie swojej ciotce.

- Musi wiedzieć - powtarzała sobie po raz setny. - Wszyscy wiedzą. Ona wie, ale zrobiła

się taka jak ludzie wokół niej; myśli, że jest lepsza od innych i ma prawo do wszystkiego, czego zapragnie.

Miała to za złe Hannie, ale nawet przeklinając ją, tęskniła za ciepłem siostry, przypominała sobie ręce wyciągające się do niej w ciemnościach nocy, jej szept w czasach głodu, gdy razem cierpiał: „Kiedy nadejdzie ranek, przybędzie karawana z żywnością”.

Usnęła przed samym świtem i śniło jej się, że weszła do sypialni Salomona. Pokój był wielki, pełen światła. Pachniało w nim tytoniem i winem, skórą Salomona, wonią kobiecych perfum. Duże poduszki oparte były o ściany. Ubrania wały się na podłodze. Fajkę wodną zostawiono i paliła się, aż cały tytoń zamienił się w popiół. W kącie naprzeciwko szklanych drzwi prowadzących na balkon wybałuszało się na nią łoże niczym bezwstydną dziwka: pościel była biała, na poduszkach widniały ślady tych, co na nich spali. Salomon Mężczyzna zniknął. Pawica poszukała w lustrze swojego odbicia, ale znalazła tylko dziewczynę w zielonej satynowej sukni.

- Popatrz na swoje dłonie - zawołał ktoś za nią. Obróciła się przestraszona. Ujrzała łysą kobietę o bursztynowych wargach i płonących oczach. Wzięła Pawicę za rękę i uniosła jej dłonie - lustrzane jak szkło - do swojej twarzy.

- Te dłonie są prawdziwymi zwierciadłami twego przeznaczenia.

Sabrina krzyczała na nią. Pawica otworzyła oczy. Było już jasno.

- Są tam nadal! - wrzasnęła Sabrina. Miała już osiem lat. Rozumiała, że Tala jest inna niż te kobiety, które Salomon przyjmował w domu. - Chciałam wejść do tego pokoju, ale mnie nie wpuścili.

Pawica usiadła. Sięgnęła za Sabrinę po flakonik, do którego płakała w nocy. Wypiła własne łzy.

Wzięła Aresza, chwyciła za rękę dziewczynki i opuściła dom Salomona Mężczyzny.

Zima roku 1888 ciągnęła się tak długo, że gdy wreszcie się skończyła, nikt nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ziemia była ciepła. Nasypało po kolana śniegu, który potem zamarzł. Wiał tak mroźny wiatr, że woda płynąca do aryków zamieniała się w lód. Dzieci spały w ramionach matek i budziły się z sinymi rączkami. Grabarze nie mogli rozkopać ziemi, zostawiano więc ciała zawinięte w całuny pod gołym niebem.

Pawica walczyła o przetrwanie z dziećmi w Dżujbarze. Opuściła dom Salomona i udała się z nimi do jedyne go miejsca, do jakiego mogła iść: do piwnicy Mułły Mirzy, gdzie schowała się przed dziesięcioma laty w dniu swojego ślubu. Wiedziała już wtedy, że Salomon Mężczyzna ją porzuci. Wiedziała to i usiłowała oszczędzić sobie cierpień z powodu utraconej miłości. A teraz, mając dwadzieścia dwa lata i będąc matką, siedziała znowu w tej piwnicy na podłodze i tym razem modliła się, by Salomon Mężczyzna do niej wrócił.

Minał dzień, potem następny. Pawica tuliła do piersi Aresza, posadziła obok siebie dziewczynki i przez trzy dni nie spuszczała oczu z wejścia. Dzieci płakały za domem. Józef Winiarz łomotał pięściami w drzwi, domagając się na próżno, by go wpuściła, a ona nie mogła ruszyć się z miejsca. Czekala na Salomona Mężczyznę, na odgłos jego kroków, dźwięk jego głosu, światło jego oczu, gdy wejdzie przez te drzwi - jak sobie wyobrażała - i powie, że Tali już nie ma, bo odesłał ją do pałacu ojca, do Hanny, która opuściła getto i zdradziła własną krew. Odesłał Tale, powie Salomon i zostanie z Pawicą na zawsze.

Czwartego dnia Józef Winiarz wyłamał drzwi piwnicy.

- Ty przeklęta idiotko - wrzasnął. - On dziś rano poślubił Tale!

Wtedy światło przygasło, wszystkie barwy poszarzały, a świat na lata całe napełnił się niemym krzykiem, który mogła usłyszeć tylko Pawica.

Sabrina była niepoczyszona. Aresz rozchorował się z zimna i braku jedzenia. Heszmat siedziła pod ścianą, ukrywając twarz w czadorze i milcząc.

- To twoja wina - oskarżał córkę Józef Winiarz. - Ty go utraciłaś.

Przychodził codziennie, sprawiał wrażenie coraz bardziej przygnębionego i zrozpaczonego, wdzierał się na siłę do piwnicy, przynosząc jedzenie dla Pawicy i dzieci. Wyglądał mizernie i był wyczerpany, kości mu sterczały, oddech miał krótki. Od osiemnastu lat, od czasu głodu w roku 1871, był chudy i chudł coraz bardziej. Przedtem był to potężny mężczyzna, brzuch wylewał mu się ponad spodnie, miał tak grubą warstwę tłuszczu pod skórą, że pocił się z samego wysiłku oddychania. Lecz w latach głodu tłuszcz zniknął, a potem Józef Winiarz nie mógł nigdy zjeść całego posiłku; przy każdym kęsie, który włożył do ust, odnosił wrażenie, że żuje ludzkie mięso.

Siadał, żeby porozmawiać z córką o przyszłości.

- Dla ciebie to już koniec - zaczynał każdego dnia i te słowa przyprawiały Sabrinę o

dreszcz. - Salomon Mężczyzna zamierza się z tobą rozwieść, nie ma co do tego wątpliwości. Ale zaskakuje mnie to, że ten człowiek jeszcze żyje, dlaczego Zil as-Sultan go nie zgładził. Dla ciebie jednak... Salomon to Salomon. Jemu po prostu nie zdarzają się takie rzeczy jak innym.

Pawica ledwie słyszała głos ojca. Jadła to, co przynosił, kołysała Aresza, który płakał i gorączkował, aż cierpły jej ramiona i nogi się pod nią uginały.

- Nie ma wątpliwości, że się z tobą rozwiedzie.

Upłynęły trzy tygodnie. Józef Winiarz poszedł do Salomona prosić, by wziął z powrotem Pawicę i dzieci. Chciał mu przypomnieć przysięgę małżeńską i obowiązki jako ojca. Chciał powiedzieć Tali o jej pokrewieństwie z Pawicą, przekazać wiadomość Hannie i prosić o wstawiennictwo za siostrą. Lecz stukał i stukał do drzwi i nikt nie przyszedł otworzyć, i póki tam stał, nikt z domu nie wyszedł.

Wyobraził sobie, że Salomon nie żyje - został zabity w swojej sypialni przez żołnierzy Zila as-Sultana, gdy obejmował Tale. W końcu Józef Winiarz sforsował zamek u drzwi i wszedł do środka.

Stał na podwórku, przytłoczony ciszą, po czym skierował się ku schodom prowadzącym do sypialni Salomona.

- Salomonie Chanie! - zawołał, lecz jego głos był ledwie słyszalny.

- Salomonie Chanie! - spróbował znów, bez powodzenia. Złapał się drewnianej balustrady i pokonał kilka stopni. Zawołał znowu, poczekał na odpowiedź, zbliżył się do sypialni.

Zapukał do drzwi.

- Salomonie Chanie, to ja, twój sługa.

Klamka chłodziła go w rękę. Nacisnął ją i wszedł.

Salomon Mężczyzna stał na łóżku, nagi do pasa, i czubkiem języka wodził dokoła sutków dziewczyny o złotych włosach i białej skórze. Kiedy Józef Winiarz wszedł do sypialni, obrócił się zdziwiony, ale oczy miał zamglone i wyglądał tak, jakby go nie poznawał.

- Salomonie Chanie! - wyjąkał Józef Winiarz. Wtedy dziewczyna o złotych włosach podeszła, wciąż naga, i wypchnęła go za drzwi.

Zil as-Sultan stracił szczęście.

Tala wypowiedziała mu posłuszeństwo. Salomon Mężczyzna go zdradził. Zil as-Sultan zemścił się, rozwodząc z Hanną. Lecz od chwili gdy posłał ją do więzienia, opuściło go szczęście

i utracił królestwo.

Był najzdolniejszym z synów szacha Nasera ad-Dina, najbardziej popularnym wśród ludu i w kręgach panujących. Rządził z powodzeniem w południowej Persji, dowodząc swoich umiejętności jako władca. To właśnie jego popularność gniewała szacha. Kiedy nadszedł czas wyznaczenia następcy, szach Naser ad-Din pominął Zilę as-Sultana i wyznaczył następcą tronu jego brata, Muzafara ad-Dina Chana. Zil urażony spiskował przeciwko niemu. Jego plany jednak zostały odkryte, szach pozbawił go władzy i przejął rządy nad południową Persją. Pozostawił mu jedynie zarządzanie Isfahanem, co również było karą: w Isfahanie Zil był jedynie namiestnikiem. Gdyby przekroczył granice miasta, ojciec by go zgładził.

Zdruzgotany Zil as-Sultan wezwał jasnowiedzów i spytał ich o przyczynę swojego upadku. Naradzali się przez cały dzień, uzyskawszy od księcia zapewnienie nietykalności dla siebie i rodzin na wypadek, gdyby nie był zadowolony z odpowiedzi. W końcu powiedzieli jednogłośnie: Jego Wysokość Książę Cień Króla oddalił niedawno od siebie kobietę o szczęśliwym obliczu. Jeśli sprowadzi ją z powrotem, odzyska swoje szczęście.

Zil as-Sultan wezwał Ministra Dworu.

- Wypuść Tadżbanu - rozkazał. - Poślij po nią moją karetę.

Hanna powróciła do pałacu w pełni chwały: miała dwadzieścia pięć lat, była groźną kobietą, silną, pewną siebie i świadomą własnej mocy, teraz gdy Zil as-Sultan wierzył, że od niej zależy jego los. Poślubiła go ponownie, odzyskała tytuł, majątek w Isfahanie i władzę w haremie. Książę przysięgał, że da jej wszystko, czego zapagnie. Poprosiła, żeby wybaczył Tali i pozwolił jej wyjechać z Isfahanu z Salomonem Mężczyzną. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że powinna stanąć w obronie Pawicy; posłano ją Zilowi as-Sultanowi, gdy miała dziewięć lat, zostawiono samą wśród obcych z jedyną misją: pozostania przy życiu i chronienia samej siebie. Powiedziano jej, żeby wyparła się przeszłości, własnej rodziny, swoich pragnień. Pawica, podobnie jak Lejla i Józef Winiarz, to były tylko cienie, które Hanna widywała w ciemnościach, często ich nie rozpoznając. Posłała do Dżujibaru piastunkę Tali.

- Jedź do Teheranu. - Stara kobieta przekazała jej słowa Hanny. - Naser ad-Din jest wrogiem twojego ojca. Weźmie cię na swój dwór, choćby dlatego żeby zrobić mu na złość.

Piastunka wróciła z nowinami z Dżujibaru. Tala jest brzemienna, powiedziała, a z kształtu jej brzucha i szerokiego rozstawiania nóg przy chodzeniu poznała i może przysiąc, że urodzi chłopca. Salomon Mężczyzna rozwiódł się z żydowską żoną i zamierza sprzedać dom w

Dżujibarze. Zapomniał o trójce dzieci, które miał z Pawicą. Zapomniał o ich matce. Oddany jest Tali i tylko Tali i obiecał, że zabierze ją do Teheranu, jak tylko urodzi się dziecko i Tala będzie mogła wyruszyć w drogę.

Józef Winiarz rozpaczliwie usiłował odwieść Salomona od wyjazdu. Słyszał o brzemienności Tali i planach przeprowadzenia się do Teheranu. Kilkanaście razy chodził do jego domu po tym, jak Tala go wyrzuciła. Błagał o spotkanie Salomona, chciał go prosić, żeby został w Dżujibarze, przyjął z powrotem Pawicę, ratował swoje dzieci. Za każdym razem Tala odprawiała go od progu.

- O pani nad paniami. - Józef Winiarz skłonił się przed własną wnuczką, która go nie знаła. W twarzy Tali widział Hanę, w jej wyrazie Lejlę. - O pani nad paniami, nie znasz naszego bólu. Salomon Mężczyzna to światło w naszym życiu. Kiedy zjawił się tutaj, sprowadził deszcz. Jeśli wyjedzie, wszyscy będziemy zgubieni. Moja córka zostanie zhańbiona. Jej dzieci umrą z głodu. O pani nad paniami, Salomon Mężczyzna ma serce ze złota. On nie odmówi nam zmiłowania.

Lecz Tala była nieugięta. Zawładnęła życiem Salomona, jego myślami, jego sercem. Sprawiała, że zapomniał o lojalności, pogrzebał nawet miłość do córek. Józef Winiarz przemyślał sytuację i doszedł do wniosku, że Tala musiała zadać Salomonowi jakiś perfidny urok. Podzielił się tą teorią z rebem Jahją, a ten wyśmiał jego naiwność i zaoferował o wiele prostsze wyjaśnienie.

- Ten mężczyzna pragnął miłości. I znalazł ją. Józef Winiarz przeklął reba Jahję i wszystkich rabinów świata. Udał się do domu, wziął oszczędności całego życia i poszedł do Malekszaha Łapacza Diabła.

Malekszah Łapacz Diabła dysponował mocą większą od innych czarownic czy czarnoksiężników w Persji. Młodość spędził na medytacjach w ruinach starożytnego miasta Rej, stolicy dawnego imperium perskiego, gdzie miał swój tron Cyrus Wielki. Była tam siedziba Królowy Duszy i Króla Dżinów. W efekcie tych medytacji Malekszah Łapacz Diabła zyskał ogromne moce duchowe i pewnego razu udało mu się pojmać króla plemienia dżinów zamieszkujących ruiny Rej. Potem go uwolnił, lecz przez owo miłosierdzie uzyskał władzę nad całym jego plemieniem. Teraz dopracował się sklepu na Placu Szacha w Isfahanie. Za krowę

albo głowę Żyda polecał dżinom będącym u niego na służbie wykonywanie zadań, które były poza możliwościami śmiertelników. Józef Winiarz panicznie bał się Malekszaha i oburzała go suma, jakiej ten żądał za swoje usługi. Niemniej udał się do niego i z bólem wyraził swoje życzenie, podsuwając worek pełen srebrnych monet.

- Krew mojego życia - powiedział, gdy palce Malekszaha zacisnęły się na worku. - Masz tam pieniądze, które odkładałem na całun dla siebie.

Malekszah Łapacz Diabła potrząsnął workiem, oceniając jego wagę, i prychnął z pogardą.

- Nie mogę zagwarantować rezultatu - rzekł wymijająco. - Jest tu tylko tyle pieniędzy, żeby zatrudnić dżiny światła. Dżiny ciemności są dokładniejsze, ale i droższe.

Dżiny ciemności, jak wiedział Józef, działały szybko i osiągały bezpośrednie skutki. Zamieszkiwały noc, były niewidzialne, lecz mocne i przeważnie nieszkodliwe, jeśli nie zlecono im wykonania zadania; dusiły tylko każdego, kto przez przypadek przydeptał im ogon albo przeszedł nad ich dziećmi śpiącymi na drogach. Dżiny światła natomiast były swawolne i złośliwe - i dlatego mniej spolegliwe. Zabawiały się kierując niczego nie podejrzewających ludzi do pułapek, z których nie było wyjścia. Miały skłonność do tracenia po drodze właściwego celu z oczu i często porzucały zadanie wykonane w połowie.

Józefa Winiarza napawała lękiem myśl o przeinaczeniu jego życzenia. Gdyby był młodszy, targowałby się z Malekszahem, przysięgałby, że jest biedny, błagałby o litość. Dziś godził się z tym, że otrzyma tylko tyle, ile może dostać za swoje pieniądze.

- Przywróć Salomona Mężczyznę mojej córce i gettu - powiedział Malekszahowi, patrząc, jak worek z monetami znika w przytwierdzonej łańcuchami skrzyni.

Salomon Mężczyzna śnił o swoich dzieciach. Spał w ramionach Tali tej nocy, gdy Józef Winiarz spotkał się z Łapaczem Diabła, i widział przez całą noc Heszmat i Sabrinę, jak biegną do niego przez zalane słońcem podwórko - boso, z otwartymi ramionami. Były małe i śliczne, o złotych oczach, jasnych włosach, nieskazitelnej cerze. Rzuciły mu się w objęcia i gdy je podnosił, czuł słońce w sercu.

Obudził się i powiedział Tali, że chce powrotu swoich dzieci.

- To niemożliwe. - Najeżyła się. - Najpierw musiałbyś mnie rzucić.

Sprzeczali się po raz pierwszy w ciągu czterech miesięcy. Tala pragnęła zatrzymać Salomona tylko dla siebie. Miała pretensję do niego, że kocha innych, miała pretensję o każdy

dzień i każdą godzinę, które przeżył bez niej, gardziła każdym, kogo kiedykolwiek kochał prócz niej. Nie była zazdrosna o Pawicę; Salomon nigdy o niej nie wspominał. Była zazdrosna o dzieci.

Józef Winiarz, który codziennie stał na ulicy pod domem, usłyszał teraz, że zawiedziona Tala krzyczy na Salomona:

- Ze względu na ciebie pozwoliłam, żeby moja matka poszła do więzienia. Zraniłam dumę ojca, porzuciłam Pałac Czterdziestu Kolumn, żeby zamieszkać tu wśród Żydów! Dla ciebie zrezygnowałam z domu i tytułu!

Józef Winiarz pomyślał, że nie na darmo dał swoje pieniądze Łapaczowi Diabła.

- Lada dzień mąż powróci do ciebie i dzieci - zakomunikował Pawicy.

Salomon przyszedł do swoich dzieci wczesnym świtem; odgłos jego kroków obudził Pawicę z koszmarów. Otworzyła drzwi i wyszła na chłodne powietrze.

- Salomon - szepnęła, a on wynurzył się jak na życzenie. Widziała się w jego oczach. - Salomon...

Stała niezakwefiona, włosy miała delikatne, ciemne i lśniące, sięgające pasa, skórę w kolorze nocy, oczy promienne. Uniosła ku niemu ręce, a on ich dotknął, porażony jej pięknnością, jakby chciał się upewnić, że jest rzeczywista. Nagle dostrzegł, że płakała; chciał dotknąć jej twarzy, ale się bał.

- Wybacz mi.

Nie odpowiedziała. Nie zrozumiała.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do piwnicy. Ujrzał swoje dzieci śpiące na ziemi bez przykrycia, przytulone do siebie, by się ogrzać, trzęsące się z zimna. Padł na kolana i zapłakał.

Tala zgodziła się wziąć tylko jedno dziecko. Chciała Aresza, bo był chłopcem, jak powiedziała, i nosił nazwisko ojca; także dlatego, że - Salomon Mężczyzna to wiedział, choć nigdy nie śmiał otwarcie tego przyznać - Aresz był tym dzieckiem, którego pragnął najmniej, ledwie go znał, a Pawica pokładała w nim największą nadzieję. Tala zgodziła się wziąć Aresza i tylko jego, a jeśli Salomon będzie nalegać na zabranie dziewczynek, to ona go porzuci i wróci tam, gdzie nigdy już jej nie odnajdzie.

Salomon popatrzył na Pawicę. Czytała w jego myślach.

- Nie! - Oczy jej płonęły.

Jej głos nim wstrząsnął. Przeraził się, że córki się obudzą i zobaczą, że zabiera Aresza, a

je zostawia.

- Przyślę ci pieniądze - powiedział do Pawicy. - Będę przychodzić i widywać się z tobą.

Wiedziała, że nie może powstrzymać Salomona; dzieci należą do ojca aż do śmierci. Patrzyła, jak zabiera Aresza, wychodzi i zostawia dziewczynki. Na podłodze Sabrina śniła o ojcu, który przyjdzie - tego była pewna - wybawić ją od Pawicy.

Józef Winiarz zachorował tego dnia, gdy Salomon wyjechał z Dżujibaru. Został w łóżku z rozpaczą w sercu, przerażony, i do reszty stracił apetyt. Z każdym dniem chudł i robił się coraz bardziej zawiedziony. Niedługo potem stracił wzrok, głos i słuch. Grzbiet miał wygięty w kabłąk, skórę tak napiętą na kościach, że nie przypominał ludzkiej istoty, a gdy wyrosły mu miękkie jak u kociaka włosy, wiedział, że dotarł do kresu życia.

- Wyrosły mi diabelskie włosy - mamrotał do Pawicy, która nie mogła go zrozumieć. - Umrę i pójdę do piekła.

Józef Winiarz umarł przypominając zagłodzone dziecko - jak pół wieku wcześniej jego młodociana żona, Chatun, która w noc poślubną miała siedem lat. Pawica pochowała go w roku 1890 i przez jakiś czas żyła z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży winiarni. Właśnie gdy pieniądze się skończyły, zjawił się posłaniec z Teheranu, przywożąc żywność, złoto i pozdrowienia od Salomona Mężczyzny.

- Od Salomona - powiedział, wyładowując worki z ryżem i mąką przed piwnicą Mułły Mirzy. Sabrina i Heszmat płaśły wokół konia posłańca, dotykały worków z jedzeniem i wymawiały imię ojca tak, jakby było święte. Posłaniec złożył na ziemi ostatni worek, po czym wyciągnął w stronę Pawicy rękę z sakiewką pełną złotych monet.

- Będzie więcej - obiecał, zadowolony z siebie i własnej misji. Pawica zauważyła jego uśmiech. Czowała, że rozpętuje się w niej furia.

- Niech go diabli! - wrzasnęła tak głośno, że dziewczynki zamarły na miejscu. Wzięła sakiewkę i cisnęła ją w posłańca. - Niech go diabli wezmą i ciebie też, jeśli wrócisz tu kiedy!

Thukła pięściami posłańca, kopała jego konia, wrzeszczała na córki, że nie wolno im dotykać tych prowiantów. Otworzyła piec węglowy stojący na podwórku i na oczach przerażonych dzieci wrzucała jeden po drugim worek z mąką do ognia.

- Powiedz Salomonowi, że nie chcemy od niego jałmużny.

Dopiero później, gdy wściekłość jej minęła i mogła mimo bólu popatrzeć na twarze swoich dzieci, pojęła rozmiary spustoszenia, jakie spowodowała. Przez wiele dni córki niepokieszone siedziały koło pieca i błagały płomienie o jedzenie, które ich matka spaliła.

Na próżno Pawica usiłowała im to tłumaczyć.

- Salomon Mężczyzna - mówiła córkom - zabrał moje życie, moją młodość, mojego syna.

Sabrina nigdy jej nie przebaczyła. Heszmat nie rozumiała matki, zrozumiała ją dopiero po dziesięcioleciach, gdy sama była stara i zraniona przez życie.

- To twoja wina - powiedziały Pawicy, płacząc do nocy za ojcem. - To twoja wina, że nas opuścił.

Następnym razem gdy z Teheranu przyjechał posłaniec Salomona, Pawica powitała go w drzwiach z rzeźniczym nożem w ręce. Odjechał, nie wyładowując jedzenia. Sąsiedzi nie ingerowali. Heszmat i Sabrina już nie płakały.

- Znajdę sobie pracę - powiedziała Pawica ludziom, którzy stali pod piwnicą Mułły Mirzy i gapili się na nią w milczeniu. - Pójdę do pracy i stanę się bogata, będę utrzymywać moje dzieci, kupię sobie dom.

Żyły z dnia na dzień, walcząc z szyderstwem getta i ze sobą. Sabrina wypowiedziała wojnę matce i oświadczyła, że wkrótce ją opuści - zostanie dziwką albo wyjdzie za muzułmanina i zhańbi Pawice na całe życie. Wychodziła na całe dni i polowała na jedzenie, przeszukiwała śmieci przy domach sąsiadów, zebrała w Isfahanie. Wracała wyczerpana i zestrachana, udając obojętność wobec matki, i upierała się, że Heszmat powinna z nią iść następnego dnia. Pawica chowała gniew do kieszeni i powtarzała sobie, że wkrótce skończy się jej niedola - znajdzie pracę, wynajmie pokój w porządnym domu, nakarmi córki i będzie je trzymać z dala od ulic.

Chodziła do wszystkich sklepów w getcie, prosząc o pracę. Potem poszła na bazar w Isfahanie, a na koniec do domów bogatych muzułmanów, przyjaciół Salomona. Wszędzie spotykała ją odmowa. Wreszcie znalazła stos bezwartościowych tkanin - skrawki i kawałki wytarte lub zbyt małe, by można użyć je na odzież - wyrzuconych przed sklep. Zrobiła z nich zawiniątko i wróciła do getta, chcąc tam je sprzedać. Chodziła od domu do domu, zwoływała wszystkie kobiety, nalegając, by kupowały od niej materiały. Co rano wychodziła z domu, obiecując, że wróci z nerkowcami i chałwą. Co wieczór Heszmat czekała w uliczce przed piwnicą i wybuchała płaczem na widok Pawicy wracającej z pustymi rękami.

- Popatrz na siebie - mówili jej sąsiedzi z pogardą. - Byłaś żoną Salomona Mężczyzny, świat ci zazdrościł. Popatrz na siebie teraz.

Heszmat znalazła przyjaciółkę - Sabę, która mieszkała trzy ulice dalej, w domu pełnym światła i ciepła. Była jedynaczką, owocem małżeństwa Ismaila Guttermana z kaleką sierotą z Jazdu. Ismail Gutterman miał osiemdziesiąt dziewięć lat, gdy brał ten ślub, i już jedenaścioro wnucząt. Spędził całe życie na wybieraniu łopata ludzkich ekskrementów z dna otwartych aryków i ładowaniu ich do drewnianego pojemnika noszonego na plecach. Sprzedawał swoje zbiory rolnikom, którzy używali ich jako nawozu, i nieźle na tym zarabiał, zapewniając dostatnie życie sobie i swoim dzieciom. Niestety żona mu umarła i został sam. Ismail Gutterman zdecydował, że żona jest tańsza od służącej, i posłał po kulawą dziewczynę z Jazdu. Nawet rabin, który dawał im ślub, przysięgał, że Ismail nie może wypełniać obowiązków stanu małżeńskiego. On jednak potraktował serio to wyzwanie. W noc poślubną wbił do miski trzy tuziny surowych żółtek, dodał słoik szafranu i ćwierć kilo tłuczonego białego kminku, po czym wypił tę mieszankę jednym haustem. Po półgodzinie, cierpiąc na gwałtowną biegunkę, która odtąd będzie trapiła go do końca życia, pobiegł do panny młodej i wszedł w nią, a penis miał tak twardy jak w dniu poznania pierwszej kobiety. Pozbawił kulawą dziewczynę dziewictwa, splodził z nią Sabę, po czym usunął się w kąt domu, gdzie drzemał bez przerwy.

Kulawa dziewczyna z Jazdu była jednak wdzięczna i zadowolona z życia. Mogła być starą panną i do śmierci mieszkać w domu ojca, a tymczasem miała męża, własny dom, i córkę, którą czciła bardziej niż Boga. Otaczała Sabę miłością i troską, usypiała ją śpiewem, codziennie dla niej gotowała. Zabierała do domu przyjaciółki córki i dobrze je karmiła, zapraszała, by zostawały na cały dzień i wracały nazajutrz. Po pierwszym pobycie w tym domu Heszmat zaczęła się bawić w wyimaginowane gry, w których ona była Sabą, a Pawica kulawą dziewczyną z Jazdu.

Pewnego razu gdy Heszmat przyszła w odwiedziny, zastała Sabę w łóżku, a wokół niej matkę i ciotki. Przemyczały dziewczynce oczy zimną herbatą, dawały małe dawki opium do palenia, wlewały do gardła wodę z cukrem i uciszały, gdy krzyczała. Saba cierpi, nabawiła się jaglicy, powiedziała kulawa dziewczyna z Jazdu.

- Uważaj, żebyś jej nie dotknęła - ostrzegła Heszmat matka Saby. - Mogłabyś się zarazić.

Heszmat patrzyła tego dnia na Sabę i wyobrażała sobie, że ona też zachorowała. Leżałaby w łóżku, Pawica byłaby przy niej, nawet Salomon Mężczyzna przyjechałby z Teheranu

odwiedzić chorą córkę.

Kiedy nikt nie widział, potarła palcem oczy Saby, a potem własne.

Tej nocy czuła się tak, jakby w oczach miała sól. Zapadała w sen, budziła się i dotykała małych guzków podobnych do grudek piachu, które pojawiły się na brzegach powiek od wewnętrznej strony i z każdą godziną robiły się coraz twardsze. Rano twarz jej pulsowała i widziała wszystko przez grubą krwawą mgłę.

Zwlokła się z łóżka i zawołała Pawicę.

- Mamo! Oczy mnie bołą.

Nie było odpowiedzi.

Zaczęła szukać po omacku Pawicy, potem Sabriny. Łóżka były puste, dom cichy.

- Mamo! Sabrino! Moje oczy!

Wypelzła na dwór. Czuła na twarzy ciepło słońca. Zorientowała się, że jest późny ranek. Nikogo w domu nie będzie aż do nocy.

- Mamo - zapłakała, ale nikt nie słyszał. - Moje oczy...

Minuty zamieniły się Heszmat w godziny, godziny w dni nieskończenie długie i puste. Wypełniał je tylko ból i palenie w oczach, i strach przed ciemnością, w której ją zostawiono, by cierpieła w samotności. Sabrina siedziała przy łóżku i przemywała jej oczy, ale Heszmat niemal tego nie czuła. Pawica trzymała jej głowę i krzyczała wraz nią z bólu, lecz Heszmat nie słyszała jej krzyków. Upłynął tydzień; ból był jeszcze dotkliwszy. Pawica wcierała świeżą pszenicę w oczy Heszmat, żeby jej ulżyć. W Jom Kipur pościła przez czterdzieści osiem godzin.

- Oby Bóg usłyszał mój krzyk i zlitował się nad nią - wyjaśniła rębowi Jahji.

Nie jadły od kilku dni. Sabrina zebrała w Isfahanie i przyniosła do domu miskę zjełczałych pulpecików i nadpsutą potrawkę z jarzyn. Pawica wiedziała, że mięso nie jest koszerne. Przymknęła jednak na to oczy.

- Zjedz to. - Sabrina włożyła łyżkę do ust Heszmat, ale ból był zbyt silny.

Postawiła talerz na półce nad łóżkiem siostry.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Zjesz rano.

Przed świtem Heszmat obudziła się głodna i przypomniała sobie o pulpecikach. Macając w ciemnościach, znalazła półkę. Sięgnęła na talerz. Pulpeciki były wilgotne i okrągłe. Włożyła sobie jeden do ust.

Wrzasnęła. Trzymała usta otwarte i nie śmiała ich zamknąć. Pulpecik był żywy. Miał nogi, które się poruszały.

Sabrina zerwała się obudzona ze snu i zobaczyła, że Heszmat się dławi.

- Skorpion!

Bez namysłu sięgnęła do gardła siostry i chwyciła skorpiona. Ten ją ukłuł w rękę. Teraz wrzasnęła Sabrina.

Pawica złapała jej dłoń, otworzyła ją i rzuciła pajęczaka na ziemię. Połała go naftą z lampy i podpaliła. Następnie popiół z niego przyłożyła Sabrinie na ranę - złapany i uśmiercony skorpion to najlepsze lekarstwo na jad.

Upływały minuty. Ręka Sabrinie spuchła, twarz poszarzała. Pawica zrozumiała, że trucizna przeniknęła do krwi córki, wzięła ją więc na plecy i pobiegła do domu najbliższego medyka.

- Nóż! - zawołał mężczyzna. Oczy Sabriny zachodziły mgłą. Wyciął tkanek wokół ukąszenia, usiłując usunąć truciznę. Za późno. Sabrina była już zimna i nieruchoma.

Pawica trzymała ciało córki do chwili, gdy pośmiertna sztywność ogarnęła ręce dziecka. Umyła Sabrinę, odprowadziła ją do grobu i pokryła całun dziko rosnącymi fiołkami. Potem wróciła do domu i opatrzyła oczy Heszmat.

- Powinnyśmy wyjechać z tego miasta - usłyszała w ciemnościach szept Heszmat. - Powinnyśmy udać się tam, gdzie ludzie nie umierają.

Wyjechały w następnym miesiącu.

Wyruszyły do Teheranu latem roku 1892. Podróżowały przez wiele tygodni przez rozległą, bezlitosną pustynię. Po drodze wiele osób z ich karawany zachorowało i zmarło z gorąca. Pewnego ranka ujrzwały na horyzoncie skarłate miasto bez kopuł czy minaretów, otoczone głęboką fosą i glinianym murem. Była to stolica Kadzarow, miasto, które przedłożyli nad Isfahan, nad Sziraz i Kaszan, i Jazd - i tam postawili swój tron.

W murze wokół Teheranu były sklezione bramy zdobione mozaiką. Karawana wjechała przez bramę na długi odcinek piasku z paroma tylko zrujnowanymi i niezamieszkanymi domami. Teheran był suchy, pokryty kurzem i nieurodzajny. Niedaleko stąd, na północy, wzdłuż brzegów Morza Kaspijskiego rozciągała się ziemia bujna, zielona i żyzna. Teheran był jednak odcięty od

morza potężnym łańcuchem gór Elburs o szczytach tak wysokich, że zatrzymywały opady i wilgoć, uniemożliwiając im dotarcie do pustyni po południowej stronie gór. Przejeżdżając przez pustynne okolice stolicy, Pawica widziała śnieg pokrywający Elburs przez okrągły rok. To tu, na tej zamrażającej górze przed tysiącami lat Aresz Łucznik wypuścił strzałę, która uratowała Persję.

Karawana zatrzymała się na Tekkije - głównym placu Teheranu, gdzie krzyżowały się cztery wielkie arterie. Wagoniki ciągnięte przez konie zapewniały transport publiczny muzułmanom. Stada bydła pędzonego przez miasto blokowały większą część placu. Dziesiątki mułów, wielbłądów i osłów, stada kur i indyków płątały się pośród tłumów pieszych. Zakwefione kobiety jechały samotnie. Mułowie w białych turbanach siedzieli na wyściełanych siodłach. Żebrzące dzieci zatrzymywały każdego jeźdźca.

Pawica i Heszmat odłączyły się od karawany i ruszyły pieszo do getta. Im dalej od Tekkije, tym bardziej ulice się zwężały, zmieniając w kręte zaułki między długimi odcinkami glinianych murów. Były niebrukowane, pełne kurzu, zasypane śmieciami ze wszystkich domów, dotknięte plagą psów walczących z żebrakami o odpadki. Powietrze, uwięzione pod sklepionym dachem uliczki, aż syczało z gorąca i pachniało zgnilizną. Nie widać tu było nigdzie żadnego drzewka ani ogrodu.

Pawica i Heszmat poczuli się zagubione w tłumie sprzedawców i dzieci, mułów w brązowych szatach i zielonych turbanach, na wpół nagich derwiszów tylko w przepaskach na biodrach. Byli tu Arabowie w białych szatach, niebieskoocy cudzoziemcy w dziwnych ubraniach wożeni eleganckimi powozami. Jakiś dżentelmen w drogim stroju jechał na arabskiej klaczy. Z tyłu za nim tuzin służących pilnowało głupka, obłąkańca, którego trzymał u siebie jak wszyscy dżentelmeni, żeby go zabawiał swoim szaleństwem.

Żołnierze w poszarpanych mundurach i bez broni sprzedawali na rogu ulicy zepsute owoce. Strażnicy pałacowi kręcili się w cieniu muru, paląc opium i żując daktyle.

Pod meczetami, budynkami rządowymi i domami bogaczy zbierały się tłumy żebraków - a wśród nich wielu ślepców, kalek albo szaleńców. Złodzieje, mordercy i rajfurzy w każdej dzielnicy tworzyli własne wspólnoty z wyznaczonymi strefami wpływów i skrupulatnie przestrzegany kodeksem.

Pawica i Heszmat znalazły żydowskie getto. Było mniejsze od isfahańskiego, nie tak zatłoczone. Ulice - pokryte grubą warstwą mułu i śmieci - osłaniały łukowate dachy chroniące

przed upałami w lecie i wilgocią w zimie. Domy zbudowane z niewypalanej gliny były popękane i koślawe, wiecznie groziło im runięcie podczas gwałtowniejszego trzęsienia ziemi. Getto znajdowało się w samym centrum Teheranu, dostęp do dzielnic muzułmańskich zapewniało sześć bram, zawsze otwartych - chyba że groził pogrom. W bliskości szacha mułlowie byli jednak mniej potężni, a Żydzi bezpieczniejsi.

Zbliżał się już zmierzch, gdy Pawica i Heszmat przystąpiły do szukania jakiegoś lokum. Pukały do drzwi i pytały, czy mogłyby wynająć pokój na kredyt albo spać na podwórku, póki nie znajdą sobie domu. Poszły do głównej synagogi w getcie, potem do dwu mniejszych. Nawet rabini odesłali je z kwitkiem.

- Idźcie do Jamy - mówili wszyscy. - Możecie tam spać na ulicy.

Jama to był rynek getta, rzeźnia i śmietnisko pod gołym niebem. Nigdy jej nie sprzątało; ilekroć Żydzi próbowali to zrobić, mułlowie ich powstrzymywali. Jamę otaczały ze wszystkich stron sklepy i domy, a góry śmieci w niektórych miejscach przewyższały otaczające je budynki. Najbiedniejsi handlarze w getcie sprzedawali tu zgniłe owoce, gotowane jagnięce wnętrzności, zupę z soczewicy. Drzwi wszystkich domów były porozbijane, okna zatkanie szmatami, izby pełne ludzi i chorób. Słońce prażyło na dworze krew zabitych zwierząt, a muchy żywiły się tym, co wyrzucili rzeźnicy. Psy walczyły z wygłodniałymi dziećmi o odpadki. Wszy obłaziły nogi przechodniów.

Pawica stanęła na skraju Jamy, trzymając za rękę Heszmat.

- Nie powinnyśmy były tu przychodzić.

Zrobiło się już niemal ciemno. Targowały się ze sprzedawcą o cenę miski soczewicy, po czym podzieliły się jej zawartością i jadły w milczeniu. Na ulicy wokół nich wszyscy przygotowywali się do snu. Skończywszy jeść, Pawica rozłożyła na ziemi stary czador, z węzełka z materiałami zrobiła poduszkę dla siebie i Heszmat, po czym usiadła obok córki, czekając na zapadnięcie nocy. Wzeszedł księżyc i z wolna getto cichło, mężczyźni wracali do domów, kobiety zabierały dzieci do łóżek albo gromadziły je koło ognia. Mieszkańcy Jamy, porzuceni przez dzień, siedzieli wokół rynku - księżyc malował na ich twarzach lęk, noc budziła rozpacz - i patrzyli na górę odpadów, która była ich domem. Jeden po drugim rezygnowali z walki ze wstydem, kładli głowy na ziemi i modlili się o sen. Ci, co przybyli tu niedawno, jak Pawica, wzbraniali się przed położeniem. Pawica siedziała oparta plecami o ścianę, z głową Heszmat na kolanach, i właśnie przymknęła oczy, gdy usłyszała okrzyk:

- Hej, ty! Podniosła wzrok.

- Ty! Nie śpij!

Z przeciwnej strony rynku w ciemnościach sunął ku niej nieskazitelnie biały obłok.

Była to kobieta, cała w bieli, z włosami suchymi jak liście kukurydzy, nie zaplecionymi, opadającymi na ramiona. Kiedy podeszła bliżej, Pawica zobaczyła, że jest stara, twarz ma pokrytą warstwą białego pudru, usta pomalowane na bursztynowo.

- Słyszałam, że sprzedajesz tkaniny.

Uśmiechnęła się z wdziękiem trzylatki.

- Mam na imię Zilfa. - Wyciągnęła rękę do Pawicy, która nie wiedziała, co ma z nią zrobić. - Haftuję chusteczki i poszukuję białego jedwabiu.

Zilfa Różarka była jedynaczką i dziedziczką całej fortuny swojego ojca. Była ładna - dawno temu w dniach młodości, zanim naruszył ją żąb czasu. Włosy miała płomiennie rude, skórę białą, a jej oczy - jak upierała się do dnia swojej śmierci - nabierały niemal nefrytowego blasku, gdy stanęła w słońcu pod właściwym kątem i o właściwej porze dnia.

Konkurentów miała od trzeciego roku życia. Mężczyzn zwabiały początkowo opowieści o bogactwie jej ojca, potem o jej jasnej karnacji. Zanim skończyła piętnaście lat, Mirza Dawud siedem razy ogłaszał jej zaręczyny. Za każdym razem jednak Zilfa Różarka odmawiała poślubienia tego, którego on wybrał. Pozwalała, by Mirza Dawud przesiadywał godzinami podczas negocjacji i spotkań, pozwalała, by obiecywał jej rękę, a kilka dni przed weselem oświadczała, że nie jest zadowolona z wyboru.

Mirza Dawud cieszył się poważaniem w swojej społeczności. Był najbogatszym kupcem, bardziej wykształconym od wszystkich rabinów razem wziętych. Należała do niego większa z dwu studni w getcie i w czasach suszy zawsze udostępniał wodę z niej za darmo. Wiedział, że powinien zmusić Zilfę do poślubienia tego, kogo wybrał - na przykład syna lichwiarza z blond wąsem i w długim chałacie, który upodabniał go do Kozaka, albo przystojnego syna Salmana Sprzedawcy Wonności, który pachniał perfumami swojego ojca i zawsze kłaniał się przed Mirzą Dawudem, gdy przychodził do jego domu. Mirza Dawud jednak respektował życzenia Zilfy i pozwalał córce mieć własne zdanie co do jej przyszłości. Jest człowiekiem światłym, jak wyjaśniał żonie, gdy przeklinała go za miękkość. Studiował język hebrajski i arabski, a nawet trzy lata medycynę w Bagdadzie. Mógł prosić i przekonywać Zilfę, ale nie mógł jej zmuszać,

żeby wyszła za mąż wbrew własnej woli. Trzymał się swoich liberalnych poglądów, dopóki Zilfa nie zrujnowała sobie życia i nie przyniosła wstydu rodzicom.

W domu Mirzy Dawuda zatrzymał się pewien muzułmanin. Przyjechał na wysokim karym koniu, a jego oczy nie znały smutku. Nazywał się Sardar Ali Chan, był dziedzicem tronu obalonej dynastii Zandów w Szirazie. Mieszkał w stutrzydziestopięciohektarowych włościach słynnych w całej Persji z ogrodów i architektury. W domu miał czterdzieści siedem sypialni, trzy sale balowe, każda większa od rynku w getcie, i boisko do gry w polo. Na sufitach i ścianach wymalowano miniaturowe postaci legendarnych bohaterów i wróżek. W stajniach Ali Chan trzymał trzysta sześćdziesiąt pięć koni - jednego na każdy dzień roku. Zilfa Różarka ujrzała gościa pierwszego wieczoru i postanowiła, że on jeden jedyny zasługuje na jej rękę.

- Ali Chan - oznajmiła ojcu - albo nikt.

Mirza Dawud był dobrym Żydem, kantorem podczas wszystkich nabożeństw sabatowych i uczonym w prawie talmudycznym. To, że jego córka mogła choćby pomyśleć o poślubieniu innowiercy, wprawiło go w rozpacz i uświadomiło, że poniósł porażkę w jej wychowaniu. Poinformował Zilfę, że Ali Chan jest już żonaty - z kochaną od dzieciństwa siostrzenicą oraz tuzinem innych, młodszych kobiet, które mu wybrała i sprowadziła do haremu. Zilfy ta wiadomość nie zraziła.

- Musi je wszystkie porzucić - oznajmiła. - Nie będę się z nikim dzielić swoim mężczyzną.

Mirza Dawud uderzył ją w usta, po czym zatopił się w modlitwie, żeby odpokutować za ten gwałt. Jego żona siedziała na podwórku ich domu i obrzucała sobie twarz i włosy garściami ziemi. Zilfa Różarka planowała w tym czasie spotkanie z Alim Chanem.

Musi być szczerą, postanowiła, ale i subtelną. Musi pozostawić silne wrażenie, skupić niepodzielnie uwagę. Zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, ale uważała, że jest warte zachodu.

Wzięła długi kawałek białego jedwabiu i uszyła z niego chustkę obrębianą koronkami, a w każdym rogu wyhaftowała białe róże. Pokropiła róże perfumami, które dostała od syna Salmana Sprzedawcy Wonności. Pewnego poranka zbudziła się wcześniej, zaplotła włosy i umalowała oczy. Kiedy Sardar Ali Chan zjawił się na podwórzu, żeby osiodłać konia, Zilfa Różarka wyszła niezakwefiona ze swego pokoju i zawołała go po imieniu. Podeszła do niego z rozpromienionym obliczem w pierwszym świetle dnia i podarowała mu chustkę.

- Na dowód podziwu - powiedziała, a Ali Chan był tak zachwycony, że podziękował. Wyjechał jednak z Teheranu i nigdy już nie wrócił.

Zilfa Różarka zaryzykowała i przegrała. Nie nosiła zasłony, za co została wygnana z domu ojca. Mirza Dawud posłał ją do Jamy, żeby tam mieszkała w jednoizbowym domu bez okien z maleńkim dziedzińcem, na którym nic nie rośnie. Zilfa Różarka przyszła do swojego nowego domu z radością i optymizmem. Była pewna, że Ali Chan wkrótce po nią przyśle. A na razie zamierzała upiększyć dom.

Zdecydowała, że będzie sypiać w jedynym pokoju, a piwnicy używać do „uprawiania sztuki”. Na dziedzińcu założyła ogród i posadziła róże. Sąsiedzi kpili z niej; nic nie rośnie w Jamie prócz chwastów i śmieci, mówili. Zilfa Różarka zasiała nasiona i patrzyła, jak zakwitają pełną gamą barw.

Za pieniądze otrzymywane od ojca wynajęła nauczyciela śpiewu i nauczyciela malarstwa. Raz w miesiącu przychodziła Samira Szwaczka i szyła jej cienkie, przylegające do ciała suknie o przezroczystych rękawach. Zilfa odmawiała noszenia zasłony. Raz na miesiąc posyłała na bazar po kremy i perfumy ze sklepu Salmana. Co rano siadywała w swoim różanym ogrodzie i szczotkowała włosy na słońcu. Depilowała nogi za pomocą płomienia świeczki, nakładała na twarz pasty robione z warzyw i płatków róż, smarowała dłonie smalcem, nacierała wężowym olejem rzęsy, żeby były dłuższe. I czekała na przybycie Alego Chana.

Czekała pięć lat, dziesięć, piętnaście. Skończywszy lat trzydzieści, zdała sobie sprawę ze swojego wieku. Przerazona pogarszaniem się stanu skóry moczyła twarz w kozim mleku, które ukrywała z poczuciem winy przed głodnymi dziećmi z Jamy. Mniej pracowała i więcej spała. Wypytywała kobiety z dzielnicy ormiańskiej - bo nie przyznałaby się do słabości przed Żydami - o lekarstwo na starość.

- Baranie nasienie - powiedziały. - Nakładaj je na skórę dwa razy w tygodniu.

Ta rada obraziła Zilfę. Postanowiła, że wynajdzie własne lekarstwo, i sięgnęła po nowe maski ziołowe i tynktury z mułu. Śmiała się z zaciśniętymi ustami, by uniknąć tworzenia się zmarszczek koło oczu. Spała z głową umieszczoną niżej niż ciało, żeby zachować rumieńce na policzkach. Ścisnęła się prześcieradłem od brody do palców u nóg, co miało zapobiec obwisaniu skóry.

Mając lat czterdzieści, poddała się i wysłała posłańca do Szirazu, żeby spytał, jakie Sardar

Ali Chan ma wobec niej zamiary. Posłaniec wrócił nader szybko: Ali Chan zmarł podczas zarazy w roku 1866. Jego synowie dorośli i pożenili się, a wnuki przejęły wspaniały dom.

Zilfa Różarka wyrzuciła posłańca i siedem dni płakała. Potem wyszła z pokoju i zajęła się pielęgnowaniem swoich kwiatów.

Kiedy dobiła do pięćdziesiątki, wysłała wiadomość do wszystkich dawnych konkurentów, oznajmiając im swoją gotowość do małżeństwa. Budziła się teraz później, licząc na to, że w ten sposób odsuwa moment, w którym ujrzy świat i uświadomi sobie, iż wciąż jest sama. Wstawała z łóżka i biegła upudrować twarz, pomalować wargi i oczy, po czym zasiadała w ogrodzie i szyła białe jedwabne chustki, haftując w każdym rogu róże. Robiła dwa tuziny chustek dziennie, układała je w schludne stosiki w kącie piwnicy, odwiedzającym zaś mówiła, że przygotowuje sobie posag. Rok później każdy centymetr piwnicy zapełniony był białymi chustkami, a Zilfa nadal skupowała jedwab.

- Pokażę ci najpierw moje próbki - skłamała Pawica Zilfie Różarce, grzebiąc w worku w poszukiwaniu najlepszych kawałków. - Chcę, żebyś się zorientowała, jaki rodzaj towaru oferuję.

Akcent natychmiast zdradzi, że jest tu obca, to wiedziała. Usiłowała ukryć przed Zilfą wyblakłe kawałki tkanin, które wypadły z worka. Wyciągnęła zieloną taftę, część stroju, który należał do Szalonej Maruszki.

- To antyk - powiedziała Zilfie. - Należał do członkini królewskiego rodu w Isfahanie.

Zilfa Różarka wyglądała tak, jakby ją obrażono. Odwróciła głowę od Pawicy i zmusiła się do półuśmiechu.

- Dziękuję ci. - Zbierała się do odejścia. - Może innym razem.

- Zaczekaj! - zawołała Pawica. - Mam więcej. To nie był mój najlepszy kawałek.

Wysypała zawartość worka na ziemię i zaczęła przebierać szmaty. Zilfa zatrzymała się niechętnie. Wiedziała, że trafiła do złej handlarki.

- Biały - przypomniała. - Potrzebuję tylko białego.

Pawica podsunęła jej kawałek brązowego jedwabiu.

- Tak. - Zilfa szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Ale ja potrzebuję białego.

Pawica pokazała jej żółty poplamiony materiał.

Zilfa Różarka miała już zaprotestować, lecz spostrzegła, że Pawica zaczerwieniła się i

zmieszała, i uświadomiła sobie, w jak wielkiej jest potrzebie. Wyrównała sznur pereł na szyi i zebrała resztki cierpliwości.

- Skąd przybyłaś? - spytała, ignorując podsuwany jej materiał.

- Z Isfahanu. - Pawicy zrobiło się lżej na sercu, że zatrzymała Zilfę. Pokazała palcem Heszmat. - To moja córka.

- Ładna dziewczynka - powiedziała szczerze Zilfa.

- A gdzie jest twój mężczyzna?

Pytanie zdziwiło Pawicę. Po raz pierwszy w życiu znalazła się wśród ludzi, którzy nie znali jej przeszłości.

- Nie mam mężczyzny.

- Umarł?

Pawica nie wiedziała, jak to wyjaśnić.

- Nie umarł. Ja go porzuciłam.

Zilfa Różarka uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Co to znaczy, że go porzuciłaś? Czy on się z tobą rozwiódł?

- To znaczy, że go porzuciłam. - Pawica była zirytowana i zażenowana.

- Uciekłaś? On cię katował i uciekłaś, żeby ratować życie? - próbowała dowiedzieć się Zilfa.

Pawica wepchnęła z powrotem żółty materiał do worka. Straciła zainteresowanie sprzedażą. Chciała jedynie oddalić od siebie wspomnienie o Salomonie.

- Poślubił kogoś innego - rzekła. - Zakochał się w trzynastoletniej dziewczynie i sprowadził ją do mojego domu, zabrałam więc dzieci i odeszłam.

Dała znak Heszmat, że powinny iść. Poprawiła czador, zacisnęła tanią metalową spinkę przytrzymującą rogi zasłony z tyłu głowy i już miała odchodzić, gdy Zilfa ją zatrzymała. Jakby niechcący uniosła jej zasłonę.

- Ależ ty jesteś piękna! - wykrzyknęła, wprawiając Pawicę w jeszcze większe zakłopotanie. - Dlaczego on cię rzucił?

Pawica poprawiła zasłonę i ruszyła z miejsca.

- Zaczekaj! - rozkazała Zilfa, tak pochłonięta chęcią odkrycia jej tajemnicy, że nie pamiętała o gorliwie zwykle przestrzeganych regułach etykiety. - Kochałaś go zatem... tego męża, którego jak mówisz, porzuciłaś?

Pawica nie odpowiedziała.

- Musiałś go kochać - oznajmiła Zilfa, podekscytowana odkryciem historii miłosnej. - Nie porzuciłabyś go, gdybyś nie była zazdrosna.

Zilfa spodobała się Heszmat. Puściła rękę matki i zbliżyła się do tej starej kobiety.

- Mój ojciec jest tu, w Teheranie - powiedziała. - Poślubił Tale Chanum, córkę Zila as-Sultana.

Zilfa Różarka ucieszyła się z tej nowej rewelacji.

- A zatem przybyłaś, żeby go odzyskać - zdecydowała za Pawicę. - Przybyłaś odebrać go Kadzarce.

Nie przyszło jej do głowy, że to mało prawdopodobne.

Pawica odciągnęła córkę.

- Zaczekaj, powiedziałam! - Zniecierpliwiona Zilfa chwyciła Heszmat za rękę. Chrząknęła i wygłosiła oświadczenie. - To wbrew moim zasadom, ale możecie mieszkać ze mną przez jakiś czas, póki nie odzyskasz swojego męża.

Zabrała je do swojego domu i pozwoliła spać w ogrodzie. Rano zapowiedziała śniadanie.

Zilfa Różarka jadła w sposób cywilizowany, jak to nazywała: przy stole, z krzesłami - miała tylko dwa - i białym obrusem. Przyszła do stołu całkowicie ubrana, umalowana i uczesana. Przerażona panującym na Bliskim Wschodzie zwyczajem jedzenia ze wspólnej miski, wyznaczała każdemu gościowi talerze, ozdabiała potrawy ziołem i kwiatami, dodawała płatki róż wszystkim do herbaty. Domagała się, by jej goście rozmawiali z nią o „sprawach interesujących ludzi dystygowanych” - o europejskiej operze, o modzie na carskim dworze, o sztuce w pałacu szacha. Pawica i Heszmat popatrzyły na siebie speszone i wybrały milczenie. Zilfa mówiła za wszystkich. Dopiero po śniadaniu, gdy sprzątały ze stołu, poruszyła temat losu Pawicy.

- Myślę, że powinniśmy poczekać z odwiedzeniem twojego męża - zasugerowała, mierząc Pawicę wzrokiem.

- Nie byłoby dobrze, gdyby ujrzał cię w tym stanie. Musisz przybrać trochę na wadze, zdobyć jakieś przyzwoite ubranie, używać odpowiedniego makijażu.

Pawica zdławiła łzy.

- Nie przyjechałam tu z powodu Salomona Mężczyzny - odparła, zastanawiając się, czy to prawda. - Przyjechałam, żeby znaleźć pracę.

Zilfa Różarka mrugnęła porozumiewawczo do Heszmat i postanowiła dostroić się do Pawicy.

- Jaki rodzaj pracy?

- Jakikolwiek.

Zilfa powiedziała, że zna pewnego muzułmanina na bazarze: złotnika mówiącego z akcentem isfahańskim, jak sobie przypomniała, który przybył do Teheranu ze skrzynią pełną drogich kamieni.

- Nazywa się Esrafil. - Zachichotała. - Przypadkiem wiem, że lubi Żydówki.

Przysunęła twarz do Pawicy, delektując się plotką.

- Jest żonaty, ale jak słyszałam, właśnie tu, w Jamie, ma kochankę.

Potem znów się wyprostowała, nagle oburzona, i przybrała odpowiedni dystans.

- Tak czy owak, jestem ponad tego rodzaju plotkami. Znam go, bo kupiłam od niego te perły. - Pokazała je Pawicy. - Ma najlepsze kamienie w mieście. Zapowiedziałam mu, że jak będę wychodzić za mąż, kupię jego najczystszy diament.

Zilfa Różarka zabrała Pawicę do Esrafila. Poszły z getta na Tekkije, przekupiły woźnicę, który zgodził się zlekceważyć prawo zabraniające Żydom jeżdżenia po mieście i zawiózł je pod bazar. Pawica bała się panicznie, żeby ich nie złapano, ale Zilfa Różarka uparła się, że pojedą powozem; nie pójdzie piechotą na bazar jak jakaś żebraczka ani nie zaprezentuje się Esrafilowi Mścicielowi w zakurzonym ubraniu. Siedziała w powozie butnie i bez obawy, ale jak tylko ruszyli, zaciągnęła zasłonki i zasłoniła dłonią żółtą łatę na czadorze.

Powóz minął Świątynię Siedmiu Cór, przejechał przez Emamzade Ismail - najstarszą dzielnicę miasta - i zatrzymał się przy Czarsu, gdzie sąsiadowały ze sobą cztery największe teherańskie bazyry i Cesarskie Więzienie. W starożytności, powiedziała Pawicy Zilfa Różarka, gdy wysiadały z powozu, bohaterowie siedzieli na Czarsu, na balkonie górującym nad wszystkimi innymi budynkami w Teheranie, i stamtąd pilnowali ludu. Teraz balkon zajmował Doruge - naczelnik straży miejskiej. Przez cały dzień rozsyłał swoich podkomendnych, żeby chodzili po mieście i szukali złodziei i zbrodniarzy, a nade wszystko ludzi podejrzanych o złe zamiary wobec władcy. Wieczorem siedział na Balkonie Sądu, przyjmował więźniów aresztowanych tego dnia i wydawał wyroki. Posyłał ludzi do Cesarskiego Więzienia znajdującego się bezpośrednio pod balkonem.

- Patrz! - wykrzyknęła ze zgrozą Zilfa Różarka, gdy zbliżyły się do Balkonu Sądu. - To jest więzienie.

Pawica zobaczyła klapę w ziemi umocnioną żelaznymi prętami. Cesarskie Węzienie to była podziemna grota bez okien i innego wyjścia prócz tej kłapy, przez którą spuszczano więźniów. Roilo się tam od szczurów i robactwa, panowały ciemności, pełno było trupów. Węźniowie, którym rodziny nie przynosiły co dzień jedzenia, marli z głodu. Tych, których uważano za zagrożenie dla monarchii, szybko zgładzano. Reszta tkwiła w ciemności, póki nie zabiła ich jakaś choroba albo nie udusili się z braku powietrza. Mało kto wychodził żywy z Cesarskiego Węzienia.

- Szybko! - Zilfa Różarka trzęsła się z odrazy, obchodząc z daleka kłapę i omijając więzienie. - Nie podchodź tam.

Pawica zaczęła iść za Zilfą, ale zawahała się, uległa ciekawości i skierowała się w stronę więzienia. Podeszła do kłapy, nachyliła się i zajrzała przez żelazne pręty w ciemność. Niczego nie zobaczyła, zbliżyła się więc jeszcze bardziej, przykłęła na jedno kolano i zajrzała do środka. Nagle chwyciła ją czyjaś ręka. Pawica krzyknęła i zaczęła się szarpać, lecz ręka nie puszczała. Męzczyzna o czarnym obliczu i długich włosach błagał ją o pieniądze na przekupienie strażników i jedzenie.

Był brudny i cuchnął jak trup, oczy miał zapadnięte, usta czarne i bezzębne. Przykuto go łańcuchami do ziemi, ale podciągnął się na jednej ręce i nie puszczał Pawicy, póki nie podszedł jeden ze strażników i nie walnął go pałką w nadgarstek. Wtedy ją puścił, padł na ziemię i zaczął szlochać.

- Wstań! - Zilfa Różarka stała nad Pawicą, lecz nie próbowała jej pomóc. Była zła, zakłopotana tym incydentem, zawstydzona, że widziano ją z Pawicą. - Mówiłam ci, żebyś nie podchodziła za blisko. Teraz wstań.

Czarsu, znajdujący się w pewnej odległości od więzienia, zatłoczony był sprzedawcami, klientami i zwierzętami. Sznury mułów i osłów ciągnęły obok koni i owiec. Gospodynie domowe targowały się z handlarzami. Przekupnie sprzedawali krowie jelita, baranie mózdzki, jagnięce jądra, kurze podroby i smażone pasikoniki.

Bazar to była sieć wąskich, niebrukowanych korytarzy nakrytych kopulastymi dachami.

Co kilka metrów przez otwory w szczycie kopuł wpadał snop światła, rozjaśniając ciemność i rażąc oczy przechodzących ludzi. Na dziedzińcu tkaczy siedzieli sprzedawcy i palili swoje fajki wodne, kaljany, przy stosach bawełnianych tkanin importowanych z Manchesteru. Na dziedzińcu księgarzy starcy sprzedawali manuskrypty pisane na jeleniej skórze. W zaułku kowali półnaczy mężczyźni o ciałach oświetlonych blaskiem ognia nachylali się nad kowadłami. Zilfa Różarka odzyskawszy pewność siebie i zręcznie manewrując pośród tłumu, weszła do bazaru złotników. Pozdrowiła kilku właścicieli sklepów, którzy ledwie ją zauważyli, po czym zatrzymała się w odległości metra przed łukowatym wejściem do sklepu Esrafil Mściciela; Żydom nie wolno było wchodzić do sklepów prawowiernych. Sama ich obecność, ich dotyk na stałe kalowały lokal. Młody chłopak siedział w sklepie gotowy przywitać klientów.

- Jestem Zilfa córka Dawuda - zawołała do niego z korytarza Różarka. - Mam interes do Esrafila Chana.

Chłopak obrzucił je pogardliwym spojrzeniem, po czym popatrzył w drugą stronę. Nie wstał, żeby zawołać swojego pana. Wiedział, że Esrafil Mściciel nie przyjmuje Żydów.

Pawica spojrzała na służącego, potem na Zilfę i zastanawiała się, co będzie dalej. W sklepie na podłodze leżały jedwabne dywany, ozdabiały też ściany; ciężka aksamitna draperia zwisała z łuków; obok wystawionych daktyli i słodczy dymił wielki platerowany złotem samowar.

- Zawołaj swojego pana - poprosiła grzecznie Zilfa, gdy stało się jasne, że chłopak je ignoruje. - Powiedz mu, że przysła Różarka, która kupiła perły.

Chłopak splunął w jej stronę.

- Znikaj, Żydówko.

Zilfa Różarka chwyciła swoje perły jakby dla równowagi. Trzęsła się ze zdenerwowania, jej wargi zrobiły się tak blade, że aż sine. Pawica wyczuwała łzy w jej głosie. Przysła tu w swoich najlepszych szatach, wystrojona jak królowa i umalowana z całym artyzmem i niezwykle umiejętnie, a tu przy drzwiach została zlekceważona przez wieśniaka w płóciennych łapciach. Czowała, że obserwuje ją tysiiąc par oczu.

- Zawołaj go - usiłowała rozkazywać, ale brzmiało to tak, jakby prosiła. Na zapleczu sklepu uniosła się zasłona i wyszedł zza niej mężczyzna z pejczem. Na jego widok Pawicy zrobiło się słabo; poczuła się tak, jakby znalazła się w pułapce.

- Jesteś niecierpliwa, Żydówko. - Esrafil Mściciel uderzał rączką pejcza w lewą dłoń.

Podszedł do drzwi sklepu i tam się zatrzymał. Był wysoki, posepny, twarz miał bladą i nieprzyjazną, oczy koloru złocistych agatów. Prawie nie poruszał wargami, mówiąc.

Zilfa Różarka dotknęła opuszkami palców twarzy, jakby chcąc się upewnić, że się nie rozpadnie. Uniosła boki spódnicy, zrobiła krok do przodu w swoich atlasowych pantofelkach i zdobyła się na śmielszy ton.

- Pozdrowienia. - Ręce drżały jej na spódnicy. - Ładnie, że nas przyjmujesz.

Esrafil Mściciel zmierzył ją wzrokiem.

- Jestem Zilfa - spróbowała raz jeszcze. - Kupiłam od ciebie te perły.

Esrafil Mściciel poznał Zilfę, gdy tylko ją zobaczył. Przyszła do niego z workiem drobnych monet i oznajmiła, że chce kupić najpiękniejszy brylant. Wysypała wszystkie pieniądze na dywan przed sklepem i uparła się, że dokona zakupu tylko u niego. „Dla mnie tylko to, co najlepsze”, mówiła. Po wielu targach kupiła najtańsze z jego pereł.

- Mówiłem ci, żebyś już tu nie przychodziła - powiedział Esrafil. Zilfa Różarka zrobiła się tak czerwona jak jej szminka.

- Przyprowadziłam do ciebie przyjaciółkę. - Pokazała na Pawicę, bo zapragnęła nagle odwrócić uwagę Esrafila od siebie. - Pochodzi z Isfahanu jak ty i cieszy się dobrą opinią wśród Żydów... to znaczy... z powodu swoich zdolności kupieckich. Myślę, że mogłaby ci pomagać... w jakiś sposób.

Esrafil Mściciel popatrzył na Zilfę, potem z wolna odwrócił się w stronę Pawicy. Jego oczy ją paliły. Zrobiła krok do przodu, stanęła obok Zilfy i próbowała spojrzeć Esrafilowi w oczy.

- Jestem handlarką - powiedziała. - Potrafię sprzedać wszystko. Daj mi jakieś złoto, łańcuszek albo bransoletę. Wezmę je w komis.

Esrafil Mściciel wyglądał na oszołomionego. Usiłował coś zobaczyć przez zasłonę Pawicy. A ta uświadomiła sobie, że wzbudziła jego zainteresowanie, i mówiła dalej:

- Wiem, że dobrze ci się powodzi, ale może powodzić ci się jeszcze lepiej. Sprzedam to, czego nikt z twoich klientów nie chce.

Wpatrywał się w nią, potem skinął głową, żeby weszła do sklepu. Zilfa Różarka, podekscytowana, też próbowała dostać się do środka.

- Ty nie - powstrzymał ją Esrafil i Zilfa niemal natychmiast zniknęła.

Pawica stała w sklepie przed Esrafilem i czekała, aż przemówi. A on na nią patrzył.

Patrzył tak długo, że poczuła kropelki potu perlące się na skórze pod czadorem, a potem spływające w dół.

- Podnieś zasłonę.

Nawet chłopak służący był zaszokowany. Popatrzył na swojego pana, odmówił modlitwę chroniącą przed złem i wybiegł na zaplecze, gdzie nie można go było zobaczyć. Pawica chciała się zwrócić o pomoc do Zilfy, ale zobaczyła, że jej nie ma - nie mogła znieść tego, jak ją potraktował Esrafil.

Esrafil Mściciel podszedł bliżej do Pawicy.

- Pokaż mi swoją twarz - rozkazał.

Pawica cofnęła się, zmierzając ku drzwiom, Esrafil jednak złapał ją za rękę i szarpnął zasłonę. Zapinka z tyłu głowy trzasnęła, zasłona opadła i Esrafil Mściciel ujrzał młodą kobietę o twarzy, którą mógłby wielbić.

Esrafil Mściciel przyjechał do Teheranu ze skrzynią klejnotów i rubinem, który Muhammad Żyd ukradł Uczciwemu Antykwariuszowi przed pół wiekiem. W sercu nosił obraz matki - Afak, która przybyła z gór Kurdystanu, by umrzeć w domu Muhammada Żyda - i ojca osłaniającego ciało Sanam, gdy trawił ich ogień.

Wynajął największy lokal na bazarze i założył sklep złotniczy. Znalazł sobie żonę - kobietę tak bladą i mdłą, że nie mógł zapamiętać jej imienia, nazwał więc ją wygodnie „Matka Chłopców”. Znalazł też kochankę, Żydówkę z Jamy imieniem Asal, o skórze tak białej, że zawsze pocierał palcem jej policzek, by się przekonać, czy nie ma na nim pudru. Asal była już zamężna i została pozbawiona dziewictwa. Po siedmiu tygodniach jej mąż zmarł na malarię. Teraz sypiała z Esrafilem, licząc na to, że z czasem pokochają i poślubi. Był bogaty, a Asal nie przeszkadzało to, że jest muzułmaninem. Przychodził do niej raz na tydzień - w przeddzień sabatu, jakby dla sprofanowania świętości tego dnia - i przez cały czas ich znajomości nigdy nie dał jej ani pieniędzy, ani jedzenia.

Z Matką Chłopców Esrafil Mściciel miał pięciu synów. Z Asal tylko jednego - Beszarata Bękartą, który urodził się w trzecim roku ich związku i którego pojawienie się oznaczało dla Esrafila koniec zainteresowania jego matką. Kiedy Asal stwierdziła, że jest w ciąży, Esrafil ożenił się z nią, ale po urodzeniu syna porzucił ją i więcej nie przychodził.

Lecz nie mógł znaleźć spokoju nawet w domu, otoczony dziećmi i krewnymi żony. Synowie przychodzili do niego po uczucie, a znajdowali tylko gniew. Matka Chłopców

próbowała mu się przypodobać, budziła jednak tylko wzgardę. Nie była to, jak sądzą niektórzy, kwestia zrozumienia go, dostrzeżenia miłości pod gniewem, uwrażliwienia na jego nastroje. Chodziło o coś znacznie prostszego: Esrafil Mściciel nienawidził swojego potomstwa bez powodu i bez zastrzeżeń.

Był młodym, dwudziestopięcioletnim, przystojnym mężczyzną, ale jego życie dawno zniszczyła nienawiść i zemsta. Spalił dom ojca, ukraść klejnoty Maruszki, potem ścigał ją i dręczył, aż oszalała ze strachu, a wtedy zabił ją na pustyni i trupa zostawił, by zgnił.

W dniu gdy Zilfa Różarka przyproceedziła do niego Pawicę, Esrafil od pierwszego spojrzenia poczuł do niej pogardę. Najchętniej byłby ją odprawił, wysmagał jej twarz pejcem i kopniakami przegonił z bazaru, który przyszła pohańbić swoją obecnością. To prawda, sypiał z Żydówką, ale bardziej z nienawiści niż z pożądania - by móc oskarżać Asal, jak sobie mówił, że jest dziwką. Nienawidził Żydów i nienawidził isfahańskiego akcentu Pawicy, który przypominał mu o przeszłości, lecz gdy zaczęła mówić, wzbudziła w nim pożądanie, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Zerwał zasłonę i ujrzał ją - ciemną i olśniewającą, czarnowłosą i zielonooką, o gładkiej i jędrnej skórze, oszalamiającą. Wyciągnął rękę i przejechał palcem po jej policzku. Pawica stała przed nim, drżąc jak schwydana w pułapkę jaskółka. Esrafil Mściciel patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym w milczeniu się odwrócił i puścił zasłonę. Podeszedł do wnęki w ścianie, skąd wyjął skrzynkę pełną złota. Dał Pawicy tuzin złotych bransolet.

Stała i patrzyła na złoto, bojąc się go dotknąć, ale odmówić nie potrafiła. Po dłuższej chwili wzięła bransolety i wybiegła ze sklepu. Esrafil Mściciel rozpoznawał jej kroki pośród tysiąca dźwięków na bazarze.

Idąc tego dnia do domu, zagubiona w nieznaney okolicy i wśród przytłaczających tłumów na teherańskich ulicach, myślała o Mścicielu i zastanawiała się, czy odważy się kiedykolwiek do niego wrócić. Pokazała Zilfie bransolety, ale nie powiedziała nic więcej o tym spotkaniu.

Tej nocy, gdy spała w piwnicy Zilfy Różarki, śniło jej się, że jest dziewczynką, biegnie przez obcy ogród z uschniętymi drzewami i pałacem w oddali i ścigają mściwe dziecko, które złapie ją i wygna w jałowy świat głodu. Obudziła się z krzykiem.

- Uważaj na psy! - krzyknęła Zilfa Różarka, widząc, że Pawica wybiera się na bazar. Minęły trzy tygodnie od spotkania z Esrafilem, Pawica nadal mieszkała u Zilfy, ale sprzedała już wszystkie bransolety i nie mogła się doczekać prowizji. Szła na bazar odnaleźć Mściciela.

- Jest już niemal pora zamykania bazaru - wołała Zilfa, gdy Pawica zniknęła na końcu uliczki. - Uważaj na psy.

Bazarów w Teheranie pilnowała sfera dzikich psów. W ciągu dnia psy łączyły po dachach bazaru. Wieczorem, cztery godziny po zachodzie słońca, odtrąbiano zamknięcie wszystkich sklepów i ulic. Tylko miejscy stróże nocni i niewielka liczba uprzywilejowanych, mających dostęp do hasła na daną noc, mogli przebywać na dworze. Później psy, groźne jak wilki i nauczone zabijać, wpuszczano na bazar, żeby pilnowały go przed złodziejami.

Pawica zjawiała się akurat w chwili, gdy rozległ się dźwięk trąbki. Myślała o tym, by zawrócić, ale uświadomiła sobie, że nie zdąży dotrzeć do domu przed zamknięciem ulic. Doszła do wniosku, że bezpieczniej będzie na bazarze. Przebiegła przez Czarsu i wpadła na dziedziniec złotników. Zatrzymała się pod sklepem Esrafila i nasłuchiwała, czy nie ma psów. Weszła do środka. On natychmiast ją poznał.

- Przyniosłam twoje pieniądze. - Wyciągnęła w jego stronę sakiewkę z monetami.

Ujrzał jej rękę - małą, lecz silną, ciemną i spękaną, ale piękną. Z wielkości sakiewki mógł odgadnąć, że poniósł stratę, że Pawica sprzedawała bransolety po cenie znacznie niższej, niż należało. Sięgnął po sakiewkę i nie mając takiego zamiaru, uwięził jej dłoń w swojej ręce.

Tym razem Pawica nie zadrżała, tylko uwolniła dłoń i stała nadal przed Esrafilem z zakwefionym obliczem. Już się go nie bała; rozpoznała chłopca ze snu.

Uniosła zasłonę. Esrafil zobaczył oczy Muhammada Żyda.

- Twój ojciec - powiedziała - był bratem mojej matki.

Esrafil Mściciel nigdy nie przestał pożądać Pawicy. Nigdy jednak nie dotknął jej ponownie. Pragnął jej i gardził nią zarazem. I nigdy nie udało mu się zwalczyć żadnego z tych uczuć.

Pozwolił Pawicy sprzedawać złoto, mimo że ponosił straty. Udzielił jej pożyczki, żeby mogła wynająć pokój w Jamie, kupić materac i kołdrę dla siebie i Heszmat. Uczył ją wszystkiego, co wiedział o kamieniach - na początku o agatach i turkusach, potem o rubinach, diamentach i szafirach. Posyłał do domów swoich bogatych klientów z listem polecającym i kieszenią pełną klejnotów. Muzułmanie przyjmowali ją tylko dlatego, żeby wyświadczyć grzeszność Esrafilowi, po czym pokazywali jej drzwi i prosili, by więcej nie wracała. Pawica wracała - raz w miesiącu, raz w tygodniu. Unikali jej służący, przeklinając za nieczystość.

Doznawała afrontów ze strony urażonych pań domu. Mężczyźni ignorowali, ją, a potem otwarcie skarżyli się Esrafilowi, że sprawia im taką przykrość. Lecz stopniowo przez lata nieustępliwych wysiłków Pawica wyrobiła sobie markę.

- On traci przez ciebie pieniądze - mówili klienci za każdym razem, gdy przychodziła do ich domów. - W sklepie mógłby sprzedać te same kamienie za podwójną cenę.

Pawica wiedziała, że to prawda; Esrafil Mściciel był dla niej dobry. Okradał współpracowników, rujnował całe rodziny, udzielając pożyczek na horrendalny procent, zniszczył Asal Dziwkę, nie chcąc jej mieć za żonę, ale Pawicę chronił i traktował łaskawie.

Reza Chan Maxim urodził się na północy w wiosce Alaszt na wysokości tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem morza, w glinianej chałupie krytej strzechą i uczepionej skraju stromego zbocza. Zimy w Alaszcie były ostre, lata suche. Większość dzieci z wioski umierała w niemowlęctwie, a większość dorosłych nie widziała nigdy świata poza jej obrębem.

Ojciec Rezy Chana umarł rok po urodzeniu się syna. Jego matka, Nuszafarin Chanum, przeniosła się z dzieckiem do domu brata w Teheranie. Znalazła sobie innego męża, poślubiła go, a Rezę zostawiła pod opieką wuja. Z kolei wuj oddał go przyjacielowi - Amir Toman Kazim Chan był generałem właściwie nie istniejącej armii perskiej. W jego domu Reza spotkał po raz pierwszy Żydówkę.

Amir Toman Kazim Chan był człowiekiem bogatym, miał koneksje i przyjaciół na wysokich stanowiskach. Odziewał się w drogie ubrania, jeździł na koniach z czerwonymi ogonami i szczycił się imponującą kolekcją pięknych dywanów i klejnotów. Na ścianach jego domu wisiały jedwabne kilimy z podobiznami wszystkich kadżarskich królów. Nosił oprawiony jak pierścień rubin z wrytym na nim herbem rodowym. Imiona Allaha i Proroka kazał grawerować na pięknych agatach, które rozdawał przyjaciołom. Na każdy Nowy Rok Kazim Chan zamawiał u Esrafila Mściciela worek złotych monet i wręczał je służącym i tym, którzy przyszlizli do niego z życzeniami. Tego roku, gdy Reza zamieszkał u Kazima, Esrafil Mściciel posłał Pawicę, żeby dostarczyła zamówione monety.

Przyszła w wyblakłym czadorze z taną metalową zapinką przytrzymującą zasłonę i od razu wiadomo było, że jest uboga. Powiedziała, że przyniosła worek monet i kilka łańcuszków i bransolet, które może zainteresują Kazima Chana. Rezę zbił z tropu jej akcent, ale Kazim Chan natychmiast rozpoznał w niej Żydówkę.

- Z jakiej prowincji pochodzisz? - spytał bez wrogości.

- Z Isfahanu. - Pogrzebawszy w kieszeni, wyciągnęła list polecający ze znakiem Esrafila Mściciela. - Proszę przeczytać - powiedziała z dumą. - I przekonać się, że mam dobre referencje.

Amir Toman Kazim Chan zerknął na list, po czym się uśmiechnął. Czekał, aż Pawica rozłoży złote łańcuszki na kawałku czarnego aksamitu.

- Proszę spojrzeć - namawiała go. - Myślę, że te się panu spodobają.

Po jej wyjściu Kazim Chan powiedział Rezie, że Pawica to Żydówka.

- Ale tyją wpuściłeś - protestował chłopiec, przerażony, że został skalany i pohańbiony. - Dotykałeś jej złota. Miała w ręce ten cały worek monet.

Amir Toman Kazim Chan podsunął mu swoje dłonie, żeby mógł je obejrzeć: Reza nie znalazł na nich żadnej skazy, żadnej oznaki zniekształcenia, żadnego dowodu nagłego skalania. Kazim Chan usiadł i opowiedział mu o Żydach, których znał. O śpiewaku Salomonie Mężczyźnie, którego głos potrafił przebudzić przyrodę i anioły Boga. O kobiecie, poślubionej kiedyś przez Ziła as-Sultana, która wyparła się swojego pochodzenia i której sama nieobecność pozbawiła księcia szczęśliwego losu. O zjawie, Esterze Wróżce, która przepowiedziała śmierć królom.

- Nie lekceważ nigdy przyjaźni Żyda - powiedział Kazim Chan. Odtąd zawsze gdy Pawica przyszła pokazać swoją biżuterię, Reza patrzył na nią tak, jakby była zjawą.

Dorastał w domu Kazima Chana, ale pozostał obcym. Miał własny pokój, jedzenie i możliwość uczenia się wraz z dziećmi Kazima Chana, zdawał sobie jednak sprawę z własnego niskiego statusu - sieroty, na pół gościa, na pół sługi - i czuł się nieswojo wśród swoich dobroczyńców, żywił urazę do losu. Był chłopcem inteligentnym, potrafiącym przyswajać sobie wielkie myśli i dogłębnie je rozumieć, ale wyrósł na młodzieńca gniewnego i zamkniętego w sobie, bez przyjaciół i z niewielu znajomymi. Przez jakiś czas próbował uczyć się u nauczycieli, którzy przychodzili do domu. Był jednak starszy od dzieci Kazima Chana, a one śmiały się, ilekroć popełnił błąd. Pewnego razu Pawica czekając na Kazima Chana, usłyszała, że dzieci kpią sobie z charakteru pisma Rezy.

- On nawet pisze jak wieśniak - mówiły. Reza zbladł i odwrócił wzrok. Po lekcji Pawica go przywołała.

- Zobacz - powiedziała - jaki jesteś wysoki i przystojny. Widziałam cię pierwszy raz, jak

byłeś chłopaczkiem.

Był jej wdzięczny, że nie wspomniała o incydencie, którego stała się świadkiem. Jego oczy, ciemne i ponure, napełniły się nagle łzami. Pawica wzięła go za rękę.

- To, co one mówią, nie ma znaczenia - pocieszała Rezę. - Nie ma znaczenia, że byłeś wieśniakiem. Pewnego dnia będziesz królem.

Reza Chan Maxim chodził na lekcje, aż nauczył się czytać i na tym poprzestał. W roku 1893, mając lat piętnaście, wstąpił do pierwszej Konnej Brygady Kozaków w Teheranie. Wydostał się spod kurateli Kazima Chana i zamieszkał w nowo zbudowanym Domu Kozaków obok terenów ćwiczebnych.

Poświecił się bez reszty szkoleniu, modląc się, by wśród kozaków znaleźć swój dom. Odznaczał się wielką dyscypliną, wierzył w lojalność i męstwo, a nawet heroizm. Niemal natychmiast wyróżnił się w brygadzie i szybko awansował. Niżsi rangą obawiali się go i gorliwie naśladowali. Starsi rangą chwalili jego zachowanie i poglądy. Niemniej z każdym dniem pobytu wśród kozaków Reza Chan Maxim upewniał się coraz bardziej, że służy złej sprawie.

Perska Brygada Kozaków została utworzona w roku 1885 pod dowództwem rosyjskiego komendanta - barona Moadela - i miała za zadanie ochronę szacha i zagranicznych poselstw w Teheranie. Powstała na prośbę szacha Nasera ad-Dina, który pojechał do Europy w roku 1878 i był gościem cara Aleksandra II. Pułk kozaków strzegący cesarza zrobił takie wrażenie na szachu, że poprosił cara, by utworzył kozacką jednostkę w Teheranie. Był dumny ze swoich kozaków i zdawał sobie sprawę, że są lepiej wyszkoleni i uzbrojeni od jego własnej armii. Wiedział, że byli na służbie cara, że dowódcy mówili im, iż mają strzec interesów Rosji. Wiedział, że Rosja jest największym wrogiem jego kraju, a kozakom, choć to Persowie, wolno mówić tylko po rosyjsku i w języku azeri. Naser ad-Din wiedział to wszystko, a jednak przywitał z radością pułk kozaków i prosił ich, by pozostali w Persji co najmniej przez czterdzieści lat.

- To jest złe - mówił Reza Chan Maxim za każdym razem, gdy dostał urlop i przychodził do domu Kazima Chana. Bardzo wyrósł przez te lata. Miał ciemne włosy, gęste wąsy, bezlitosne oczy. - Szach wydaje siebie i Persję na łaskę i niełaskę cara. Szkoli armię lojalną wobec wroga.

Kazim Chan urażony krytyką gryzł się w język i odmawiał modlitwę, żeby nie wybuchnąć gniewem. Tłumaczył Rezie, że szach Naser ad-Din to wielki człowiek, że ma

wspaniałą wizję Persji, że przystąpił do modernizowania kraju, wyprowadza go z zacofania, wznosi światło postępu. Powiedział, że szach jeździ za granicę reprezentować przed światem swój naród, że przynosi krajowi postęp: przecież to on ufundował pierwszy uniwersytet i nowoczesny szpital. Zaznajomił Persję ze sztuką, teatrem, fotografią.

- To prawda - mówił - że służycie carowi. Tylko że bez kozaków w ogóle nie mielibyśmy wojska.

Reza Chan Maxim po każdej dyskusji odchodził coraz bardziej przygnębiony. Szach Naser ad-Din, argumentował, wprowadził postęp, ale za niedopuszczalną cenę: za każdego doradcę i każdą pożyczkę z Europy Jego Królewska Mość obiecywał część perskiej ziemi, bogactwa naturalne albo sojusz. W ten sposób wyprzedawał minerały, lasy i rzeki Persji. Pozwolił, by rządili za niego cudzoziemcy, podpisywali traktaty, kupowali surowce w jego kraju i odsprzedawali je z powrotem Persom po dziesięciokrotnie wyższej cenie. Jego czyny przydawały wiarygodności mułłom, którzy potępiali każdego monarchę jako oszusta - uzurpatora pozycji powierzonej duchowieństwu przez Boga.

- Władca ma obowiązek bronić integralności swojego królestwa - oświadczył Kazimowi Chanowi, który wybuchnął, usłyszawszy, że szach Naser ad-Din zawodzi swój naród.

- Bez króla - krzyknął, odchodząc na znak, że wizyta dobiegła końca - kraj zostałby zniszczony przez mułłów.

Reza Chan Maxim wyszedł wcześniej, poszedł do Domu Kozaków, zamknął się w samotności w koszarach i rozmyślał o niepewnej przyszłości kraju, który zmierza do upadku i zguby.

Pawica poprosiła Esrafiła o jego największy kamień.

- Chcę diamentu odpowiedniego dla królowej - powiedziała Mścicielowi wiosną roku 1895. Pracowała z nim od trzech lat, sprzedając klejnoty wszystkim jego klientom. Teraz oznajmiła, że wybiera się do królowej.

Esrafil Mściciel uniósł brwi i uśmiechnął się życzliwie.

- Czy twoje ambicje nie znają granic? - spytał. - Wyobrażasz sobie, że królowa przyjmuje każdego, kto zapuka do bram pałacu?

Pawica speszzyła się i zarumieniła. Jej oczy - już nie zakrywała twarzy przed Esrafilem - napelniły się łzami, których nie potrafił sobie wytłumaczyć.

- Mam syna w pałacu - odparła cicho. - Siedmioletniego. Może jeszcze mieszka z kobietami.

Esrafil Mściciel osłupiał. Widział, że Pawica na niego patrzy, i mimo dzielącej ich odległości wydało mu się, że czuje żar jej skóry. Nie domagał się wyjaśnień.

- A jeśli go znajdziesz - spytał tylko - to co? Pawica potrząsnęła głową. Od dnia, w którym Aresz się urodził, wiedziała, że go straci. Wiedziała, że nigdy nie zdoła syna odzyskać, bo należy teraz do rodziny królewskiej.

- Po prostu znów go zobaczę - odparła.

W piątek, dzień audiencji i przyjęć, Esrafil Mściciel posłał powóz do getta po Pawicę. Czekał na nią przed swoim domem na Sar Czeszme. Ubrał się w uroczysty strój: białą lnianą koszulę otwartą z jednej strony i zapiętą na pojedynczy guz na prawym ramieniu, pikowaną jedwabną kamizelkę, długą jedwabną szatę związaną w pasie i zapinaną na guz pleciony ze srebrnej nici. Ujrawszy wśród południowego ruchu nadjeżdżający powóz, ruszył na powitanie Pawicy. Woźnica zsiadł z kozła i otworzył mu drzwiczki. Esrafil Mściciel nie poznał kobiety w powozie.

Ubrana była w królewski strój, umalowana, wyperfumowana i tak piękna, że na jej widok do oczu napłynęły mu łzy. Miała haftowany szmaragdowy czador, zieloną jedwabną bluzkę z długimi rozciętymi wzdłuż rękawami, spódnicę do stóp tego koloru co bluzka, białe bawełniane skarpetki, zielono-złote pantofle i szmaragdową zasłonę. Uśmiechnęła się do Esrafila.

- Zilfa Różarka uważa, że powinnam zrobić wrażenie na królowej - tłumaczyła się nieśmiało. Jej oczy podkreślone czarnym antymonem wydawały się większe, wyrazistsze i intensywniej zielone. Esrafil Mściciel nie mógł oderwać od niej wzroku przez całą drogę do pałacu.

Z Sar Czeszme pojechali w Aleję Lamp Gazowych - szeroką, tonącą w śmieciach arterię, której środkiem biegły tory konnego tramwaju. Pół godziny później dotarli na Plac Armat przed Pałacem Róż, walcząc z tłumem sprzedawców i pieszych, rozkiełznanych mułów, wielbłądów i osłów. Plac pełen był pyłu i brudu, nawierzchnię miał nierówną, wyprażoną przez słońce. Na środku otoczony płotem zrobionym z tysiąca połamanych strzelb królował wielki basen pełen śmieci. W każdym rogu stało stare działo, trofeum pochodzące ze zwycięskiej wojny - sprzed setek lat, gdy Persja jeszcze miała armię i walczyła z imperium portugalskim. Działa stały na połamanych kołach i przed upadkiem broniły ich tylko nagromadzone pod nimi zwały gruzów.

Po jednej stronie placu Pawica ujrzała Perski Bank Imperialny - założony, kierowany i kontrolowany przez Brytyjczyków. Za pozbawionym flagi masztem zobaczyła ogrodzony teren wojskowy, gdzie siedzieli, pałac opium, półnaczy niedożywieni żołnierze.

Powóz minął Plac Armat i wjechał w następną aleję prowadzącą do łukowato sklepionej bramy Pałacu Róż. Tuż za nią czekała na Esrafila grupa oficerów w bogatych mundurach, ostro kontrastująca wyglądem z żołnierzami na placu.

Esrafil Mściciel pozdrowił Dżouhara - czarnoskórego eunucha królowej - a potem przedstawił Pawicę. Eunuch zmierzył ją wzrokiem i wydawał się zadowolony. Jednakże gdy znaleźli się już na terenie pałacu, starał się utrzymać należyty dystans: unikał skalania się dotknięciem Żydówki.

Weszli na obszerny dziedziniec okolony wysokimi ścianami z żółtych i niebieskich kafli, z marmurową sadzawką pełną złotych rybek na środku. Wspięli się po szerokich schodach do pokoju zarezerwowanego dla zwierzchnika eunuchów. Były tam witrażowe okna, misterne figuralne freski na ścianach oraz portret Jego Królewskiej Mości Nasera ad-Dina Szaha, Kadżara, malowany na płótnie. Poniżej obrazu pod ścianą stało pojedyncze krzesło z wysokim oparciem, na którym mógł siąść jedynie szach.

Dżouhar przeszedł przez pokój i poprowadził Esrafila i Pawicę szerokim korytarzem na następny dziedziniec, na którego końcu wisiała ciężka kotara z czerwonego aksamitu, strzeżona przez czterech eunuchów. Dżouhar podał hasło, a wtedy strażnicy unieśli kotarę, odsłaniając trzeci dziedziniec - wybrukowany cegłami i ocieniony koronami drzew. Pawica dostrzegła wokół niego szeroko otwarte okna pokojów panien służących.

- Zostawię cię tutaj - powiedział Esrafil Mściciel. Wprowadził do pałacu Pawicę i dotąd jej towarzyszył, a teraz powierzył Dżouharowi i uśmiechając się zachęcająco, odszedł.

Dżouhar zaprowadził Pawicę do następnej kotary.

- Poinformuj Najwyższego Eunucha, że przybyła służąca Esrafila - rozkazał jednemu z rzezańców pilnujących kotary. Ten zniknął za nią, po czym wrócił z Najwyższym Eunuchem. Zapytali Pawicę o nazwisko i profesję, upewnili się, że wprowadził ją Esrafil Złotnik, po czym pozwolili jej wejść.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołał Dżouhar w stronę kotary. - Wchodzą obcy. Niech na widoku nie pozostanie żadna kobieta.

Kotara się podniosła, ukazując teren głównego haremu.

Była to sceneria pełna kwiatów - nie kończący się dziedziniec usiany tuzinami sadzawek, setkami fontann, z tysiącami ptaków śpiewających na gałęziach cyprysów. Wznosiły się tu małe zielone pagórki porośnięte narcyzami i perskimi hiacyntami. Roily się na nich setki kobiet i dzieci w kolorowych strojach, biegających swawolnie we wszystkie strony i uciekających przed oczami intruza, którego właśnie zaanonsowano. Wszystkie kobiety miały spódniczki jak baletnice zgodnie z najnowszą modą panującą na dworze szacha Nasera ad-Dina. Szach pojechał do Paryża, bywał w operze i bardzo mu się spodobały spódniczki baletnic. Wracając do domu, zabrał ze sobą tuzin francuskich szwaczek, które uszyły nowe spódnice dla jego żon i córek.

Pawica obserwowała kobiety uciekające do pokojów wokół dziedzińca. Słyszała nadal ich głosy, nawet gdy dziedziniec opustoszał, i czuła oczy wpatrujące się w nią przez trawione szkło w oknach pokojów. Poszła za Najwyższym Eunuchem w stronę komnat królowej.

Weszli po marmurowych schodach na balkon z witrażowymi drzwiami, gdzie Pawicę przejęła Badzi - zwierzchniczka służących królowej. Była to stara kobieta, energiczna, znana z okrucieństwa i przykra w obejściu. Przybyła do haremu jako piękna trzynastolatka, odkryta przez eunuchów Fatha Alego Szaha i sprowadzona do niego w ramach rocznego kontraktu na chwilowe małżeństwo. Kiedy kontrakt dobiegł końca i Badzi odprawiono z haremu, inna żona przyjęła ją na służbę. Została więc w pałacu, nauczyła się haremowych intryg, broniła własnej pozycji niszcząc inne służące, szpiegowała dla swojej pani inne żony, kichała, gdy szach odwiedzał nowo pozyskaną dziewczynę, truła wrogów, nagradzała przyjaciół. Trzy razy, gdy małżonki szacha urodziły mu synów, Badzi zabijała chłopców, podrzucając im do łóżeczek poduszki dzieci chorych na odrę. Zabiła też dwie pokojówki rywalki, zarażając je ospą: wlała im do kąpieli wodę przyniesioną z domów ludzi złożonych tą chorobą. W ten sposób Badzi wyrobiła sobie pozycję w haremie i zyskała większą moc od wszystkich żon, którym służyła. Kiedy Naser ad-Din został szachem, przydzielono ją do królowej Kamar ad-Dauli. Królowa została wydana za mąż wbrew własnej woli, pod wpływem silnej presji z pałacu, i od lat mówiono w haremie, że może próbować ucieczki.

- Idź za mną - poleciła Pawicy z wyraźną złością Badzi. - Nie siedź długo.

Weszły do pokoju pełnego dywanów i ciężkich draperii, brokatowych poduszek i kaszmirowych obrusów. Olbrzymi kandelabr z kolorowych kryształów zwisał z ozdobionego malowidłami sufitu. Pod nim stał stół z blatem z biało-czarnej mozaiki całkiem pokrytym białymi narcyzami.

W jednym końcu pokoju było długie witrażowe okno, a obok niego łóżko z wysokim baldachimem i zasłoną z białego tiulu.

Badzi zostawiła Pawicę przy stole i zniknęła z pokoju. Pawica rozejrzała się, czekając na królową.

- *Salamun alejkwn* - powiedział ją głos spoza zasłony otaczającej łóżko. - Podejdź bliżej, niech cię zobaczę.

Pawica ruszyła w stronę łóżka. Przez warstwy tiulu wysunęła się ręka, odgarnęła zasłonę i odsłoniła Kamar ad-Daulę, Królową Persji, Księżyc Imperium.

Królowa Kamar ad-Daula była jedną z czterech oficjalnych małżonek szacha Nasera ad-Dina. Miała dwadzieścia lat, była olśniewająco piękna, o twarzy nie tkniętej różem ani antymonem, drobna, szczupła, o jeszcze dziecięcej posturze. Jej ojciec, bogaty właściciel ziemski i plemienny chan, dysponował wielkimi wpływami i olbrzymią potęgą na własnym terytorium. Otrzymał wiele propozycji małżeńskich dla swojej córki - noszącej wówczas imię Lejla - od chwili gdy ukończyła sześć lat. Odrzucił oświadczyzny stryja Nasera ad-Dina, będącego wtedy namiestnikiem Szirazu. Odmówił również Wielkiemu Mulle Persji - starszemu mężczyźnie, który gwarantował ziemskie radości i niebiańskie zbawienie, żeby tylko mieć Lejlę. Chan nie dał się nakłonić bogactwem; chciał, by jego córka żyła w szczęśliwym małżeństwie.

Nadszedł jednak czas, gdy szach Naser ad-Din wciąż powiększający harem usłyszał o pięknej córce chana i zdecydował, że musi mieć tę, której nikomu nie udało się zdobyć. Wysłał do chana posłów, prosząc o rękę Lejli. Chan odmówił. Naser ad-Din powtarzał prośby, obiecywał coraz większe bogactwa, a potem stracił cierpliwość. Oznajmił, że albo dostanie Lejlę, albo wypowie wojnę plemieniu chana i wytnie je w pień.

- Wybieraj - powiedział chan córce, gdy miała szesnaście lat. - Jeśli opowiesz się przeciwko temu małżeństwu, będziemy walczyć z szachem do ostatniej kropli krwi.

Lejla poślubiła szacha, pozwoliła zmienić sobie imię na Kamar ad-Daula i udała się do swojego więzienia w haremie. Zabrała ze sobą niańkę, kobietę, która wychowywała ją od urodzenia, ale szach niańkę zwolnił i zamiast niej wyznaczył Badzi do służenia Kamar ad-Dauli. Niedługo potem znalazł sobie następną żonę - Ajirszah - i zapomniał o dziewczynie, którą tak żarliwie pragnął zdobyć. Podarował Ajirszah Pałac Słońca znajdujący się w odległości półtora kilometra od Pałacu Róż i prawie nigdy już nie odwiedzał Kamar ad-Dauli.

- Witaj - powiedziała królowa i uśmiechnęła się bezbrzeżnie smutno do Pawicy. Siedziała na pół leżąc, wsparta na wielkich białych poduszkach. - Nasz przyjaciel Esrafil Chan obiecywał, że przyniesiesz nam wielkie skarby.

Pawica uklękła pospiesznie przed łóżkiem i rozwiązała aksamitny woreczek, w którym nosiła swoje kamienie. Ułożyła je w rzędkie na atlasowej pościeli: rubiny i szmaragdy, zielone i żółte szafiry, diamenty wielkości pestek moreli, olbrzymie perły - najlepsze okazy z kolekcji Esrafila Mściciela.

Królowa zerknęła na kamienie, po czym machnęła ręką.

- Zabierz je - rzekła. - Żaden klejnot tego świata nie pomoże ulżyć nudzie mojego życia.

Zauważyła żółtą łatę przyczepioną szpilką do bluzki Pawicy. Usiadła, nagle zainteresowana, i poprosiła ją o podniesienie zasłony.

- A więc jesteś Żydówką! - wykrzyknęła podniecona jak dziecko. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przedtem widziała jakiegoś Żyda.

Wyskoczyła z łóżka i boso obeszła wokół Pawicę. Wpatrywała się w jej twarz, dotykała włosów, czoła.

- Ale nie masz rogów - powiedziała, nie mając nic złego na myśli. - Słyszałam, że Żydzi mają rogi, takie małe, wiesz, jak diabeł. - Zaczęła szukać ogona. Potem nagle uniosła głowę wyraźnie wystraszona i pobladła. Badźi jak niewidzialny strażnik czuwała pod drzwiami pokoju i teraz zmierzała w stronę królowej z groźną miną i oczami pełnymi dezaprobaty.

- Najjaśniejszej pani nie wolno opuszczać łóżka - oznajmiła, chwytając rękę Kamar ad-Dauli i prowadząc ją z powrotem do pościeli. Królowa niechętnie posłuchała, weszła do łóżka i czekała, aż Badźi znowu wyjdzie. Przywołała gestem ręki Pawicę, żeby podeszła bliżej.

- Ta kobieta wiecznie mnie szpieguje - szepnęła, a w jej głosie wyczuwało się łzy. - Wiesz, wydaje się, że jestem w ciąży. Za pierwszym razem poroniłam. Teraz więc Hakim Baszi, nadworny lekarz, przykuł mnie do łóżka.

Zapanowała nad smutkiem, zmusiła się do uśmiechu.

- Musisz przyjść znowu - dodała, mając nadzieję, że Badźi nie usłyszy. - Rzezańcy nie chcą, żebym miała przyjaciółkę, ale poproszę Jego Królewską Mość o specjalne pozwolenie. Teraz, gdy jestem w ciąży, spełni moje życzenie.

Jakaś myśl zachmurzyła jej oczy. Nachyliła się bliżej do Pawicy.

- Powiedz mi, czy to prawda, że pijecie krew muzułmańskich dzieci? - spytała.

Po tej pierwszej wizycie w haremie Kamar ad-Daula raz w miesiącu wzywała Pawicę do Pałacu Róż. Wpuszczano ją do haremu pod pretekstem zaprezentowania biżuterii królowej. Początkowo chodziła tam, żeby zaspokajać ciekawość Kamar ad-Dauli, która zainteresowała się Żydami, wkrótce jednak stała się jej jedyną przyjaciółką. Niemal zawsze znajdowała królową samą, w łóżku, zapłakaną, tęskniącą za domem i miotającą się w potrzasku wściekłości.

- Najgorsza w moim położeniu jest świadomość, że to się nigdy nie zmieni - zwierzyła się Pawicy.

Pawica stała się ogólnie znana w haremie. Pozwalano jej przebywać w towarzystwie innych żon - zawsze pod czujnym okiem Badzi. Zaprzyjaźniła się z tysiącami eunuchów, szambelanów i paziów, dworzan i szpiegów, podsłuchiwczy i wywiadowców. Poznała mułłów, zawodowych spowiedników, wróżących z gwiazd przebywających stale w haremie. Rozpoznawała maskotki i wykładaczy snów, chłopców i dziewczęta o szczęśliwych twarzach, osoby kichające i te, które próbowały potraw. Wszędzie szukała Aresza.

Nie mogła o niego spytać, bo Badzi by ją zabiła, gdyby wiedziała, że Pawica przyszła upominać się o dziecko z rodziny królewskiej. Wsłuchiwała się we wszystkie rozmowy w nadziei, że wyłowi w nich jego imię, ale nigdy nie padło. Zastanawiała się, czy Tala nie zmieniła mu imienia. Dowiedziała się, że Tala mieszka z Salomonem w Szemiranie, ma wiele własnych dzieci, a Salomon Mężczyzna zaprzyjaźnił się z szachem Naserem ad-Dinem, i to do tego stopnia, że ten zwolnił go z konieczności kłaniania się własnym dzieciom. W żyłach dzieci Tali płynęła krew królewska, a w żyłach Salomona Mężczyzny nie. Każdy inny mąż w tej sytuacji musiałby bić pokłony przed własnymi dziećmi od chwili ich narodzenia.

W końcu Pawica zapytała Kamar ad-Daulę.

- Trudno powiedzieć - westchnęła królowa. Poruszyła ją opowieść Pawicy, pragnęła pomóc, ale miała niewielką władzę i jeszcze mniejszą wiedzę o haremie. - W tych murach widuję tysiąc dzieci. I żadnego nie znam z imienia.

Dostrzegła rozczarowanie Pawicy. Chwyliła przyjaciółkę za rękę.

- Ale załóżmy, że go znajdziesz - powtórzyła jak echo słowa Esrafiła Mściciela. - Co byś zrobiła, gdybyś go kiedyś znalazła?

Naser ad-Din zamierzał urządzać uroczystość stulecia. Od pięćdziesięciu lat był królem - zdecydowanie najpotężniejszym z władców kadzarskich - i planował upamiętnić to półwiecze narodowym świętem. Zapowiedział jubileusz w lecie roku 1896.

W całej Persji rozpoczęto przygotowania. Namiestników wszystkich prowincji poproszono o przybycie do Teheranu w maju. W paradzie miały wziąć udział wszystkie pułki wojskowe i konnica nomadów. Szach zwolnił wieśniaków z płacenia podatków na dwa lata. Odesłał do domów tych niewielu młodych ludzi, którzy jeszcze służyli w jego wojsku, i obiecał amnestię dla wszystkich więźniów.

Na każdej ulicy w Teheranie wznoszono łuki triumfalne, sklepikarze dekorowali sklepy, a kuchnia królewska zaczęła karmić ubogich. Eunuchowie szacha rozdawali dzieciom nowe ubrania. Sanktuaria i święte miejsca deklarowały, że przyjmą wszystkich pielgrzymów. Mułom rozdano lekarstwa na kaszel, żeby oczyścili sobie gardła i mogli głośniej śpiewać na chwałę szacha. Święte wodotryski powiększono, by mieściły więcej świętej wody, jako że przewidywano cuda w dniu jubileuszu. Naser ad-Din, zbliżający się już do siedemdziesiątki, oznajmił, że opróżni swój harem z tysiąca chwilowych żon, a zastąpi je nowymi.

Pawica chodziła teraz do pałacu codziennie. Kamar ad-Daula nie chciała brać udziału w obchodach, ale Badzi upierała się, że królowa musi w dniu jubileuszu wystąpić u boku małżonka. Kazała tkaczkom i szwaczkom przygotować specjalną szatę dla królowej, poleciła stajniom zbudować dla niej nową karecię, wezwała Pawicę, aby przyniosła jej największe w całym mieście kamienie szlachetne. Pośród tego szaleństwa, właśnie wtedy gdy przestała szukać Aresza, Pawica odnalazła syna.

Opuściła późnym popołudniem pałac i szła wolno przez bramę Placu Armat. Tego wieczoru nie spieszyła się z powrotem do domu; zgodnie z duchem uroczystości szach Naser ad-Din zniósł zakaz chodzenia po zmroku i pozwolił każdemu spacerować swobodnie ulicami. Przy wyjściu na plac Pawica cofnęła się, żeby przepuścić młodzieżowy regiment Perskiej Brygady Kozaków. Chłopcy przegalopowali obok niej w tumanach pyłu. Nie ruszyła się z miejsca, póki nie pomyślała, że już wszyscy przejechali. Zaczęła znów iść przed siebie, gdy wtem poczuła na sobie czyjś wzrok, więc się odwróciła. Młody jeździec w mundurze kozaka wpatrywał się w żółtą łatę na jej czadorze. W półmroku wydawał się błądy i zdezorientowany, ale oczy miał ciemne, a twarz miłą. Pomyślała, że jest w wieku Aresza. Uśmiechnęła się do niego. I nagle poczuła w sercu śmiertelny lęk. Uświadomiła sobie, że chłopak wygląda jak młodsze wcielenie Salomona

Mężczyzny.

Skinęła na niego. Podjechał, trzymając jedną rękę na broni, której jeszcze nie nauczył się używać.

- Pokłoń się - rozkazał i końcem bata dotknął jej ramienia.

Pawica wyciągnęła ku niemu ręce. Aresz cofnął się przestraszony.

- Odsłoń twarz! - rozkazał, jakby chcąc zidentyfikować nieprzyjaciela. - Odsłoń twarz i powiedz, kim jesteś.

Pawica uniosła zasłonę. Aresz zmiękł, oczy napełniły mu się łzami. Pawica podniosła rękę, żeby go dotknąć - dotknąć kolana, które drżało oparte na końskim grzbiecie - ale gdy tylko się poruszyła, Aresz sięgnął po broń i odsunął się od niej.

- Zgin! - krzyknął, przeklinając ją za lata tęsknoty i opuszczenia. - Przepadnij!

Aresz Buntownik miał roczek, gdy znalazł się na dworze Nasera ad-Dina w Teheranie. Przyjechał wraz z Talą i Salomonem Mężczyzną, wyczerpany długą podróżą z Isfahanu, i drżał ze strachu i konsternacji w białej krochmalonej koszuli i wатовanym jedwabnym kaftanie, który musiał nosić, bo domagała się tego Tala. Panicznie bał się Tali, jej gniewnych humorów i niewykonalnych żądań, bał się też Salomona - tego rzadko przedtem widywanego ojca, który nagle zabrał go od matki. Podczas podróży jechał w powozie sam, tylko ze służącą. Potem, i przez resztę jego życia, Tala Kadzarka nie pozwalała Salomonowi zbliżyć się z synem Pawicy. Aresz Buntownik siedział w powozie i patrzył na bezkresną żółtą pustynię - na karawany nomadów podróżujących z wielbłędami, owcami i osłami, na mężczyzn ubranych w luźne białe i szare stroje, na kobiety w jaskrawych czerwonych i żółtych spódnicach albo w czarnych czadorach. Podróż trwała dwa razy dłużej, niż się spodziewano, bo Tala nie chciała wstawać przed świtem, gdy powinni byli wyruszać. Kiedy była gotowa do drogi, słońce stało już wysoko na niebie i musieli czekać w namiotach do zachodu. Zanim dotarli do Teheranu, zwierzęta się pochorowały, a służący dostali udaru słonecznego.

Aresz Buntownik pamiętał, że w dniu ich przyjazdu stał na dziwnym podwórzu i odciągał od ciała nakrochmaloną koszulę, jakby chcąc wypuścić gorąco, od którego nie mógł uciec. Pamiętał, że leżał potem w chłodnym pozbawionym okien pokoju w królewskim andarunie - piwnicy o ceglanych ścianach, - gdzie na środku znajdował się zbiornik świeżej źródlanej wody. Pozostawał tam przez wiele dni, a może tygodni. Miał wysoką gorączkę i nie chciał jeść.

Opiekowały się nim dwie służące. Raz dziennie zaglądał do niego ojciec.

Gorączka nie ustępowała i po dwóch tygodniach w piwnicy zapanował nieprzyjemny zapach - jakby rozkładu. Służąca z nocnej zmiany przysięgała, że widziała dziecko, chłopca takiego jak Aresz, tylko o lodowatej skórze i oszronionych włosach, siedzącego w kącie piwnicy i wpatrującego się w łożo boleści.

- To Dżebril - oznajmił nadworny lekarz, Hakim Baszi - anioł, który czuwa przy umierających dzieciach.

Hakim Baszi orzekł, że Aresz umiera z tęsknoty - niewątpliwie z tęsknoty za matką - i domagał się, by sprowadzić natychmiast Pawicę. Poinformowano go, że Pawica jest w Isfahanie i upłyną tygodnie, zanim można ją będzie zawiadomić i ściągnąć do stolicy.

- A zatem - oświadczył Hakim Baszi - niech śmierć tego chłopca obciąży jego ojca.

Tego wieczoru Salomon Mężczyzna przyszedł do syna i pokazał mu zdjęcie przedstawiające jego, Zilę as-Sultana i Pawicę. Zil as-Sultan, wysoki, o szerokiej piersi, ubrany był w szaty ozdobione drogimi kamieniami. Obok niego stał Salomon i dziewczyna, ciemna, szczupła i wystraszona, patrząca przed siebie, jakby chciała przebić wzrokiem kartonik.

- To twoja matka - powiedział Salomon Mężczyzna, zastanawiając się, czy dziecko to zrozumie.

Aresz Buntownik wpatrywał się w postać na prostokątnym kartoniku i po raz pierwszy w swoim krótkim życiu wypowiedział imię Pawicy. Nieprzyjemny zapach stopniowo ustępował z piwnicy, oszroniony anioł przestał ją odwiedzać, a Hakim Baszi ogłosił cud.

Potem Aresz pamiętał, że gubił się w pałacu szacha Nasera ad-Dina. Były tam przestronne komnaty i niekończące się korytarze, które rozciągały się przed nim niczym zdradliwy labirynt i prowadziły do wysadzanych drogimi kamieniami sal o lustrzanych sufitach, gdzie ściany z maleńkich kawałków szkła tysiąc razy zwielokrotniały pojedynczy obraz, a setki kandelabrow roniły niezliczone kryształowe łzy.

Mieszkał w Pałacu Róż do piątego roku życia, później przeniesiono go do Pałacu Słońca. Rzadko widywał swojego ojca czy Talę; mieszkali w innej rezydencji, a Tala od przyjazdu do Teheranu co roku była przy nadziei.

W Pałacu Słońca przydzielono mu własne mieszkanie i osobistych służących; wyrósł z andarunu, jak mu powiedziano. Był mężczyzną i nie mógł dłużej mieszkać z kobietami.

Sypiał sam w przestronnym pokoju wyposażonym we wszystkie luksusy, w łożku tak

ogromnym, że zawsze się obawiał, by nie pochłonęło go we śnie. Każdy rano i popołudnie poświęcał na naukę z opiekunem - uczył się perskiego, francuskiego, arabskiego, kaligrafii, sztuki, matematyki, konnej jazdy, gry w polo i strzelania. Raz w roku jeździł na polowanie z wojskami królewskimi.

Było to najciekawsze wydarzenie w roku, jedyna okazja, podczas której cała rodzina szacha podróżowała razem. Jechali na północ, w knieje Mazanderanu, polować na dziki. Aresz Buntownik spał w namiocie z Salomonem Mężczyzną. Tale posyłano do obozowiska kobiecego, ale polowała z mężczyznami i nie chciała spać gdzie indziej niż mąż. Aresz Buntownik widział, jak zawsze o świcie odjeżdża na swoim karym koniu i galopuje z tuzinem ogarów, ze strzelbą w ręce i kaskadą złocistych włosów opadających na ramiona. Wracła zmęczona, lecz rozradowana, z twarzą podrapaną i posiniaczoną przez gałęzie, ze skórą spotniałą z podniecenia, ciągnąc za sobą trofea. Zawsze ostatnia wracała do obozowiska. Zsiadała z konia, pędziła do Salomona do namiotu, rzucała się na niego i kochała się z nim - Aresz to wiedział, bo stał koło namiotu - kochała się z taką namiętnością, że drżała jeszcze potem przez wiele godzin i nogi miała niepewne. A za każdym razem gdy Salomon podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej, Tala Kadzarka rumieniła się z radości i spuszczała wzrok, by ukryć swoją miłość.

Aresz stopniowo jeszcze w dzieciństwie nauczył się przezwycięzać tęsknotę do matki. Uładził się z własnym otoczeniem, zaakceptował Salomona Mężczyznę niby dalekiego krewnego, który trochę go kochał. Przechowywał zdjęcie Pawicy w swoim kufrze, ale patrzył na nie już niezbyt często, tak że jej obraz zaczął mu się zacierać w pamięci. Kiedy miał siedem lat, nauczyciele zapisali go do młodzieżowego pułku Perskiej Brygady Kozaków. Uczył się tam języka azeri i rosyjskiego, odbywał ćwiczenia wojskowe pod komendą starszego młodzieńca nazwiskiem Reza Chan Maxim. Nadal mieszkał w pałacu, ale całe dni spędzał w Domu Kozaków obok terenów ćwiczebnych w Teheranie i po raz pierwszy w niedługim życiu zaczął nawiązywać przyjaźnie i czuć się swobodnie w swoim otoczeniu. Zdała od pałacu mógł zapomnieć o własnym życiu, wtopić się w jednakową anonimowość i uciec od uczucia odrzucenia, które trapiło go zawsze, gdy widział Tale i jej dzieci z Salomonem Mężczyzną. Usilnie pracował, poddał się dyscyplinie wojskowej narzuconej przez Rezę i pod koniec pierwszego roku zdobył wyróżnienie jako prymus. Kiedy minister dworu zażądał, by młody kozak towarzyszył jako eskorta szachowi podczas jubileuszu, honor ten przypadł w udziale Areszowi. Nie posiadał się z radości i był taki dumny, że pojechał do domu Salomona

Mężczyzny i biegnąc korytarzami, wykrzykiwał tę nowinę. Nawet Tala była zadowolona. Chwyliła w ramiona Aresza i uśmiechnęła się do niego promiennie. A on po raz pierwszy pomyślał, że jej wybaczy, uzna ojca w Salomonie i pozbedzie się z myśli kobiety o zielonych oczach ze zdjęcia, która przyzywała go przez całe życie.

Cztery dni przed jubileuszem pięćdziesięciolecia Naser ad-Din urządził pielgrzymkę do najświętszego Sanktuarium Szacha Abd al-Azima niedaleko Teheranu. Miała to być historyczna pielgrzymka, jak zapowiadał szach, ponieważ natychmiast po niej zamierzał zrzec się swojego przywileju despoty i ogłosić się „Majestatycznym Zwierzchnikiem Wszystkich Persów”. W tym duchu zezwolił władzom miejskim na rozluźnienie kontroli nad obywatelami, zaprzestanie rejestracji obcych, którzy napływali do karawanserajów, i pozwolenie każdemu na uczestniczenie w pielgrzymce wraz z szachem.

Uroczystość zaplanowana była na pół do drugiej po południu. Aresz Buntownik, członek eskorty królewskiej, jechał do Sanktuarium Szacha Abd al-Azima przed kawalkadą. Towarzyszył mu *Lale* - Ochmistrz Służby Męskiej - i Koniuszy. Całą drogę z Teheranu do sanktuarium zablokowali mężczyźni i kobiety - idący albo jadący na mułach i osłach - którzy wybrali się tam tylko po to, żeby ujrzeć szacha. Samo miasto było tak zatłoczone, że Aresz nie mógł znaleźć miejsca, by zostawić konia. Sanktuarium pękało wprost od pielgrzymów pragnących odwiedzić świętego męża, zanim przybędzie ich król.

Aresz Buntownik zostawił konia Koniuszemu i poszedł dołączyć do grupy powitalnej. Przed sanktuarium stali w ordynku eunuchowie ubrani w swoje najbardziej kolorowe i ozdobne stroje. Za nimi ustawiono pułk królewskiego wojska, a najbliżej sanktuarium szereg młodych kozaków.

Punktualnie o pół do drugiej przygalopował goniec, który poinformował dowódcę kozaków, że kawalkada Jego Królewskiej Mości nadjeżdża. Dowódca wysłał Aresza i jeszcze jednego młodzieńca, żeby opróżnili sanktuarium z pielgrzymów.

Po wypełnieniu tego zadania Aresz wrócił i zajął miejsce w powitalnym ordynku. Ujrzał kawalkadę szacha.

Na przedzie jechał tuzin wojowników, za nimi dwunastu eunuchów na arabskich rumakach z malowanymi siodłami i złotą lub srebrną uprzężą.

Potem zjawił się pojedynczy jeździec na białym koniu i krzyknął: „Cofnąć się!” Jego rumak tańczył i stawał dęba. „Cofnąć się i uważać!”

Następnie podążała para białych koni - nakrytych haftowanymi złotem czaprakami, z uprzężą wysadzaną drogimi kamieniami i wysokimi egretami z czerwonych piór. Konie stapały wolno, prowadząc drugą parę, potem trzecią. Za nimi pojawiła się królewska karetka.

Woźnice szacha mieli szkarłatne stroje ze złotymi frędzlami zwisającymi z ramion i nadgarstków. Karetka była złota i wybita szkarłatnym aksamitem. Strażnicy kroczący po jej bokach mieli szkarłatne korony, białe pumpki i czerwone pantofle.

Królewski orszak zamykało pięciuset jeźdźców.

Przed sanktuarium pierwszy minister szacha, Atabek Amin as-Sultan, pobiegł do przodu, żeby otworzyć drzwiczki karety. Dwaj wysocy dostojnicy podali dłonie Jego Królewskiej Mości, pomagając mu wysiąść. Aresz Buntownik usłyszał, jak tłum westchnął i jęknął z podniecenia, ujrawszy na własne oczy szacha.

Szach Naser ad-Din był tęgim mężczyzną o okrągłym obliczu, wyniosłym spojrzeniu i potężnym wąsie. Miał na sobie kaftan z szarego i pomarańczowego brokatu z kołnierzem w zachodnim stylu i czarny krawat oraz białą koszulę, szkarłatną szarfę, skórzany pas wysadzany olbrzymimi diamentami, czarne spodnie i oficerki. Jego karakułową czapę, przechyloną na bok, ozdabiał pojedynczy diament wielkości jajka. Mimo upalnego lata włożył długi płaszcz podbity rosyjskimi sobolami.

Pozdrowił premiera i odklonił się dostojnikom, po czym odwrócił się w stronę sanktuarium.

- Idziemy - rozkazał i pierwszy minister szybko go tam poprowadził. Towarzyszyła im jedynie straż królewska, Aresz Buntownik i drugi młody kozak.

Sanktuarium Szacha Abd al-Azima było małe, ciemne i pełne ech. W wąskich, dusznych korytarzach utrzymywał się skwar i przy każdym kroku podnosił kurz. Święty człowiek pochowany został w małym pomieszczeniu z niskim sufitem. Szach przeszedł przez sanktuarium, podszedł do mauzoleum i dotknął czołem srebrnej barierki okalającej grób. Odmawiał półgłosem modlitwę. Naraz Aresz Buntownik rozejrzawszy się zobaczył, że zbliża się jakiś nieznajomy.

Był to mężczyzna o bladym obliczu i pewnej ręce. Podszedł do Aresza i wyjął list, dając do zrozumienia, że chciałby go wręczyć szachowi. Atabek Amin as-Sultan próbował się wtrącić - wziąć list od tego człowieka, doręczyć Jego Królewskiej Mości i nie pozwolić nieznajomemu podejść zbyt blisko. Naser ad-Din odesłał go ruchem ręki; był we wspaniałomyślnym nastroju i chciał sam przyjąć swojego poddanego. Mężczyzna podszedł do szacha. Zamiast listu wyciągnął

broń. Aresz Buntownik usłyszał, jak świat eksploduje.

W tumultcie i panice, które zapanowały po strzelaninie, Aresz zobaczył, że Naser ad-Din leży na ziemi, a jego podbity sobolami płaszcz zbryzgany jest krwią. Dowódca kozaków i straż królewska rzucili się na napastnika, odebrali mu broń i związali ręce. Mężczyzna nie opierał się ani przez moment.

Atabek Amin as-Sultan przypadł do szacha, drżąc gwałtownie na całym ciele, i przyłożył ucho do jego piersi. Usłyszał tylko tłum pod mauzoleum - ludzie usłyszawszy strzały zaczęli krzyczeć jak szaleni i z niepokojem dopytywać się o losy monarchy. Atabek Amin as-Sultan zdecydował, że nie można ujawnić śmierci szacha. Stał purpurowy na twarzy nad zwłokami i nagle rozpoznał zamachowca: to był Mirza Reza z Kermanu, człowiek blisko związany z duchowieństwem, który przez całe życie przeciwstawiał się szachowi. Spędził wiele lat w więzieniu, torturowano go i bito, ale zawsze uwalniano pod presją tego czy innego mułły. Uskarżał się na niesprawiedliwość Kadżarów - szach Naser ad-Din zabił pół tuzina ludzi tylko dlatego, że zbliżyli się do jego karawany, gdy nie życzył sobie nikogo przyjmować; syn szacha dokonywał eksperymentów naukowych na bezbronnych wieśniakach (kazał ogrodnikowi wsadzić twarz do garnka z gotującą się wodą różaną tylko po to, żeby obejrzeć skutki ciężkiego poparzenia na oczach i wargach tego człowieka). Ostatnim razem gdy Mirzę Rezę z Kermanu zwolniono z więzienia, zaraz udał się do mułły.

- Szach jest niesprawiedliwy - rzekł.

- Zatem musisz postarać się na własną rękę o sprawiedliwość - poradził mułła.

Atabek Amin as-Sultan kazał strażnikom zatrzymać Mirzę Rezę w sanktuarium. Sam wyszedł przed tłum.

- Chwała Bogu! - oznajmił z niezachwianym przekonaniem. - Jego Wysokość Król Królów żyje i nie odniósł ran.

Po powrocie do sanktuarium kazał wyprowadzić zamachowca. Wsadzono go ze zwiazanymi rękami do otwartego powozu, ale Mirza Reza jadąc do Teheranu na śmierć spoglądał na ludzi i uśmiechał się z godnością.

Atabek Amin as-Sultan kazał przynieść królewski fotel. Dźwignął zwłoki i ułożył je na fotelu w taki sposób, że szach siedział prosto, a oczy miał wciąż otwarte. Z pomocą Aresza

przytrzymał trupa w tej pozycji, czekając, aż zeszywnieje. Aresz stał w sanktuarium wiele godzin, dusząc się w upale; pot spływał mu po twarzy na ubranie do wysokich butów, a on zastanawiał się, jaka będzie przyszłość bez Nasera ad-Dina. W końcu Atabek oznajmił, że nadszedł czas.

- Trzymaj rękę Jego Królewskiej Mości - rozkazał. - Rozmawiaj z nim, gdy będziesz szedł.

Przechodząc przez tłum widzów przed Sanktuarium Szacha Abd al-Azima i potem przez całą powrotną drogę do Teheranu Aresz Buntownik przemawiał do zwłok szacha Nasera ad-Dina. Wyruszył na tę misję jako chłopiec, a wrócił jako mężczyzna.

Następnego dnia o północy Muzaffar ad-Din Chan Kadzar, następca Nasera ad-Dina, został zaprzysiężony i wstąpił na tron. Dopiero wówczas Atabek zezwolił, by wiadomość o zamachu rozeszła się wśród ludu. Niedługo potem Mirza Reza Kermani został powieszony na oczach mieszkańców całego miasta. Stojąc pod szubienicą, zwrócił twarz w stronę kata i powiedział:

- Zrobiłem to, co należało.

Salman Sprzedawca Węgla pracował od trzeciego roku życia. Był zawsze czarny - jak ci aktorzy, którzy występowali w Teheranie na rogach ulic i smarowali sobie twarze i ręce węglem - a kasłał tak okropnie, że wszyscy go poznawali po odgłosach wydawanych przez jego płuca. Chodził w długiej usmolonej kapocie i nosił węgiel w przerzuconym przez ramię wielkim worze tak dużym jak on sam.

Już w młodości, nim jeszcze się ożenił, Salman Sprzedawca Węgla wiedział, że umrze na suchoty.

Urodził się w rodzinie uczonych, ale nigdy nie nauczył się czytać. Jego ojciec, nauczyciel Talmudu, uciekł z masakry w rosyjskim getcie tylko po to, żeby znaleźć się w Dżujibarze. Był młody, gdy się tam zjawił, lecz przybył z wielkimi oczekiwaniami i szok, jakiego doznał pod wpływem rzeczywistości, osłabił go i rozgoryczył. Nie znał języka perskiego i jakoś nie potrafił go opanować. Nie mógł uczyć Talmudu, nie mógł znaleźć innej pracy, a przede wszystkim nie mógł zaakceptować Dżujibaru jako swego nowego domu. Zaryzykował życie i porzucił groby przodków, żeby uciec od ucisku, a w Dżujibarze był ofiarą nie tylko mułłów, lecz także niezyczliwych Żydów, którzy traktowali go jak obcego. Jego żona, jedyna wykształcona kobieta

w tych czasach, musiała pracować jako służąca w dzielnicy ormiańskiej. Była piękna, ale wątła; po kilku latach pobytu w Isfahanie zaziębiła się i umarła. W rocznicę jej śmierci ojciec Salmana Sprzedawcy Węgla popełnił samobójstwo połykając truciznę.

Salman Sprzedawca Węgla byłby zginął tego pierwszego roku, gdyby nie Tarane Tulipan, która wzięła go do siebie i wychowała jak własnego syna. Posłała Salmana do pracy, uczyła kupować węgiel, nabierać go rękami przy każdym domu, przy którym się zatrzymał, obliczać pieniądze i targować się o każdy miedziak. Wieczorem, gdy wracał do domu, kąpała go, zmieniała mu ubranie, kładła do czystego łóżka z pachnącą, świeżo wybieloną z pościelą. Salman Sprzedawca Węgla kochał ją nad życie - bardziej niż kiedykolwiek kochałby rodziców. Dorastał, widząc w niej matkę, wierzył, że będzie z nim zawsze. Aż tu nagle Tarane Tulipan poznała syna namiestnika Isfahanu i powiedziała Salmanowi, że musi sobie radzić sam.

Po jej odejściu Salman Sprzedawca Węgla pogrążył się w ciemnościach. Zaczął składować węgiel w swojej izbie i zupełnie mu nie przeszkadzało, że ściany zrobiły się czarne, dywan zabrudził, a woda smakowała jak sadza. Co wieczór jadł chleb i ser, nigdy nie prał ani nie zmieniał ubrań, sypiał na gołym dywanie, jako poduszki używając worka z węglem.

Żył w taki sposób przez lata, dwa razy o mało nie umarł na zapalenie płuc, ale gdy miał dwadzieścia lat, Tarane Tulipan nagle powróciła. Wyciągnęła go z domu i zmusiła do poślubienia kulawej dziewczyny.

- Miej dziecko - rozkazała. - Żyj znowu. Urodził im się Niebieskooki Lotfí, chłopiec o białej skórze i kryształowych oczach. I jego pojawienie się odmieniło znów życie Salmana; przyszedł na świat w roku 1882 i Salman Sprzedawca Węgla uważał, że było to dla niego błogosławieństwo.

Po Lotfim doczekał się jeszcze sześciu synów. Wychowywał ich wszystkich w czystym domu, posyłał na naukę Tory do reba Jahji i nie pozwalał im tknąć węgla, który zabijał go w młodości. W roku 1898 usłyszał, że w teherańskim getcie otwarto szkołę dla Żydów. Zostawił wówczas własny dom i swój węgiel, żeby przenieść się z synami do Teheranu.

W Jamie pojawił się niejaki Monsieur Jean, Francuz z siwiejącą kozią bródką. Nawet podczas największych letnich upałów chodził w garniturze z kamizelką, który mimo gorąca nigdy nie wydawał się pomięty. Przybył jako gość na dwór szacha Muzaffara ad-Dina. Przysłali go, jak mówił, Żydzi z Europy.

W roku 1878 szach Naser ad-Din pojechał do Londynu, gdzie spotkał się z kierownictwem Alliance Israelite Universelle. Przedstawiono mu raporty o masakrach Żydów, o nierównym ich traktowaniu w sądach i niewspółmiernej nędzy, o mułach dysponujących większą władzą od szacha i wyzywających się na Żydach.

- Kłamstwa! - wykrzyknął z irytacją szach. - Wszyscy moi poddani traktowani są jednakowo i z szacunkiem.

Panowie z Alliance chcieli się dowiedzieć, dlaczego Żydom w Persji nie wolno czytać i pisać w języku perskim. Szach oburzył się i zaprzeczał, by znane mu były takie fakty. Pytali, czy Jego Królewska Mość pozwoli naprawić tę sytuację i zezwoli na otwarcie szkoły dla Żydów w Teheranie.

- Oczywiście! - zapewniał szach. - Sami będziemy nawet wypłacać pensje nauczycielom.

Wrócił do Teheranu z nadzieją, że zapomni o całym tym incydencie. Przez dwie dekady nie słyhać było o Alliance. Monsieur Jean pojawił się wkrótce po zamordowaniu Nasera ad-Dina.

- Wasza Wysokość - powiedział Monsieur Jean do nowego szacha - ojciec Waszej Wysokości złożył zobowiązanie Europejczykom. Teraz Wasza Wysokość powinien dotrzymać jego obietnicy.

Muzaffar ad-Din znalazł się w sytuacji bez wyjścia: jeśli odmówi Francuzowi, zrazi do siebie Europę, a jeśli się zgodzi, wywoła gniew mułów Persji. Rozważał obie ewentualności i w końcu pozwolił otworzyć szkołę.

Teherańscy Żydzi - pisał Monsieur Jean w pierwszym sprawozdaniu dla Alliance w Londynie - *traktują mnie tak, jakbym był Mesjaszem. „Teraz gdy przyjechałeś - mówią - możemy umierać w spokoju, wiedząc, że nasze dzieci zostaną uratowane.”*

W dniu otwarcia szkoły w Jamie Monsieur Jean obudził się przed świtem i włożył ubranie, które podkładał pod materac, żeby się prasowało. Wszedł na dziedziniec, do klozetu, i nagle odniósł wrażenie, że znalazł się w obłęzieniu: na wiele godzin przed rozpoczęciem lekcji dom pełen był uczniów - głównie chłopców. Stali z butami pod pachą, a na ich twarzach malowała się niepewność. Przybyli do niego niczym pokonane plemię szukające ocalenia, jakby czekając na słowo, które odczaruje urok i uwolni ich z niewoli.

Pierwszy podszedł do niego Salman Sprzedawca Węgla, prowadząc wszystkich swoich

siedmiu synów.

Niebieskooki Lotfi uczęszczał na oba kursy Monsieur Jeana: rano chodził na lekcje z chłopcami, wieczorem z dziewczętami i dorosłymi. Kolejne klasy kończył z wyróżnieniem i gdy miał osiemnaście lat, Monsieur Jean zaoferował mu pierwszy wyjazd z tej szkoły na stypendium do Francji.

Salman Sprzedawca Węgla był zachwycony, gdy usłyszał o sukcesie syna. Popłakał się razem z żoną z radości, chwalił się wszystkim znajomym, rozdał cały worek węgla, żeby to uczcić. Potem dowiedział się, że chłopak zrezygnował ze stypendium; zakochał się, wyznał ojcu ze wstydem Lotfi, i zamierza się żenić.

Poznał w szkole dziewczynę - Heszmat, córkę Pawicy z Isfahanu, która handlowała złotem. Była starsza od niego o dwa lata, ale siedzieli naprzeciwko siebie od dnia otwarcia szkoły i Lotfi zawsze wiedział, że się z nią ożeni, jak tylko zaczną pracować i zarabiać na życie.

Mimo obiekcji rodziców Niebieskooki Lotfi zrezygnował z szansy wyjazdu do Europy i zamiast tego poślubił Heszmat. Wesele urządzone w domu Zilfy Różarki, w jej ogrodzie, gdzie w tym sezonie zasadziła tylko białe kwiaty, w dniu gdy powietrze musowało i świat jarzył się kolorami. Młodzi byli tak biedni, że zamieszkali w izbie Salmana i przez pierwszy rok spali na wypożyczonym materacu. Potem Niebieskooki Lotfi został asystentem Monsieur Jeana i pierwszym żydowskim nauczycielem w tej szkole. Salman Sprzedawca Węgla był tak dumny z pozycji osiągniętej przez syna, że wszystko mu wybaczył. Inne jego dzieci dorosły, pojechały do Europy i zostały doktorami, jednakże to Lotfi pozostał ulubieńcem ojca; urodził się w najczarniejszym okresie życia Salmana i już sam błysk jego oczu zapalił iskierkę nadziei w sercu Sprzedawcy Węgla.

Aresz Buntownik miał piętnaście lat, gdy opuścił pałac i zamieszkał w głównej kwaterze kozaków w Teheranie. Był rok 1903 i szach Muzaffar ad-Din właśnie kupił dla swojej armii pewną liczbę karabinów maszynowych. Były to karabiny typu Maxim i dano je pod opiekę oficerowi kozaków nazwiskiem Reza Chan. Wyszkolony przez grupę europejskich doradców Reza Chan, zwany odtąd „Maximem”, zwerbował z kolei Aresza i dziewięciu innych kozaków do dywizji broni maszynowej. Jeździli po całej Persji, ciągnąc ze sobą karabiny maszynowe, i w każdym mieście i prowincji, gdzie się zatrzymali, szkolili innych kozaków. Po raz pierwszy w życiu Aresz Buntownik zobaczył, jak naprawdę wygląda Persja, jak żyją i cierpią w niej ludzie.

Służąc szachowi Muzaffarowi ad-Dinowi i Rezie Chanowi, z wolna pojmował, że dynastia Kadzarów chyli się ku upadkowi.

W roku gdy został szachem, Muzaffar ad-Din sprzedał Grecji wyłączne prawa do eksploatacji bogatych lasów na północy Persji. Półtora roku później dał Francuzom koncesję na prowadzenie wykopalisk i wywożenie perskich skarbów archeologicznych. Potem zdecydował, że potrzebuje wakacji - w Europie oczywiście, jako że był synem szacha Nasera ad-Dina i zamierzał podtrzymywać tradycje. Odstąpił Belgii dochody z ceł, żeby zdobyć środki na tę podróż.

W Teheranie, zwłaszcza wokół bazaru, gdzie mułlowie mieli największe wpływy, mówiono o ograniczeniu władzy szacha. Z Europy i Rosji przyszła idea nacjonalizmu. Ludzie, twierdzono, związani są ze sobą nie przez religię czy rasę, lecz przez wspólną granicę, królowie zaś mają obowiązek ochraniać terytorium i integralność kraju. Nacjonalistyczni wolnomyśliciele połączyli swoje siły z duchowieństwem i razem domagali się ustanowienia parlamentu i stworzenia konstytucji. Każda grupa miała odmienny i przeciwny cel: nacjonaści widzieli w duchu prawo oparte na nowoczesnej świeckiej myśli; mułlowie planowali konstytucję wywiedzioną z Koranu, taką, która umieściłaby duchowieństwo ponad szachem. Zjednoczyli się przeciwko Koronie, ponieważ każda z tych grup wierzyła, że weźmie górę nad sojusznikiem, gdy osiągną zwycięstwo.

Szach Muzaffar ad-Din dowiedział się o aliansie opozycji, ale nie był w nastroju do borykania się z problemami. Wyjechał do Europy i spędził tam wiele miesięcy. Powrócił dopiero wtedy, gdy wydał całą belgijską pożyczkę i zabrakło mu pieniędzy. Wrócił nadąsany; to nie jest w porządku, żeby tak musiał się ograniczać, żeby pieniądze musiały stanowić tak istotną kwestię. Miał prawo do większej rozrzutności niż ta, na jaką mu pozwalano. Powinien móc zabrać więcej niż trzysta osób, doradców i żon, które towarzyszyły mu w ostatniej podróży; powinien móc zostać w Europie dłużej, sprawić sobie więcej zabawek. Ostatecznie był królem.

Próbował się pocieszać wznoszeniem nowego pałacu - wspaniałej budowli na szczycie Wzgórza Hizopowego, na północ od stolicy. Nazwie go Pałacem Radości. Będzie to biała półkolista budowla z wieloma kondygnacjami otwartych werand, wokół niej zaś powstanie królewska menażeria, w której będzie trzymał okazowe egzemplarze krajowych lwów, tygrysów i lampartów obok importowanej fauny. Dla sfinansowania tego przedsięwzięcia i by zgromadzić

środki na następną podróż, postanowił zapewnić sobie kolejne pożyczki.

Od Rosji - największego wroga - pożyczył dwadzieścia dwa i pół miliona rubli. W zamian obiecał nie budować kolei we własnym kraju. Brytyjczycy stali się zazdrośni i też chcieli koncesji. Szach dał D'Arcy'emu wyłączną licencję na wydobywanie ropy naftowej i dysponowanie wszystkimi jej zasobami.

W roku 1904 Teheran nawiedziła zaraza. Miała niewielki zasięg, trwała krótko i jej ofiarami stało się niezbyt wiele osób, ale w atmosferze gniewu i niezadowolenia, która zapanowała w Persji, urosła do rangi tragedii. Mieszkańcy Teheranu, przekonani, że stali się znów obiektem zemsty Boga, wzywali pomocy i szukali ucieczki przed zarazą. Nie mieli lekarzy, nie mieli gdzie zawieźć chorych, nie było nikogo, kto wprowadziłby przepisy dotyczące ogólnej higieny. Szach Muzaffar ad-Din, zaniepokojony wizją spustoszenia, w obliczu którego stanął we własnej stolicy, zaciągnął kolejną pożyczkę i wyjechał z powrotem do Europy.

Dwaj najwyżsi duchowni teherańscy, Sejjed Behbahani i Sejjed Tabatabai, ogłosili przymierze i dołączyli do nacjonalistów: domagali się, żeby szach pozwolił na stworzenie konstytucji opartej na prawach szyickich, na ustanowienie sądów islamskich i mianowanie islamskich sędziów, którzy będą sprawować najwyższą władzę, nawet nad królem.

Muzaffar ad-Din wrócił do Persji i wysłuchał relacji premiera o żądaniach mułłów. Uznał jednak całą sprawę za zbyt skomplikowaną jak na jego pojęcie. Nie będzie zbytecznie słuchać życzeń buntowników, powiedział. Ogłosił za to, że udzielił właśnie następnej koncesji Rosjanom na zbudowanie i prowadzenie banku w centrum Bazaru Emira w Teheranie. Miejsce wyznaczone na bank było cmentarzem, na którym pochowano ofiary niedawnej zarazy.

Mułłowie wezwali do dżihadu. Szach, mówili, sprzedaje kraj nieprzyjacielowi. Banki działają na zasadzie lichwy - liczą sobie procent od pożyczanych pieniędzy, co pozostaje w jawnej sprzeczności z prawem szyickim. Rosjanie, żeby zbudować ten swój bank, będą musieli sprofanować muzułmańskie groby; zabiorą ciała wiernych i pochowają je bezbożnie w nieoznaczonych grobach.

W dniu gdy Rosjanie zaczęli kopać na cmentarzu, teherańscy mułłowie kazali zamknąć Bazar Emira i rozpocząć strajk. Tłumy szły ulicami z pochodniami w rękach, domagając się, by szach przepędził Rosjan. Wierni zajmowali meczety i słuchali duchownych, którzy mówili o zdradzie Kadżarów. We wszystkich dzielnicach zbierali się nacjonaści i dołączali do tłumów.

Aresz Buntownik obserwował to wzburzenie z koszar w Teheranie, do których powrócił

wraz z Rezą Chanem, i zrozumiał, że w nim samym sekretnie kiełkuje opór.

Muzaffar ad-Din był zde gustowany zamieszanem w stolicy. Pragnął jedynie odzyskać spokój umysłu i powrócić do umiłowanej Europy, przystał więc natychmiast na żądania buntowników. Wynagrodził carowi poniesione straty, kazał odrestaurować cmentarz na Bazarze Emira i poprosił mułłów, by zapomnieli o tym incydencie.

Już za późno, odparli mułłowie. Bunt rozszerzył się na cały kraj. Szach musi zgodzić się na rządy konstytucyjne albo czeka go wojna. W pewien piątek teherańscy duchowni w liczbie trzech tysięcy zgromadzili się w jednym miejscu, po czym opuścili miasto.

Mułłowie udali się do Gomu. Tam demonstracyjnie zasiedli w jednym z meczetów i przysięgli, że nie wrócą do stolicy, dopóki szach nie uwzględni ich żądań.

Teheran został sparaliżowany. Ludzi ogarnęła panika. Duchowieństwo szyickie było jedynym ogniwem łączącym wiernych z Bogiem, a zatem porzucenie przez mułłów oznaczało skazanie na potępienie przez Boga. Nie można było nawet pochować zmarłego bez błogosławieństwa mułły. Tłumy ponownie wyległy na ulice, domagając się, by szach ściągnął na powrót do miasta świętych mężów. Premier Ein ad-Doula sugerował, żeby wysłać kozaków i sprowadzić mułłów do Teheranu siłą. Szach Muzaffar ad-Din bał się jednak konfrontacji.

- Poślij po nich do Gomu - polecił premierowi. - Powiedz im, że mogą mieć ten swój przeklęty parlament.

Tak więc mułłowie powrócili triumfalnie, przejechali przez Teheran w królewskich powozach wysłanych z pałacu. Witwały ich tłumy. Była to farsa, haniebne widowisko, kwintesencja tego, co jest przekleństwem Persji: mężczyźni w turbanach pragnący zająć miejsce człowieka w koronie.

Zilfa Różarka postanowiła uczyć się francuskiego. Wyhaftowała cały pokój białych chustek, powtórzyła wszystkie lekcje śpiewu i rysunku, przedłużała ponad wszelką miarę czas niezbędny do nakładania makijażu, lecz nadal pozostawały jeszcze długie godziny, gdy nie robiła nic, tylko kontemplowała spustoszenia dokonywane przez czas na jej skórze. Poszła zapisać się do klasy dla dorosłych w szkole Alliance.

- Przychodzę się uczyć - powiedziała Monsieur Jeanowi z takim przekonaniem, że nie pozostało mu nic innego, jak ją przyjąć bez względu na wiek. - Proszę przydzielić mnie do klasy

z najtrudniejszym programem. Będę pańską najlepszą uczennicą.

Chodziła pilnie na lekcje, słęczała nad notatkami i zadawała pytania jeszcze długo po rozejściu się do domów innych uczniów. Spędzała cały swój wolny czas na uczeniu się, przestała nawet malować i haftować chustki, żeby móc poświęcić więcej godzin językowi francuskiemu. Codziennie ubierała się do szkoły w nową suknię i z wielką pieczołowitością malowała sobie twarz. Kupowała biżuterię. Po jakimś czasie zaczęła wypierać się własnego wieku - twierdziła, że nie ma więcej niż czterdzieści lat. Potem zaprosiła Monsieur Jeana do siebie na lunch.

- Proszę przyjść. - Uśmiechała się do niego jak dziewczątka. - Urządzimy sobie cywilizowane popołudnie.

Pod koniec roku, gdy Alliance ogłosiła listę najlepszych uczniów, okazało się, że Zilfa Różarka zajęła trzecie miejsce w swojej klasie. Stała sploniona przed grupką uczniów i gdy Monsieur Jean podszedł, by zawiesić jej na szyi brązowy medal, pochyliła głowę, ale oczu nie spuściła. Ich wzrok się spotkał i to on musiał odwrócić spojrzenie, przerażony żarliwością jej ducha. Tego wieczoru, gdy siedział samotnie w pustej szkole, otrzymał wiadomość od Zilfy: zapraszała go do siebie - tym razem na kolację i na konwersację w języku poetów i kochanków.

Spędzili lato spotykając się regularnie w domu Zilfy. Pojawiali się razem na ulicy - Monsieur Jean w swoim nienagannie wyprasowanym garniturze, z laseczką i w kapeluszu, Zilfa zawsze niezakwefiona, w białej sukni z przezroczystymi rękawami. Służył jej swoim ramieniem i szedł po lewej stronie, pomagał na każdym wyboju, przenosił przez każdy rów. Zajęci byli gorącymi debatami o poezji, sztuce i muzyce. Monsieur Jean był zawsze poważny i zamyślony, Zilfa lubiła dyskutować, ale skłaniała się do jego ocen. Wieczorem wracali do jej domu na szklaneczkę wina i kawałek chleba i sera.

Na jesieni w dniu inauguracji Zilfa Różarka przyszła do szkoły w wieńcu z róż na głowie i ogłosiła swoje zaręczyny z dyrektorem.

Kupiła sobie pierścionek z brylantem, a dla Monsieur Jeana złoty zegarek. Zaprosiła przyjaciół na wesele. Przyjęcie będzie w stylu zachodnim i jak poinformowała każdego, by nie poczuł się urażony, państwu młodemu ślubu udzieli najpierw ksiądz katolicki, a potem rabin. Będą siedzieć razem i goście też, mężczyźni i kobiety, w tym samym pokoju.

Przez tydzień Zilfa Różarka malowała i przygotowywała dom. Na ścianach położyła nowy tynk, wyczyściła dywany. Poprzycinała róże, zamówiła małą drewnianą altankę, którą

okryła białą gazą. W dniu ślubu obudziła się przed świtem. Włożyła swój malarski strój i kapelusz. Wzięła pędzel i pomalowała cały dom w niebieskie gwiazdy.

I tak właśnie - jak widzieli ją ze swoich dachów tego wczesnego poranka przed poślubieniem Monsieur Jeana - mieszkańcy Jamy zapamiętali Zilfę Rózarę. Stała w ogrodzie przed ścianą z czystym pędzlem w ręce i nie czuła ani chłodu, ani porannego wiatru, gdy próbowała uchwycić ciemny błękit brzasku i blask gwiazd na chwilę przed zniknięciem. Chciała wprowadzić światło do swego domu i uwolnić się od ciemności. Żyła w nich samotna i skazana na wygnanie, licząc godziny i dni, czekając na mężczyznę, który - o czym zawsze wiedziała - przybędzie, by uczynić z niej królową ze snów. Da jej też dzieci, a ona ubierze je na biało, wepnie im we włosy róże i kieszenie napełni cukierkami. Pragnęła ocalić słońce, wdychać tchnienie czuwających aniołów i zachować w oczach światło na długą, trwającą bez końca podróż nadziei.

W październiku 1906 roku odbyło się pierwsze posiedzenie parlamentu w Teheranie. Złożony z duchownych i nacjonalistów przystąpił do opracowania konstytucji. I natychmiast rozpętała się wojna o charakter nowego prawa.

Nacjonałiści wzięli górę. Pierwsza perska konstytucja pomijała Boga i jego uczniów. Wzorowana na belgijskiej ustawie zasadniczej z roku 1830 zapewniała wszystkim obywatelom równość wobec prawa. Gwarantowała obronę życia i własności wszystkim Persom niezależnie od religii czy rasy. Posuwała się nawet tak daleko, że zakazywała istnienia gett - wyganiania kogokolwiek do jakiegoś specjalnego miejsca albo dzielnicy, odmawiania komukolwiek prawa do zamieszkania gdzieś ze względu na wyznawaną religię.

Natychmiast po zatwierdzeniu konstytucji mułowie ogłosili ją za nieważną. Dołączyli do nacjonalistów wyłącznie po to, by promować własną sprawę, i zamierzali pożegnać się z nimi, gdy tylko szach zgodzi się na ich żądania. Tymczasem znaleźli się poza nawiasem nowego systemu prawnego. Wezwali wiernych do pomsty.

W wigilię Paschy mułowie nakazali zniszczenie getta w Kermanszahu.

W Persji panowała wiosna, ale w Kermanszahu zima ciągnęła się długo. Tłuszcza zabiła tysiące Żydów, spaliła doszczętnie całe getto i pozostawiła rannych na ulicach, żeby zamarzli. Mułowie wydali fatwę - święty nakaz - zabraniający wiernym sprzedawania żywności i odzienia Żydom. Bez jedzenia i ognia co noc na ulicach umierało z głodu i mrozu kilkudziesięciu Żydów.

Nacjoniści w Teheranie dowiedzieli się o masakrze i zaapelowali do szacha o pomoc. Spotkali się z odmową. Mułowie utrzymywali fatwę i Żydzi ginęli dalej.

A potem do getta w Kermanszahu przybyła karawana z żywnością. Wysłał ją muzułmanin, przywódca miejskiej społeczności, człowiek bez wątplenia wielce religijny i niezachwiany wyznawca islamu. Kupił prowiant na bazarach Kermanszahu, przywołał najbardziej lojalnych służących i wysłał ich do getta, żeby nakarmili ocalałych z masakry. Następnego dnia posłał odzież, koce i węgiel, mleko dla dzieci i leki dla ofiar.

Słał pomoc codziennie, lekceważąc ostrzeżenia przyjaciół i twierdząc, że islam to religia pełna współczucia, że prorok Mahomet głosił człowieczeństwo i życzliwość, że właściwie interpretowany Koran krzewi pokój i postęp. Przez wiele tygodni żywił Żydów i zapewniał im dach nad głową, dopóki wobec jego niezachwianej postawy mułowie Kermanszahu nie cofnęli zakazu. Kupcom pozwolono zakończyć bojkot.

- To właśnie jest zmiana - powiedziała do Pawicy Zilfa Różarka po masakrze w Kermanszahu - jaką przyniosła konstytucja: dodała mocy błaganiom o litość, które mułowie dławili we własnej trzódce wiernych. Przekazała ludziom prawdziwy sens islamu i uczciła wielkość religii, która w okresie największego rozkwitu zbudowała cywilizację wyższą i bardziej miłosierną od innych jej współczesnych.

Dwa miesiące po powołaniu pierwszego parlamentu zmarł szach Muzaffar ad-Din.

Jego następca, szach Muhammad Ali, wstąpił na tron, przysięgając, że zdławi rewolucję konstytucyjną. Powierzył premierowi zadanie infiltracji parlamentu, pogłębienia rozdzwiewku między mułami a nacjonalistami i pokonania obu grup. Potem zawarł porozumienie z Rosjanami i Brytyjczykami: w zamian za pomoc przeciwko buntownikom szach zgodził się podpisać trójstronny układ z roku 1907, w którym odstąpił północną połowę Persji Rosjanom i pozwolił, żeby zajęły ją ich wojska. Południe odstąpił Brytyjczykom, a środek pozostawił jako neutralną strefę buforową. W roku 1908 szach zachęcony wewnętrznymi walkami wśród buntowników i pewny poparcia ze strony Rosjan przystąpił do ostatecznej rozprawy.

Wezwał do pałacu generała Lachowa, dowódcę kozaków, i rozkazał mu otoczyć budynek parlamentu w dniu sesji plenarnej, na której będą obecni wszyscy posłowie. Kiedy ustawiono działa i karabiny maszynowe, szach Muhammad Ali rozkazał ostrzelać parlament.

Doszło do masakry, w której setki nieuzbrojonych ludzi padały w kałużach krwi, błagając daremnie o litość, dopóki parlament nie legł w gruzach, a kozakom nie zabrakło ołowiu.

Zadowolony ze swego wyczynu szach Muhammad Ali ogłosił w Teheranie stan wyjątkowy, mianował Lachowa dowódcą swoich wojsk i wezwał do poddania się opozycję.

Teheran zamarł. Rebelianci poddali się bez słowa. Tego wieczoru Aresz Buntownik zdezerterował.

Był wczesny wieczór w czerwcu roku 1908. Salomon Mężczyzna siedział w swojej rezydencji w Soltanabadzie. Sprawdzał na liczydło rachunki, gdy uniósł głowę i zobaczył syna.

- Przyszedłem się pożegnać.

Salomon poczuł, że ręka na liczydło mu zdrząła. Wiedział, zawsze wiedział, że Aresz odejdzie. Teraz widział go w półmroku pokoju bladego i przestraszonego, ale zdeterminowanego. I zrozumiał.

- Dokąd pójdziesz? - spytał.

- Do Tabrizu. - Aresz ujrzał w oczach ojca przerażenie. - Przyłączyć się do Sattara Chana.

Salomon uświadomił sobie, że syn jest już mężczyzną. Nie widział, jak Aresz dorósł, stracił dziecko przywiezione z Isfahanu i nie będzie znał mężczyzny, który go opuszcza. Nagle zapragnął móc cofnąć czas w swoim życiu.

- Kozacy - westchnął - zabijają dezertorów.

Stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Salomon pamiętał tamten dzień dawno temu w Dżujibarze, gdy w ich domu urodził się Aresz. Akuszerka z zarumienioną twarzą i zakrwawionymi rękami biegła do niego po złoto, które dawał każdemu, kto przynosił dobre wieści.

- Chłopiec! - krzyknęła. - Masz syna! Aresz Buntownik ucałował pierścień ojca.

- Wybacz mi - poprosił. Salomon ujął go za rękę.

- To ty musisz wybaczyć - rzekł.

Patrzył, jak Aresz odchodzi, i nigdy już go nie ujrzał.

W Tabrizie, rodzinnym mieście Kamar Cyganki, gdzie w roku 1830 doszło do wielkiej masakry, Sattar Chan rozpoczął wojnę. Wieść o ostrzelaniu parlamentu dotarła do wszystkich głównych prowincji Persji i spowodowała kapitulację buntowników. W Tabrizie jednak roznieciła ogień, który miał strawić monarchię.

Sattar Chan kierował od wielu lat siłami rebeliantów na północy i północnym zachodzie. Nazywali siebie mudżahedinami - bojownikami za sprawę - ale prawdziwej natury swojej wojny nie znali. Przez całe życie byli buntownikami, zbójnikami wychowanymi w surowych górach

Azerbejdżanu, które przemierzali konno z wiatrem wiejącym w plecy i otaczającymi ich zewsząd cieniami. W ojczystym kraju, z dala od mułłów, nie ulegli ich wpływom, słynęli za to z odwagi i niezależności.

Sattar Chan wychował się na końskim grzbiecie i od dziecka dzierżył w ręce karabin. Jako młodzieniec słynął w Tabrizie z umiejętności strzeleckich i nieustraszonego serca. Zwerbowany do gwardii królewskiej Muzaffara ad-Dina, służył w niej z dumą, dopóki szach nie zabił mu brata.

Oskarżony o wykradanie żywności z kuchni królewskiej brat Sattara daremnie przysięgał, że jest niewinny. Został stracony na polecenie samego monarchy.

- Pomścij mojego syna - powiedział Sattarowi ojciec, gdy otrzymali wiadomość o jego śmierci. - Pomścij swoją krew i oczyść moje nazwisko.

Sattar Chan zdezerterował z gwardii. Zgromadził wokół siebie grupę przyjaciół. Jeździli z miasta do miasta, szukając guza i okazji do konfrontacji z siłami szacha. Rabowali bogatych i obdarowywali ubogich, atakowali żołnierzy wszędzie, gdzie się na nich natknęli. Nie mieli ambicji, by wygrać wojnę, ale szach miał usłyszeć ich gniewny krzyk.

Wielokrotnie w tych latach łapano i więziono Sattara Chana. Torturowano go, bito, głodzono, przesłuchiowano i trzymano w pojedynczej celi tak długo, aż zapominał ludzką mowę. Jego imię stało się znane w całym Azerbejdżanie i szach nie chciał uczynić z niego męczennika. Sattar wychodził z więzienia wychudzony i blady i przez jakiś czas godził się prowadzić normalne życie. Pracował jako taksator koni albo służył za przewodnika podczas wypraw myśliwskich. Potem znowu zbierał kompanię i jeździł po kraju, szukając okazji do bitki. Pod koniec stulecia Sattar Chan usłyszał o ruchu konstytucyjnym i znalazł swoją sprawę.

I tak owego dnia, gdy szach Muhammad Ali ostrzelał parlament w Teheranie, oddziały Sattara Chana zajęły Azerbejdżan. Kiedy Aresz dołączył do niego w Tabrizie, Sattar walczył nie tylko z żołnierzami szacha, lecz także z oddziałami rosyjskimi. Muhammad Ali chciał odzyskać Tabriz, a car obawiając się, że rewolucja w Persji podsyci niezadowolenie w jego własnym upadającym imperium, posłał wojsko na pomoc szachowi.

Aresz Buntownik stanął po stronie Sattara Chana i walczył przeciwko swoim przyjaciołom kozakom. Z Rosji i Teheranu nadeszły posiłki. Tabriz otoczono i rozpoczęto oblężenie. Buntownicy zostali odcięci, przerwano wszystkie dostawy zaopatrzenia.

Przez wiele tygodni zimą roku 1908 Aresz Buntownik widział, jak jego nowi sojusznicy

mra z głodu i chorób, odpierając ofensywę szacha. Chłód paraliżował wszystkich. Klęska wydawała się nieunikniona. W obliczu końca Aresz Buntownik zapytywał sam siebie, dlaczego przyłączył się do powstania, lecz odpowiedzi na to pytanie nigdy nie znalazł. Zastanawiał się, czy walczy o Persję czy przeciwko Tali? Czy kierował się poczuciem sprawiedliwości - jak ów Mirza Reza z Kermanu, który oddał swoje życie, żeby odebrać je szachowi Naserowi ad-Dinowi - czy też powodowany jedynie chęcią zemsty?

- Twój syn! - Wyobrażał sobie Tale, jak krzyczy do Salomona Mężczyzny przez sale Pałacu Radości, gdzie się zbierano, żeby słuchać wiadomości o wojnie. - Twój syn zdradził moją krew!

Obleżenie Tabrizu załamało się w końcu. Sattar Chan poświęcił niemal wszystkich swoich ludzi, ale odniósł zwycięstwo i poprowadził własne oddziały na stolicę. W całej Persji jego triumf natchnął buntowników, którzy znów podjęli walkę. Na południu Zamzame Bachtari zjednoczył oddziały, zdobył Isfahan i ruszył na północ, by dołączyć do Sattara. Nieoczekiwanie szach Muhammad Ali zaprzagnął rozejmu.

Sattar Chan połączył swoje siły z siłami Bachtariego i razem ruszyli na stolicę. Szach uciekł, ratując życie. Porzucił pałac i szukał schronienia w rezydencji rosyjskiego ambasadora w Teheranie.

- Twój syn - szlochała Tala przed Salomonem Mężczyzną. - Twój syn wszystkich nas zniszczył.

Spakowała manatki i dołączyła do szacha w ambasadzie rosyjskiej. Salomon Mężczyzna z nią nie poszedł. Jest Persem, powiedział, nie będzie szukać pomocy u wroga.

Był wczesny poranek w lipcu roku 1908 i królestwo właśnie przepadło.

Aresz Buntownik został wyznaczony przez Radę Narodową do negocjowania warunków wyjazdu Muhammada Alego z Persji. Udał się do ambasady rosyjskiej, gdzie schronili się Kadzarowie, i zastał królową szlochającą pośród walizek i służących. Nie poznała Aresza - zbyt była zaabsorbowana przeklinaniem Anglików. Przyrzekli szachowi poparcie przeciwko buntownikom, skłaniając go w ten sposób podstępnie do podpisania trójstronnego układu z roku 1907. Teraz gdy mieli trzecią część Persji, opuścili go i przyczynili się do jego upadku.

Szach był błądy i zdezorientowany. Ubrany na czarno - jak kobiety w żałobie - przechadzał się z przygnębioną miną niczym chłopiec do posług skarcony przez swego pana. Nie

przyjął Aresza; nie będzie negocjować ze zdrajcami. Porozumiewali się przez pośrednika.

Uciekając z pałacu szesnastego lipca szach Muhammad Ali zabrał skarby rodzinne, olbrzymie rezerwy gotówkowe i to, co zdołał unieść z perskich klejnotów koronnych. Był wśród nich słynny Darjaje Nur - Morze Blasku - stuosiemdziesięciodwukaratowy diament, do którego szach rościł sobie prawo. Zaciągnął też kolosalne długi u rządu rosyjskiego i brytyjskiego, dając na ich zabezpieczenie setki akrów perskiego terytorium na północy.

Aresz Buntownik domagał się, by szach zwrócił klejnoty koronne, przepisał na Persję własność terytoriów zastawionych u Rosjan i Brytyjczyków i pozostawił jako zakładnika w Teheranie następcę tronu Ahmada, który miał dwanaście lat i płakał na kolanach matki. W zamian Rada Narodowa zapewni szachowi bezpieczeństwo na wygnaniu, w pałacu na Krymie, i pięć tysięcy funtów szterlingów rocznie.

Muhammad Ali odrzucił tę ofertę. Pięć tysięcy funtów, powiedział, to płaca dla niewolnika. Krym nie jest odpowiednim miejscem dla króla. Następca tronu Ahmad jest za mały, żeby rządzić, i musi towarzyszyć ojcu na wygnaniu. Klejnoty koronne należą do niego i nie zamierza ich zwracać.

Mijały tygodnie, w negocjacjach nie osiągnano postępu. We wrześniu Rada Narodowa podwyższyła pensję szacha do 16 666 funtów rocznie i zmieniła miejsce jego pobytu z Krymu na Odessę. Uzgodniono, że Ahmad pozostanie w Teheranie. Będzie marionetkowym monarchą przy nowym konstytucyjnym rządzie - a zarazem gwarancją, że jego ojciec nie zorganizuje zamachu stanu. Szach Muhammad Ali nie zrzekł się klejnotów koronnych. Czując, że ambasador rosyjski trzyma stronę buntowników, zatelegrafował do cara, prosząc, żeby chroniono jego prawa. Car odpowiedział szybko: Muhammad Ali powinien natychmiast zaakceptować ugodę.

Dwa dni po otrzymaniu tego telegramu szach wyjechał z Teheranu do Odessy. Zabrał ze sobą ministra wojny, pięciuset wiernych żołnierzy i żonę Salomona Mężczyzny.

Aresz Buntownik przyglądał się, jak Tala wsiada do powozu, który miał ją zabrać z Teheranu. Towarzyszyły jej dzieci, cała jedenastka. Zająwszy miejsce w powozie, zaciągnęła firanki i nawet się nie odwróciła, by spojrzeć w stronę Aresza. Zastanawiał się, jak zdoła żyć bez Salomona. Zastanawiał się, czy rzeczywiście chciał zniszczyć życie swojemu ojcu.

Rano w dniu koronacji szacha Ahmada Aresz Buntownik pojechał do ambasady rosyjskiej, by towarzyszyć nowemu szachowi w drodze do pałacu.

Strażnicy powiedzieli mu, żeby zaczekał na następcę tronu na zewnątrz. Minęła godzina.

Potem druga. Wreszcie bramę ambasady otwarto.

W oddali na wybrukowanej kocimi łbami drodze prowadzącej przez ogród Aresz Buntownik zobaczył korowód mglistych świateł zmierzający w jego stronę.

To było dziecko, chłopiec o czarnych włosach i okrągłej twarzy, w grubym wojskowym mundurze i tureckim fezie. Kaftan pokrywały mu diamenty różnych kształtów, a każdy był wielkości orzecha. Oczy miał zapuchnięte i zaczerwienione od łez.

Płakał przez wiele dni - od chwili gdy jego ojca pozbawiono tronu i Ahmada wyznaczono na króla. Miał dwanaście lat i pragnął tylko jednego na świecie - znaleźć się w domu z matką.

Widok tego dziecka wstrząsnął Areszem. Znał Ahmada przez całe swoje życie. Wiedział, negocjując z szachem, że to jeszcze chłopiec. A jednak gdy ujrzał go idącego ku bramie i zauważył łzy błyszczące w jego oczach, nagle przypomniał sobie samego siebie - jak leżał w gorączce i szlochał w poduszkę, wpatrując się w fotografię swojej matki.

W Soltanabadzie - Pałacu Królów - delegacja Rady Narodowej powitała szacha Ahmada.

- Modlimy się, Cieniu Boga, żeby Wasza Wysokość służył swojemu narodowi sprawiedliwie i z honorem - oświadczył nowemu władcy przewodniczący delegacji.

- Jeśli Bóg pozwoli - odparł mężnie szach Ahmad, ale broda mu drżała i musiał zapanować nad głosem - będę służyć.

W Teheranie panował chaos. Rządowi, który zastąpił monarchię, brak było wyraźnego przywództwa i planu działania. Dotarłszy zwycięsko do Teheranu, Sattar Chan i jego armia nie mieli już z kim prowadzić wojny. Parlament poprosił, żeby złożyli broń, oni jednak odmówili. Impas trwał wiele tygodni. Wczorajsi sojusznicy stali się wrogami. W końcu Rada Narodowa posłała wojsko, by otoczyło oddziały Sattara i zabrało im broń. Buntownicy stawili opór. W bitwie, do której doszło, Sattar Chan - bohater rewolucji, człowiek, który uratował Persję przed Kadżarami - został ciężko ranny. Umarł wkrótce potem na skutek odniesionych obrażeń i złamanego serca.

Lecz choć Sattar Chan już nie żył, nowy rząd stał wobec poważnych zagrożeń: mułlowie walczyli z nacjonalistami, a rząd brytyjski podważał legalność parlamentu. Nie było armii ani policji, nikogo, kto mógłby przywrócić spokój. W pałacu szach Ahmad dzień i noc płakał z tęsknoty za rodzicami. Pewnej nocy, nie mogąc dłużej wytrzymać rozłąki, wykradł konia z własnych stajni i pogalopował w ciemnościach ku północnej bramie stolicy. Rosyjski

wychowawca szacha, zaalarmowany przez szpiegów, wysłał Aresza, aby sprowadził go z powrotem. Ahmad wyznał Areszowi, że wybierał się za granicę - do Odessy, gdzie mieszka jego ojciec ze swymi dziesięcioma żonami.

Tej nocy Aresz Buntownik płakał razem z szachem. Zrozumiał, że mszcząc się, popełnił taką samą zbrodnię jak kiedyś Salomon i Tala. Wiedział, że jego rewolucja poniosła porażkę. W roku 1910 opuścił stanowisko w Radzie Narodowej i zniknął na zawsze z Persji. Rada, obawiając się zdrady młodego sojusznika, kazała przeszukać Teheran i wszystkie prowincje, ale bez skutku. Szeptano o knowaniach i zdradzie, o śmiertelnym zagrożeniu, Aresz wszakże zniknął jak duch i nikt nigdy nie zdołał odkryć jego tajemnicy: że poświęciwszy wszystko walce, uświadomił sobie, iż nie chce żadnego z łupów.

W Soltanabadzie szach Ahmad pisał codziennie do ojca listy pełne czułości i smutku i wyznawał w nich najbardziej osobiste myśli. Powierzał listy najbliższemu przyjacielowi. Czekał na odpowiedź. Czekał lata całe na odpowiedź. Jak się później dowiedział, listy zanoszono do ambasady rosyjskiej, gdzie je otwierano, analizowano i przekazywano do archiwum.

Reza Chan Maxim oglądał rewolucję roku 1908, a potem jej upadek. Widział zagładę starego systemu i to, że zastąpiła go anarchia, i zastanawiał się, czy Persja przetrwa.

Trójstronny układ z roku 1907 doprowadził praktycznie do okupacji Persji przez trzy obce mocarstwa. Rządziły we wszystkich prowincjach za pośrednictwem swoich ambasad i odmawiały współpracy z Teheranem. Dwukrotnie w ciągu dwóch lat parlament wyznaczał premierów tylko po to, by widzieć, jak ustępują ze stanowiska we wszechobecnej atmosferze chaosu i bezsilności. Bandyty i rozbójnicy terroryzowali ludność. Samozwańczy gubernatorzy nie liczyli się z poleceniami rządu. Persja potrzebowała armii - jedynej zjednoczonej siły - żeby walczyć z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi, przywrócić spokój i umożliwić działanie parlamentowi. Za Kadzarów jej bezpieczeństwo powierzono niezależnym oddziałom policyjnym - rosyjskim kozakom, żandarmerii kierowanej przez Szwedów, brytyjskim Strzelcom Południowoperskim - z których każdy otrzymywał rozkazy od obcego rządu. Teraz, bez pieniędzy i kierownictwa, Persja miała mniej niż kiedykolwiek szans na stworzenie skutecznych sił wojskowych.

W roku 1914 wybuchła w Europie pierwsza wojna światowa. Wojska brytyjskie i rosyjskie, okupujące już Persję, rozwiązały parlament i przejęły rządy w kraju. Niedługo potem

do Persji trafili Niemcy. Legendarny niemiecki szpieg Wassmus, dążąc do osłabienia brytyjskiego bastionu, zakradł się na południe i pozyskiwał na swoją stronę plemiona dążące do niepodległości. Opłacał je, by walczyły z Anglikami, wywołując wojnę domową w kraju już zniszczonym przez okupację, zamieszki i nędzę.

Reza Chan Maxim miał trzydzieści sześć lat. Pierwsza żona, Hamdam, pochodząca z nizin społecznych, nie rozumiała jego ambicji, ponadto urodziła mu tylko dziewczynkę. Porzucił więc ją i ożenił się po raz drugi - tym razem z kobietą lepiej urodzoną. Nie miał przyjaciół, nawet wśród kozaków, ale przez całe życie wysoko sobie cenił spotkanie z Pawicą. W dniach największego zamieszania w Persji, gdy Reza Chan sam czuł, że stoi na progu katastrofy, odnalazł Żydówkę z Isfahanu.

- Mówiłaś kiedyś, że mogę być królem - powiedział do Pawicy w jej izbie bez okna w Jamie. Zapamiętał te słowa i czuł, że wszystko gotuje się w nim z podniecenia, ilekroć wspominał to spotkanie. Amir Toman Kazim Chan mówił mu o Żydówce, która przepowiedziała śmierć królom. Reza Chan był ciekawy, czy Pawica ma też taką moc.

- Musisz mi powiedzieć, co wiesz - nalegał. - Wywróż mi przyszłość.

Pawica uśmiechnęła się. Przez całe dzieciństwo w czasach biedy i goryczy matka szeptała jej przepowiednię Estery Wróżki wypowiedzianą w dniu, gdy się urodziła. Teraz powtórzyła te słowa Rezie Chanowi:

Zjawi się mąż, przyjedzie z północy, z krwią na rękach i gniewem Boga w oczach. Zasiądzie na Słonecznym Tronie i szerokim gestem wyciągnie rękę przez cały kraj, żeby uwolnić nasz naród.

Reza Chan Maxim czuł, że żyły na skroniach omal mu nie pękną.

- Skąd wiesz, że to ja jestem owym mężem? - spytał. Pawica dotknęła jego czoła czubkiem palca.

Tak jest napisane tu, gdzie Kain nosił swój znak. Była zima roku 1914. Po wyjściu z domu Pawicy Reza Chan wciągnął w nozdrza woń rozkładu unoszącą się z Jamy i zobaczył dzieci biegające boso po śniegu. Poszedł do domu. Odnalazł swoje przeznaczenie.

Awansował na coraz wyższe stanowiska w brygadzie i cieszył się wielką lojalnością żołnierzy. Zdawał sobie sprawę z własnej niskiej pozycji społecznej - był świadom, że jego przeszłość i rodowód nie pasują do tradycyjnego modelu arystokraty, który staje się wybawcą.

Nie mógł zmienić statusu swojego zmarłego ojca, ale wiedział, że własną pozycję może poprawić przez ożenek.

W roku 1915 wziął sobie trzecią żonę - córkę dowódcy armii - i poczuł, że wreszcie osiągnął odpowiedni status społeczny. Nadał swojej żonie tytuł Tadźmalek, Posiadaczka Korony, i zapowiedział jej, że wkrótce zostanie królową.

Salomon Mężczyzna miał pięćdziesiąt trzy lata, gdy Tala opuściła Persję. Pozwolił jej wyjechać, sam zaś próbował uratować życie i zacząć od nowa w kraju teraz wrogim dawnym pupilom Kadzarów. Usiłował zapomnieć o Tali; opuściła go tak łatwo, jak do niego przyszła, obarczyła winą za zdradę Aresza i porzuciła bez słowa wyjaśnienia. A jednak przypominając sobie uśmiech Tali, Salomon Mężczyzna drżał z pożądania. Wysłał list do Odessy.

Wróć, ukochana - pisał. - Nie ma Cię zbyt długo.

Napisał drugi list i tym razem powierzył go posłańcowi z wyraźnym poleceniem przywiezienia odpowiedzi. Podejrzewał, że Tala jest chora albo więziona w Odessie. Wyobrażał sobie, że płacze nocą w poduszkę, woła jego imię, wbija paznokcie w ściany pokoju, którego nie może opuścić - bo jak inaczej mogłaby pozostawać tam tak długo? - i modli się, by Salomon zjawił się o świcie, gdy niebo jaśnieje, i uratował ją, unosząc w ramionach. Zanim posłaniec wrócił, nie przynosząc ani słówka od Tali - jak przeczuwał w głębi ducha - Salomon wyjechał z Teheranu i ruszył do Rosji.

W Odessie wynajął nieumeblowany zimny pokój, po czym posłał wiadomość do pałacu Muhammada Alego.

Czekał na Tale dzień i noc, cierpiąc katusze; nie opuszczał pokoju w obawie, że mogłaby przyjść, kiedy go nie będzie. Przeżywał męki na myśl, że się nie zjawi. Wyobrażał sobie, jak biegnie ku niemu w ciemnościach, oddech ma zimny i niespokojny, szarpie na sobie ubranie i pada w jego ramiona. A on zabiera ją w najdalszy kąt pokoju, pod kamienną ścianę, i pieści dłońmi i wzrokiem, zanosi na swoje łóżko i kładzie na pościeli - zdziwiony jak zawsze kontrastem jej białego ciała z własną skórą. Potem dotyka ją tak delikatnie, że nawet nie zmruży oczu, i kiedy wreszcie kończą się miłować, Tala pozostaje w jego łóżku z twarzą rozpromienioną namiętnością i mówi, że wybaczyła mu zdradę Aresza.

Lecz Tala nie przyszła.

Salomon Mężczyzna pozostał w Odessie - sam, bez pracy, bez pieniędzy i bez celu. Kiedy skończyły mu się pieniądze, próbował śpiewać w kabaretach i herbaciarniach, przekonał się jednak, że jego muzyka jest tu nieznana i niepopularna. Szukał miłości u obcych kobiet, płacił prostytutkom, żeby tylko przyszły i posiedziały z nim przez noc, i w końcu zrozumiał, że wszystkich rozczarował. Udał się do pałacu Muhammada Alego, skąd wrócił przybity i zawstydzony. Pił coraz więcej, a gdy się zorientował, że nie może przestać, był stary i chory i nie znajdował powodu, żeby się ratować.

Nabawił się choroby - dokuczliwy ból promieniował od żołądka do piersi i ramion. Osłabł i pozołkł, nie mógł jeść, cierpiał na bezsenność. Leżał na podłodze w wynajętym pokoju, ledwie mogąc wyżyć z tego, co zarobił śpiewaniem w herbaciarniach, i rozmyślał o życiu w Persji.

Myślał o kobietach, które kochał, dzieciach, już dorosłych, które opuścił albo stracił. Myślał o obcych, z którymi się przyjaźnił, o głosie, który otrzymał jakby w darze od aniołów, ale którym już nie mógł się posługiwać. W końcu gdy zaczął wymiotować krwią, pomyślał o Pawicy.

Pamiętał dziecko, które poślubił - ciemne, nieśmiałe i chłodne jak jaskółka zimą. Pamiętał jej wspaniałe oczy w noc poślubną, gdy miał nadzieję aż do chwili uniesienia zasłony, że odnajdzie w niej Hannę Ziła el-Sultana. Pamiętał swoje córki. Wiedział, że Sabrina umarła.

Siadł w pościeli otoczony cieniami i odgłosami biedy z sąsiedztwa i po raz pierwszy w ciągu sześciu lat pojął przyczynę własnego upadku: utracił swoje szczęście opuszczając córki i grzesząc wobec żony. Zniszczył Pawicę i odebrał jej syna - za to został przeklęty, tego był pewien.

Zebrał resztkę sił i przeliczył pieniądze; postanowił, że wróci do Persji, do Dżujibaru, gdzie została pochowana Sabrina. Odnajdzie grób córki, rzuci się na jej szczątki i nim umrze, będzie błagać o przebaczenie.

- Z Rosji Salomon udał się do Turcji, potem do Azerbejdżanu. Po dwóch miesiącach podróży przybył do Sari miasta w perskiej prowincji Mazanderan na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Przed rewolucją zawsze słyszał, jak szach mówił o armii „nie do pokonania” stojącej w Sari armii, która jak wszyscy twierdzili, zdolna byłaby odzyskać wszystkie prowincje utracone w ostatnim stuleciu na rzecz Rosji. Teraz, gdy Salomon Mężczyzna szedł przez to miasto, szukając owej armii, nie znalazł ani jednego żołnierza. Zamiast wojska widział tylko setki ślepców - starych i młodych, a nawet dzieci, więcej niż w jakimkolwiek mieście czy

provincji, przez które przejeżdżał po drodze. W początkowym okresie rewolucji konstytucyjnej gubernator Sari, zagorzały monarchista, oślepił każdego, kogo podejrzewano o sympatie rewolucyjne.

Już wkrótce Salomon Mężczyzna się dowiedział, że wspaniała armia liczyła dwa tuziny żołnierzy - półnagich i nałogowo palących opium - którzy żyli z uprawy roli. Ich arsenał, ten legendarny arsenał tak sławiony przez Kadżarów, składał się z dwóch dział. Jednego z nich używano tylko raz w roku, w ramadanie, gdy żołnierze z niego strzelali, by dać znać mieszkańcom, że nastąpiła pora przerywania postu. Miało połamane koła i stało na stercie cegieł. Po każdym wystrzale następował odrzut i musiano działo znowu ciągnąć do przodu, potem dźwigać je z wielkim trudem, by ustawić na nowo ułożonej stercie cegieł.

Drugie dział służyło do ubijania masła.

Salomon Mężczyzna postanowił odnaleźć pałac Kadżarów i poprosić o nocleg. Była to starodawna budowla wzniesiona przez szacha Abbasa Wielkiego w siedemnastym wieku. Pałac, odziedziczony przez Kadżarów, zaniedbywany od początku, po rewolucji popadł w ruinę. Niemniej Salomon zapukał do jego bram w nadziei, że ktoś mu otworzy.

- Wynoś się! - huknął na niego ktoś zza gęstej kępy drzew na dziedzińcu. - Zamknięte.

Salomon Mężczyzna zastukał ponownie.

- Wynoś się, powiedziałem! - ryknął znów ten sam głos, ale Salomon był zrozpaczony i zastukał po raz trzeci.

Głos gwałtownie się przybliżył.

- Kto śmie budzić mój gniew?

Obnażony do pasa dwumetrowy Murzyn o olbrzymich dłoniach i nieludzkich mięśniach ruszył przez pałacowy dziedziniec, natarł piersią na bramę. Pojawił się jak demon.

- Precz! - huknął, ale nagle przystanął i zajrzawszy Salomonowi w twarz cofnął się, spuścił wzrok i padł na kolana jak niewolnik. Ujął dłoń Salomona, podnosząc ją do oczu.

- Składam w ofierze swoje życie - rzekł. - Salomon Chan! Mój pan! Proszę, wybacz moje pochopne słowa!

Był to Rubi Kat, strażnik pałacu Kadżarów, któremu gubernator powierzył Miecz Sprawiedliwości.

- Składam w ofierze swoje życie - płakał na dłoń Salomona. - Wybrukowałbym tę ziemię

własnymi oczami, gdybym wiedział, że będziesz, panie, po niej stąpał.

Rubi Kat urodził się w Konstantynopolu i jako dziecko został sprzedany handlarzowi dywanów, który wychowywał go na niewolnika. Kiedy osiągnął dojrzałość, dzięki swej olbrzymiej posturze i dobrze rozwiniętym mięśniom stał się najsilniejszym ze wszystkich niewolników, toteż pewien bogaty pasza odkupił go za niesłychaną cenę od handlarza dywanów. Będąc na służbie u paszy, Rubi zakochał się w jednej z jego żon - białoskórej Azerbejdżance o ciele tak miękkim jak wnętrze snu - i pewnej nocy wdarłszy się do haremu, posiadał wybrankę. Schwytano go i skazano na śmierć.

- Obwiążcie mu nogi w kostkach liną i wrzucie go do Bosforu - rozkazał pasza sługom, ale w całym Konstantynopolu nie było takiego, który odważyłby się stawić czoło Rubiemu. Przez wiele miesięcy pasza trzymał go w więzieniu i czekał, aż znajdzie kata, który zabije niewolnika. W końcu zagadnął go przyjaciel.

- Sprzedaj mi tego Murzyna - powiedział. - Mógłbym go użyć do zabijania swoich wrogów.

Przez szereg lat Rubi Kat mordował ludzi, których nie znał. Kiedy jego pan pozbył się wszelkich nieprzyjaciół, sprzedał go greckiemu handlarzowi niewolników, a ten zabrał Murzyna do Teheranu i tam wystawił na licytację.

Rubi Kat miał wówczas zaledwie dwadzieścia pięć lat. Znał swój wiek, ponieważ niewolnikom, podobnie jak koniom i krowom, wystawiano metrykę, podczas gdy nikt inny nie rejestrował narodzin swoich dzieci. Był u szczytu sił fizycznych, ale lata zabijania i niewoli pozostawiły ślady na jego duszy; stał się wrażliwy i bezbronny jak dziecko. W dniu licytacji wszedł na podwyższenie, żeby zaprezentować się stojącym do przetargu, lecz zamiast napiąć mięśnie na nagim ciele, spojrzał na widzów i zalał się łzami.

Widowisko było szokujące, tak niezgodne z oczekiwaniami licytantów, że grecki handlarz odwołał licytację. Potem korzystając z kiepskiego stanu ducha siłacza, zbił go po raz pierwszy od czasów, gdy ten był dzieckiem. Handlarz nie zadawał sobie trudu ogłaszania następnej licytacji. Wiedział, że nikt nie kupi szalonego olbrzyma, którego nie mógłby opanować. Już miał wyjechać z Rubim z Teheranu, gdy przyszedł do niego Salomon Mężczyzna. Kupił niewolnika. Potem go wyzwolił.

W roku 1892 Rubi wziął od Salomona Mężczyzny worek złota, dokumenty własności i świadectwo urodzenia. Udał się na północ, do Mazanderanu, gdzie znalazł pracę u gubernatora

Sari. Powierzono mu Miecz Sprawiedliwości i mianowano dowódcą straży. Po dziesięciu latach jego imię budziło postrach w całej Persji. Zabijał swoje ofiary, dusząc je jedynie kciukiem i małym palcem. Obcinał trupom głowy, wypychał je słomą i ozdabiał nimi swój dom.

Kiedy rewolucja zmiotła gubernatora Sari, Rubi Kat utracił Miecz Sprawiedliwości i stanowisko dowódcy straży. Pozbawiony celu i dawnego znaczenia nadal jednak strzegł pałacu, choć nie otrzymywał już zapłaty. Był znudzony i przygnębiony, prześladowany wizjami tych, których przez lata zabijał, dręczony widokiem wszystkich kobiet i dzieci oślepionych na rozkaz gubernatora. Stał się odludkiem, palił opium, aż nałóg go zniszczył. Kiedy pojawił się Salomon Mężczyzna, Rubi od trzech lat z nikim nie rozmawiał.

- Niech mi będzie wolno służyć ci, panie - powiedział, otarłszy łzy. - Nie możesz zostać w pałacu, żywcem zjedzą cię szczury.

Zaśmiał się, by ukryć zażenowanie, odsłaniając ostre, nierówne zęby pociemniałe od stałego używania *shire*.

- Człowiek o pańskiej pozycji zasługuje na najwspanialsze rezydencje i wstyd mi oferować mniej. Lecz mam jedynie swój dom i mogę tylko prosić o wybaczenie mojego ubóstwa.

Zabrał Salomona do ciemnego zaułka w pobliżu pałacu. Zatrzymał się przed drzwiami tak niskimi, że nawet dziecko nie przeszłoby przez nie wyprostowane, i pchnął je ręką. Rubi Kat nigdy nie zamykał drzwi na klucz. Wiedział, że nikt nie odważy się wejść do domu bez jego pozwolenia.

Była tam jedna izba, wilgotna i pusta, bez światła, jedynie z małym zakratowanym okienkiem. Na podłodze leżał brudny dywan, w kącie toból z pościelą i kocami. Salomon Mężczyzna zobaczył z przerażeniem, że wszystkie ściany zdobią ludzkie członki.

Wisiały tam setki nóg i rąk, dłoni i uszu oraz równy rząd trzydziestu wyprawionych i wypchanych głów. To turkmeńscy naczelnicy, wyjaśnił Rubi, którzy zbuntowali się przeciwko szachowi, zostali schwytani i oddani w ręce Kata.

- Zajmij, panie, moje łóżko - nalegał. - Nie pozostaje nic innego niż spędzić tu noc. Jutro zawiozę cię osobiście do Teheranu.

W Teheranie okupacyjne oddziały rosyjskie walczyły na ulicach z nieprzyjacielskimi żołnierzami tureckimi. Persja stała się polem bitewnym pierwszej wojny światowej. Brytyjczycy strzelali cały dzień do batalionów niemieckich, a neutralni Persowie dostawali się w krzyżowy

ogień i ginęli. Rubi Kat zabrał Salomona do najbezpieczniejszego miejsca, jakie mógł znaleźć - do karawanseraju w Tekkije - i stamtąd wyruszył na poszukiwanie powozu, który zawiózłby ich do Isfahanu. Szybko dowiedział się, że drogi są zamknięte - zajęte przez obce wojska, które przewoziły nimi broń i żywność do baz. Nikt nie odważył się wyjeżdżać z Teheranu, obawiając się, że zostanie zastrzelony przez wrogich żołnierzy.

Rubi Kat nie zrezygnował z poszukiwań. Wychodził codziennie, próbował kupić jakiś pojazd, którym mógłby sam powozić, i wszędzie szerzył wieść o powrocie Salomona Mężczyzny. Tłumy ludzi przychodziły do karawanseraju, żeby go zobaczyć. Prawnuk Starca Goli ukląkł przed nim i ucałował mu stopy. Wielki Strażnik teherańskich nierządnic zrosił mu łzami ręce i zaoferował swoją najmłodszą dziewczę. Ahmad Kadżar przysłał ludzi, by zapytali o wiadomości od jego rodziny w Odessie. Potem zjawił się ktoś nieznany.

Była to kobieta w czarnym czadorze. Drżała, zbliżając się do wejścia do karawanseraju. Salomon Mężczyzna zobaczył ją, ale nie zwracał na nią uwagi. Przez całe popołudnie wymiotował krwią i czuł się tak, jakby lada moment miał zemdleć. Kobieta podeszła bliżej i zatrzymała się przed nim. Pomyślał, że to pewno żebraczka albo bierze go za kogoś innego. Chciał odwrócić wzrok, lecz ona nie spuszczała z niego oczu.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Milczała. Potem uniosła zasłonę.

Salomon Mężczyzna patrzył na tę twarz przed sobą i pragnął sobie przypomnieć. Uśmiechnął się do kobiety niepewnie, ledwie rozchylając wargi, i usiłował sobie wyobrazić, kim może być: zapewne dziwką, z którą kiedyś spał, służącą, którą zostawił, żebraczką, którą kiedyś nakarmił. Dotknęła jego ręki i pamięć jak uspione strapienie zaczęła się budzić.

Pawica.

Odesłał ją gestem ręki, potarł oczy dłonią i modlił się, żeby jej nie było, gdy znowu spojrzy. Jakoś źle widział. W ustach miał smak krwi. Potem nogi się pod nim ugięły i pogrążył się w głębokiej i wiecznej jak śmierć nieświadomości.

Zabrała go do domu i wezwała lekarza. Przyszedł półtora dnia później; ubrany był po europejsku, pachniał wodą kolońską i nie zdradzał ani cienia współczucia dla pacjenta. Pawica nim gardziła.

Lekarz pomacał puls Salomona, posłuchał jego serca i przyłożył ucho do brzucha.

Potrząsnął głową. Pacjent umrze przed końcem tygodnia, oznajmił obojętnym głosem.

Pawica wyprowadziła go na dwór i zatrzasnęła za nim drzwi. Tego wieczoru wezwała Heszmat, by czuwała przy ojcu. Powiedziała, że wyrusza na pielgrzymkę do grobowca Sary beth Aszer w górach Zagros. Bóg ma u niej dług wdzięczności i nadszedł czas, by go spłacił.

Jechała powozem przez jedenaście dni, potem wędrowała na piechotę przez pustynię i pyliste równiny, żeby dotrzeć do grobowca. Przybyła na miejsce o zachodzie słońca i stwierdziła, że u stóp góry obozuje już grupa pielgrzymów. Wkrótce zapadną ciemności. Musi poczekać do rana.

Nazajutrz zaczęła się wspinać pierwsza. Inni pielgrzymi poszli w jej ślady, a wszyscy, mężczyźni i kobiety, nieśli na plecach małe dzieci. Grobowiec Sary beth Aszer to długa i wąska jaskinia - tak wąska, że tylko małe dzieci mogą bezpiecznie przez nią przepelznąć. Dorośli ryzykują, że uwięzną w korytarzu bez powietrza na tyle daleko od wejścia, że nie będzie słychać ich krzyków, i uduszą się, nim ktokolwiek zdoła do nich dotrzeć.

Pawica poszła w pojedynkę; musiała samotnie stanąć przed Bogiem. Musiała prosić go o cud. Nigdy przedtem nie przyszedł jej z pomocą.

Dotarła do jaskini przed południem i przygotowywała się do wejścia. Przed tysiącem lat Sarę, córkę Aszer, ścigali na pustyni nieprzyjacielscy żołnierze. Dotarła do gór Zagros, próbowała ukryć się w jaskini. Żołnierze weszli za nią do środka. Sara parła do przodu, pełznąca przez kręte przejście i modląc się o życie. Bóg w odpowiedzi stworzył otwór, przez który wśliznęła się w bramę Ziemi Obiecanej. Potem zamknął szczelnie to przejście głazem tak ciężkim, że żaden człowiek nie zdoła go poruszyć. Lecz Sarę uczynił swoim posłańcem, a jej grobowiec miejscem pielgrzymek. Na dowód swej obecności sprawił, że przez głaz przenika powietrze, nie pozwalając udusić się pielgrzymom w jaskini.

U wylotu jaskini Pawica zdjęła czador i pantofle, związała rogi spódnicy i zwinęła warkocz w kok z tyłu głowy. Zapaliła świeczkę, trzymając ją w zębach położyła się na brzuchu, nabrała powietrza w płuca i wcisnęła się do jaskini.

Pełzła w ciemnościach, czując, że powietrze robi się coraz rzadsze. Spoglądała przed siebie, licząc na to, że zapamięta, którądy przypelzła. Wiedziała, że jaskinia ma wiele odnóg. W drodze powrotnej zdeorientowana, pod wpływem uczucia klaustrofobii i ciemności, mogła trafić

do złej odnogi i zgubić się w pozbawionej powietrza komorze.

Po trzech minutach od wejścia Pawica odczuła brak powietrza. Uświadomiła sobie, że świeczka za chwilę zgaśnie.

Parła do przodu, przyciskając mocno ręce do boków i wprawiając ciało w ruch za pomocą stóp. Usta i nos miała pełne ziemi. Wosk świeczki topił jej się między zębami i na języku. Płomień zasyczał, po czym zgasł. Zatrzymała się. Zle skręciła.

Przerażona oparła dłonie pod brzuchem i zaczęła się wycofywać. Czuła gorąco, głowa jej ciążyła, krew krążyła wolniej. Cofnęła się na długość ciała i wtedy stopami dotknęła kamiennej ściany. Znalazła się w pułapce, pogrzebana żywcem.

Zamknęła oczy. Pot kapał jej z rzęs. Umrze tu i Salomon Mężczyzna nigdy się nie dowie - nigdy nie zostanie uratowany. Oparła głowę na ziemi i przez jakiś czas leżała. Potem nagle popatrzyła w górę: knot świeczki wciąż się żarzył mimo gasnącego płomienia. Chyba gdzieś blisko musi być kanał powietrzny.

Wbiła zęby głębiej w wosk i zaczęła przeć w jedynym możliwym kierunku. Poczowała oddech - oddech Sary - na swojej twarzy. Świeca rozgorzała znów płomieniem. Pawica popłakała się z radości, potem dotknęła czołem grobowca Sary i wyszeptła swoją modlitwę;

- Proszę Cię, Boże, uratuj mojego męża.

W domu Pawicy znowu dźwięczał śmiech. Drzwi były otwarte i do środka wpadało światło. Pościel pachniała wodą różaną i bielidłem, podłogi posypano miętą i listkami limety. Salomonowi dano nowe życie: był bliski wyzdrowienia.

Wróciwszy z pielgrzymki do grobowca Sary, Pawica zastała Heszmat czekającą u drzwi.

- To pomogło! - wykrzyknęła Heszmat. - Ojciec odzyskał przytomność.

Pawica wpadła do domu i znalazła Salomona siedzącego na łóżku. Postarzał się. Twarzy nie miał już olśniewającej, oczy wydawały się niemal zgaszone. A jednak Pawica czuła się przy nim mała i zatrwożona: to był Salomon Mężczyzna i niebo płakało, a ziemia rozkwitała tysiącem fiołków za każdym razem, gdy się uśmiechnął.

Salomon zaczął jeść i wzrok mu się poprawił; zniknęły plamki, które go oślepiały. Każdego ranka siedząc w łóżku opowiadał Pawicy o Rosji. Były to wszystko szczęśliwe historie, lecz relacjonując je płakał. Później, choć Pawica nie pytała, mówił jej o Tali i o innych swoich dzieciach. Wreszcie któregoś dnia odważył się wspomnieć Aresza.

- Kochałabyś go - rzekł do Pawicy. - Ja go kochałem.

Pawica odwróciła od niego wzrok i czekała na ból, który ją przeszyje. Nie poczuła nic - jedynie odrętwienie tam, gdzie kiedyś pękło jej serce. Upłynęło zbyt wiele lat.

Siedziała w domu, nie reagując na wezwania Esrafila Mściciela. Przez lata od czasu, gdy zaprzyjaźniła się z Kamar ad-Daulą, Pawica wyrobiła sobie markę i miała stale rosnącą klientelę. Oferowała klejnoty wśród najbogatszych i najbardziej szanowanych muzułmanów, zdobyła ich zaufanie, a nawet po jakimś czasie przyjaźń. Nigdy jednak nie otworzyła własnego sklepu - Żydom zakazywano prowadzenia interesów na bazarze - i nie zrezygnowała ze spółki z Esrafilem. On ją kochał, wszyscy to wiedzieli, i choć nigdy nie domagał się niczego więcej niż przyjaźni, nie pozwoliłby jej odejść. Teraz wzywał ją codziennie, a Pawica nie reagowała.

Sprawiła Salomonowi nowe ubrania, bawełniane koszule i jedwabne spodnie, i futrzane czapki. Zabierała go do mykwy dwa razy w tygodniu i płaciła kąpielowemu, żeby mu pomógł. Kiedy wracał, witała go wiśniowym nektarem i tartymi jabłkami moczonymi w słodzonej wodzie różanej. Sobie też kupiła nowe ubrania. Farbowała włosy henną, używała perfum, wkładała białe haftowane suknie, w których wyglądała jak panna młoda. Była starą kobietą - zbliżała się do pięćdziesiątki, jak sądziła, choć nie lubiła liczyć - lecz nagle zapragnęła żyć.

Ludzie w getcie zaczęli mówić o niej z litością i drwiną.

- Już babcia - powiadali - a myśli, że z niej panna na wydaniu.

Kiedy przynosiła do domu materiał na nowe szaty, sąsiedzi chichotali, unosili brwi i pytali, czy zamierza znowu wyjść za mąż. Pawica Żydówka nie odpowiadała, ale ich słowa sprawiały jej ból.

Salomon Mężczyzna widział, jak jest podekscytowana, i uświadomił sobie, że po raz drugi nie może jej zawieść.

- Nie myśl, że wyzdrowiałem - powiedział pewnego dnia możliwie najłagodniej. - To tylko chwilowa poprawa. Miewałem je już przedtem. Gdy następnym razem zachoruję, to wiem, że umrę.

Pawica go wyśmiała, próbowała nie wierzyć. Wyszła tego dnia, zamierzając pójść na bazar, ale na ulicy zapomniała o swoim celu. Wiedziała, że Esrafil na nią czeka, że posyłał po nią i cierpiał, gdy nie przychodziła, że pragnie jej teraz, podobnie jak pragnął w przeszłości. Pragnął jej i pogardzał nią każdego dnia i godziny od tamtej chwili, gdy pierwszy raz zerwał zasłonę i

ujrzał oczy swojego ojca. Esrafil Mściciel pragnął Pawicy, lecz ona tego dnia do niego nie poszła.

Chodziła bez celu uliczkami pełnymi dzieciarni, psów i zapachu palonego węgla, koło domów kipiących odgłosami życia ich mieszkańców, wstępowała do podupadłych sklepów, które były nadal otwarte po zmroku, bo właściciele liczyli, że sprzedadzą to, czego nikt nie kupił przez cały dzień. W końcu wróciła do domu i zawołała Salomona.

- Muszę wiedzieć, dlaczego przyjechałeś.

Salomon Mężczyzna patrzył na swoją dziecięcą pannę młodą o przerażonych oczach i wyciągnął rękę, żeby ją uspokoić. W świetle olejowej lampy jej twarz była równie piękna jak dawniej.

- Przyjechałem do ciebie.

Żył jeszcze dwa miesiące. Kiedy umarł, Pawica poczuła, że dotąd w ogóle nie знаła goryczy.

Salomon Mężczyzna umarł w ostatnich dniach Wielkiej Wojny, w czasach głodu, desperacji i beznadziei, ale Pawica gotowa była przysiąc w dniu, kiedy go chowała, że odtąd zacznie się nowa era. Salomon zjawił się w roku 1875, w kulminacyjnym momencie Wielkiego Głodu, i zaraz gdy przybył, ziemia stała się łaskawsza. Teraz, gdy umarł, Bóg zlituje się nad światem i ofiaruje pomoc żywym.

Alianckie wojska okupacyjne zniszczyły dziesięć tysięcy wiosek w Persji, zarekwirowały miliony sztuk bydła i zmiotły wszelkie ślady prawa i porządku. Zmarły setki tysięcy Persów, zanim rząd ogłosił klęskę głodu. W kraju szalały epidemie, szerzyły się przestępstwa i nawet w stolicy nikt nie odważał się wychodzić w nocy. Bogaci - siedzieli w domach i żyli z nagromadzonych zapasów. Biedni kradli, zabijali albo ginęli.

W Teheranie skarbiec był tak dalece pusty, że rząd bił monety ze starych armat porzuconych przez Rosjan, które przetapiano na ten cel. W Gilanie, na wybrzeżu Morza Kaspijskiego, rosyjscy bolszewicy zorganizowali rebelię, zmierzając do wprowadzenia w Persji komunizmu. W Azerbejdżanie, Kurdystanie i Chorasanie ludność powstała przeciwko monarchii i domagała się autonomii.

W roku 1920 Reza Chan Maxim został awansowany na generała i mianowany dowódcą wszystkich kozaków w Kazwinie, w pobliżu Teheranu. Oznajmił wówczas Brytyjczykom,

mułom oraz swoim żołnierzom, że przygotowuje zamach stanu. Powiedział, że nie dąży do zdetronizowania szacha, chodzi mu jedynie o ratowanie kraju przed ruiną. Uzyskał poparcie wszystkich. Dwudziestego drugiego lutego 1921 roku uderzył na stolicę i zdobył Teheran bez wystrzału.

Pozostawił szacha Ahmada w pałacu, zadeklarował wierność Koronie i mianował siebie ministrem wojny. Szybko zreorganizował rozrzucone oddziały Perskiej Brygady Kozaków i sformował armię, którą poprowadził przeciwko ruchom separatystycznym na terenie całej Persji. Kiedy wyjeżdżał z Teheranu, był tylko jeszcze jednym żołnierzem ubiegającym się o władzę. Wrócił jako bohater.

Mułom nie podobała się popularność Rezy Chana. Wezwali do masakry w getcie, żeby zademonstrować siłę i zapewnić sobie dominację. Chodziło o tak zwany incydent z mułem muły, najsłynniejszy z teherańskich pogromów.

Grupa dzieci przechodziła przez ulicę pod szkołą Alliance w getcie. Zatrzymał je człowiek jadący na mule ubrany jak służący; wjechał mułem w tłum dzieci, nie zważając na ich bezpieczeństwo. Nauczyciel z Alliance, Niebieskooki Lotfi, wyrosły w getcie w czasach relatywnego spokoju, nie znał reguł właściwego zachowania. Nie zatrzymałby naturalnie nigdy pana przejeżdżającego przez getto, służącego natomiast zatrzymał i poprosił, żeby pozwolił przejść dzieciom, inaczej mogą zostać strątowane przez muła.

Służący się oburzył, a jego muł rozsierdził. Nie chodziło o zwykłego służącego i zwykłego muła. Byli na służbie u duchownego - wielkiego muły, świętej osoby. Niebieskooki Lotfi obraził muła muły, prosząc, by ustąpił przed niewiernymi dziećmi. Służący obiecał, że nie ujdzie mu to na sucho. Pożałuje tego całe getto.

Godzinę po tym zdarzeniu teherańscy mułowie wezwali do pogromu. Orzekli, że Niebieskooki Lotfi obraził zwierzę należące do wielkiego muły, a zatem jego przestępstwo wymierzone było w samą instytucję islamu. Jak zawsze za czyny jednego Żyda mieli odpowiedzieć wszyscy.

W poniedziałek czwartego września 1922 roku tłumy otoczyły teherańskie getto. Żydzi ukryli się w domach i zabarykadowali drzwi. Tej nocy i przez następny dzień trwało oblężenie. Ponieważ pogrom przygotowano z myślą o Rezie Chanie, mułowie czekali, żeby zebrały się jak największe rzesze ludzi. We wtorek kazali zaatakować getto.

Ktoś wykrzyknął modlitwę po arabsku i tysiące ludzi ruszyły od razu do ataku. Minęli

bramy i weszli na ulice getta. Zaatakowali pierwsze domy, podłożyli ogień pod pierwszą bóżnicę. I nagle się zatrzymali, zaskoczeni hukiem strzałów z tyłu. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Reza Chan Maxim przybył z kozakami i otoczył tłum zebrany wokół getta. Rozkazał swoim ludziom oddać ostrzegawczą salwę, a następnie mierzyć w środek tłumy.

- Rozejść się! - ryknął. Nie kochał specjalnie Żydów, ale musiał ukrócić samowolę mułłów. - Rozejść się natychmiast, inaczej otworzę ogień.

Świat zamarł. Nikt nie wydał z siebie głosu. Reza Chan Maxim gotów był zabijać wiernych w obronie niewiernych. Teraz tylko należało się przekonać, czy żołnierze okażą się wobec niego lojalni.

W każdym innym przypadku w dziejach, gdy szach wysyłał wojsko, by powstrzymało pogrom, żołnierze dezercerowali i dołączali do swoich braci prowadzących świętą wojnę. Taka była naturalna kolej rzeczy, powód, dla którego szachowie nigdy nie używali siły przeciwko mułłom. Teraz, gdy tłumy czekały, Reza Chan stanął w obliczu największego wyzwania.

Żołnierze stali nieruchomo. Karabiny nawet nie drgnęły im w rękach.

- Rozejść się!

Przez cmentarne ulice getta, gdzie nawet duchy bały się chodzić, echo niesło głos Rezy Chana. Usłyszała go Pawica Żydówka. Usłyszała też śmiech Estery Wróżki i wstrząsnął nią dreszcz.

W październiku 1923 roku szach Ahmad Kadżar wyjechał na stałe do Europy. Reza Chan Maxim, sierota z Alasztu, został premierem i władcą Persji.

Zaczął od nowych nazw: Persja to było stare imperium, nowym królestwem będzie Iran. Wymyślił nazwisko dla siebie - Pahlawi - przypisał też zmarłemu ojcu arystokratyczne pochodzenie i wybrał datę urodzenia: 16 marca roku 1878. Potem postanowił rozprawić się z klerem.

Usunął mułłów ze stanowisk we władzach administracyjnych. Rozwody i małżeństwa, rejestracja dokumentów i własności, ściąganie podatków dla skarbu państwa - wszystko to zostało przekazane w gestię rządu centralnego. Zmieniono kodeks karny i cywilny, dostosowując je do nowoczesnych świeckich poglądów. Przestano odcinać ręce za kradzież. Poligamia była nadal legalna - Reza Chan sam miał trzy żony - ale dziewcząt już nie zmuszano do małżeństwa

wbrew ich woli. Następnie Reza Chan wyzwolił Żydów.

Zniósł przepisy mówiące o nieczystości, otworzył getta i wpuścił Żydów w główny nurt życia. Pozwolił im posyłać dzieci do muzułmańskich szkół, dał stanowiska na niższych szczeblach władz, pozwolił mieszkać w dowolnym miejscu w mieście. Stał się największym wrogiem mułłów i orędownikiem każdego Żyda.

- Spójrz na mnie - powiedział do Pawicy w przeddzień swojej koronacji. - Spełniłem przepowiednię twojej wróżki.

Pawica poszła zobaczyć się z Esrafilem Mścicielem. Przez centrum miasta przejechała konnym tramwajem, a resztę drogi na bazar pokonała na piechotę. Stwierdziła, że połowa sklepów jest zamknięta, kupcy nieobecni, lady puste. Po uliczkach nie biegali tragarze, osły nie pchały się na tłumy pieszych. Zobaczył ją sąsiad Esrafila i przyszedł się z nią przywitać.

- Spóźniłaś się - powiedział. - Esrafil umarł zeszłej nocy.

Esrafil Mściciel umarł we śnie, w łóżku, gdzie od pół wieku co noc śniła mu się Afak krzycząca pod rękami Maruszki. Przed wielu laty sporządził testament, podpisał go w obecności najszacowniejszych starców na bazarze i powierzył najznacniejszemu teherańskiemu skrybie. Potem wezwał do domu swoje dzieci i ostrzegł je, żeby oczekiwały najgorszego.

- Nie będzie zatem rywalizacji po mojej śmierci - powiedział im przy świadkach. - Niczego z majątku nie zostawiłem rodzinie.

Nikt mu nie uwierzył. Na pogrzebie Matka Chłopców wyplakiwała sobie oczy. Esrafil Mściciel prosił, żeby pochowano go samego, w grobie ogrodzonym drucianym płotem. Synowie, nakazał, mają być chowani gdzie indziej, z dala od niego, bo nie kochał ich za życia i gardził ich pamięcią. W dniu odczytania testamentu rodzina zebrała się w jego domu w Teheranie - z zachłannością widoczną w oczach i niepokojem w uśmiechach. Siedzieli razem na podłodze i czekali, aż skryba otworzy dokument.

Ten zagryzł wąsa, wypluł pasemko tytoniu, które uwięzło mu między zębami, po czym zaczął czytać wolno i monotonicznie. Mężczyźni wykręcali szyje i przysuwali się bliżej, by dobrze słyszeć. W połowie czytania pomyśleli, że jednak źle go słyszą, i poprosili, aby zaczął od nowa. Raz jeszcze mu przerwali. Przy każdym ponownym odczytywaniu testamentu słuchacze byli coraz bardziej wzburzeni, sprzeciwy i okrzyki niedowierzania stawały się coraz głośniejsze. Potem każdy chwycił testament, badał jego autentyczność i widział na własne oczy to, w co jego

uszy nie chciały uwierzyć: Esrafil Mściciel nie zostawił nic swojej żonie i pięciu synom. Przekazał wszystko obcemu, Żydowi imieniem Beszarat, synowi Asal mieszkającemu w Jamie.

Reza Chan wezwał Pawicę do Pałacu Róż w Teheranie. Nie widziała go od wielu lat, od tego zimowego dnia w roku 1910, gdy przyszedł spytać ją o swoją przyszłość. Był teraz starszy - zbliżał się do pięćdziesiątki - i zaczynał siwieć. Oczy miał surowe jak zawsze - surowe jak w czasach dzieciństwa, gdy był sam, niezabezpieczony materialnie i bezbronny w domu obcych ludzi. Lecz jak zorientowała się Pawica, przez dziesięciolecia wojowania i zwycięstw Reza Chan stał się próżny, wyniosły i nietolerancyjny wobec ludzkich słabości. Nie był jeszcze królem, ale mieszkał w pałacu i planował koronację w kwietniu roku 1926. Powiedział, że Pawica ma mu pomóc zrobić koronę, naprawić Słoneczny Tron, zaśniedziały i zniszczony w latach rządów Kadzarów, i wybrać diademy dla królowej i jej córek.

- Będziesz pracować w nocy - wyjaśnił Pawicy minister dworu, gdy szach ją odprawił. - Musisz przestrzegać absolutnej tajemnicy i przykładać się z wielką pilnością do pracy. Reza Chan wymaga doskonałości. Nie wybaczy żadnego uchybienia.

Następnego wieczoru Pawica powróciła do Pałacu Róż. Oczekiwała przy bramie na eskortę. Dwaj strażnicy w wojskowych mundurach poprowadzili ją przez ogród do wewnętrznych komnat pałacu. Czekają na nią sześciu mężczyzn: minister sprawiedliwości Rezy Chana, ministrowie dworu i wojny, mistrz ceremonii i pełniący obowiązki skarbnika generalnego Amerykanin, który przyjechał do Iranu jako członek słynnego poselstwa Millspaugh. Zaprowadzili ją do sklepionego pomieszczenia. Drzwi były zamknięte, upstrzone woskowymi pieczęciami. Tylko w obecności całej szóstki można było je złamać.

Drzwi prowadziły do olbrzymiej sali - pustej, cichej i oświetlonej jedynie blaskiem księżycy wpadającym przez wąskie okna dokoła sali. Na ścianach wymalowane były miniaturowe postaci legendarnych perskich bohaterów, a posadzka wysadzana szlachetnymi kamieniami. Na półkach i w szklanych gablotach, na stołach i w otwartych skrzyniach Pawica ujrzała perskie klejnoty koronne.

Ujrzała diamentowe korony, miecze pokryte rubinami, szmaragdowe berła, skrzynie pełne złota, hełmy wojowników jarzące się drogocennymi kamieniami, tarcze, które oślepiły oczy. Ujrzała szkatuły pełne kamieni, rzędy nie nawleczonych na sznury pereł, olbrzymie szafy wyładowane bezcennymi emaliami. Ujrzała ziemski glob na kolumnie z diamentów, z morzami z

płaskich szmaragdów i ładami z rubinów.

Amerikanin westchnął lekko i ukląkł przy skrzyni z nieoprawionymi kamieniami.

- Jakiż to skarb! - wykrzyknął, zanurzając w nich ręce po ramiona. - Mój Boże, takie skarby!

Pawica pracowała bez przerwy przez dwa miesiące. Co wieczór towarzyszyła jej do sklepionych drzwi delegacja ministrów. Kiedy znalazła się już w podziemiu, zostawiano ją samą i pracowała aż do świtu. Jedynie Amerikanin, pełniący obowiązki skarbnika generalnego, upierał się przy tym, że ma prawo tam zostać. Przez całą noc przechadzał się po salach, wystrojony w uroczyste stroje królewskie, przymierzając rozmaite tarcze i sztylety, nosząc różne korony. W nocy 24 kwietnia 1926 roku Pawica ukończyła pracę. Następnego dnia uczestniczyła w koronacji Rezy Chana.

W Sali Audiencyjnej Pałacu Róż stała wśród chmary dygnitarzy zaproszonych przez szacha Rezę i czekała na rozpoczęcie ceremonii. Gości ustawiono po obu stronach długiego korytarza: na jednym końcu znajdowały się drzwi, przez które miał wejść szach, na drugim był Pawi Tron. Przez szacunek dla duchowieństwa, uważającego muzykę za rzecz bezbożną, koronacja szacha Rezy miała odbyć się w kompletnej ciszy.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Pojawiło się w nich dziecko - następca tronu Muhammad Reza - siedmioletni chłopiec ubrany w wojskowy mundur. Przeszedł obok gości ze wzrokiem utkwionym w Pawi Tron i nie spojrzął ani razu w bok, póki nie dotarł do celu.

Za następcą tronu podążał premier. Niósł wysadzaną klejnotami poduszkę ze słynną Koroną Kejów. Za nim kroczył minister dworu z Koroną Pahlawich, potem minister wojny z „Podbijającym Świat” - mieczem szacha Nadira Wielkiego.

Sardar Asad Bachtari szedł z Perłową Koroną.

Minister sprawiedliwości dzierżył wysadzaną klejnotami laskę.

Minister robót publicznych demonstrował „Morze Blasku”, stuosiemdziesięciosześciokaratowy diament.

Teraz nastąpiła przerwa, a po niej pojawił się sznur mniej ważnych ministrów i generałów, z których każdy niósł skarby dawnych dynastii: miecz szacha Abbasa, luk szacha Nadira Wielkiego, kolczugę szacha Ismaila.

Orszak zatrzymał się i wszyscy obrócili się w stronę drzwi. Reza Chan Wielki wszedł do Sali Audiencyjnej.

Miał na sobie królewską pelerynę całą pokrytą perłami, czapkę ozdobioną diamentową egretą szacha Nadira. Przeszedłszy wzdłuż szpaleru zasiadł na Pawim Tronie. Tam zdjął czapkę i włożył na głowę nową Koronę Pahlawich. Zabrzmiały trąby. Rozjarzyły się zyrandole. Pawica dostrzegła w oczach szacha Rezy triumf człowieka, który przyszedł znikąd i został królem.

Godzinę później szach Reza, nadal w królewskim stroju, siedział w złoczonej karecie zaprzęzonej w szóstkę białych koni i jechał udekorowanymi ulicami stolicy. W takich samych karetach wieziono za nim gości.

Za nimi podążała kawalkada trzystu pięćdziesięciu konnych wojowników z koczowniczych plemion w regionalnych strojach, a następnie maszerowała nowa armia szacha Rezy.

W Pałacu Radości, wybranym na nową rezydencję, powitali szacha najwyżsi irańscy duchowni. Podczas tradycyjnej ceremonii religijnej podarowali mu ofiarnego barana. Szach chwycił barana za rogi, przewrócił go na ziemię i jednym pociągnięciem noża poderznął mu gardło. Pawica obserwowała go, gdy zabijał barana. Twarz miał nieruchomą, ale ręce zbroczone krwią i lekko drżące cofnął z obrzydzeniem.

Zjawi się mąż, przyjdzie z północy, z krwią na rękach...

Beszarat Bękart przebywał w Paryżu na stypendium z Alliance. Studiował architekturę i mieszkał nad męskim zakładem fryzjerskim, gdy dostał wiadomość o śmierci ojca.

- Esrafil Mściciel umarł, niech Bóg przeklnie jego duszę, a tobie zostawił wszystkie swoje pieniądze - dyktowała Asal skrybie, który pisał ten list. - Musiał chyba nienawidzić cię mniej od innych synów.

Beszarat Bękart porzucił szkołę i stypendium i popłynął z powrotem do Persji.

Przejął sklep, lichwiarski interes, dom, gdzie przez całe życie mieszkała żona i synowie Esrafila Mściciela. Zwolnił wszystkich starych pracowników i najął nowych, podniósł im pensje, popłacił wszystkie długi Esrafila. I zbudował sobie dom.

Był to dom trzypiętrowy, miał okna z szybami, ściany z cegieł i ogród o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych. Posągi mężczyzn i zwierząt naturalnej wielkości kryły się w

cieniu olbrzymich drzew i zdobionych glazurą kolumn. Było tam siedem wyłożonych kafelkami sadzawek, które napełniano raz na miesiąc wodą z własnych ogrodowych studni. Na środku każdej z nich ustawiono skrzydlate cherubinki - kopie tych, które Beszarat widział w paryskim muzeum. Przez cały dzień słońce odbijało się w szybach wielkich okien domu, rżąc oczy przechodniów. Wieczorem służący umieszczali w rogach ogrodu pochodnie, tak że nawet na wzgórzach pod Teheranem wieśniacy i podróżni mogli dojrzeć światła w Alei Tulipanów i wiedzieć, że przyjechał Beszarat Bękart.

Zaraził się gorączką nowoczesności, nagłą tęsknotą do obcych obyczajów i nowych myśli, która pojawiła się wśród ludzi z wyższych klas na przełomie stuleci. Wśród muzułmanów prowadziła do potępienia fanatyzmu religijnego i szybkiego przyjęcia zwyczajów europejskich. Żydów, którzy ledwie wyszli z getta, zmusiła do uświadomienia sobie, że jeśli mają być akceptowani w nowym świecie, muszą najpierw pozbyć się garbu własnej przeszłości. Zmienili swój akcent, poprawili wygląd, porzucili surowe nakazy religijne. Beszarat Bękart zamówił krzesła do siedzenia i widelce do jedzenia, z przyjaciółmi rozmawiał po francusku i zerwał wszelkie więzi z gettem. A jednak gdy nadeszła pora ożenku, nie mógł postąpić wbrew tradycji. Asal mówiła mu, że przez dwa tysiące lat małżeństwa były układane. Narzeczone wybierały swatki i matki. Związek małżeński to decyzja, którą najlepiej pozostawić mądrości starszych. Beszarat Bękart wolałby poślubić dziewczynę, którą zna - której twarz by widział, której głos by słyszał. Lecz matka położyła kres takim fanaberiom.

- Ożeń się z dziewczyną, która pozwoli ci zobaczyć swoją twarz przed ślubem - ostrzegęła syna - a ożenisz się z dziwką.

Beszarat pozwolił, żeby Asal najęła swatki i przepytywała potencjalne narzeczone. W roku 1928 oznajmiła, że znalazła kandydatkę. Beszarat Bękart zawarł małżeństwo.

Przywiedziono mu Naime, jedyną córkę Jakuba Sprzedawcy Dywanów, który spłodził osiemnastu synów, zanim Bóg dał mu dziewczynkę. Wesele było tradycyjne, państwo młodzi osobno składali przysięgę małżeńską. Później Beszarat Bękart wkroczył do ślubnej komnaty, żeby po raz pierwszy ujrzeć żonę. Uniósł zasłonę z twarzy Naimy, modląc się w duchu, by znaleźć w niej coś, co mógłby pokochać.

Była pulchna, miała jasną karnację, gęste zdrowe włosy, idealne zęby, piwne oczy, wąskie wargi, które prawie się nie poruszały, gdy mówiła. Chodziła w taki sposób, nawet w pantoflach, że mogła stąpać po kamiennych korytarzach i marmurowych schodach niemal

niesłyszalnie, nie zwracając niczyjej uwagi. To cień, pomyślał Beszarat, zanim ją dotknął, duch, który zjawił się, żeby leżeć nocą w jego łóżku i wykradać mu sekrety, lecz swoimi nigdy się z nim nie dzielić.

- Daj mi syna - poprosił. - Niczego więcej nie będę od ciebie wymagać.

Naima córka Jakuba usiłowała rozpaczliwie zadowolić Beszarata. Zdawała sobie sprawę z tego, że mąż jej nie kocha, wyczuwała jego rozczarowanie, gdy pozostawali we dwoje. Przybyła jednak do jego domu z mocnym postanowieniem, że w nim zostanie, i wiedziała, jak zwyciężyć; wychowywała się wśród osiemnastu chłopców, nauczyła się walczyć, być cierpliwa, wytrzymywać dłużej niż przeciwnik. Pierwszym jej celem stało się urodzenie syna, którego Beszarat tak pragnął.

Chodziła do mężowskiej sypialni po każdej oczyszczającej kąpieli, połykała napletki przemycone z rytualnych obrzezań, w których uczestniczyła. Urządzała w sekrecie wyprawy do starych akuserek, w których moce zaczęła wierzyć, szczerze obdarowywała rabinów, żeby pamiętali o niej w swoich modłach. Mówiła im, że chce syna, a nie po prostu dziecka, chce dziedzica Beszarata Chana.

Dwa lata po ślubie Naima wciąż nie była przy nadziei.

- Zaprowadź mnie do lekarza - poprosiła męża. - Oni znają rzeczy nieznanne położnym.

Beszarat Bękart z początku sprzeciwił się temu pomysłowi. Nie życzył sobie opowiadać obcym o własnych kłopotach. Nie myślał omawiać z innymi mężczyznami kwestii płodności żony. Minął jednak kolejny rok i cały Teheran już zaczął mówić o bezdzietnym małżeństwie Beszarata. Przerażony, że zostanie oskarżony o impotencję, przystał na nieustanne prośby Naimy i zaprowadził ją do lekarza.

W szpitalu wyjaśnił, w czym problem, i prosił o lekarstwo. Doktor chciał zbadać Naime, wsunąć dłoń - w rękawiczce, jak zapewnił Beszarata, który nie dostrzegł tu żadnej różnicy - w jej krocze i do macicy. Doktor, choć świadomy oburzenia Beszarata, posunął się jeszcze do dalszej zniewagi, mianowicie poprosił, żeby mąż przedstawił do zbadania próbkę swojej spermy - pobranej na miejscu i umieszczonej w wysterylizowanym pojemniku. Beszarat Bękart zabrał żonę do domu i nigdy więcej nie poszedł do doktora.

Zamiast tego sięgał po inne lekarstwa, starodawne recepty, nie narażające na szwank męskiego honoru.

- Urzekło was złe oko zawistnika - przekonywała go Asal.

Przystąpiła do odczyniania uroku. Wzywała lekarzy i stare kobiety znające sposoby uwolnienia się od uroku rzuconego przez złe oko. Dwa razy dziennie paliła nasiona dzikiej ruty i napelniała sypialnię syna gęstym białym dymem, aż skóra Beszarata pachniała dziką rutą i oczy mu łzawiły. W każdym zakamarku domu i ogrodu umieszczała ostre przedmioty - szpikulce, noże i gwoździe - napelniała wielką miskę słoną wodą i namaczała w niej na dwadzieścia cztery godziny bieliznę Beszarata i Naimy. Powtarzała przed gośćmi specjalne formułki, żeby ustrzec się przed ich zawiścią. Kupowała żywe owce, kury, jagnięta i zabijała je w ogrodzie, po czym smarowała ich krwią podeszwy butów Beszarata. Lecz łono Naimy pozostawało jałowe i głuche jak cmentarz.

Pięć lat po ślubie Beszarat Bękart zrozumiał, że Naima nigdy nie urodzi mu dziecka. Wiedział, jaką ma alternatywę: rozwieść się z nią albo wziąć sobie drugą żonę - pod warunkiem że będzie traktować obie kobiety jednakowo, z troską i godnie, będzie sypiać w łóżkach obu aż do ich starości i zmusi naturalną matkę, by dzieliła się dziećmi z bezpłodną żoną.

Besarat Bękart uważał, że nie da sobie rady z dwiema żonami jednocześnie. Powiedział Naimie, że zamierza się z nią rozwieść.

Przypadła do jego kolan.

- Ożeń się z inną, jeśli chcesz - błagała. - Ożeń się nawet z tuzinem kobiet, tylko mnie nie odsyłaj.

Wzruszyła go rozpacz Naimy. Niemniej trwał przy swoim, póki nie sięgnęła po prawdziwą broń.

- Dobrze więc, rozwiedź się ze mną, a ja będę sypiać z innymi mężczyznami - zagroziła. - Zostanę dziwką i powiem wszystkim, że harują tam, gdzie kiedyś tylko ty byłeś panem.

Besarat Bękart uderzył Naimę - wiedziała, że tak postąpi - ale potem nigdy już nie myślał o rozwodzie.

W roku 1933 tuż przed wyruszeniem w podróż do Francji Beszarat Bękart oznajmił, że zamierza poszukać sobie drugiej żony. Wyjechał na wiosnę, gdy pogoda była bezwietrzna i długa podróż statkiem i pociągiem łatwiejsza do zniesienia. Siedem miesięcy później wrócił z kobietą.

Miała na imię Jasmine, fiołkowe oczy i miedzianorude włosy. Malowała usta na kolor

bursztynu i paznokcie na taki kolor jak usta. Kiedy Beszarat pierwszy raz ją zobaczył, ubrana była w ciemnoniebieską suknię, tak ciasną w pasie, że nie mogła się odchylić na krzesło. Zanim się do niego odezwała, złapał się na tym, że się zastanawia, czy dzieci miałyby jej oczy.

Pracowała jako sekretarka w fabryce papierosów, którą przyszedł odwiedzić. Była sekretarką samego szefa i - co zawsze podkreślała - drugą co do ważności osobą w całym przedsiębiorstwie, mogącą więcej od mężczyzn zajmujących wyższe stanowiska. I była trudna.

Nigdy nie uśmiechała się do nerwowych młodzieńców, którzy przynosili jej jedwabne apaszki i pudła czekoladek, pochłaniające ich tygodniowe zarobki. Nigdy nie przyjaźniła się z innymi sekretarkami. Cały czas czytała: powieści, książki podróżnicze i dzieła historyczne o Wschodzie, Rosji i Afryce. Paliła papierosy mimo obiekcji ojca, spędzała wiele godzin nad mapami dalekich krajów, uczyła się nazw rzek i mórz, zakreślała granice, wbijała sobie do głowy dane.

Besarat powiedział, że jest bogatym przedsiębiorcą i przyjechał robić interesy z jej firmą, że ma rezydencję w Teheranie, służących i kucharzy, i nawet samochód - jeden z siedmiu w całym mieście. Opowiadał jej o Persji, kraju poetów i wojowników, gdzie powietrze jest perłowo-białe i łagodne, niebo zawsze usiane gwiazdami, ziemia użyźniona krwią tych, co przybyli ją podbić i zostali pokonani. Posługiwał się francuszczyzną, której nauczył się w szkole Alliance w getcie. Mówił z silnym obcym akcentem, słownictwo miał ograniczone. Tłumaczył Jasmine, że od czasów koncesji tytoniowej z roku 1891 coraz więcej Persów rzucało zucie tytoniu i zamiast tego zaczęło na modłę zachodnią palić papierosy. Besarat był świadom tego, że Persja to rynek ogromny i niezagospodarowany, toteż starał się zorganizować import francuskich papierosów.

Przychodził codziennie do fabryki, zatrzymywał się przy biurku Jasmine przed pójściem do szefa, chełpił się bogactwem i kontaktami na Wschodzie i prosił ją, żeby poszła z nim na kolację - w jego hotelu, podkreślał, jakby sam fakt, że mieszka w hotelu, a nie w wynajętej kawalerce w jakimś domu, mógł jej zaimponować. Przez trzy pierwsze dni jego zalotów Jasmine nie odezwała się do niego ani słowem. Czwartego dnia uniosła głowę znad biurka i uśmiechnęła się lekko.

Chciała pójść do kina - ciemnej, zatłoczonej sali, gdzie mężczyźni i kobiety siedzą razem i oglądają obrazy na białym ekranie, jak wyjaśniła. Ten pomysł przeraził Besarata Bękartą. Czuł, że jest bliski popełnienia bluźnierstwa. Pragnął jednak przypodobać się Jasmine, zgodził się

więc zabrać ją tam.

W kinie upewnił się, że oglądanie zjaw bez ciał - ludzkich kształtów znikających w błysku światła - jest równoznaczne z oddawaniem czci diabłu. W połowie seansu wyszedł.

Czekał na Jasmine na chodniku pod kinem. Zjawiła się po chwili. Wyglądała na zaintrygowaną i niemal rozbawioną.

- W ciemnościach bolą mnie oczy - skłamał.

Nigdy więcej nie poszli do kina.

W niedzielę wybrali się na przejażdżkę do podparyskich lasków. Jasmine siedziała naprzeciwko Beszarata, ściskając rękawiczki w dłoni. Po raz pierwszy mówiła mu o sobie.

Jest jedynaczką, powiedziała, córką rodziców, którzy późno się pobrali i byli już niemłodzi, gdy się urodziła. Miała osiem lat, kiedy wybuchła Wielka Wojna. Ojca wzięto do wojska, matka zmuszona była pracować w fabryce amunicji odległej o trzydzieści kilometrów od domu. Nie mieli krewnych, nikogo, kto mógłby zajmować się Jasmine. Zostawała sama w mieszkaniu rodziców w Paryżu. Co niedzielę matka przyjeżdżała ją odwiedzać.

- Chodziłam do szkoły z dziećmi sąsiadów - powiedziała Beszaratowi. - Wieczorem stawałam w kolejce po chleb. Co noc ktoś w ogonku padał, umierał z głodu albo wyczerpania. Dwaj mężczyźni wychodzili z kolejki i usuwali zwłoki na bok, po czym wracali na swoje miejsce. Raz dziennie żołnierze podpalali zwłoki, żeby zapobiec szerzeniu się zarazy.

Beszarat Bękart obserwował ją w ciemności. Twarz miała beznamiętną, gdy mówiła, ale wargi jej drżały, a policzki zrobiły się tak blade jak suknia. Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie rozmawiał z żadną kobietą.

- Najgorsze były szczury. - Głos Jasmine nim wstrząsnął. - Kiedy zawyły syreny i wiedzieliśmy, że będzie bombardowanie, musieliśmy zbiec do piwnicy. Było tam tłoczno i duszno, i tak ciemno, że widziało się tylko biel zębów. Szczury biegały wszędzie, duże jak koty. Kiedy ugryzły, wrywały ci kawał mięsa. Mnie ugryzły dwa razy, potem więc zostawałam w swoim pokoju i obserwowałam wybuchające bomby.

Na trzeciej randce Beszarat Bękart oświadczył się Jasmine. Nie przyjęła oświadczyn. Oznajmił, że nie pozwoli jej odejść, póki się nie zgodzi.

Został w Paryżu tylko dlatego, żeby być blisko niej. Odprowadzał ją co rano do pracy i siedział cały dzień w kawiarni koło fabryki, pijąc herbatę i paląc perski tytoń, z którego sam

sobie robił papierosy. Po południu spotykał się znowu z Jasmine i spędzał z nią wieczór. Jej rodzice byli przerażeni. Szef ostrzegał ją przed obcym o ciemnych wargach. Jasmine jednak Beszarat zafascynował.

- Mogę z tobą pojechać - powiedziała mu pewnego wieczoru w trzecim miesiącu konkurów. Siedzieli w zatłoczonej sali dancingowej pełnej dymu i śmiechu. - Myślę, że mogę cię poślubić.

Beszarat Bękart wyglądał tak, jakby dostał cios w samo serce. Oczy miał pełne współczucia. Ujął rękę Jasmine i wyszedł z sali.

Na ulicy kobieta w średnim wieku o groteskowo umalowanych ustach sprzedawała róże. Beszarat kupił wszystkie.

Szli w milczeniu, Jasmine trzymała kwiaty przy piersi. W pobliżu jej domu Beszarat nagle oznajmił:

- Mam w Iranie żonę.

Jasmine zdumiona rozłożyła ręce i kwiaty - róże tak blade, że w świetle księżyca wyglądały jak srebrne - upadły na nierówny chodnik.

Jasmine postanowiła pojechać z Beszaratem. Wiedziała, że Iran to kraj zacofany i nierozwinięty. Czytała relacje o jego ubóstwie. Czowała jednak, iż Europie grozi następna wojna; chciała ukryć się przed nią w Iranie. Zdecydowała, że pojedzie tam i przegoni tę drugą żonę Beszarata, pokonają pewnością siebie i urodą. Jako pani w domu Beszarata będzie żyć jak żony kolonialistów w Afryce, chowając się przed brzydotą życia zewnętrznego w dobrobycie małej cudzoziemskiej społeczności, w której odtwarza się wiernie sposób bycia Zachodu. Będzie to przygoda życia, szansa doznania tego, o czym niemal przez całe życie czytała.

Pomogła Beszaratowi uzyskać sfałszowany paszport, do którego nie była wpisana Naima. Pobrali się pod koniec zimy. W drodze z sądu Jasmine wstąpiła do rodziców, żeby się pożegnać. Matka płakała, ojciec nie odezwał się do niej ani słowem.

Z południowego wybrzeża Francji popłynęli parowcem do granic Turcji, a stamtąd ruszyli w długą podróż koleją do Iranu. Z Rezaje jechali Koleją Transirańską do Teheranu. Samochód Beszarata czekał na nich na dworcu centralnym.

- Włóż to. - Beszarat dał swojej nowej żonie czarny szal. - Nie wolno ci pokazywać się z

odkrytą głową.

Teheran był szary i zakurzony, ulice tłoczne, rynsztoki pełne śmieci. Przez całą drogę z dworca do Alei Tulipanów za samochodem biegły dzieci, uderzały w okna, przyciskały przszczone twarze do szyb, wspinały się na zderzaki i bębniły pięściami w dach, jak tylko samochód się zatrzymał. Jasmine popatrzyła na Beszarata. Wyczuł pytanie w jej wzroku, ale nie odpowiedział.

Poznała dom z relacji Beszarata. Ogarnęło ją przygnębienie. Pochłonie ją ten dom, pomyślała, zostanie zapomniana w jego ścianach i nikt o niej więcej nie usłyszy.

Trójka mężczyzn sikała na bramę ogrodu. Szofer zatrąbił, wtedy mężczyźni uciekli, trzymając penisy w rękę i śmiejąc się głośno. W ogrodzie Beszarat sięgnął przez nią ręką i otworzył drzwiczki z jej strony. Wsiadła z auta i stwierdziła, że jest otoczona ze wszystkich stron.

Stały tam cztery kobiety, niezakwefione, rozczochrane, cuchnące potem. Pociągnęły za szal Jasmine i przyglądały się jej badawczo. Szukała wśród nich Naimy. Trzy pierwsze były stare, czwarta zbyt młoda.

- Idź z nimi - powiedział Beszarat. - Pokażą ci to, czego potrzebujesz.

Kobiety poprowadziły Jasmine przez podwórko i do domu, potem na górę kamiennymi schodami i do sypialni Beszarata na pierwszym piętrze. Była ciemna i zatłoczona meblami, z fotelami o poręczach w kształcie lwich głów, z grubymi aksamitnymi kotarami drukowanymi w krwiste czerwone kwiaty, z podłogą wyłożoną kamieniem i pokrytą perskimi dywanami.

Asal pomacała przedramię Jasmine.

- Zbyt cienkie.

Druga kobieta, ociemniała z powodu katarakty, też pomacała ramię Jasmine, a młoda dziewczyna - służąca, jak sobie wyobrażała - pociągnęła ją za włosy.

- Puszczaj! - zaprotestowała Jasmine. Ślepa ciotka zwolniła uchwyt ramienia. Służąca mocniej pociągnęła za włosy, po czym je puściła.

- W porządku, są prawdziwe - oznajmiła pozostałym. - Ale wyglądają tak, jakby ktoś ogolił jej głowę za cudzołóstwo.

Asal chwyciła za pierś Jasmine.

- Nie ma cycków.

Przeżazona Jasmine odepchnęła ją na bok i ruszyła ku drzwiom.

- Beszarat! - zawołała męża ze szczytu schodów. Jej głos odbijał się echem na stopniach.

Nie przyniósł odpowiedzi.

- Beszarat!

Asal podeszła do niej z tyłu.

- Zamknij jadaczkę - powiedziała po persku. Jasmine ją zignorowała.

- Beszarat! Chodź tu!

Jakaś ręka trzepnęła ją w usta. To Asal uderzyła po raz pierwszy nową synową. Jasmine była przeżazona. Trzęsła się, zaczęła wiesć, by odzyskać równowagę, po czym rzuciła się na Asal.

Długo po zmierzchu Jasmine usłyszała na korytarzu głos Beszarata. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Twarz miał bladą, oczy mroczne. Chciała biec do niego, ale on na nią nie patrzył.

- Nie możesz bić mojej matki - rzekł bez jakiegokolwiek wstępu. - Jesteś w tym domu nową żoną. Musisz wszystkich słuchać. Nawet starsza służba ma pierwszeństwo przed nową żoną.

Jasmine wyprostowała się na fotelu i przypatrywała się mężczyźnie, który przynosił jej róże w Paryżu. Rozbierał się po ciemku, odwrócony do niej tyłem, po czym wśliznął się do łóżka. Chciała zapytać go o Naime.

- Muszę się wykapać - powiedziała zamiast tego. - Nie mogłam znaleźć łazienki.

Beszarat Bękart myślał o sąsiadach i zastanawiał się, czy wiedzą, że Jasmine uderzyła Asal.

- Muszę się wykapać - powtórzyła.

Westchnął.

- Moja matka zabierze cię do łaźni piętnastego dnia twojego cyklu - odparł.

Jasmine nie zrozumiała.

- Muszę się wykapać teraz - powiedziała. - Muszę się umyć.

Beszarat Bękart zamknął oczy.

- Możesz brać kąpiel dwa razy w miesiącu - tłumaczył - przed menstruacją i po niej. Nie możesz tam pójść kiedy indziej i nie możesz iść sama.

Leżeli obok siebie; nie spali, ale milczeli, wstrząśnięci świadomością, że popełnili błąd.

Parę godzin później, ledwie usnąwszy, Jasmine poczuła światło i otworzyła oczy. Stała nad nią jakaś kobieta. Miała okrągłą twarz, gruby warkocz sięgający do bioder, ciężką białą szatę, która przy oddechu unosila jej się na piersiach. Przysunęła bliżej lampę i przyglądała się Jasmine: była to Naima - przyszła obejrzyć wroga i ocenić skalę bitwy.

Naima, cicha i nieuchwytna, chodziła za Jasmine i choć nie znała francuskiego, podsłuchiwała jej rozmowy z Beszaratem. Była tam zawsze niczym zjawia przywołana tchnieniem czarownicy, skradała się koło zamkniętych drzwi i za kamiennymi murami, zjawiała się w sypialni Jasmine późnym wieczorem, obserwowała ją przez dziurkę od klucza wczesnym rankiem, przeszukiwała jej ubrania, oglądała bieliznę pościelową. Zabrała nawet Jasmine do mykwy.

Weszła do wody pierwsza i trzymała się z boku studni. Woda była zimna, ale Naima się nie wzdrygała. Przyglądała się, jak Jasmine się rozbiera.

- Chodź tu. - Dała jej znak.

Jasmine zamknęła oczy i zanurzyła się w wodzie. Kiedy wychynęła na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, jakaś ręka przycisnęła jej głowę w dół. Zaczęła się wyrwać. Naima trzymała chwilę za długo, po czym zwolniła nacisk. Jasmine próbowała uciec. Naima chwyciła ją za ramię.

- Jeszcze sześć razy.

Każdego ranka o świcie kobiety atakowały pokój Jasmine i zmuszały ją do wyjścia. W kuchni Asal kazała jej wykonywać najbardziej niewdzięczne prace. Jasmine odmawiała. Kiedy kobiety ją biły, oddawała.

- Wyrzuć ją - rozkazywała Asal dwa razy dziennie Beszaratowi. - Wyrzuć ją albo przysięgam, zrobię to sama.

Beszarat Bękart był speszony i wściekły z powodu zachowania Jasmine. Kiedy prosił, żeby się zmieniła, ona na niego wrzeszczała. Kiedy ją ignorował, łaźniła zanim, wpadała do salonu na parterze, w którym przyjmował gości, i uskarżała się na to, jak jest traktowana. Kiedy ją uderzył, oddawała.

- Zamknij ją - radziła Naima, stając nad nim przy podawaniu potraw. - Wsadź do pokoju i trzymaj, póki nie nauczy się posłuszeństwa. - Nie życzyła sobie, żeby Beszarat rozwiódł się z

Jasmine. Ona też chciała dzieci z cudzoziemską krwią i fiołkowymi oczami.

Walki ustały. Jasmine odesłano do sypialni na piętrze i zakazano z niej wychodzić. Dwa razy dziennie podawano jej jedzenie. Prosiła o rozwód i powrotny bilet do Paryża, Beszarat Bękart odmawiał. Groziła, że ucieknie. Schował jej paszport i nie dał pieniędzy. Próbowła się uspokoić. Beszarat Bękart spalił jej książki.

Jasmine pisała do rodziców - kłamstwa, bajeczne relacje o życiu i kraju, który przyjechała znaleźć w Persji, historie miłosne z Beszaratem w roli niezawodnego bohatera. Matka na początku odpisywała.

Ojciec nie chce wymawiać twojego imienia - skarżyła się córce. - *Ja nie mogę sypiać po nocach z powodu jego złości i palenia w żołądku.*

Palenie w żołądku zamieniło się w guz. Listy przestały przychodzić. Jej wracały nie otwarte z adnotacją: Adresatka zmarła; na ostatniej partii korespondencji, która wróciła z Paryża, Jasmine rozpoznała pismo ojca.

Pozwalała Beszaratowi spać w swoim łóżku, choć paliła ją złość. To jej jedyna broń, myślała, jedyna szansa, jaką ma, żeby pokonać Naime i zyskać zaufanie Beszarata, zanim znajdzie sposób, żeby wyjechać.

- Mój Boże - szeptał Beszarat w ciemnościach, gdy wpuścił swoje nasienie w łono Jasmine i dysząc z wyczerpania odsuwał się i modlił, by poczęło się w niej życie. - Masz skórę anioła.

Lecz pewnego dnia w trzecim miesiącu pobytu w Teheranie Jasmine obudziła się i znalazła na prześcieradle plamy krwi. Beszarat Bękart wściekły wyskoczył z łóżka i zawołał Naime.

- Ona jest nieczysta - powiedział. - Zabieraj ją stąd.

Zaprowadzono Jasmine do pokoju nieczystości na drugim piętrze. Pilnowano jej, nie pozwalano dotykać niczego oprócz własnego talerza, siadać na innym miejscu jak tylko na dwóch poduszkach przeznaczonych dla nieczystych kobiet. Tego wieczoru, gdy próbowała wyjść z pokoju, zatrzymała ją służka.

Jasmine nie walczyła z dziewczyną. Zaczekała, aż w domu zapadnie cisza. Wtedy wykradła się i zeszła na pierwsze piętro.

Otworzyła drzwi do sypialni i zobaczyła Naime, która leżała z głową na jej poduszce i kochała się z Beszaratem. A ona patrzyła na to z korytarza.

Niebieskooki Lotfi stracił pracę. Kiedy szach Reza otworzył getta i pozwolono Żydom chodzić do muzułmańskich szkół, Alliance uznała, że spełniła już swoją misję w Iranie. Stopniowo zaczęła zmniejszać aktywność w głębi kraju i w roku 1936 zamknęła szkołę w teherańskim getcie.

Niebieskooki Lotfi miał żonę i siedmioro dzieci na utrzymaniu. Wyprowadził się z Jamy i wynajmował dwa pokoje w domu na Sar Czesme tuż przy getcie. Miał skromne oszczędności - pieniądze co roku od ich ślubu odkładane przez Hesmat - ale płacił wysoki czynsz i wiedział, że musi natychmiast znaleźć pracę. Mówił wciąż o tym, że zabierze się do handlu - będzie importował towary z Europy i sprzedawał je w Iranie - ale wszyscy przyjaciele powtarzali mu, że jest szalony. Na razie nie zmieniło się tak wiele, mówili; nikt nie uwierzy, żeby Żyd miał coś, co warto kupić.

Niebieskooki Lotfi przestał rozmawiać z przyjaciółmi, ale nie zrezygnował ze swoich planów. Kiedy ujrzał ogłoszenie w gazecie - ministerstwo spraw wewnętrznych poszukiwało osób znających biegle język francuski - nie omieszkał skorzystać z tej szansy i wybrał się natychmiast do ministerstwa.

Ubrany był po europejsku, w garnitur. Szach Reza narzucił Irańczykom ten strój przed dwoma laty. Miał kapelusz z rondem, koszulę z kołnierzykiem i guzikami na przodzie, marynarkę i spodnie. Niebieskooki Lotfi nie lubił się do tego przyznawać, ale po dwu latach wciąż czuł się nieswojo w nowym stroju. Idąc ulicą, widział innych mężczyzn również ubranych na nową modłę, zakłopotanych i wyglądających niemal żałośnie podczas prób oswojenia się z usztywnionymi marynarkami i krochmalonymi koszulami.

Kiedy szach Reza ogłosił nową modę, kraj zaszumiał w jednomyślnym proteście: ludzie nie mogli pojąć, na czym polega wyższość tych sztywnych garniturów nad ich własnymi jedwabiami i kaszmirami, tkanymi ręcznie i w przepięknych kolorach. Garnitury robiono z bawełny - tkaniny ubogich - bawełny, która rosła w Iranie, potem została skradziona przez Brytyjczyków, utkana w Manchesterze i sprzedana znów Irańczykom z olbrzymim zyskiem. Kapelusze musiały być dokładnie dopasowane, łatwo się plamiły i nie można ich było prać. Najłżejszy wiaterek zwiewał je z głów albo też ścisnęły skronie, zostawiając biały krąg wokół

głowy w miejscu, gdzie nie dopływała krew.

Od chwili wprowadzenia nowego ubioru szach Reza żądał wszakże posłuszeństwa. Niebieskooki Lotfi uśmiechnął się na wspomnienie incydentu, który rozbawił nawet szacha. Podczas jednej z licznych podróży inspekcyjnych po kraju szach Reza zamierzał zatrzymać się w miasteczku w pobliżu swojego rodzinnego Alasztu. Wiadomość o tym wywołała w miasteczku popłoch; wiadano, że szach spotyka się z przywódcami odwiedzanych przez siebie społeczności. Uprzedził już, że witający go mają pojawić się ubrani po europejsku.

Tylko że nikt w miasteczku nie miał garnituru i nikt nawet na oczy nie widział kapelusza, jaki należało mieć na głowie. Zdecydowano jednak, że trzeba spróbować spełnić życzenie szacha. Wysłano kogoś do pobliskiego miasta, żeby kupił materiał. Zdobyto fotografie Europejczyków w garniturach i kapeluszach. Potem wszystkie zdatne kobiety w miasteczku zostawiły domy i rodziny i zabrały się do kopiowania strojów ze zdjęć.

Praca szła wolno i była niewdzięczna; nikt nie znał się na krojeniu ramion i kołnierzy. Nie było maszyn do szycia, wieczorem kobiety mogły pracować tylko przy świetle latarni. A jednak w przeddzień wizyty Jego Królewskiej Mości udało się zaimprovizować garnitury dla wszystkich witających.

- Ale co z kapeluszami? - wykrzyknął burmistrz, gdy ujrzał mężczyzn przymierzających garnitury na jutrzejsze popołudnie. - Co zrobimy z kapeluszami?

Nie było czasu ani materiału, by uszyć kapelusze. W desperacji zwrócono się do miejscowego „wynałazcy” - trzydziestosześcioletniego syna rolnika, który był zbyt leniwy, żeby mozolić się cały dzień na roli, poświęcił się więc wymyślaniu „wspaniałych projektów mających przyspieszyć rozwój ludzkości”, tymczasem żona i rodzice pracowali ciężiej, bo i za niego. „Wynałazca” podumał nad obrazkiem kapelusza, który należało zrobić, i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Kazał zebrać w miasteczku blaszane puszki, zaniósł je do miejscowego blacharza, a ten je rozpląszczył, pociął w kształcie cylindrów i zespawał łączenia. Potem blachę pomalowano na czarno. Kiedy tego popołudnia przybył szach, wszyscy witający go mężczyźni mieli na głowach europejskie cylindry.

Szach szedł wzdłuż szeregu witających go osób zadowolony z wyglądu mężczyzn i zatrzymał się, by pochwalić burmistrza za to, że trzyma w karchach swoich ludzi i dba o postęp. I właśnie wtedy rozpętała się burza gradowa. Kulki lodu bębniły w metalowe kapelusze, wydając odgłos podobny do strzałów. Szach Reza wyciągnął pistolet i odwrócił się, szukając osłony.

Potem podniósł wzrok i przez zasłonę gradu, oślepiającą i oddzielającą go od witających, zobaczył, że po twarzach nieruchomych, zażenowanych mężczyzn ścieka czarna farba.

Niebieskooki Lotfi przedstawił się strażnikowi w ministerstwie spraw wewnętrznych i poprosił o widzenie z osobą odpowiedzialną.

- Mówię po francusku, angielsku i hebrajsku - powiedział. - Potrafię czytać i pisać w czterech językach. Przyszedłem szukać pracy.

Prowadzono go z jednego pokoju do drugiego, wypytywano, indagowano i głównie kazano czekać. Potem poproszono, żeby udał się do domu. Nikomu poza ministrem spraw wewnętrznych nie wolno najmować pracowników. Minister zaś musi prosić o pozwolenie szacha.

Minęły trzy tygodnie i nie było żadnych wiadomości. Potem pewnego dnia do domu na Sar Czeszme przyszedł posłaniec: szach rozpatrzył podanie Lotfiego i dał mu posadę. Ma jechać do Paryża z delegacją handlową i za pięćset tysięcy riali kupić konfekcję damską.

- Wiedziałem! - wykrzyknął zachwycony Niebieskooki Lotfi, jak tylko posłaniec opuścił dom. - Szach Reza zamierza zakazać noszenia zasłon!

Pojechał do Francji, zabierając ze sobą wszystkie oszczędności Heszmat.

- Stracisz je - protestowała. - Wydasz pieniądze na tandetę, której nikt nie zechce od ciebie odkupić.

Utraciła wiarę w niego tego dnia, gdy wspomniał pierwszy raz o zakazie noszenia zasłon.

- Taki absurd! - Zawstydzona zagryzła wargę. - Jeszcze usłyszysz cię sąsiedzi i pomyślą, że straciłeś rozum.

Niebieskooki Lotfi musiał walczyć o pieniądze, ale w końcu wykorzystał prerogatywy głowy rodziny i pokonał opór żony. W Paryżu kupił damską odzież, po czym znalazł fabrykę kosmetyków, gdzie wydał pieniądze Heszmat na kufer pudrów, różu i szminek do ust. Przywiózł go na Sar Czeszme z dumą poszukiwacza skarbów.

- Boże, pomóż nam! - Heszmat omal nie zemdląła na widok tych rzeczy. Musiała oprzeć się o ścianę, żeby odzyskać równowagę, i nawet nie widziała rozczarowanej miny męża. - Muszę ukryć te śmieci, zanim zobaczą je sąsiedzi - orzekła. - Później, jak będzie ciemno, możemy zapakować je do worków i wyrzucić do rzeki Karadż.

Niebieskooki Lotfi nie zamierzał wyrzucać swojej przyszłości do rzeki Karadż. Szach Reza - tłumaczył Heszmat z takim samym uporem, z jakim przed laty bronił swojego stanowiska

podczas incydentu z mułem mułły - zakazuje wkrótce noszenia zasłon. W przeciwnym razie dlaczego by wydawał pół miliona riali na damską odzież? Wie, że uzależnienie od zasłon zmusza kobiety z niższych warstw w Iranie do noszenia starych i brzydkich ubrań zarówno w domu, jak i poza nim. Dlatego właśnie chce francuskiej odzieży: by zaoferować ją zamiast czadorów.

- Cicho! - błagała Heszmat, biegnąc do drzwi, żeby je zamknąć. - Ludzie pomyślą, że chcesz sprowadzić do tego domu prostytutki. Sprowokujesz pogrom, i to tutaj, na Sar Czeszme.

Jak tylko kobiety zostaną uwolnione od zasłon - Lotfi przedstawiał żonie swoją wizję - będą chciały wyglądać atrakcyjnie na ulicy. Skończyły się czasy antymonu i różu robionego ze zmiażdżonych owadzych skrzydełek.

- Spójrz na to! - Wyjmował pudełka z pudrem i różem, żeby Heszmatje zobaczyła. - Patrz, jakie piękne są te opakowania. Powąchaj perfumy, które są w środku. Jaka kobieta zechce owadzych skrzydełek, gdy może mieć francuskie perfumy?

I tak skrzynia pozostała w domu Niebieskookiego Lotnego - ukryta, żeby uspokoić obawy Heszmat, za stosem poduszek i kołder używanych tylko w zimie. Z wolna woń pudru i perfum zaczęła unosić się w powietrzu. Przerazona reakcją sąsiadów Heszmat powiedziała mężowi: „Ty tylko utwierdzasz ich podejrzenia wobec Żydów”. Palila najrozmaitsze kadzidła i używała tego pokoju do przechowywania suszonych ziół, które również mocno pachniały. Jednakże gdy nadeszło lato i w domu zapanował upał, skrzynia francuskich kosmetyków wydzielala tak specyficzny przemożny aromat, że sąsiedzi znaleźli ją kierując się węchem i zaczęli się domagać okazania jej zawartości.

- Przybory prostytutek - orzekła potępiająco jedna z kobiet.

- Zapach diabła - potwierdził ktoś inny.

Heszmat błagała męża, ale nadaremnie.

- Któregoś dnia - szlochała - zaatakuje nas tłuszczka, tutaj, poza gettem.

Odparł, że będzie walczył z tłuszczką.

- A co z twoimi dziećmi? - zapytała innego dnia. - Ty masz córki, Lotfi, córki! Jaki mężczyzna ożeni się z dziewczyną wychowaną z „przyborami prostytutek”?

Pewnego ranka usłyszeli kroki na podwórku i zobaczyli, że drzwi do ich sypialni otwierają się w ciemnościach. Niebieskooki Lotfi poderwał się i sięgnął po rzeźnicki nóż schowany pod poduszką. Przeraził się nie na żarty, a tu nagle rozpoznał głos Pawicy.

- Zostaw to i chodź na dwór - powiedziała. - Szach Reza wydał zakaz noszenia zasłon.

Perscy mułlowie zagrozili wojną. Mężczyźni przysięgali, że będą zabijać. Kobiety płakały, że ograbia sieje ze czci; tylko dziwki i cudzołężne żony chodzą niezakwefione. Po raz pierwszy od słynnego incydentu z mułem mułły cały Teheran wystąpił przeciwko szachowi Rezie. Zdecydowano, że kobiety muszą nadal nosić czadory, by zaprotestować przeciwko jego zakazom.

Szach Reza wysłał żołnierzy na ulice i kazał aresztować każdą zakwefioną kobietę. Żołnierze zrywali czadory z kobiecych głów, rwali je na strzępy, palili zasłony i w zamian dawali suknie i kapelusze, które kupił w Paryżu Niebieskooki Lotfi.

Wtedy wszystkie kobiety zostały w domach.

Wojna o zasłony była zapowiedzią poważniejszej konfrontacji między szachem Rezą a mułłami. Od wieków perscy szachowie obchodzili muzułmańskie Święto Ofiary. Co roku w dniu tego święta mułła zabijał wielbłąda na teherańskim Placu Armat. Tłum wiernych ruszał wówczas ku wielbłądowi, chwycił kawałki surowego mięsa, po czym biegł do Pałacu Róż, gdzie na tarasie Marmurowego Tronu oczekiwał szach. Pierwsza osoba, która podarowała Jego Królewskiej Mości kawałek ofiarnego mięsa, otrzymywała królewską nagrodę.

Szach Reza w roku, gdy wydał zakaz noszenia zasłon, nazwał zwyczaj zabijania wielbłąda barbarzyństwem i odwołał obchody. Następnie zadał kolejny cios mułłom: uroczystie zainaugurował Uniwersytet Teherański, odbierając mułłom moc wywierania wpływu na umysły młodzieży i powierzając ją wykształconym na Zachodzie świeckim profesorom. Wkrótce potem na uniwersytecie otwarto Wydział Medyczny, gdzie z pogwałceniem nauk duchownych badano ludzkie zwłoki i przeprowadzano sekcje. Życie i śmierć, zarządził szach Reza, przestały być domeną Boga i jego przedstawicieli.

Mułlowie podnieśli bunt. Dążąc do położenia kresu panowaniu Rezy, posłużyli się tą samą metodą, jaką zastosowali przy obaleniu Kadżarów: opuścili gremialnie Teheran i w najświętszym irańskim mauzoleum urządzili strajk okupacyjny. Wiedzieli, że to niezawodna broń. Postawieni wobec perspektywy utraty króla albo mułłów ludzie wybiorą obalenie szacha. Ten zaś nie mógł zmusić mułłów do powrotu do miasta bez zaatakowania mauzoleum - a do takiego czynu nawet on nie jest zdolny, jak wierzyli.

Szach Reza w odpowiedzi wysłał uzbrojonych żołnierzy, którzy otoczyli mauzoleum.

- Wychodźcie - ostrzegł mułłów dowódca. - Mam rozkaz Jego Królewskiej Mości

zbombardowania mauzoleum.

Po załamaniu się buntu mułowie powrócili do Teheranu. Wydział Medyczny Uniwersytetu nadal dokonywał sekcji zwłok. Kwestia zasłon pozostała jednak nie rozstrzygnięta: czadory zniknęły, ale nie były zakazane. Szach mógł zabronić zakwefionym kobietom chodzenia po ulicy, ale nie mógł ich zmusić, by wychodziły z domu. W pokoju Niebieskookiego Lotfiiego perfumy zaczęły jęlczyć, topił się róż w ozdobnych puzderkach. Heszmat kazała swoim dzieciom trzymać się z dala od sąsiadów.

Tak było aż do pewnego ranka wiosną 1937 roku, gdy szach jadąc świeżo kupionym rolls-royce'em przez Aleję Lamp Gazowych zobaczył starą kobietę - niedużą, ale niezłomną, promiennie uśmiechniętą i bez zasłony. Miała spódnicę zdobioną paciorkami i bluzkę naszytą górskimi kryształkami, zielony szal, białe skarpetki i aksamitne pantofle, na szyi sznur pereł, złoto na nadgarstku, klejnoty na palcach dłoni. We włosach czerwone i zielone wstążki, górskie kryształki na oprawkach okularów. Kiedy szła, mężczyźni przystawali osłupiali i piorunowali ją wzrokiem. Niezakwefione kobiety podchodziły do drzwi, czały się przy wejściu, rozglądały, oczekując reakcji, po czym wychodziły na ulicę.

Reza Pahlawi zatrzymał samochód koło kobiety w górskich kryształach. Opuścił szybę i rozpoznał Pawicę.

Uśmiechnął się pierwszy raz za ludzkiej pamięci.

Pawica Żydówka miała siedemdziesiąt lat i używała okularów do patrzenia. Mieszkała przy ulicy Rezy Szaha, pracowała dłużej i ciężiej od młodych. Obsługiwała najbogatszych i najszlachetniejszych ludzi w Teheranie - córki szacha, żony ministrów, narzeczone synów ministrów. Chodziła od domu do domu, zawsze w bajecznie kolorowych strojach - w warstwach czerwonego, zielonego i niebieskiego szyfonu, w bluzkach z cekinami, w aksamitnych pantoflach, skrząca się od górskich kryształków. Z wiekiem się skurczyła, lecz plecy miała wciąż proste, a oczy nadal piękne, włosy kompletnie siwe, skórę niemal czarną.

W kieszeniach nosiła szlachetne kamienie, zawinięte w kawałek płótna albo stare gazety, które wszędzie zbierała. Siadywała w sypialniach dam dworu albo w biurach wpływowych osób i zanurzwszy ręce w kieszeniach wyciągała garść klejnotów, po czym rozkładała je przed klientem.

- Dotknij ich - mówiła. - Potrzyj w ręce i ujrzyj wieczność.

Pod koniec dnia, gdy skończyła już pracę i nie miała dokąd iść oprócz własnego domu, była sama. Heszmat mieszkała niedaleko, ale teraz, gdy stopniowo zarzucano noszenie zasłon, Niebieskooki Lotfi otworzył sklep w piwnicy swojego domu, wspominał nawet o wynajęciu lokalu w Alei Tulipanów i o przeniesieniu się z Sar Czeszme na ulicę Simorg.

- Zamieszkaj z nami - prosiła Heszmat, Pawica jednak odmawiała. Wieczorami przesiadywała w sypialni ubrana jak w dzień i sprawdzała rachunki na liczydło. Wyjmowała klejnoty z kieszeni, układała je równymi rzędkami na stole i rozwijała z gazet. Kiedy była sama, nie spoglądała na kamienie, tylko wpatrywała się w słowa wydrukowane w gazecie, żałując, że nie potrafi czytać.

Pawica wiedziała, że gazety donoszą o ważnych sprawach, wydarzeniach, które mają wpływ na losy każdego. Dowiadywała się o nich jedynie z rozmów z ludźmi, których spotkała w ciągu dnia - od kupców z bazaru, handlarzy, swoich klientów. Większość z nich była niepiśmienna jak ona i знаła jedynie plotki zasłyszane od innych. Mówili o miejscach, których sami nie znali, tylko słyszeli o nich we wspomnieniach ludzi - o Rosji, Ameryce i Europie - o kontaktach szacha Rezy z obcymi krajami i o grze, jaką prowadził: stawiał jednego nieprzyjaciela przeciwko drugiemu dla zmaksymalizowania własnych korzyści i próby uwolnienia się spod dominacji Brytyjczyków.

- Wyobraźcie sobie - wykrzykiwali kupcy - kasa rękę, która go żywiła. Bez poparcia Brytyjczyków Reza nigdy nie zostałby królem. Negocjował z nimi, uzyskał ich zgodę na zamach stanu przeciwko Ahmadowi. A teraz stanął po stronie Niemców, żeby pozbyć się Anglików.

Założenie, że szach Reza mógłby uniezależnić się od Anglików, Pawica uznała za szalony pomysł. Wszyscy wiedzieli, że od czasu rządów szacha Nasera ad-Dina w Iranie nie działa się nic bez bezpośredniego udziału szpiegów Jego albo Jej Królewskiej Mości. Pawica nie przywiązywała wielkiej wagi do zasłyszanych opowieści. Nie wierzyła plotkom o wprowadzeniu w Niemczech praw wymierzonych przeciwko ludności żydowskiej.

Kupcy twierdzili, że szach Reza sprzymierzył się z Hitlerem przeciwko Wielkiej Brytanii. Pawica jednak przypominała im, że Reza uwolnił Żydów. Nie będzie stawał po stronie kraju, który ich prześladowa.

Lecz plotki nie ustawały, toteż Pawica coraz bardziej żałowała, że nie umie czytać. W

gazetach, myślała, znajduje się klucz do prawdy.

W roku 1937 na ulicę Pawicy doprowadzono elektryczność. Pewnego wieczoru przyszedł do jej domu Niebieskooki Lotfi i wkręcił szklaną żarówkę w sufit. Potem pociągnął za sznurek i światło błysnęło Pawicy w oczy, niemal ją oślepiając.

Była tak podekscytowana tym nowym wynalazkiem, że w nocy prawie nie spała. Po zapadnięciu zmroku poszła do pokoju, pociągnęła za sznurek i stała, uśmiechając się do swojego otoczenia, jakby je po raz pierwszy widziała.

- Rzeczy wyglądają inaczej w nocy - zwierzała się nieśmiało córce. - Lubię na nie patrzeć przy tym świetle.

To wszystko jest dziełem szacha Rezy, myślała z wdzięcznością: światło elektryczne, które rozjaśnia jej noc, woda płynąca w rurach w nowym domu Heszmat na ulicy Simorg, szpital, dokąd poszła rodzić córka Heszmat.

- Na pościeli! - ucieszyła się Pawica, gdy ujrzała wnuczkę wywożoną z sali porodowej. - Mój Boże, ty rodziłaś na pościeli.

Szach Reza był jej idolem - chłopiec, w którym ujrzała wybrańca; który zjawił się, by spełnić przepowiednię jej prababki. Pawica nie mogła uwierzyć, że zdradziłby Żydów.

Niebieskooki Lotfi pojechał do Francji po towar do nowego sklepu i wrócił z prezentem dla Pawicy. Był to odbiornik radiowy w dużej skrzynce z drewna i szkła. Włączało się go przekręcając gałkę i jak twierdził Lotfi, potrafił mówić.

- To herezja - śmiała się Pawica, ale Lotfi wetknął sznur do gniazdka w ścianie i przekręcił gałkę.

Jakiś mężczyzna przemówił do Pawicy. Głos miał niski i chrapliwy; posługiwał się oficjalnym językiem, jakiego używa się zwracając do ważnych osób. Oznajmił, że za chwilę poda wiadomości, jakby był obdarzony wiedzą nieznaną innym. Przekaze wszystko, co tego dnia wydarzyło się na świecie.

- W imię Boga - zaczął - Jego Królewska Mość Reza Szah Pahlawi, Król Królów, podpisał dzisiaj traktat przyjaźni z Niemcami.

Następnie opowiedział o owym traktacie. Mówił o przywódcy Niemiec - nazywał się Hitler - który wierzy w wyższość rasy aryjskiej. Irańczycy, oprócz mieszkających wśród nich

Żydów, również są Aryjczykami. Wkrótce będzie wojna, przewidywał spiker, większa od pierwszej wojny światowej, ale tym razem Iran nie będzie okupowany. Gospodarka nie zostanie zniszczona i mieszkańcy nie będą umierać z głodu. Tym razem, dzięki szachowi Rezie, Iran opowiedział się po stronie potężnego kraju i zostanie nagrodzony za swoją dalekowzroczność. Niemcy pokonają Anglików i Rosjan. W dowód wdzięczności Hitler obiecał zwrócić Iranowi prowincje zagarnięte przez imperialistycznych carów.

Niebieskooki Lotfi zawsze płakał, ilekroć przypominał sobie wyraz twarzy, jaki tego wieczoru przy radiu miała Pawica.

Pawica uzyskała audiencję u szacha Rezy. Poszła do jego kancelarii w Pałacu Radości i zastała go, gdy krzyczał na premiera. Szach Reza zawsze krzyczał na swoich podwładnych. Premier stał przed nim z pochyloną głową i wzrokiem wbitym we własne buty i nie odezwał się ani słowem do chwili, gdy został odprawiony.

- Odejdź! - wrzasnął w końcu szach. - Nie jesteś człowiekiem czynu. Nie jesteś w ogóle człowiekiem.

Przechodząc koło Pawicy premier usta miał sine i twarz białą jak kreda. Ręce mu drżały, gdy opuszczał pokój.

Szach chodził tam i z powrotem po kancelarii w oficerkach, które nadal pucował jak za dawnych czasów służby w brygadzie kozaków. Nie przywitał Pawicy; nie przyznał się nigdy, że znał ją wcześniej. Przypominała mu dni pokory i sam jej widok budził w nim takie uczucie, jakby nadal był tylko sierotą z Alasztu. Udzielił jej jednak natychmiast audiencji, podczas gdy tysiące innych przez całe życie czekały na szansę zobaczenia szacha i nigdy nie zostały przyjęte.

- Tylko szybko - powiedział, przystając za biurkiem zwrócony w stronę Pawicy.

- Wasza Królewska Mość... - Pawica zrobiła krok do przodu. Męczyła się przez wiele dni, usiłując rozwiązać zagadkę sojuszu szacha z Hitlerem. Nie zwlekała z zadaniem pytania: - Co będzie, jeśli wybuchnie wojna? I jeśli wojnę wygrają Niemcy?

Szach udał, że nie rozumie.

- Co będzie z Żydami, których Wasza Królewska Mość uratował? - domagała się odpowiedzi Pawica.

Jego oczy złagodniały. Popatrzył na nią i przez sekundę Pawica widziała człowieka schwytanego w pułapkę, rozgoryczonego cierpkością wyboru, którego musiał dokonać.

- Wyrzeknę się Żydów - odparł. - Wyrzeknę się każdego, żeby ratować Iran przed nieprzyjaciółmi.

Szach Reza uratował Iran przed rozpadem. Pokonał mułłów, zbudował armię, by bronić granic, i policję, żeby opanować chaos wewnętrzny ostatnich trzech stuleci. Utrzymywał Rosjan i Brytyjczyków na dystans. Zbudował pierwszą transirańską linię kolejową, zakładał szkoły, szpitale, sprowadził szczepionki. Teherańskie zasoby wodne były wciąż skażone przez ścieki wpuszczane do rzeki i przesączające się do studzien, ale zapadalność na malarię, jaglicę i czerwonkę zawsze tu endemiczne, zaczęła się zmniejszać. Szach patrzy na swoje osiągnięcia z dziesięciu lat, od chwili gdy został królem, i uważa się za nieomylnego - pomyślała Pawica.

Był piechurem nieistniejącej armii i przez noc został królem. Był żołnierzem szkolonym pod obcą okupacją i stał się niezależny. Był biednym chłopcem urodzonym w norze na końcu wiejskiej drogi, a teraz mieszkał w pałacu z lustrzanymi salami i komnatami pełnymi skarbów. Zrobił się zadufany, nietolerancyjny i zły.

Mieszkał skromnie, w pustym pokoju w Pałacu Radości z materacem na podłodze i bez luksusów. Jeździł za to po kraju, zabierając najlepsze irańskie ziemie - najludniejsze miasteczka, najzieleńsze doliny, najbujniejsze lasy - żeby zapisać je na nazwiska swoich dzieci. Miał syna - księcia Muhammada Rezę - który był tak nieśmiały, że nie odważył się nigdy odezwać w obecności ojca. Pawica widziała Muhammada Rezę, gdy jako chłopiec galopował na arabskiej klaczy wokół Placu Armat, wzbijając tumany kurzu skrywające go niemal przed wzrokiem ludzi. Pamiętała, że nawet wtedy oczy chłopca były ospałe, a głos, gdy rozkazywał klaczy, niezdecydowany. Nie był - nie mógł być - takim synem, jakiego pragnął Reza.

Szach posłał chłopca do Europy, do szwajcarskiej szkoły z internatem, gdzie kształcili się młodzi arystokraci. Muhammad Reza nauczył się jeździć na nartach, latać samolotem, jeździć szybkimi samochodami. W roku 1938, w wieku dziewiętnastu lat, wrócił do Iranu, by zająć miejsce przy ojcu.

Zastał go znękanego kłopotami i zaabsorbowanego: nic w Iranie nie postępuje szybko, uskarżał się szach; nikt wystarczająco się nie poświęca. Ministrowi finansów, Dawarowi, nie udało się niedawno zgromadzić funduszy niezbędnych na roboty publiczne. Dawar, ofiara gniewu szacha, pracował do późna w swoim biurze, a potem odebrał sobie życie. Zostawił wiadomość pożegnalną:

Popelniam samobójstwo - napisał - ponieważ jestem wyczerpany.

Szach Reza nie miał czasu dla ludzi, którzy nie odnieśli sukcesu. Nie uczestniczył w pogrzebie Dawara.

Istniał poważniejszy kłopot: człowiek o nazwisku Mosaddek - bogaty właściciel ziemski, nacjonalista, od dziesięcioleci wróg Rezy. Szach go uwięził, ale był to człowiek stary, lekarze więc ostrzegli Jego Królewską Mość, że Mosaddek umrze w więzieniu.

- Zwolnij go zatem - radził ojcu następca tronu.

- Jeśli umrze, stanie się męczennikiem i wtedy nigdy się od niego nie uwolnimy.

Szach Reza był zmęczony, sfrustrowany i zaniepokojony. Pierwszy raz postąpił tak, jak sugerował syn.

Potem powiedział młodzieńcowi, że znalazł mu żonę - księżniczkę Fozije, córkę egipskiego króla Faruka i królowej Nazli. Muhammad Reza nigdy Fozije nie widział, ale jego starsza siostra, Szams, zapewniła go, że będzie z niej zadowolony. W roku 1939 pojechał do Kairu, żeby przywieźć narzeczoną na ślub.

Miało to być wydarzenie stulecia, gala jak żadna inna na Wschodzie, tak wspaniała, że olśni egipską rodzinę królewską i udowodni wszystkim sąsiadom Iranu, że szach Reza przyniósł krajowi wielki postęp.

Szach ściągnął do pałacu olbrzymi sztab ludzi do nadzorowania szczegółów wszystkich przygotowań. Przydzielił Pawicę do zespołu złotników - wcześniej tego roku wysłano młodych mężczyzn do Europy na intensywny kurs gemmologii i wzornictwa jubilerskiego i powierzono im przygotowanie klejnotów dla wszystkich kobiet z rodziny królewskiej.

Postanowiono, że państwo młodzi popłyną z Egiptu do portu Choramszahr nad Zatoką Perską, a stamtąd wyruszą do Teheranu specjalnie zbudowanym pociągiem, wyposażonym we wszystkie wyobrażalne luksusy. W Teheranie mieli najpierw uczestniczyć w galowym przyjęciu w stylu europejskim, które wydawał szach na powitanie królowej Nazli. Ślub planowano następnego wieczora.

Nieoczekiwanie doszło do katastrofy. Państwo młodzi, jak zawiadomił szacha roztrzęsiony dyrektor kolei, znajdują się rzeczywiście w specjalnym pociągu wraz z matką panny młodej, świtą osobistych służących i niań oraz pół tuzinem dam dworu. Pociąg jednak utknął w samym środku Wielkiej Pustyni Słonej - w miejscu, gdzie nie przeżyje ani człowiek, ani zwierzę.

Brakuje jedzenia, wody i elektryczności.

Szach posłał do więzienia dyrektora kolei i wyrzucił wszystkich, którzy zajmowali się podróżą jego syna. Wysłał drugi pociąg i przyjął gości osobiście, gdy przybyli do pałacu. Muhammad Reza był zażenowany tym fiaskiem, Fozije płakała i powtarzała matce, że chce wrócić do domu. Królowa Nazli powiedziała Rezie, że jego kraj jest niecywilizowany.

Spędzili ten dzień na kłótniach o dochody i dziedzictwo Fozije. Szach upierał się, że skoro ma wyjść za mąż za irańskiego następcę tronu, to wszystkie jej dochody z egipskiego dworu automatycznie powinny być przesyłane do Iranu. Królowa Nazli kategorycznie odmówiła i oznajmiła, że pertraktować nie będzie. Zanim spór się skończył, związek małżeński został zatruty.

Na wieczornym bankiecie urządzonym w europejskim stylu pomieszano rozmieszczenie gości i ci zaczęli się kłócić o miejsca przy stole. Szach natychmiast zwolnił Wielkiego Mistrza Ceremonii i Wielkiego Mistrza Dworu. Lecz królowej Nazli to nie usatysfakcjonowało. Oznajmiła, że jest rozczarowana ceremonią powitalną. Szach kazał pałacowej służbie spakować bagaże Nazli bez jej wiedzy. Nazajutrz po ślubie odeśle ją z Iranu wraz z damami dworu.

Tego wieczoru, rozparty wygodnie, przyglądał się bez emocji religijnej ceremonii. W połowie modłów, wiążących węzłem małżeńskim jego syna z egipską księżniczką, szach Reza podniósł wzrok i zobaczył obok siebie Pawicę. Potrząsnął głową. Wyraz jego oczu wróżył katastrofę.

- Sprawy nie wyglądają tak, jak powinny - rzekł.

W roku 1939 wybuchła druga wojna światowa w Europie. Oficjalnie Iran ogłosił neutralność, faktycznie jednak szach Reza ukrywał niemieckich agentów na terytorium irańskim, później zaś odmówił Brytyjczykom dostępu do Rosji. Niemiecki minister doktor Schacht odwiedził Iran ponownie, zapewniając, że Irańczycy są „czystymi Aryjczykami i nie dotyczą ich postanowienia norymberskich ustaw rasowych”.

- To koniec was wszystkich - mówili do Pawicy kupcy na bazarze, nie kryjąc podniecenia. - Hitler przejmuje władzę na świecie i Żydzi już są martwi.

Wszyscy byli jej przyjaciółmi i nawet by ją opłakiwali, ale przez całe życie słyszeli, jak mułowie wypowiadają się przeciw niewiernym. Trudno zatem, by nie cieszyła ich perspektywa wyeliminowania Żydów raz na zawsze.

W 1941 roku Niemcy napadli na Związek Radziecki. Churchill, poszukując drogi, którą mógłby dostarczać Rosjanom niezbędne zaopatrzenie, raz jeszcze skierował wzrok w stronę Iranu. Poprosił szacha Rezę, żeby usunął Niemców ze swego kraju i zapewnił wolny przejazd alianckim konwojom.

Szach odmówił; nie wyobrażał sobie, że Hitler mógłby przegrać wojnę. Churchill zagroził inwazją. Szach Reza go zignorował. Kiedy uświadomił sobie skalę zagrożenia, wojska alianckie już wkraczały do Iranu.

Dwudziestego czwartego sierpnia 1941 roku dowodzone przez Brytyjczyków indyjskie oddziały weszły do Iranu od południa. Następnego dnia Pawica widziała nad Teheranem alianckie samoloty zrzucające ulotki: było w nich napisane, że Iran jest pod okupacją. Szacha Rezę usunięto, zmieciono z tronu i zesłano na emigrację do Afryki Południowej. Jego syn, Muhammad Reza, został przez aliantów osadzony na tronie, po czym zamknięty w pałacu.

Pawica zaczęła wierzyć głosowi z radia.

- Współdziałając z naszym rosyjskim sojusznikiem - tłumaczył spiker mowę Churchilla w Izbie Gmin - wykorzeniliśmy nienawistne elementy w Teheranie.

Do domu Beszarata Bękart przysła kobieta. Było to w dniach alianckiej okupacji, gdy rolnicy nie mogli produkować żywności i nie pracowały fabryki, gdy import ustał i biedni głodowali, gdy Rosjanie rekwirowali ryż i pszenicę z północnych prowincji, a żołnierze amerykańscy wydawali swoje dolary na dziwki i whisky. Drogami zajętymi przez wojska alianckie transportowano zaopatrzenie wojskowe - nie kończące się sznury wojskowych ciężarówek z żywnością, bronią i lekami tłukły się po nie brukowanych drogach upadłego królestwa szacha Rezy. A irańscy wieśniacy z dobytkiem całego życia załadowanym na muły i osły uciekali ze spustoszonych siedlisk w poszukiwaniu żywności, której w mieście nie znajdą, i czekali całymi dniami na prawo przejścia. Alianci wymagali, żeby każdy Irańczyk uzyskał wizę na podróżowanie po własnym kraju. Wieśniacy docierali do punktów kontrolnych wyczerpani i na pół zagłodzeni, z dziećmi przypasanymi do pleców albo śpiącymi w ramionach kobiet, z twarzami pokrytymi tak grubą warstwą pyłu, że trudno było odróżnić jednego od drugiego. Podawali swoje wizy i mówili zbyt głośno do żołnierzy, którzy nie rozumieli ich języka. „Szukamy pracy”, powtarzali z optymistycznym uśmiechem.

W miastach nowi przybysze dołączali do bezrobotnych, ustawiali się w kolejkach pod

piekarniami i sklepami spożywczymi, pętał się u drzwi bogatych albo błagali cudzoziemskich żołnierzy o jedzenie i pieniądze. Ich córki chodziły nocą po ulicach albo gromadziły się w nocnych klubach, gdzie sprzedawały się za posiłek. Ich synowie szukali ujścia dla swojego gniewu i w końcu wstępowali do tej czy innej organizacji politycznej - między innymi do komunistycznej partii Tude założonej przez Związek Radziecki - która obiecywała przywrócenie Iranowi niepodległości.

Kobieta, która przysłała do domu Beszarata, była chuda jak szczapa i ciemna, oczy miała zapadnięte i ręce niczym wronie szpony. Zjawiała się co parę tygodni, zawsze ubrana we wdowią czerń, z torbą na zakupy pod czadorem - szacha Rezy nie było, jego syna więziono w Marmurowym Pałacu i nikt już nie zakazywał noszenia zasłon.

Ze swego okna na piętrze w domu Beszarata Bękart Jasmine widziała, jak kobieta mija bramę i przechodzi przez ogród. W miarę jak zbliżała się do domu, wydawała się coraz mniejsza. Kiedy dotarła do frontowych drzwi, zapukała tak lekko, że nikt nie usłyszał. Stała jednak nadal niczym cień za zakurzoną ozdobnym szkłem frontowych drzwi, nie śmiejąc zapukać ponownie. W końcu ktoś ją zobaczył.

- To znowu ona! - Jasmine usłyszała Naimę krzyczącą do Asal w kuchni. - To Matka Chłopców.

Matka Chłopców zawołała spod drzwi, by ją wpuścić.

- Tylko na chwilę - obiecywała. - Żeby ostatni raz zobaczyć Beszarata Chana.

Nikt jej nie odpowiedział. Naima i Asal zajmowały się swoimi sprawami, jakby Matka Chłopców nie istniała. Prosiła jeszcze przez chwilę, odwróciła twarz w stronę okna Jasmine i nawet ją błagała o pomoc. Esrafil Mściciel, powtarzała za każdym razem tę samą litanię, zostawił ją bez riała. Wszyscy synowie ożenili się ze złymi kobietami, a te nie chcą jej utrzymywać teraz, gdy wszyscy są głodni. To niesprawiedliwe - wręcz nie do wyobrażenia - że doprowadzono ją do takiego stanu. Ostatecznie była żoną największego złotnika w Teheranie.

Matka Chłopców siadła na ziemi, trzymając kurczowo swoją torbę na zakupy, i zalała się łzami.

- Wpuść ją - poleciła Asal Naimie późnym popołudniem. - Usłyszą ją ludzie na ulicy i pomyślą, że jesteśmy niecywilizowani.

Naima otworzyła drzwi.

- Do kuchni - rozkazała. Matka Chłopców tam pobięła.

Siedziała na połamanym stołku zarezerwowanym dla żebraków, którzy przychodzili jeść resztki sprzed trzech dni, i patrzyła, jak Asal przygotowuje kolację synowi. Ubranie Asal pokrywała warstwa pyłu, twarz miała czarną jakby od sadzy. Matka Chłopców poprosiła ją o wodę albo kawałek chleba.

- Idź jeść we własnym domu - powiedziała Asal, nawet na nią nie spojrzawszy. Zabrała ze spiżarni całe jedzenie z poprzedniego dnia i wyrzuciła je do śmieci tak, by Matka Chłopców to widziała.

Podczas wojny Beszarat Bękart powiększył ponad trzykrotnie majątek, który zostawił mu Esrafil. Jeszcze przed okupacją, gdy tylko usłyszał o napaści Niemiec na Związek Radziecki, wykupił cały cukier w Teheranie, Kazwinie i Jazdzie. Podczas głodu sprzedawał go po dziesięciokrotnie wyższej cenie. Ten żydowski chłopiec przez całe dzieciństwo biegający na bosaka po Jamie, ten bękart Asal Dziwki traktujący teraz Matkę Chłopców gorzej niż psa - w swojej kuchni wyrzucał resztki potraw, za które Matka Chłopców oddałaby życie.

Matka Chłopców patrzyła na jedzenie i skręcała się z głodu. Tuż przed nastaniem godziny policyjnej Beszarat wrócił do domu, zjadł kolację, a potem wypił herbatę. Rozmawiał z matką, przejrzał rachunki, wypalił kilka papierosów. Kolo północy zgodził się wreszcie przyjąć Matkę Chłopców.

Weszła do jego pokoju, przyciskając do piersi torbę na zakupy. Szła do niego tak jak na śmierć. Zatrzymała się przy dębowym stole oddzielającym Beszarata od świata. Nie podniosła oczu.

- Nie mam dla ciebie pieniędzy - rzekł Beszarat Bękart, zdmuchując kurz z biurka. Matka Chłopców milczała. Jedwabny dywan pod jej stopami wyobrażał różanolicie dziewczęta nalewające wino kochankom po całodziennym polowaniu. Beszarat Bękart odczekał chwilę, po czym zdecydował, że sprawa została rozstrzygnięta.

- Idź do domu - powiedział i zajął się znowu swoimi papierami.

Nieoczekiwanie Matka Chłopców wybuchła. Puściła czador, rzuciła się przez stół do Beszarata i zaczęła błagać:

- Popatrz na siebie - mówiła. - Popatrz na siebie, czysty i zadowolony siedzisz na fotelu mojego męża, wydajesz dziedzictwo moich dzieci, tyjesz z mojej krwi. Musisz mi coś dać, by wystarczyło najedzenie, by wystarczyło na życie. Byłam jego żoną przez trzydzieści lat, wydano

mnie za niego w wieku piętnastu lat i nigdy nie okazałam mu nieposłuszeństwa. Dałam mu synów! Synów! Zasluguję na coś.

Wyrzuciła z siebie słowa jednym tchem, kończąc ostatecznym gestem upokorzenia: rozluźniła palce ściskające torbę na zakupy i wysypała lawinę gnijących kurzych łapek. Kupiła je tego dnia po wielu godzinach wystawiania w kolejce, na kartki wydawane przez aliantów, wyproszone lub zdobyte na czarnym rynku. Beszarat Bękart skrzywił się na ten widok.

- Zobacz - szlochała Matka Chłopców, zanurzając ręce w masie skóry i kości i podnosząc ją do twarzy Beszarata. - To wszystko, co jem.

Nie ma powodu do litości, odparł jak zwykle Beszarat Bękart. Kiedy żył Esrafil Mściciel, Matka Chłopców była żoną największego złotnika w Teheranie, a Asal Dziwka zabierała często syna i szła z nim zebrać do ich kuchni. Matka Chłopców odmawiała mu nawet odpadków. „Idźcie jeść we własnym domu” - mówiła.

Beszarat Bękart przeprowadził się z Alei Tulipanów na północ, na ulicę Pałacową. Mieszkał naprzeciwko rezydencji słynnego doktora Mosaddeka, w trzypiętrowym domu, gdzie Asal - znękana starością i przytłoczona nowym bogactwem - gubiła się w trzydziestu siedmiu pokojach, trzech klatkach schodowych, z których każda prowadziła do innej części domu, garażu na cztery auta i trzech poziomach podziemnego magazynu. Beszarat składował w nim nowy drogocenny towar - gumę używaną do wyrobu opon do alianckich ciężarówek, za którą płacono mu funtami i dolarami.

W domu woda płynęła z rur po przekręceniu kurka, służące spędzały całe godziny oglądając swoje odbicie w porcelanowych misach zwanych sedesami, a Naima chodziła każdego wieczoru z pokoju do pokoju jak muza o świętym dotyku i pociągała za sznurki przytwierdzone do szklanych żarówek, które nagle zalewały pokoje potokami światła.

Lecz nawet tu Jasmine była niewolnicą. Wyszła za Beszarata przed dziewięć laty i nadal nie mieli dzieci. Codziennie prosiła go o rozwód.

- Pozwól mi odejść - domagała się głosem pełnym nienawiści. Beszarat Bękart nie rozmawiał już z nią po francusku. Musiała nauczyć się języka perskiego. - Odeślij mnie do domu, a swoim przyjaciołom powiedz, że umarłam.

Trzymał ją pod nieustannym nadzorem, nie pozwalał opuszczać domu, nigdy nie dawał pieniędzy. Mieszkała na drugim piętrze w pokoju z widokiem na ulicę Pałacową i dom Mosaddeka. Zapowiedział jej, że nigdy nie będzie mogła odejść: pragnął dzieci, pragnął jej dzieci

i póki będzie mu ich odmawiać, pozostanie więźniem w jego domu.

- Łono, które dla mnie jest jałowe - powiedział - nie będzie nosić nasienia innego mężczyzny.

Asal mówiła Beszaratowi, że powinien się poddać. Próbował najpierw z Naimą, potem z Jasmine, następnie z mnóstwem innych kobiet - z dziwkami, z którymi spał, nie zdejmując im nawet czadorów, by zobaczyć ich twarz, i tylko usiłował je zapłodnić. Korzystał z każdej okazji i sięgał po wszystkie stare lekarstwa, aż w końcu świat zaczął wierzyć, że to on - Beszarat Bękart - jest bezpłodny, a nie jego żony.

- Zrezygnuj - mówiła Asal. Oślepla na starość i teraz łatwiej godziła się z okrucieństwami życia. - Pogódź się z tym, że umrzesz bez dziedzica. Znajdź kogoś, kto cię pochowa, i skończ z tym wreszcie.

Beszarat Bękart nigdy nie przestał wierzyć we własną męskość: upierał się, że Naima jest bezpłodna. Dziwki, z którymi sypiał, brały magiczne napoje, żeby zabić jego nasienie. Jasmine specjalnie mu odmawiała.

- To jej sposób na zemstę - powiedział do matki z niezachwianym przekonaniem. - Ona śpi ze mną i powstrzymuje się od zajścia w ciążę, bo chce udowodnić, że nie jestem mężczyzną.

Każdego miesiąca chodził więc do Jasmine noc w noc przez dwa tygodnie. Obcował z nią bez namietności, a nawet pożądania. Natychmiast potem opuszczał jej łóżko i zatrząskiwiał za sobą drzwi.

Pozostawszy sama, Jasmine otwierała okno i leżała bez ruchu w łóżku, wsłuchując się w ciemność. W czasie stanu wojennego na ulicach panowała cisza, słychać było tylko nocne patrole i śmiech podpitych obcych żołnierzy wracających z burdeli. Około dziesiątej słyszała samochody wiozące - za specjalnym pozwoleniem alianckiego rządu wojskowego w Teheranie - przyjaciół i krewnych młodego szacha do Marmurowego Pałacu. Przyjmował ich tam wraz ze swoją egipską żoną. Goście grali w karty z Jego Królewską Mością, oglądali filmy, chodzili o północy pływać w jednym z licznych pałacowych basenów. Następnego dnia wracali w godzinach porannego szczytu, wyglądając groteskowo w wieczorowych strojach, frakach i długich zdobionych koralikami sukniach - panowie zbolali po wypitej w nocy whisky, panie w ciemnych okularach i tapirowanych fryzurach poblądłe pod warstwami pudru i różu kupowanego u Niebieskookiego Lotfiego. Pędzili do domów i spali do zmierzchu, a gdy się budzili, ulice znów ożywały. Służące

podsluchiwały rozmowy swoich pań na temat poprzedniej nocy i szerzyły pałacowe plotki. Fozije podobno jest niezadowolona i znudzona swoim życiem, zmęczona codzienną grą w tenisa, południowymi jazdami po pałacowych terenach, złośliwymi intrygami między starszą siostrą szacha, Szams, i jego bliźniaczką, Aszraf. Przed kilku laty, gdy córki weszły w wiek odpowiedni do zamążpójścia, szach Reza wyznaczył na swoich zięciów dwóch młodzieńców - syna premiera oraz potomka potężnego rodu z Szirazu. Sprowadził ich obu do pałacu i przedstawił córkom. Obu dziewczętom spodobał się syn premiera; był przystojniejszy, wyższy, bardziej elegancki. Reza stanawszy wobec konfliktu, kazał Szams, starszej z siostr, poślubić syna premiera. Aszraf płakała przez tydzień, po czym poślubiła młodzieńca z Szirazu i na całe życie znenawidziła i jego, i siostrę. Ponieważ Szams opowiedziała się za małżeństwem Muhammada Rezy z Fozije, Aszraf usiłowała kopać pod nią dołki, jak tylko się dało.

Co noc Jasmine słyszała samochody zmierzające do pałacu. Kiedy wszystkie przejechały, zapadała cisza, ale ona i tak nie mogła spać. Cierpiała na bezsenność więzienną, stan permanentnej frustracji, który wyczerpywał ją, nie pozwalając na odpoczynek. O północy wstawała z łóżka z ustami suchymi od pyłu, który zalegał na poduszce, atakował płuca i nos, i kładła się na brzuchu na posadzce balkonu. Po drugiej stronie ulicy siedział w swoim salonie doktor Mosaddek. Słuchał nocnych wiadomości z radia nastawionego na cały regulator.

Jasmine słuchała spikera, usiłując zrozumieć podawane po persku informacje. Żądna była nowin o wojnie, o Francji pod niemiecką okupacją, o Amerykanach maszerujących na Paryż. Leżała w ciemnościach, chłodząc brzuch na posadzce balkonu, i próbowała wyobrazić sobie Paryż po bombardowaniach.

- Jest zniszczony - mówiła sobie. - Cały zniszczony. Chciała zobaczyć Paryż i pojąć, że się zmienił, że nie może wrócić - że nie ma do czego wracać. Chciała przekonać samą siebie, że musi pozostać w Teheranie i zaakceptować swój los, uładzić się z Beszaratem i jego żoną.

Pewnej nocy jesienią 1943 roku radio zamilkło w połowie dziennika. Następnego ranka zamknięto teherański urząd telegraficzny, zablokowano granice miasta, a ulice zatarasowały wozy pancerne i ciężarówki z żołnierzami okupantów. Naima wróciła do domu od rzeźnika z wieścią o aresztowaniu szacha. Godzinę później Beszarat Bękart przyniósł inne wiadomości.

- To szach Reza - oznajmił zdławionym z podniecenia głosem. - Podobno przyjechał dokonać przewrotu.

Wieczorne gazety potwierdziły plotki o triumfalnym powrocie szacha Rezy z emigracji. Nazajutrz jednak zaczęto spekulować, że to nie szach Reza, lecz sam Hitler wysłał żołnierzy do Iranu. Alianci, mówiono, zablokowali Teheran, żeby ratować stolicę. Żydzi oniemieli ze zgrozy, Beszarat Bękart zabarykadował dom i czekał na rezultat wojny na ziemi irańskiej. Tej nocy przyszedł do łóżka Jasmine, trzęsąc się ze strachu, i kochał się z nią bez złości. Potem został u niej w łóżku i nasłuchiwał radia Mosaddeka, które jednak milczało.

Stan ten trwał jeszcze przez trzy dni. Potem nagle otwarto granice i radio znów się odezwało. Jak ujawniono, w Teheranie odbywała się konferencja głów największych mocarstw świata; planowano zakończenie wojny i określano przyszłość Iranu.

Tej nocy Beszarat Bękart usiadł w ciemnościach i zapatrzył się na Jasmine: wyczuł, że za jej chłodem i złością budzi się życie.

Cały Teheran dowiedział się o ciąży Jasmine. Beszarat Bękart był tak wdzięczny za ten cud, że jak mówiono, postanowił w rewanżu sprawić przyjemność Bogu. Wezwał Matkę Chłopców i dał jej tyle pieniędzy, że mogłaby żyć za nie do końca życia. Powiedziała mu, że chce jechać do Izraela, dokąd z Iranu wyemigrowało już wielu Żydów. Beszarat Bękart kupił jej bilet w jedną stronę i nawet napisał do przyjaciela, prosząc, by pomógł tej kobiecie urządzić się w nowym kraju. W zamian poprosił jedynie o to, by Matka Chłopców pobłogosławiła jego dziecko.

- Nie mnie udzielać ci błogosławieństwa - odparła Matka Chłopców. - Postępowałeś źle wobec matki dziecka. Nikt, kto został poczęty w goryczy, nie zostanie pobłogosławiony.

Beszarat Bękart splunął za nią i życzył jej głośno, żeby statek zatonął w drodze do Jerozolimy. Zabrał Jasmine z jej więzienia i otoczył wszelkimi luksusami, jakie mogło zapewnić bogactwo. Zamienił salon na parterze na sypialnię Jasmine, najął dwie służące wyłącznie na jej usługi, sprowadził kucharza, żeby przygotowywał zdrowe potrawy. Pozwolił świątobliwym siostrzyczkom z teherańskiej Misji Joanny d'Arc odwiedzać Jasmine, przynosić książki i rozmawiać z nią po francusku. Wezwał do swego domu Pawicę i zamówił diamentowy komplet - parę kolczyków, pierścionek, naszyjnik i bransoletę - który jak powiedział, podaruje Jasmine z okazji obrzezania syna. Pawica przyszła ubrana w swój iskrzący się cyrkowy strój i zmierzyła Jasmine obwód szyi, nadgarstka i palca, nie obrzmiałego mimo ciąży.

- Będiesz mieć piękne dziecko - powiedziała. - Postaraj się, żeby nie odziedziczyło twojego smutku.

Jasmine spojrzała na nią, na tę starą kobietę, która nie zachowała ani cienia urody z młodości, dotykała ją czubkami zasuszonych palców i zwracała się do niej jak do starej znajomej. Nie uwierzy Pawicy. Nie posłucha jej słów. Od momentu, gdy Jasmine stwierdziła, że jest w ciąży, do chwili urodzenia dziecka będzie zamykać się przed światem i nie pozwoli sobie na uczucia.

Powtarzała sobie, że to jej jedyna obrona, jedyna szansa na ratunek. Gdy urodzi, Beszarat może zgodzi się, żeby odeszła. Wyjedzie z Iranu, wróci do Paryża. Lecz by to zrobić, będzie musiała mu zostawić swoje dziecko. Musi zatem strzec się, żeby go nie pragnąć.

Nosiła dziecko pod sercem, nie myśląc o jego istnieniu i koncentrując się wyłącznie na jednym celu - odzyskaniu wolności. W pokoju, do którego się przeniosła, nie było słyhać radia Mosaddeka, ale Jasmine nigdy nie przestała myśleć o Paryżu. Widziała swoją matkę - żywą wbrew temu, co pisał ojciec na kopertach - jak stoi w ciasnym salonie w ich mieszkaniu, tam gdzie ostatnio ją widziała. Matka miała na sobie jedwabną oliwkową suknię, teraz wyblakłą i luźną, kupioną, gdy Jasmine była dzieckiem. Wtedy była wyższa i pulchniejsza; tę suknię wkładała tylko na specjalne okazje, gdy szła na tańce z mężem. Zostawiała córkę samą z kolacją, wracała do domu o świcie - dziecko budziło się na dźwięk klucza przekręcanego w zamku i widziało matkę wchodzącą z uśmiechem na ustach, pachnącą perfumami i nucącą melodie, przy których tańczyła całą noc.

W dniu gdy Jasmine wyszła z domu, żeby pojechać z Beszaratem do Iranu, matka miała na sobie tę jedwabną oliwkową suknię i płakała w salonie. Ojciec stał przy oknie, odwrócony tyłem do córki, i ani słowem nie odpowiedział na jej prośby o wybaczenie i obietnice, że niedługo wróci i będą się widywać przez całe lato. W końcu Jasmine wyszła z walizką i gdy schodziła na drżących nogach na dół, matka krzyknęła ze szczytu schodów: „Moje dziecko, nigdy już cię nie ujrzę!”

Na dworze słońce błysnęło jej w oczy, chwilowo ją oślepiając, tak że gdy rozglądała się za Beszaratem, widziała jedynie białą plamę tam, gdzie stał. Przez sekundę czuła ulgę - zniknął, dzięki Bogu. Potem oczy przywykły do światła i zobaczyła, że macha do niej z przeciwległego chodnika.

W ostatnim miesiącu ciąży żony Beszarat Bękart najął doktora z rosyjskiego szpitala, żeby asystował przy porodzie, i sprowadził dwie akuszerki na wypadek, gdyby doktor zawiódł. Kiedy Jasmine zaczęła rodzić, zawołał Naimę i Asal i pozwolił dwudziestu trzem innym

kobietom - krewnym i nestorkom - nadzorować poród. Zasiadły wokół pokoju, przyglądały się, jak Jasmine zwija się z bólu, kwestionowały metody doktora i upierały się, że to akuszerki powinny kierować porodem. Jak tylko lekarz wyciągnął noworodka, Naima rzuciła się do przodu i chwyciła dziecko, zanim jeszcze doktor przeciął pępowinę.

- Syn! - krzyknęła triumfalnie, unosząc chłopca, by wszyscy go zobaczyli. - Mamy syna!

Cyrus Wspaniały pragnął być Amerykaninem. Nosił amerykańską odzież, jeździł amerykańskim samochodem. Czytał amerykańskie powieści, zwracał się po angielsku nawet do tych, którzy go nie rozumieli. Znał na pamięć mapę Stanów Zjednoczonych, preambułę do Konstytucji, amerykański hymn. Cyrus Wspaniały nie przekroczył nigdy granicy Iranu, ale żył w marzeniach o Hollywood.

Był przystojnym młodzieńcem - „o wyglądzie Amerykanina”, jak lubił się określać ludziom, którzy nigdy nie widzieli na oczy Amerykanina. Wysoki, o jasnej karnacji i jasnych włosach, miał prosty nos, nienaganne rysy. Mówił po persku z obcym akcentem, używał wielkich słów i wytwornych gestów i usiłował tak modulować głos, jakby monologował na scenie.

Najmłodszy syn Heszmat i Niebieskookiego Lotfiego, urodzony w Teheranie, spędził dzieciństwo słuchając opowiadań ojca o Europie.

- W Europie - mówił zawsze Niebieskooki Lotfi - ludzie są cywilizowani, a Żydzi są ludźmi.

Cyrus Wspaniały wcześniej postanowił, że chce studiować w Europie. W szkole w Teheranie uczył się francuskiego i angielskiego i co roku prosił ojca, żeby zapisał go na uniwersytet w Paryżu. Pracował jako goniec w ambasadzie brytyjskiej i odkładał zarobione pieniądze na podróż do Francji. Kiedy skończył dwanaście lat, wszystko już sobie zaplanował i w kieszeni spodni miał zaszyte angielskie funty.

Potem obudzwszy się pewnego dnia stwierdził, że jego marzenia legły w gruzach: w Europie wybuchła wojna i Niemcy zabijali Żydów.

Cyrus Wspaniały został w Teheranie i przyglądał się żołnierzom okupantów na ulicach. Widział Amerykanów, wysokich, przystojnych i pewnych siebie, jak wydają dolary, kupują kobiety i jedzenie, oraz odrazę mułłów. Widział, że zbierają się w pustych sklepach spożywczych, gdzie popijają arak domowej roboty. Stali w grupkach po trzech lub czterech i nieuchronnie jeden z nich wyciągał komplet pocztówek w formie harmonijki, którą rozkładał na

kontuarze. Na tych pocztówkach Cyrus Wspaniały ujrzał prawdziwe hurysy - duchy pięknych kobiet o umalowanych oczach i w wydekoltowanych strojach, z wypiętymi piersiami i ściągniętymi wargami, jakby zapraszające do miłości. Cyrus oddałby życie, by spotkać jedną z takich kobiet.

Podszedł do żołnierzy i zaimponował im swoją angielszczyzną. Zaproponował interes: za pocztówki da im jedwabne pończochy i perfumy ukradzione ze sklepu ojca. Pod koniec okupacji chwalił się przyjaciółom, że ma zdjęcia wszystkich kobiet z Hollywood.

Był w dziesiątej klasie i zmagał się z matematyką i fizyką, gdy się dowiedział, że Franklin Delano Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, przebywa w Teheranie na konferencji z Churchillem i Stalinem. Tak go zafascynowała ta wiadomość, że zapomniał pójść do szkoły na egzamin semestralny z przedmiotów ścisłych. Zamiast tego udał się na bazar - będący zawsze źródłem najszybszych i najbardziej kompletnych informacji o wydarzeniach w mieście - i słuchał rozmów kupców o konferencji teherańskiej. Alianci, mówiono, uznali, że gospodarka Iranu została zniszczona przez okupację, wobec czego obiecali największą możliwą pomoc. Co ważniejsze, uznali dążenie Iranu do niepodległości i zapowiedzieli wycofanie wojsk w ciągu sześciu miesięcy od oficjalnego zakończenia wojny.

- To Amerykanie - zgodzili się wszyscy kupcy - Amerykanie zmuszają Rosjan do wyjścia. Brytyjczycy zostaliby, ale nie mogą sobie na to pozwolić.

Zanim Heszmat odnalazła syna na bazarze, jesienny semestr się skończył, a Cyrus Wspaniały oblał wszystkie egzaminy. Wzburzona Heszmat zakazała synowi chodzenia na bazar i przysięgła, że będzie go trzymać w domu, póki nie wyparują mu z głowy marzenia o Ameryce. Była kobietą stanowczą, surową dla dzieci i zrealizowałaby swoją groźbę, ale Cyrusowi jak zawsze udało się ją rozbroić.

- Nie mogę myśleć o małych molekułach i jakichś nędznych mnożeniach, gdy na moich oczach tworzy się świat.

Dwa dni później był znowu na bazarze i trajkotał z kupcami.

W następstwie konferencji teherańskiej Stany Zjednoczone i Anglia wycofały swoje wojska z Iranu. Związek Radziecki odmówił. W latach wojny utworzył tam komunistyczną partię Tude i teraz zamierzał się nią posłużyć, by uzyskać dostęp do rządów kraju. W roku, gdy Cyrus skończył liceum, sowiecka Armia Czerwona ustanowiła marionetkowe rządy w Kurdystanie i

Azerbejdżanie i ogłosiła ich niezależność. Szach Muhammad Reza w pierwszym akcie przywództwa od czasu koronacji przed czterema laty wysłał wojsko, żeby odbić Azerbejdżan Stalinowi. Żołnierze ujechali sto pięćdziesiąt kilometrów od Teheranu i stanęli przed murem rosyjskich czołgów, które miały ich zatrzymać.

- Szach Reza miał rację - powiedział Niebieskooki Lotfi, chodząc tam i z powrotem po domu w dniach i tygodniach, które nastąpiły po klęsce w Azerbejdżanie. - On wiedział, że jeśli Hitler nie wygra wojny, to Stalin połknie Iran i będzie postępował tak, jakbyśmy w ogóle nie istnieli.

Przez rok partia Tude rządziła w Iranie. Cyrus Wspaniały znowu stracił z oczu wymogi zwykłego życia i spędzał cały czas na śledzeniu informacji. Były to początki zimnej wojny. Amerykanie nie mogli pozwolić na zagarnięcie Iranu przez Rosjan. W roku 1946 szach poprosił Organizację Narodów Zjednoczonych o ochronę przed Sowiecami. W odpowiedzi Stany Zjednoczone wystąpiły przeciwko Stalinowi i w końcu zmusiły Armię Czerwoną do opuszczenia Iranu.

Było to jedynie częściowe zwycięstwo. Sowieci zabrali czołgi, ale zamiast nich zostawili partię komunistyczną, która była najpotężniejszą siłą polityczną w Iranie i jedyną zorganizowaną partią. Niemniej Cyrus Wspaniały powitał to zwycięstwo i zakochał się znowu w Ameryce.

Byłby pojechał do Stanów, ale Heszmat go zatrzymała; zarządziła, że ma wstąpić na Uniwersytet Teherański, zostać lekarzem, ratować życie ludziom, przynosić chlubę swoim rodzicom. Obijał się przez pierwszy semestr, a potem odmówił powrotu na uczelnię. Nie miał ochoty znosić rygorów wyższych studiów. Był zbyt zajęty dramatem życia, jak tłumaczył, zbyt zachwycony większymi przyjemnościami świata, za bardzo - jak przyznawał z dumą - podobny do Salomona Mężczyzny.

Rzucił uniwersytet i zabrał się do interesów. Za pieniądze pożyczone od Pawicy - Niebieskooki Lotfi nie przebaczył synowi niepowodzenia na studiach, toteż nie chciał powierzyć mu pieniędzy - kupił kawałek ziemi i zbudował pierwszą dwukondygnacyjną kamienicę w Teheranie. Wprowadził się na najwyższe piętro, resztę mieszkań wynajął. Paradował po mieście w beżowej tweedowej marynarce ze skórzanymi łatkami na łokciach, z brązowym szalikiem zawiązanym pod brodą i brązowymi skórzanymi rękawiczkami z dziurkami, Jakie noszą kierowcy wyścigowych aut w Hollywood”, tłumaczył przyjaciółom, których zbijał z tropu ich wygląd. Cekał, aż Heszmat mu wybaczy, Niebieskooki Lotfi da błogosławieństwo, a wtedy,

mówił, pojedzie do Ameryki.

Rok po zbudowaniu kamienicy Cyrus Wspaniały poznał Lalę. Była zima, Cyrus leżał w łóżku, ucinając sobie popołudniową drzemkę, gdy usłyszał pierwsze pukanie do drzwi. Myślał, żeby otworzyć, a potem postanowił tego nie robić. Na korytarzach było zimno. Wolnych pokoi nie miał.

Lecz kiedy przez dziesięć minut stukanie nie ustawało, poszedł do drzwi. Znowu padał śnieg. Wiatr świszczwał w sieni.

Lala weszła do środka z falą zimnego powietrza i płatkami śniegu.

Była młoda i tak piękna, że Cyrus bał się mrugnąć, by nie zniknęła. Miała na sobie cienki letni strój z żółto-różowego szyfonu, dopasowaną górę i kloszową spódnicę do kolan, białe pantofle i duży letni kapelusz. Postawiła na podłodze tekturową walizkę i oparła się o ścianę, żeby odetchnąć. Z jej oczu promieniowało ciepło, skórę miała wilgotną.

Wyszła z domu w gorący letni dzień i na ulicy znalazła zimę, pomyślał Cyrus.

Zdjęła kapelusz. Jej włosy miały kolor karmelu.

- Potrzebny mi pokój - powiedziała najlepszą perszczyzną, na jaką ją było stać.

Cyrus Wspaniały jej nie zrozumiał.

- Potrzebny mi pokój - powtórzyła po rosyjsku.

Rozpoznał ten język i zaklął z powodu swojego pecha.

- Cholera! - wykrzyknął po persku. - To wróg!... Nie mam wolnych miejsc - oznajmił po persku i odwrócił się, żeby odejść. Złapała go za rękę.

- Nie mam wolnych miejsc - powtórzył po francusku, a potem po angielsku.

Włożyła jego rękę między swoje uda, gdzie była ciepła i naga, a potem całowała go niezmiernie długo - aż myślał, że roztopi się od żaru jej skóry. Zerwał z niej bluzkę, uniósł ją, a ona nogami objęła go w pasie. Kiedy spostrzegł, że sąsiedzi gapią się na niego, był już po uszy zakochany i we władzy magii Lali.

Nigdy się z nią nie ożenił - nie mógłby ożenić się z wrogiem - ale mieszkali razem przez trzy lata i ona co miesiąc groziła, że odejdzie. Cyrus Wspaniały tak był nią zauroczony, że nie sypiał w nocy bojąc się, że gdy rano otworzy oczy, mógłby jej już nie zobaczyć. Dla udowodnienia swojej miłości przepisał na nią kamienicę. Wkrótce potem Lala znalazła sobie

innego kochanka.

Przyprowadziła go i zamieszkała z nim w mieszkaniu Cyrusa Wspaniałego, zmieniawszy wszystkie zamki. Znowu była zima; Cyrus tak długo walił w drzwi pięściami, aż je sobie posiniaczył i okropnie się zmęczył.

Kuląc się przed wiatrem w swojej beżowej tweedowej marynarce i wyścigowych rękawiczkach, chodził po ulicach, póki ból z powodu zdrady Lali nie przeniósł mu się z klatki piersiowej do żołądka. Nie mógł stanąć przed rodzicami. Zjawił się natomiast u drzwi Pawicy. Był blady i śmiał się zbyt głośno.

- Cholerni Rosjanie! - powiedział, wchodząc do środka. - Za każdym razem cię dopadną.

Jasmine osłabiona po porodzie zamknęła oczy i pozwoliła, by obawa przed głosem Naimy przeniknęła ją jak trucizna.

- Mamy syna! - krzyczała Naima, jakby to ona była matką tego dziecka. Lecz Jasmine mówiła sobie: niech jej będzie.

- Zawołaj mamkę - rozkazała Naima kuzynce asystującej przy porodzie. - Powiedz jej, żeby przybiegła nakarmić dziedzica Beszarata Chana.

Postarała się o mamkę na długo przed porodem, przeegzaminowała z tuzin ciężarnych kobiet, które miały rodzić w tym samym czasie co Jasmine. Chciała, żeby to była kobieta zdrowa, która wcześniej nie miała dzieci - bo te pozbawiłyby ją sił - i żeby zgodziła się z nią konspirować i trzymać dziecko z dala od matki. Nie mówiła nic o mamce Beszaratowi; bała się, że będzie się sprzeciwiał, upierał, że Jasmine powinna karmić własne dziecko.

- Ale to niemożliwe - sprzeczała się z nim teraz w obecności wszystkich świadków. - Ta kobieta jest obca. Jeśli twój syn będzie pić jej mleko, stanie się dla ciebie obcy. Będzie wyznawcą Chrystusa i wrogiem Żydów. Ona go nasączy swoją trucizną i dziecko wyrośnie w nienawiści do ciebie i nas wszystkich.

Jasmine udawała, że śpi, i słuchała Naimy, tym razem modląc się, by przekonała Beszarata. Nagle poczuła ciepło na piersiach; Beszarat Bękart zabrał chłopca Naimie i położył go jej przy piersi.

Trzymał Jasmine w pokoju na parterze; odwiedzał ją każdego ranka, w południe i wieczorem, i choć z nią nie sypiał - kobiety podczas karmienia piersią nie zachodzą w ciążę -

traktował ją łagodnie i z dobrocią. Zabronił jej tylko mówić po francusku do chłopca: Naima sugerowała, że Jasmine mogłaby zatruć umysł dziecka i nastawić je przeciw ojcu; Beszarat z nią się zgadzał. Poproszono ją, by mówiła wyłącznie po persku, żeby Naima mogła rozumieć, gdy podsłuchiwała. W nocy pozwolono jej zatrzymać niemowlę w swoim łóżku.

Kiedy Jasmine obserwowała, jak malec rośnie, serce przepełniała jej miłość. Coraz mniej absorbowala ją myśl o wyjeździe z Iranu. Po dziesięciu latach izolacji wreszcie stała się częścią rodziny i już nie mogła znieść myśli o życiu w samotności. Rozmawiała ze służebnymi, z kucharzem, z handlarzami, którzy przychodzili do drzwi z piętrzącymi się na grzbietach kulawych osłów stertami towarów, z handlarkami, które nosiły swoją tandetę na plecach. A najwięcej rozmawiała z Pawicą, którą regularnie wzywano do domu Beszarata Bękartu i zawsze kazano przynosić identyczne rzeczy dla jego obu żon. Stopniowo Jasmine przestała słuchać wieczornych wiadomości. W nocy zamiast czekać, aż odezwie się radio Mosaddeka, zamykała okna, obserwowała śpiącego synka i żałowała, że nie może zobaczyć jego snów.

Karmiła chłopca piersią aż do drugiego roku życia. Tego lata, gdy Rosjanie wycofali się z Azerbejdżanu, znowu zaszła w ciążę.

- Daj mi chłopca - błagała męża ze łzami w oczach Naima. - Tej obcej dałeś dwoje dzieci. Jesteś mi winien przynajmniej jedno.

Beszarat Bękart przypomniał sobie o przyrzeczeniu, jakie przed laty złożył Naimie i jej Bogu: jako mąż bezpłodnej żony może ożenić się ponownie pod warunkiem, że będzie traktował jednakowo obie kobiety, będzie sypiał z obiema aż do ich starości i zmusi matkę do dzielenia się dziećmi z drugą żoną. Wziął syna od Jasmine i dał go Naimie.

Jasmine walczyła z Beszaratem o dziecko. Walczyła z Naimą i Asal oraz ich krewnymi, ale wszyscy wiedzieli, że przegra. Naima przeniosła chłopca z pokoju Jasmine do siebie. Krążyła koło niego przez cały dzień, uniemożliwiała matce najmniejszy kontakt z synkiem. W nocy, gdy chłopiec płakał i wzywał Jasmine, Naima stawała w drzwiach i nie pozwalała jej wejść do pokoju.

Jasmine więc zaatakowała ją słowami i pięściami; przewalały się po podłodze, walcząc jak zdziczałe psy, póki podrapane i krwawiące nie zostały rozdzielone przez służbę.

- Strzeż się - mówiła Naima dziecku za każdym razem, gdy zbliżała się do niego Jasmine.

- Ta kobieta jest agresywna.

Beszarat Bękart przyglądał się walce między obiema żonami i nie interweniował. Za kilka miesięcy, mówił sobie w duchu, Jasmine będzie miała następne dziecko, zajmie się nowym niemowlęciem i zawrze pokój z Naimą.

- Popelniasz niewybaczalną zbrodnię - ostrzegła Beszarata za każdym razem Pawica, gdy przychodząc do jego domu była świadkiem tej walki. - Kupujesz sobie przekleństwo, od którego nigdy nie uwolnisz się ani ty, ani twoje dzieci.

Jasmine urodziła dziewczynkę - ciemną jak Beszarat, ale o fiołkowych oczach. Beszarat Bękart cieszył się z jej urodzin i obiecał, że Naima nigdy jej nie dotknie. Dwa lata później, gdy mała została odstawiona od piersi, złamał dane słowo.

- Rób, jak uważasz - oznajmiła mu Naima z zimną krwią. - Niech ta obca wychowuje twoją córkę, ale pamiętaj, nikt nie ożeni się z dziewczyną wychowaną przez wyznawczynię Chrystusa.

Beszarat Bękart uczynił Jasmine brzemienną po raz trzeci i wtedy oddał córkę Naimie.

Pawica pobięła zobaczyć Jasmine, gdy tylko o tym usłyszała.

- Pani Jasmine - powiedziała - nie wolno tak łatwo ustępować Naimie. Musi pani walczyć z nią, walczyć z Beszaratem.

Jasmine była chłodna, blada, surowa. Stoczyła ciężką bitwę i przegrała. Teraz myślała o ucieczce.

- Musisz mi pomóc - powiedziała do Pawicy tego dnia, gdy ta przysłała ją ostrzec przed uleganiem Naimie. Wstała, podeszła do drzwi, spojrzała przez szparę, po czym otworzyła i wyjrzała, czy nikt nie podsłuchuje. Nikogo nie było. Nawet Naima nie ważyła się szpiegować Pawicy.

Wróciła i usiadła blisko niej. Wargi miała blade, oczy jakby pozbawione koloru.

- Muszę wyjechać z tego kraju - oznajmiła, zaskoczona wielkim zaufaniem, jakie poczuła do Pawicy. Popatrzyła w dół na swój brzuch. Była w trzecim miesiącu ciąży.

- Kiedy urodzi się to dziecko, muszę uciec.

Czekała na reakcję. Myślała, że Pawica będzie zdziwiona albo przerażona, albo oburzona. Tymczasem przyjęła to obojętnie - jak opowieść, którą słyszała już wiele razy.

- Potrzebuję pieniędzy - mówiła dalej Jasmine, próbując zachować nienaruszoną determinację. Pokazała Pawicy swoją ślubną obrączkę.

Przynieś mi gotówkę w zamian za ten pierścień - poprosiła. - Nie mogę go zdjąć, póki tu jestem, ale zostawię ci go, przysięgam, zanim wyjadę.

Pawica potrząsnęła głową ze współczuciem. Od lat wiedziała - każdy to wiedział - że Jasmine myśli o ucieczce. Była to naturalna reakcja i Beszarat Bękart na nią się przygotował.

- Nigdy nie będzie pani mogła wyjechać - odparła.

- Nawet mając pieniądze i paszport, nie przedostanie się pani przez granicę. Każda Iranka musi mieć pisemną zgodę swojego męża albo ojca, żeby wyjechać z kraju.

Jasmine wiedziała o wymaganej zgodzie; słyszała, jak mówiono o tym w radiu Mosaddeka.

- Od ciebie potrzebuję jedynie gotówki - powiedziała Pawicy - w takiej ilości, żebym mogła wrócić do domu do Paryża.

- Pani Jasmine - upierała się Pawica - niech pani nie porzuca swoich dzieci. Niech pani nie porzuca męża. Myśl o nich będzie panią prześladować do końca życia. W pani sercu pozostanie pusta przestrzeń wielkości ręki dziecka. Nigdy nie uda się jej wypełnić.

Jasmine cofnęła rękę i natychmiast zamknęła się w sobie, twarda i nieprzystępna.

Pawica poczuła się stara i zmęczona. Wstała i odeszła bez słowa. Jasmine słyszała, że drzwi się zamykają, ale nie odwróciła się, by popatrzeć. Zapomniała o Pawicy. Odtwarzała w myślach mapy, które jako młoda dziewczyna tak często studiowała w Europie. I oczyma duszy widziała siebie - wolną, zdrową i całą - jak odchodzi z domu Beszarata i przekracza granice Iranu w zimowym płaszczu i pantofelkach na wysokich obcasach.

W roku 1947 księżniczka Fozije porzuciła szacha; właśnie wtedy, gdy Sowieci wycofywali się z Iranu, królowa zabrała swoją jedynaczkę i wróciła do „cywilizowanego Egiptu”. Wkrótce potem bliźniacza siostra Muhammada Rezy, Aszraf, znalazła mu inną żonę: Soraję, córkę kurdyjskiego wodza plemiennego, olśniewającą piękną, którą Iran na zawsze zapamięta. Szesnastoletnia Soraja była niewinna i zniewalająca. Miała jasną karnację, wydatne kości policzkowe, czarne włosy i szmaragdowe oczy oraz królewskie maniery. Lubiła krokodyle; ludzie mówili, że trzyma je w pałacu jako domowe pieszczochy.

Szach poślubił Soraję i wychynął ze swojego pałacu, by rządzić. I wtedy odkrył, że w

jego kraju panuje głód. W roku 1945 Iran nie miał ani żywności, ani przychodów. W roku 1950 brakowało nawet chleba.

Lecz bieda, jak wiedział szach, była w dużej mierze sztuczna. Iran miał złoża ropy naftowej - ropy wydobywanej, rafinowanej i sprzedawanej przez Anglików. Koncesję na jej wydobycie odstąpili Anglikom Kadżarowie, a ci zatrzymywali dla siebie osiemdziesiąt procent zysków ze sprzedaży irańskiej ropy. Teraz, gdy Iran głodował, twierdzili, że to kraj o dużym ryzyku, i odmawiali kredytów.

Szach udał się do nich - uprzejmie - i poprosił o podział pieniędzy ze sprzedaży ropy naftowej na sprawiedliwszych zasadach. zaproponował formułę pół na pół. Brytyjczycy go wysmiali. Oświadczyli, że Anglo-Irańska Kompania Naftowa wydobywa irańską ropę, oczyszcza ją i sprzedaje. Bez angielskiej technologii Iran musiałby zostawić swoją ropę w ziemi i utraciłby nawet te dwadzieścia procent zysków.

Szach wrócił do domu z pustymi rękami i przygotował się na głód. Uczynił, co było w jego mocy, jak oznajmił narodowi. Nic więcej nie da się zrobić.

Wtedy w parlamencie ruszył do boju stary wróg szacha Rezy, doktor Mosaddek. W roku 1944 wystąpił z projektem ustawy zabraniającej rządowi irańskiemu negocjowania z obcym państwem jakichkolwiek umów dotyczących ropy naftowej bez uprzedniej zgody parlamentu. Teraz wobec niechęci szacha do konfrontacji z Brytyjczykami Mosaddek stanął przed narodem i wykrzyknął słowa, które wstrząsnęły światem:

- Znacjonalizować złoża ropy naftowej!

Jasmine urodziła znowu córkę - też ciemną - ale tym razem gdy przyniesiono jej dziecko do karmienia, odmówiła. Zakryła obie piersi dłońmi, zamknęła oczy i zagryzała wargę, gdy niemowlę płakało u niej na kolanach, domagając się jedzenia. Przyszedł Beszarat Bękart i kazał jej się zachowywać jak na matkę przystało, Jasmine jednak ani drgnęła. Usiłował ją zmusić, lecz daremnie. Nawet kiedy odciągnęli jej ręce od piersi, szarpała się tak mocno, że wystraszyła dziecko i nie mogło ssać. Walczyli przez dwa dni. Potem Beszarat Bękart poddał się i wynajął mamkę.

- Nie jesteś matką - powiedział żonie - tylko wiedźmą.

Jasmine zostawiła dzieci i przeniosła się z powrotem do swojego dawnego pokoju na drugim piętrze. Wydał jej się mały, smutny i zakurzony. Nie ma to znaczenia - powiedziała sobie

w duchu. Nie pozostanie w nim długo.

Mosaddek zyskał w parlamencie poparcie dla swojego planu nacjonalizacji złóż ropy naftowej. Wezwał szacha, żeby wypowiedział się w tej sprawie.

Szach Muhammad Reza opowiedział się przeciwko.

Nacjonalizacja, oświadczył, jest nielegalna i rozżłości Brytyjczyków. Jest to również rzecz nierozsądna, ponieważ bez doświadczenia cudzoziemców Iran utraci nawet te niewielkie należne mu dochody.

- Zdrajca! - Jasmine słyszała teraz głos Mosaddeka transmitowany przez to samo radio, którego słuchał co noc od dziesięciu lat. Oskarżał szacha o tchórzostwo, wysługiwanie się Brytyjczykom kosztem własnego narodu, kosztem dumy i niepodległości Persów, kosztem ludzkiej godności.

- Umrzycmy z głodu! - krzyczał w czasie przejmujących, dramatycznych przemówień. Nieraz tak się podniecał ulegając własnej wizji, że padał na ziemię bez przytomności i współpracownicy musieli go wynosić.

- Umrzycmy wszyscy z głodu! Niech Anglicy odejdą i zabiorą swoich inżynierów. Niech jedno pokolenie Irańczyków poświęci się i odzyska nasze narodowe bogactwo.

Potem przyjmował dziennikarzy i fotografów w swoim domu. Jasmine widziała, jak wchodzili tam jeden po drugim. Słyszała Mosaddeka wykrzykującego do nich o koncepcjach nacjonalizmu. Pojawiał się w piżamie, siadał po turecku na łóżku i przemawiał tak żarliwie, że Jasmine czuła, jak ulica ożywa pod wpływem jego słów. Nie ma znaczenia, perorował, że dwa lub trzy pokolenia Irańczyków będą klepać biedę. A jeszcze mniejsze znaczenie ma to, że nie będzie tu Anglików, by pompować ropę z ziemi. Niech ropa naftowa tam zostanie. Nadejdzie czas, gdy Iran wyszkoli własnych ekspertów i sprawi, że panami tego kraju staną się jego dzieci.

Mówił szczerze, podniecony potrząsał łysą stożkową głową, twarz miał zaczerwienioną z pasji i błyskawicznie pozyskiwał sympatię najzacieklejszych krytyków. Przejął już kontrolę w parlamencie, a teraz zdobywał naród.

W marcu 1952 roku Mosaddek wezwał do strajku robotników rafinerii w Abadanie. W Teheranie zmusił pięciu kolejnych premierów do rezygnacji i sam objął to stanowisko. Żądny sukcesu sprzymierzył się z jedyną zorganizowaną siłą polityczną Iranu: z komunistyczną partią Tude, która podzielała wrogość Mosaddeka do Brytyjczyków. Był to krok desperacki - wyraźny

sojusz ze Związkiem Radzieckim - ale w ogniu walki Mosaddek stracił z oczu swoje nacjonalistyczne marzenia i nade wszystko pragnął zwyciężyć. Wywłaszczył Anglo-Irańską Kompanię Naftową i odesłał do domu angielskich inżynierów.

Nieoczekiwanie Brytyjczycy zgłosili gotowość do rozmów. Mosaddek odmówił. Rządził krajem; odrzucił wszelkie pozory. Zamknął szacha w pałacu i otoczył go wiernymi sobie żołnierzami. Zesłał członków rodziny królewskiej - wśród nich Aszraf - na wygnanie do Europy i Ameryki. Obawiając się zamachu, obstawił całą ulicę Pałacową i swój dom żołnierzami.

- Wkrótce będzie wojna - ostrzegał Beszarat Bękart gości zbierających się u niego na parterze. Przez cały ten rok dom był pełen sąsiadów, przyjaciół i ciekawskich krewnych, którzy schodzili się tu obserwować, co się dzieje u Mosaddeka. Beszarat Bękart tak był pewien swoich przewidywań, że podjął już odpowiednie kroki, by chronić swoje domostwo przed bojówkarzami z Tude i wojskiem brytyjskim: rozciągnął druty kolczaste na szczycie ceglanoego muru, którym otoczony był dom. Okna wyposażył w okiennice, zakupił zamki i drewniane drągi do zaryglowania wszystkich drzwi. Zappełnił piwnicę zapasami żywności, które mogły wystarczyć rodzinie na trzy miesiące.

- Mosaddek zantagonizował Brytyjczyków - ostrzegał Beszarat swoich gości - i teraz dojdzie do wojny.

Na górze Jasmine wycierała ręką kurz z szyby w oknie. Przez oczyszczony kawałek obserwowała żołnierzy pełniących wartę wokół domu Mosaddeka i myślała o chwili, gdy sięgną po broń. Ona też liczyła na wojnę - w dniu gdy Iran pograży się w chaosie, policja i wojsko będą pochłonięte walką i utracą kontrolę nad obywatelami. Wtedy Jasmine w pantoflach na wysokich obcasach i zimowym palcie ucieknie przez ulice Teheranu za granice miasta i dalej na północ do Rosji, dokąd przed laty przy płynęła statkiem z Francji.

Beszarat Bękart wrócił do domu godzinę po wyjściu do biura. Wskoczył z auta i zwolnił szofera.

- Nie będę cię potrzebował przez kilka dni.

Zabrał mu kluczyki i wsunął w dłoń garść banknotów, znacznie więcej niż tygodniowy zarobek. Pchnął szofera ku drzwiom, po czym zamknął bramę.

Wszedł do domu i zawołał Naime.

- Odeślij służące do domów! - polecił, pędząc w stronę kuchni i tylnego podwórka, gdzie

pracowała służba. Naima pobiegła za nim. Kazał służącym i kucharzowi natychmiast opuścić dom. Wszystkim zapłacił - okup, pomyślała Naima, mający pohamować ich niechęć do panów, a może nawet wzbudzić poczucie lojalności. Kiedy cała służba opuściła dom, Beszarat Bękart pozamykał wszystkie drzwi i zabarykadował je długimi drewnianymi drągami. Pozabijał gwoździami okiennice i przykazał dzieciom trzymać się z dala od szpar w drzwiach i oknach: członkowie partii Tude, jak wiadomo, byli bezlitośni i nie oszczędzali niewinnych. Od tygodni chodzili po ulicach i zastraszali obywateli, żeby zyskać poparcie. Zatrzymywali się pod każdym domem i wpychali rzeźnicze noże przez szpary w drzwiach i oknach, dżgając niczego nie podejrzewających mieszkańców.

Beszarat Bękart opróżnił sejf w swoim pokoju i ukrył jego zawartość w workach z mąką przechowywanych w piwnicy. Zwinął cenniejsze dywany z podłóg i ścian i zaciągnął je o trzy kondygnacje wyżej do składziku pod dachem. Na koniec wezwał domowników i z drzeniem zakomunikował im nowinę:

- Szach uciekł z kraju. Będzie masakra.

Latem roku 1953 z bliźniaczą siostrą szacha, Aszraf, przebywającą na emigracji w Europie, skontaktowali się ludzie z amerykańskiej CIA. Prosił, żeby wróciła do Iranu, przekradła się do pałacu, w którym szach był otoczony żołnierzami Mosaddeka, i przekazała wiadomość Jego Wysokości. Aszraf - odważniejsza i bardziej bezwzględna z bliźniąt - zgodziła się to zrobić. Wróciła do Iranu z pomocą przyjaciół, dotarła do królowej Sorai i wręczyła jej list, którego treści nigdy w pełni nie ujawniono. Dwa tygodnie później szach z Sorają wsiedli do małego samolotu i pod osłoną nocy opuścili Iran. Polecieli do Bagdadu, a stamtąd do Rzymu. Po nich wkroczyła do akcji CIA, by walczyć z Rosjanami.

Nie przywieźli żołnierzy; najęli wojsko w Iranie. Płacili głodującym bezrobotnym Irańczykom, żeby demonstrowali poparcie dla szacha. Uzyskali pomoc Szabana Bezmóznego, przywódcy związku robotników w Teheranie. Szaban nosił ze sobą pliki banknotów, które wręczał każdemu, kto oświadczy, że jest zwolennikiem monarchii. Wydał tyle pieniędzy i poruszył takie siły, że Mosaddek się przeraził.

- CIA przybyło mnie zabić! - wykrzyknął.

Nie był już odważnym człowiekiem o sercu nie znającym lęku. Uciekł do domu - ten weteran więzień szacha Rezy, gotów poświęcić trzy pokolenia Irańczyków z powodu dumy - i otoczył się uzbrojonymi żołnierzami. Na ulicach doszło do walk między Tude a nowo zyskanymi

zwolennikami szacha.

Jasmine nie spała od trzech nocy. Trwała przy oknie w wyjściowym ubraniu i pantoflach i obserwowała wszystko, co się działo na ulicy. Nie miała pieniędzy; nie widziała Pawicy od dnia, gdy ta przysłała ją ostrzec, by nie odchodziła. Powiedziała sobie jednak w duchu, że sprzeda gdzie indziej obrączkę i wystarczy jej pieniędzy na jedzenie przez parę tygodni i na bilet.

Przede wszystkim unikała widywania swoich dzieci.

Rankiem 19 sierpnia 1953 roku ujrzała amerykańskie czołgi jadące ulicą Pałacową w stronę domu Mosaddeka.

- Mój Boże, stało się! - krzychała na dole Naima, biegając w kółko jak ślepa mysz.

Na ulicy wybuchła strzelanina. Jasmine widziała z okna, jak Mosaddek wspina się na dach domu i czmycha niczym złodziejasek. Widziała bojówkarzy Tude uciekających przed amerykańskimi czołgami. Szukając schronienia, włązili na mur domu Beszarata Bękart, przedzierali się przez drut kolczasty i lądowali w ogrodzie z zakrwawionymi ubraniami i strzępami ciała zwisającymi z rąk i twarzy. Potem przebiegli przez zakurzony, wyschnięty ogród różany i wyłamali drzwi do domu. Jasmine była gotowa. Chwyła palto i pobiegła.

Na dole usłyszała płacz swoich dzieci. Zamajaczył jej Beszarat Bękart z synem i starszą córką na rękach, który szukał ucieczki przed nacierającą tłuszcą z Tude.

- Jasmine! - zawołał, a w jego głosie, co ją przeraziło, dźwięczała ta sama niecierpliwość, z którą zwracał się do niej w Paryżu. - Jasmine!

Wyszła za drzwi. Na ulicy przedzierała się przez motłoch, oślepią strachem i kurzem, ogłuszona strzelaniną i łoskotem nadjeżdżających czołgów.

- Cofnąć się! - krzyknął ktoś do niej, ale biegła dalej.

- Cofnąć się!

Czołg wystrzelił. Siła eksplozji zwała ją z nóg i odrzuciła na odległość kilku metrów, tak że wylądowała w rynsztoku. Światło dnia buchnęło płomieniami. Słyszała krzyki rannych i czuła ogień wokół siebie. Dom Mosaddeka był na pół zrujnowany. Ludzie z Tude uciekli.

Leżąc na ziemi, obserwowała pole bitwy na ulicy Parkowej i pierwszy raz od wyjazdu z Paryża zrozumiała, że nie może tam wrócić. - Jest jak to - powiedziała sobie.

- Cały w gruzach.

Widziała ulice prowadzące donikąd, budynki zamieszkane przez szczury, zdewastowane pomniki. Widziała inwalidów nadal odczuwających ból w członkach, których już nie mieli,

kobiety dygocące i konające w ogonkach po żywność. Widziała mieszkanie rodziców pełne pajęczyn i suknie matki zjedzone przez mole.

Za późno.

Powlokła się z powrotem do domu Beszarata Bəkarta i pogodziła ze swoim więzieniem.

Cyrus Wspaniały mieszkał u Pawicy przez rok - dopóki Lala nie odsprzedała Heszmat ukradzonej mu kamienicy. Wynajął swoje dawne mieszkanie od matki, ale wszędzie widział pamiątki po Lali. Nienawidził jej i tęsknił za nią jednocześnie. Przyjąłby ją z powrotem - a nawet się z nią ożenił, żeby tylko go znowu nie porzuciła - ale Lala nie przychodziła i Cyrus żywił coraz większą urazę. Kierował swój gniew nie przeciwko niej, lecz przeciw Rosji. Po klęsce przewrotu Mosaddeka, kiedy Amerykanie sprowadzili szacha i raz jeszcze zrobili go królem, Cyrus Wspaniały obserwował z niezmierną przyjemnością rozprawę z członkami partii Tude i innymi sympatykami komunizmu. Mówił sobie: oto szach mści się za niego.

Szach wrócił do Iranu zdecydowany utrzymać kontrolę w państwie. Pojmał Mosaddeka i osadził w areszcie domowym - bał się go zabić, żeby nie zrobić z niego męczennika - a potem przystąpił do oczyszczania kraju z opozycji. Zaareztował tysiąc oficerów, zarzucając im spisek i podburzanie. W miastach wyznaczył gubernatorów wojskowych, którzy mieli szukać komunistów w każdym domu. Codziennie urządzano obławy i zabierano podejrzanych do więzienia. Procesy trwały krótko, wyroki ustalano z góry. Adwokaci nastawieni życzliwie do swoich klientów narażali się na to, że sami staną się podejrzani. Sędziów, którzy nie orzekali surowych wyroków, przesłuchiowano i znieważano.

W okresie rozpraw i czystek Cyrus Wspaniały poczuł, że jego gniew powoli ustępuje i rana zaczyna się zasklepieć. Nadal gardził Rosją, ale zapomniał o zdradzie Lali i wybrał się szukać jej w domu, który kupiła za pieniądze ze sprzedaży kamienicy. Mieszkała tam ze swoim nowym kochankiem. Kazała służbie pobić Cyrusa, jeśli kiedykolwiek przyjdzie ją o coś prosić.

Nigdy nie otrząsnął się z poniżenia, jakiego doznał w konfrontacji ze służącymi Lali. Pozostał jednak w Iranie i powiedział sobie, że nigdy nie wyjedzie. Kochał nadal Amerykę, ale nie mógł znieść myśli, że byłby tak daleko od Lali.

Przyciągała go rosnąca liczba Amerykanów, którzy przyjechali do Iranu po roku 1953. Byli to doradcy techniczni i wojskowi. Ściągali swoje rodziny i zamieszkiwali w luksusowych

enklawach zbudowanych w najbardziej renomowanych dzielnicach miasta. Mieli swoją muzykę, swoje szkoły i swoje filmy. Kiedy w Teheranie otwarto pierwsze kino i wyświetlano amerykański western, Cyrus Wspaniały miał uczucie, że rodzi się na nowo.

Oglądał ten film po raz siódmy wraz z grupką śmiałych młodzieńców, którzy przynosili własne krzesła (kino zapewniało miejsca do siedzenia wyłącznie na podłodze), gdy wkroczyła matka któregoś z nich i wyciągnęła syna z sali. W ciągu paru minut wpadli tam rozgorączkowany rodzice, próbując ratować swoje dzieci przed złem kina: miejscowy mułła, jak się niebawem dowiedział Cyrus, ogłosił, że filmy są bezbożne.

- Postaci na ekranie ożywają - oznajmił mułła tego dnia podczas popołudniowych modłów - bo wyciągają dusze z ludzi na widowni.

Nie było sensu kwestionować tej opinii; mułła, o którym mowa, potwierdził to orzeczenie u swego przełożonego, a ten z kolei zapytał Boga we śnie.

- To zrozumiałe - argumentował przełożony mułły w obronie tej teorii. - Jakżeby inaczej ci amerykańscy aktorzy nauczyli się nagle mówić po persku?

Kino zamknięto i pozostałoby zamknięte, gdyby nie protesty wielu młodych ludzi z bardziej wykształconych rodzin. Właściciel uległ wreszcie własnej chciwości i otworzył je znowu, wyświetlając inny film. Tym razem sala się zappełniła. Każdy, kto choć trochę lubił ryzyko, przyszedł gnany ciekawością, czy rzeczywiście dusze wyciągane są z żywych.

W dniu pierwszej projekcji Cyrus Wspaniały wstał na hymn państwowy, siedział w czasie kroniki filmowej i obejrzał cały film bez incydentów. Kiedy zapalono światła, wszyscy zabrali krzesła i kanapki i wyszli gęsiego na ulicę, gdzie tłum przyjaciół oczekiwał na skutki zetknięcia się z filmem. Rozmawiali jeszcze w uliczce, gdy zjawił się właściciel. Wyglądał tak, jakby ukąsił go skorpion.

- Boże, dopomóż mi - szepnął do Cyrusa Wspaniałego. - Na sali siedzi trup.

I tak kino zostało zamknięte na czas nieokreślony, a Cyrus Wspaniały poczuł w życiu pustkę, której nie umiał wypełnić. W roku 1960, zlakniony powtórnych emocji filmowych, wybrał się do Amerykańskiej Szkoły w Teheranie i spytał o kurs aktorski. Jak mu powiedziano, szkoła nie prowadzi takiego kursu. Najbardziej zbliżone do niego były zajęcia z historii. Cyrus Wspaniały zapisał się więc na nie i poznał „Pannę Jansen z Hollywood”.

Była nauczycielką historii na trzyletnim kontrakcie w Teheranie. Nie była ani piękna, ani

reprezentacyjna, ani drapieżna jak Lala. Miała płaski biust, chude nogi, nijakie blond włosy.

Cyrus Wspaniały widział, że nie jest ładna, ale i tak go pociągała. Była Amerykanką - przeciwniczką polityczną Lali; pomyślał, że jeśli się z nią ożeni, będzie mógł zapomnieć o Lali i zdobyć się na odwagę, by wyjechać z Iranu.

Zaprosił ją do siebie i pokazał jej pocztówki, które zbierał podczas wojny. Ona przyniosła gramofon i puszczała mu amerykańskie płyty. Kochali się. Potem powiedziała, że był wspaniały. Lepszy od amerykańskich mężczyzn - chwalił się później przyjacielom Cyrus. Wiedział, że mu pochlebiała, bo była dziewicą, zanim się z nim przespała, nie miała zatem skali porównawczej. Podobała mu się jej życzliwość.

- Panna Jansen z Hollywood - przedstawiał ją swoim znajomym - z krainy potentatów i gwiazd filmowych.

Poszedł odwiedzić matkę i oznajmił jej, że się żeni z panną Jansen.

- Ale ona jest chrześcijanką! - wykrzyknęła Heszmat. - Żydzi nie żenią się z chrześcijankami!

Cyrus Wspaniały ożenił się z Panną Jansen z Hollywood i oświadczył jej, że razem z nią wróci do Ameryki. Był rok 1964 i świat, jak lubił mówić Cyrus, stał znowu na progu przemian.

*

Ruchullah Duch Allaha urodził się w małej chałupce zbudowanej z cegieł z błota w wiejskim miasteczku Chomein. Jego ojciec, mułła z klanu Musawi, był ubogi, ale wpływowy. Twierdził, że jest potomkiem proroka Mahometa. Nosił czarny turban; pomniejsi duchowni nosili białe.

Dzieciństwo Ruchullaha Ducha Allaha upłynęło w czasach zamętu rewolucji konstytucyjnej. W roku 1921 przeniósł się z Chomeinu do Gomu, gdzie studiował teologię i uczył się wygłaszać kazania. Tam też usłyszał o dawnym kozaku, Rezie Chanie Maximie, który został wyniesiony na szczyty władzy w Persji. Ruchullahowi Duchowi Allaha nigdy nie podobali się ani kozacy, ani rząd. Wiedział, że będzie gardził Rezą Chanem.

Pozostał w Gomie i kontynuował studia. Widział, jak szach Reza każe wytyczać ulice przez meczety i bazy, zamyka szkoły religijne, powołuje młodych Irańczyków - żołnierzy mułłów - do swojego wojska. Ruchullah zaczął piętnować go w kazaniach. Dobiwszy do trzydziestki, ożenił się z Batul, trzynastoletnią córką wpływowego teherańskiego mułły. Później otrzymał tytuł ajatollaha - Wyobrażenia Boga. Kiedy Reza Chan wprowadził prawo nakazujące

każdemu obywatelowi przybranie nazwiska, Ruchullah Duch Allaha wybrał sobie nazwisko Chomeini.

Widział, jak szach Reza gubi siebie, sprzeciwiając się Rosjanom. Ruchullah Duch Allaha uważał, że on poradziłby sobie lepiej: szach Reza miał pod swoimi rozkazami jedynie wojsko, a on rozkazywał niebu i piekłu.

W roku 1941 opublikował książkę pod tytułem „Ujawnione tajemnice”, w której zaatakował monarchię i jej sługusów. Przez następne dziesięciolecie propagował żarliwe przestrzeganie przez każdego obywatela nakazów islamu w życiu codziennym, głosił pogląd, że duchowieństwo powinno zajmować się zarówno polityką, jak i sprawami społecznymi. Wygłaszał przez dziesięć lat kazania, lecz w latach pięćdziesiątych jego głos utonął w zgiełku rebelii Mosaddeka. Ruchullah Duch Allaha niepokoił się i niecierpliwił coraz bardziej. Byłby podjął próbę zdobycia władzy w Iranie, ale Amerykanie znowu sprowadzili szacha.

W ciągu dziesięciu lat od przewrotu Mosaddeka Iran wzbogacił się na ropie naftowej. Szach nie nalegał na upaństwowienie; dzielił się pół na pół zyskami z konsorcjum kompanii brytyjskich, europejskich i amerykańskich. Niemniej udział Iranu wzrósł z 34 do 437 milionów dolarów. Z tych pieniędzy szach odbudował armię zniszczoną przez okupację, zakładał szkoły i szpitale, budował drogi i tamy. Zapewnił pracę, edukację i publiczny system ochrony zdrowia. Siedemset lat po szyickim przewrocie Iran znalazł się znowu na drodze postępu, powiedział.

Lecz oczekiwania ludzkie rosły szybciej, niż szach mógł je spełnić. Ci, którym najbardziej sprzyjało szczęście, wyprowadzili się z ruder i rozstali z biedą. Z dnia na dzień powstała warstwa milionerów. Mieszkali w pałacach, jeździli amerykańskimi samochodami i co lato wybierali się na zakupy do Paryża i Rzymu. Zaniechali praktyk religijnych, nigdy nie chodzili do meczetu. Świecili Boże Narodzenie: podobała im się choinka, lampki i zabawny staruszek w czerwonym płaszczu.

W wielu prowincjach rolnicy, pasterze i małomiasteczkowi kupcy, słysząc o nowym bogactwie, brali na plecy swój dobytek i wędrowali do miast. Widzieli pałace, ale gdy szukali lokum dla siebie, zmuszeni byli udać się do dzielnic nędzy, do domów z blaszanych puszek i tektury, do dawnego getta opuszczonego teraz przez Żydów, do nor wykopanych w ziemi albo do drewnianych skrzynek.

- Rozejrzyjcie się wokół siebie! - wołał w meczecie Ruchullah Duch Allaha. - Szach nie dał muzułmanom niczego prócz cierpień, wstydu i degeneracji moralnej. Sprzymierzył się z niewiernymi, wzbogacił na koszt innych.

Rodzina królewska, składająca się z sześćdziesięciu osób: książąt, księżniczek i kuzynów, była najbogatsza w Iranie. Fundacja Pahlawich, na czele której stała księżniczka Aszraf, miała udziały w najbardziej intratnych przedsiębiorstwach i umożliwiała do nich dostęp wyłącznie osobom przez siebie faworyzowanym. Krewni szacha zawiadywali wszystkimi aspektami życia finansowego w Iranie. Postępowali arbitralnie, brali to, co chcieli, nie troszcząc się nawet o stworzenie prawa, które by im na to pozwalało. Jeździli w północne lasy na polowania i żeby znaleźć nowy piękny teren na zbudowanie willi. Ziemi nie kupowali, konfiskowali wiele akrów, chcąc zapewnić sobie odosobnienie.

- Rozejrzyjcie się wokół siebie! - wołał Chomeini.

W roku 1958 szach rozwiódł się z Sorają po bezdzietnym małżeństwie, poślubił trzecią żonę - Farah - i spłodził z nią syna. Pewny swojej potęgi, wystąpił bardziej zdecydowanie przeciwko duchowieństwu: zabrał mułom ziemie, żeby dać je rolnikom. Nawiązał bliższe więzi z USA i dał kobietom prawa wyborcze.

Ruchullah Duch Allaha w roku 1964 wezwał do demonstracji przeciwko szachowi. Ulice natychmiast wypełniły się jego uczniami. Chomeini przemawiał do tłumów, dając upust swemu gniewowi.

- Błagam cię - ostrzegł szacha - szanuj władzę religijne.

Szach uspokoił Chomeiniego i wysłał go na emigrację do Turcji. Chomeini jednak udał się do Iraku i stamtąd odnowił kontakty z uczniami w Iranie, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych szerzyli jego przesłanie w kraju. Działali poprzez sieć meczetów i zgromadzeń religijnych, później zaczęli rozprowadzać kazania imama nagrane na taśmy. Szach musi zostać obalony, twierdził uparcie Chomeini.

- Wcześniej lub później - ostrzegał krewnych Cyrus Wspaniały w zaciszu pokoju, z dala od uszu szpiegów szacha - wcześniej lub później mułowie pokonają szacha. Zawsze tak było, a gdy tak się stanie, niech Bóg dopomoże Żydom.

Oznajmił żonie, że wyjeżdżają do Ameryki, i kupił dwa bilety do Hollywood. Byli

spakowani i gotowi do wyjazdu, gdy wróciła Lala.

Była zima roku 1965. Panna Jan sen z Hollywood spędziła cały dzień kupując pamiątki, które chciała zabrać do Ameryki. Wróciwszy do domu, poczuła lekki zapach perfum. Przeszła przez korytarz w ciężkiej ciszy, odnosząc wrażenie, że weszła nieproszona do obcego domu. W rzeźbione dębowe drzwi do salonu wstawiona była duża tafła trawionego szkła. Przez nie Panna Jansen z Hollywood ujrzała koniec swojego życia.

Cyrus Wspaniały stał blady i nieruchomy naprzeciw kobiety w letniej sukience, o upojnych oczach i szkarłatnych wargach. Panna Jansen z Hollywood nie widziała nigdy Lali. Zobaczyła przerażenie na twarzy męża i rozpoznała nieprzyjaciela.

Tkwiła jak skamieniała w przedpokoju. Czowała dziwne gorąco - jakby nagle całe powietrze uciekło, a ona stała przy rozgrzanym piecu w upalne lato. Pot ściekał jej na twarz i po brodzie. Zdjęła płaszcz z jagnięcej skóry, ale sukienka lepiła się do ciała, a buty zamieniły w małe waniutki wody.

Cyrus Wspaniały podszedł do Lali i stanął tak blisko, że niemal stykali się czołami. Podniósł rękę, żeby jej dotknąć. Lala zamknęła oczy. Już miał je pocałować, ale się powstrzymał. Wyszedł pospiesznie z salonu, nie zauważył nawet Panny Jansen, gdy ją mijał. Lala trwała w bezruchu. Przeżyła wstrząs - została odrzucona, gdy zupełnie się tego nie spodziewała. Kiedy wreszcie zmobilizowała się, żeby wyjść, z jej twarzy zniknęło całe piękno. Przeszła wolno koło Panny Jansen, otworzyła drzwi i wyszła na dwór. Było zimno; Lala zadrżała w swojej letniej sukience.

W ciągu dni i tygodni po spotkaniu z Lalą Cyrus Wspaniały czuł się chory i rozdrażniony. Przesiadywał wciąż w domu, jakby obawiając się, że gdy z niego wyjdzie, natknie się na ulicy na Lalę. Jakby był pewien, że nie miałby siły oprzeć się jej po raz drugi. Rano przed zaplanowanym wyjazdem do Ameryki posłał po rodzinę, prosząc, by przyszła pożegnać się z nim u niego w domu. Uściskał braci, siostry i wszystkie dzieci. Popłakał się na ramieniu Pawicy. Potem wsiadł do taksówki obok swojej amerykańskiej żony i odjechał na lotnisko. Później nawet nie spojrzał w dół, by popatrzeć na swój dom i swój kraj znikający pod skrzydłami samolotu. Był rok 1965 - początek dziesięciolecia świetności Iranu - lecz Cyrus Wspaniały wiedział, że nigdy tutaj nie wróci.

Beszarat Bękart stał się bogaty w czasach boomu naftowego - tak bogaty, że najął sześciu

księgowych, których jedynym zadaniem było uaktualnianie stanu jego dochodów. Zaczął od sprzedawania importowanych papierosów, a po przewrocie Mosaddeka poszerzył swoją działalność na inne branże: elektroniczny sprzęt gospodarstwa domowego, samochody i maszyny przemysłowe. Na wszystko to w Iranie był rozległy i chłonny rynek. Beszarat Bękart zajmował jedenastopiętrowy budynek, w którym miał centralę, zatrudniał trzysta rodzin, przekupywał niezliczonych urzędników i zarezerwował dla swoich towarów całe nabrzeże w urzędzie celnym południowego Iranu. A jednak co wieczór, gdy wyszedłszy z biura siedział na tylnym siedzeniu prowadzonego przez szofera mercedesa z tapicerką z tygryziej skóry, modlił się na głos o śmierć we śnie tej nocy.

W roku 1953 Jasmine wróciła do domu i znowu zaczęła walkę z Naimą. Nie wygrała jej, ale zatruła atmosferę swoją złością i w końcu odebrała Beszaratowi przyjemność, jaką mogli mu dać dzieci. Wyrastały w atmosferze wrogości i intryg, będąc obiektami rywalizacji i świadkami okrucieństw. Dziewczynki powychodziły za mąż najszybciej jak mogły. Chłopcy zostali - Naima kazała im pozostać - ale odsunęli się od obu kobiet, odcięli od własnego ojca, wstydząc się jego nazwiska. Jasmine obserwowała ich, zaciskając ze złością szczęki, i traciła po kolei zęby - mając lat czterdzieści ta kobieta, która wprawiała mężczyzn w zmieszanie swoją urodą, była bezzębna i stara.

Naima natomiast zapomniała o nienawiści i roztyła się do tego stopnia, że nie mogła już chodzić po schodach w domu przy ulicy Pałacowej. Służyła Beszaratowi z niezmiennym oddaniem, spełniała każde jego życzenie, przyjmowała z pokorą wszystkie zniewagi. Przestrzegała rytuałów oczyszczenia równie skrupulatnie jak dawniej, kładła się do jego łóżka, nawet gdy ją lekceważył. Aż do menopauzy usiłowała zająć w ciąży - piła różne mikstury i kupowała czary, odwiedzała nawet rosyjski szpital, nie prosząc o pozwolenie Beszarata Bękart.

Jasmine odkryła te szpitalne wizyty i próbowała wydać Naimę. Powiedziała Beszaratowi, że słyszała, jak Naima konferowała z doktorami przez telefon. Potem wyszła wcześniej rano, zaraz po odjeździe męża do biura, i wróciła po południu, zmęczona, blada i zapłakana. Beszarat Bękart uwierzył Jasmine, ale wcale się nie rozgniewał. Było mu żal Naimy. Wezwał ją tej nocy do swojego pokoju i oznajmił, że już się pogodził z tym stanem rzeczy. Akceptuje ją taką, jaka jest: jako kobietę, choć nie mogła mieć dzieci, przyjaciółkę, choć go okłamuje, żonę, choć zniszczyła jego uczucie do Jasmine. Zestarzeli się razem. Była jego kochanką i jego strażniczką.

Lecz ze wszystkich utraień w życiu najbardziej dręczył Beszarata kurz: zaatakował go

już w domu w Alei Tulipanów; z każdym rokiem warstwa kurzu robiła się grubsza i coraz bardziej wszechobecna. Kurz utrzymywał się w każdym kącie i na każdej półce, we frędzlach dywanów, w fałdach kotar, między prześcieradłami. Służące sprzątały rano i wieczorem, ale dom wiecznie był brudny. Zostawiały meble ustawione jak należy, a kiedy wróciły, znajdowały je w nieładzie. Zamiatały podłogi, lecz gdy tylko odłożyły szczotki, brud powracał. Naima krzyczała na służące, Beszarat wrzeszczał na matkę, nikt jednak nie mógł przegnać kurzu. Jasmine myła się cztery razy dziennie, stojąc nago w łazience i szorując skórę moką gąbką. Ledwie z niej wyszła, wyczuwała znów pył między zębami.

- To z ulicy - mówiła Naima. Aleja Tulipanów zrobiła się zatłoczona, panował na niej intensywny ruch pieszych, handlarzy i żebraków, i powiększającej się liczby samochodów. Teheran rozrastał się w kierunku pomocnym, domy w tej dzielnicy zastąpiły sklepy, warsztaty samochodowe i kabarety. W domu Beszarata kwiaty nie chciały kwitnąć, drzewa w ogóle nie rosły; posągi, które kiedyś zamawiał z taką dumą, kruszyły się i rozpadały. Baseny zarastał mech i wszystkie trucizny świata nie zdołałyby uśmiercić zab. Beszarat Bękart wyprowadził się stamtąd, ale pył podążył w jego ślady.

Na ulicy Pałacowej sąsiedzi mieszkali w nieskazitelnie czystych pokojach i kąpali się w krystalicznie czystych basenach, a gdy on odkręcił kurek, płynęła zawsze mętnozara woda. Niebieskooki Lotfi hodował storczyki i egzotyczne rośliny w swoim ogrodzie w Wanaku, Beszarat natomiast zwalniał jednego ogrodnika po drugim i nigdy nie udało mu się wyhodować choćby chwastu. Nawet po przeprowadzce do Zafaranije, najbardziej na północ wysuniętej dzielnicy Teheranu, okna jego domu pokrywała taka warstwa pyłu, że nieustannie panowały w nim ciemności.

Przeżony entropią, której nie potrafił powstrzymać, dręczony goryczą, której nie potrafił przezwyciężyć, Beszarat Bękart odszedł na emeryturę w roku 1965 i odtąd nigdy nie pojawiał się publicznie. Zamknął drzwi swojego domu przed gośćmi, pozamykał okna przed kurzem i przesiadywał samotnie przy stole - tam gdzie przed laty Matka Chłopców zebrała o jedzenie.

Narges Praczka przyjechała do Teheranu na początku lat sześćdziesiątych. Przyjechała z mężem murarzem i trójką małoletnich synków. W Teheranie urodziła czwartego i ostatniego chłopca i dała mu na imię Mehrullah - Łaska Boska - bo zbliżała się do czterdziestki, gdy go poczęła, uważała więc, że to cud.

Narges Praczka wyruszyła do Teheranu z wielkimi nadziejami. Wyśle męża do pracy, a synów do szkoły religijnej. Kupi sobie dom, będzie bogata, najmie dziewczyny do prania jej ubrań. Przestanie pracować, będzie co dzień siedzieć na słońcu i płać się w zazdrości świata. Zamiast tego musiała zamieszkać w Jamie w opuszczonej ruderze należącej kiedyś do jakiegoś Żyda. Od chwili przybycia tam aż do opuszczenia Jamy dwadzieścia lat później Narges Praczka była świecie przekonana, że będzie się smażyć w piekle - mieszkała przecież w domu, w którym kiedyś żyli niewierni. Wierzyła, że jego ściany zatrul żydowski odór. Podłoga wydawała się brudna, choćby nie wiem jak często ją szorowała. Powietrze w nim było przeklęte. Winę za to wszystko przypisywała szachowi.

Winiła szacha za to, że nie uczynił jej na tyle bogatą, by zamieszkała gdzie indziej. Winiła jego ojca za to, że wypuścił Żydów z getta i pozwolił, by muzułmanie przyszli na ich miejsce. To prawda, że w Teheranie żyło jej się lepiej, ale inni o takim jak ona statusie wzbogacili się ponad wszelką miarę: pewien pasterz był teraz właścicielem fabryk, szofer ciężarówki został dyrektorem irańskiej telewizji. Byli tacy Żydzi - Żydzi - którzy mieszkali na wzgórzach Szemiranu w domach z żeliwnymi bramami i garażami na siedem samochodów, podczas gdy bogobojni muzułmanie na nich pracowali i pozostawali niewidoczni.

- Narges Praczka była przekonana, że szach postanowił zniszczyć islam. Nie chodziło tylko o to, co zrobił dla Żydów pozwolił im się wzbogacić, wysyłać pieniądze zarobione w Iranie dzięki mozołowi Irańczyków za granicę, do Izraela, i popierać syjonistyczne imperium, które dąży do zniszczenia islamu. Nie chodziło tylko o obraźliwe traktowanie duchowieństwa albo o to, że prowadził niemoralne i bezbożne życie grał w obcych kasynach albo w swoim pałacu, sypiał z niewiernymi kobietami, gdy wyjeżdżał na narty do Francji. Nie chodziło tylko o karygodny sposób, w jaki pozwalał prowadzić się swojej siostrze Aszraf - zmieniać mężów jak spodnią bieliznę, puszczać się z każdym młodzieńcem, którego mogła złowić, a potem nagradzać dobrych kochanków amerykańskimi corvette'ami, przejmować wszystkie zyskowe przedsiębiorstwa w kraju i na domiar złego chełpić się swoimi „humanitarnymi działaniami na rzecz ubogich i uciskanych”. Nie chodziło nawet o to, że pozwolił na import pralek - takich metalowych urządzeń, które jak mówili Narges synowie, zastępują ludzi przy praniu odzieży. Nie widziała tych maszyn i nie potrafiła sobie wyobrazić, że naprawdę istnieją. Szach, jej zdaniem, posunął się znacznie dalej i popełnił czyn jeszcze bardziej kardynalny: zezwolił na telewizję.

Narges Praczka ujrzała telewizor, gdy pierwszy raz poszła prac do Teheranu - zanim

dowiedziała się, że to rzecz bezbożna. Tak była zaintrygowana tym wynalazkiem, że stała i patrzyła na mężczyznę, który siedział w środku pudła i do niej przemawiał. Nagle uświadomiła sobie tam, na środku salonu w domu, gdzie prała, że nie jest zakwefiona, ma odsłonięte włosy, zakasane rękawy, pokazuje nagie ręce. Krzyknęła i uciekła, po czym przeplakała całą noc z powodu zszarganej czci.

Mąż zabronił jej pracować w domu, gdzie mają telewizor, ale wszędzie indziej, jak wkrótce odkryła, istniał ten sam problem. Inne służące potwierdziły jej podejrzenia.

- Ten mężczyzna w pudle - mówiły - patrzy na ciebie jak pies w okresie rui.

Narges Praczka nigdy więcej nie spojrzała nawet na żaden telewizor, ale dowiedziała się potem - gdy nawet wierzący muzułmanie dali się tak omamić, że zgodzili się wpuścić do zacisza domowego obcych o złym oku - iż szach umieścił w telewizyjnych pudłach w każdym domu niezakwefione kobiety.

Niemal wszędzie, gdzie pracowała, Narges Praczka natykała się na Pawicę. Pierwszy raz zauważyła ją w Jamie - tę starą, bardzo starą kobietę o pomarszczonej skórze i zeszywniałych stawach, ubraną we wszystkie barwy diabła, gdy stała wczesnym rankiem na ulicy pod jej domem. Narges Praczka nie spotkała w życiu wielu Żydów, ale rozpoznawała ich zawsze po zapachu.

- Wynoś się, stara suko! - wrzasnęła na Pawicę przez na pół otwarte drzwi na podwórko, gdzie usiadła, żeby wypić herbatę z synami. Później tego ranka, piorąc odzież w pewnym domu w Szemiranie, podniosła głowę i zobaczyła Pawicę, która przechodziła obok niej na podwórku.

- Boże, dopomóż! - wykrzyknęła. - To duch. Widywała ją w innych domach, na ulicy, ponownie w Jamie. Pytała o nią inne służące. Potwierdziły, że Pawica jest Żydówką, mówiły, że pracowała dla szacha i jego krewnych, że zgromadziła ogromne bogactwo.

- W jej domu w Nijawaranie - powiedziały Narges - stoi kufer pełen klejnotów i ona go nawet nie zamyka.

Narges Praczka była zafascynowana Pawicą. Nie opuszczała jej myśl o klejnotach w otwartym kufrze, niczemu nie służących, skradzionych, jak przypuszczała, takim jak ona biednym muzułmankom. Nie mogła powściągnąć gniewu na widok Pawicy, która paradowała po Jamie w swoim jaskrawym maskaradowym stroju, obwieszona złotymi łańcuchami. Uśmiechała się do muzułmanów znajdujących ją z ulicy, a ci udawali się do niej - do tej Żydówki, której życie, jak wciąż twierdzili niektórzy mułlowie, warte było mniej niż życie psa - z prośbą, żeby użyła

swoich wpływów i poparła ich, pogadała ze swoją przyjaciółką, żoną ministra mieszkalnictwa, i pomogła umieścić czyjeś nazwisko na liście oczekujących na mieszkanie albo odwiedziła ministra spraw wewnętrznych i spróbowała skłonić go do przydzielenia telefonu, na który czekali już od czterech lat.

Kiedy następnym razem Pawica przyszła do Jamy, Narges Praczka zatrzymała ją pod swoim domem.

- Czego tu chcesz? - spytała. - Dlaczego tu przychodzisz?

- Mieszkałam w tym domu. - Pawica uśmiechnęła się, ukazując bezzębne dziąsła. - Mieszkałam w tej samej izbie co ty. Wracam tu, żeby nie zapomnieć.

Narges Praczka była dobrą muzułmanką i uczciwą służącą. Lecz w obliczu tego całego bogactwa, które widziała dokoła, nie mogła już ścierpieć własnego ubóstwa ani usprawiedliwić dostatku innych. Pewnego ranka wyszła z Jamy i podążyła za Pawicą aż do jej domu w Nijawaranie. Zaczekała na dworze, dopóki Pawica nie wypila herbaty i nie udała się do pracy. Wtedy sforsowała zamek w drzwiach i dostała się do środka.

Dom był niewielki, zbudowany w stylu europejskim, bez podwórka, z frontu miał ogródek, w którym Pawica hodowała miętę i jaśmin. W środku był długi, wąski korytarz z perskim dywanem na podłodze, mała kuchnia tylko z gazowym piecykiem i lodówką i dwa pokoje - jeden pusty, drugi z łóżkiem i radiem. Obok łóżka stał drewniany kufer bez zamka.

- To on! - Narges Praczka miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Uniosła wieko.

Wpatrywała się w jego zawartość, a potem sięgnęła do środka i zaczęła w nim grzebać, bo nie wierzyła własnym oczom. Wyciągnęła garść rzeczy, uniosła do światła, później wzięła więcej. Opróżniła kufer, ale wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia.

Były tam stare ubrania, postrzępione i nic nie warte - męskie spodnie, koszule i marynarki, tuzin kapeluszy, kilka chusteczek do nosa. Był nieotwarty flakonik perfum, jedwabne szaliki rozpadające się przy dotknięciu, cienkie pończochy wciąż jeszcze zapakowane, biały płócienny kitel. Były grzebienie z niebieskimi emaliowanymi rączkami, mała winylowa płyta z obrazkiem gigantycznej białej kopuły na środku, buteleczki lakieru do paznokci, puder i żółty nakręcany ptaszek, który śpiewał w klatce. Były tam stare podręczniki szkolne i fotografie kobiet w niemodnych strojach, koronkowe welony i srebrne szczotki, pozytywki szmerzące subtelne cudzoziemskie melodie, porcelanowe lalki o długich umalowanych rzęsach i lustra tak piękne, że

potrafiły okłamać.

Narges Praczka gapiła się na te rupiecie i po raz pierwszy w życiu zawstydziła się swojej nienawiści.

Dni w Teheranie były długie, hałaśliwe i przepełnione odgłosami ruchu ulicznego. Nie było brzasku ani chwil piękna i spokoju, gdy pierzchają ciemności i wschodzi słońce, a powietrze przesyca woń kwitnącego jaśminu jak w Isfahanie. W Teheranie słońce było okrutne, niecierpliwe i pozbawione wdzięku. Noc wybuchała w świetle dnia, a potem nie dało się uciec przed hałasem i tłumem, i szaleńczym pędem życia w gorączkowej pogoni. Mijały godziny, lecz dzień nadal był młody. Na ulicach gęstniał tłum, samochody wjeżdżały w nie kończących się korkach. Sklepów nie zamykano przed północą. Linie telefoniczne były zawsze zajęte. Handlarze nachodzili wszystkie domostwa. Żebracy ciągnęli przechodniów za rękawy i przeklinali ich, jeśli dostali zbyt mały datek. Dzieci wchodziły na maski samochodów i prosiły o amerykańskie papierosy. Potem zapadała wreszcie ciemność, ale na ulicach wciąż wrzało życie i nadal robiły się korki. Ludzie zasypiali wyczerpani tylko po to, by poderwać się ze snu i stwierdzić, że znów nastał dzień.

Cyrus Wspaniały słał ponagląjące listy z Hollywood.

- Musicie wyjechać z Iranu - błagał Heszmat i Pawicę. - Wcześniej czy później szach upadnie. Musicie wyjechać, zanim mułłowie przejmą władzę.

Nie zapomniał nigdy wydarzenia z kinem: zakaz oglądania filmów wydany przez jednego mułłę doprowadził do opozycji obejmującej swoim zasięgiem całe miasto i cofnięcie tego zakazu zabrało wiele lat. To właśnie wtedy, jak sobie potem uświadomił, pojął straszliwą potęgę duchowieństwa w Iranie: twierdzenie jednego mułły, że oglądanie filmów prowadzi do śmierci - bezpodstawne, jak się wydawało wszystkim absolwentom wydziału medycznego Uniwersytetu Teherańskiego - okazało się prawdą na oczach sceptyków zebranych tego popołudnia pod kinem w Alei Tulipanów. Cyrus Wspaniały pamiętał, że stał wówczas w zaułku, słyszał wrzawę, która wybuchła, kiedy wiadomość rozeszła się wśród tłumu, i moment, gdy ktoś krzyknął: „Trup! Trup w kinie!” Cała południowa część Teheranu zawrzała. Tłum zaatakował kino, niósł nad głowami zwłoki - zeszywniałe już na krześle - i ciągnął Aleję Tulipanów krzycząc: „Trup w kinie!”

Potem jakiś zły wiatr zaczął dąć w głowie Cyrusa, drażniąc go i sprawiając, że stał się zapalczywy, nerwowy, nadmiernie szukał wytchnienia. Powietrze w Teheranie wydawało się zbyt ciężkie dla jego płuc. Noc utraciła swą wspaniałość. Ulice ze znaną scenerią zaczęły mu się

wydawać zbyt zatłoczone i brzydkie. Cyrus Wspaniały przestał być dzieckiem, którym był, gdy śnił o życiu na „cywilizowanym Zachodzie”. Lala pozbawiła go niewinności i sprawiła, że zgorzkniał. Hollywood już nie był marzeniem dziecka. Stał się bezpiecznym schronieniem i miejscem ucieczki.

Z powodu tego wiatru poślubił Pannę Jansen z Hollywood - choć nie była ładna, nie była Żydówką, a on jej nie kochał. To właśnie ten wiatr pomógł mu oprzeć się Lali, gdy wróciła, obiecując wierność na wieki. Wyjechał z Iranu, ale nawet teraz, słysząc wieści o zdumiewającym postępie i niebываłych osiągnięciach kraju, Cyrus Wspaniały czuł ten wiatr i nie mógł pozbyć się przyprawiającego o mdłości zapachu trupów na krzesłach w kinie.

W roku 1971 szach obchodził jubileusz dwu i pół tysiąca lat nieprzerwanego istnienia monarchii w Iranie. Zaprosił szefów sześćdziesięciu dziewięciu państw, przyjął ich po królewsku w Persepolis i wydał 200 milionów dolarów w ciągu tygodnia. Jednocześnie w prowincji Fars, gdzie odbywały się uroczystości, w sąsiednim Sistanie i Beludżystanie umierało z głodu wielu Irańczyków.

Ajatollah Chomeini napisał w przesłaniu nadesłanym z Iraku:

Każdy, kto rozważa sposób, w jaki Prorok ustanowił rządy Islamu, uświadamia sobie, że Islam pojawił się, by zniszczyć pałace tyranii... Czy bogactwo tego ludu ma być trwonione na te absurdalne obchody?

Przesłanie to, odtworzone przez irańskich dysydentów studiujących w Stanach Zjednoczonych, rozprawdzano również wśród wiernych w Iranie.

W roku 1973 szach wystąpił z inicjatywą, by kartel naftowy OPEC zażądał wyższych cen od Zachodu. Mówił o zbudowaniu w Iranie zakładów petrochemicznych, uniezależnieniu się od Zachodu, produkcji własnych wyrobów z ropy naftowej zamiast kupowania ich za granicą.

W kraju obciął „datki” Sawaku dla duchowieństwa, które powstrzymywały kler od występowania przeciwko szachowi, potępił mułłów jako „średniowieczną czarną reakcję” i wprowadzał Żydów, chrześcijan i wyznawców bahaizmu na coraz wyższe szczeble życia publicznego. Mówił o przenoszeniu bazarów, budowaniu szos przez środek starych miast, o wypłenieniu „zarobaczywionych sklepików” i zastąpieniu ich supermarketami. Wprowadził nawet nowy perski kalendarz zamiast dawnego muzułmańskiego. Był Światłem Rasy Aryjskiej,

przywódcą politycznym, a także przywódcą duchowym Iranu.

Cyrus Wspaniały przeczytał słowa Jego Wysokości przytoczone przez „The Guardian”:
Mamy w naszym kraju prawdziwą hegemonię. Wszyscy opowiadają się całą duszą i sercem za swoim monarchą.

Potem, jak pamiętała Pawica, wszyscy mówili, że szach powinien był postępować inaczej. Powinien znać bolączki narodu i zareagować, nim będzie za późno. Powinien był poważniej traktować zagrożenia dla reżimu i wyeliminować opozycję, zanim nabrała rozmachu. Być sprawiedliwszy, mniej zdeprawowany, bardziej demokratyczny, mniej przejęty europeizowaniem Iranu. Potem wszyscy spoglądali wstecz i dostrzegali symptomy katastrofy, ale aż do ostatnich dni i tygodni przed upadkiem dynastii Pahlawich niewielu Irańczyków wierzyło w możliwość jej końca.

W roku 1977 obrońca demokracji i praw człowieka Jimmy Carter został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Analizując sytuację w Iranie w dziedzinie ochrony praw człowieka, znalazł rejestry represji i tortur. Represje stosowano za bezpośrednią zgodą i z wyraźnym poparciem Stanów Zjednoczonych i Zachodu. Tortury zinstytucjonalizowano pod egidą amerykańskiej CIA. Teraz nagle Carter poprosił szacha o złagodzenie rygorów i przywrócenie poddanym praw ludzkich.

Muhammad Reza Pahlawi nigdy nie lubił Cartera. Nie wierzył, by ten człowiek potrafił pojąć reguły rządzenia w Trzecim Świecie. Tłumaczył Carterowi, że zagraża mu ze strony mułłów wielkie niebezpieczeństwo. Mówił, że Rosjanie pragną przejąć rządy w Iranie, wspominał o groźbie wojny z Irakiem Saddama Husajna.

- Mój naród - powiedział - nie chce demokracji. Nie rozumie demokracji.

Twierdził, że najżywotniejszą kwestią jest jak najszybsza modernizacja. A jedyną drogą, jaka do tego prowadzi, są rządy dyktatorskie. Później, gdy w Iranie zlikwiduje się analfabetyzm i ludzie zyskają dostęp do informacji o polityce, szach da im prawo wyboru.

Carter wywierał coraz większą presję i szach znalazł się w ślepej uliczce: rządził Iranem sam przez dwadzieścia pięć lat i wiedział, że nie może natychmiast zmienić systemu. Nie chciał jednak zrażać Stanów Zjednoczonych i myślał - w tym szalonym gorączkowym okresie pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy wszystko wydawało się możliwe - że jego tron zdoła oprzeć się siłom opozycji, że naród go kocha i będzie o niego walczyć, że armia jest mu wierna. I nagle ku

przerażeniu najbliższych przyjaciół szach zlikwidował ograniczenie wolności słowa i działalności publicznej.

Zwolnił pewną liczbę więźniów politycznych. Pozwolił im pisać i mówić o przeżytych okropnościach, pozwolił prasie na krytykę reżimu, a nawet samego szacha. Wpuścił przedstawicieli Czerwonego Krzyża do więzień i zdymisjonował Howejdę - premiera przez lat dwanaście i jednego z najbardziej zagorzałych sojuszników - zastępując go człowiekiem nastawionym liberalniej. Przez całe lato w roku 1977 pozwalał na tworzenie organizacji politycznych i jawną ich działalność. Nacjonaliści dołączyli do komunistów, a ci do islamskich marksistów, wszyscy zaś dążyli do obalenia szacha. Zdawali sobie sprawę z potęgi religii, toteż zgodzili się posłużyć duchowieństwem jako symbolem jednoczącym naród: takim oczywistym symbolem jawił się Chomeini. Wszyscy opowiedzieli się za nim i pozwolili, by stanął na czele walki z reżimem.

Zły wiatr dał i dał i wreszcie doszło do kulminacji - tragedii, której Cyrus Wspaniały od dawna oczekiwał. W roku 1977, gdy szach zaczął odkrywać rzeczywisty zasięg opozycji wobec jego reżimu, w Abadanie doszło do pożaru w nadmiernie przepelnionym kinoteatrze. Za drzwiami zamkniętymi z zewnątrz po rozpoczęciu projekcji uwięzionych zostało w budynku czterysta osób, których dusze zabrały postaci wyobrażone na ekranie. Nieświadome tego władze ugasiły pożar i otworzyły zamknięte drzwi - wypuszczając na świat setki namalowanych postaci, które teraz obdarzone wiecznym życiem otrzymały misję przywrócenia w Iranie dawno wygnanego Proroka.

W styczniu roku 1978 Chomeini nakazał zamknięcie bazarów i wysłał studentów teologii, żeby maszerowali ulicami Teheranu, domagając się jego powrotu. Demonstracje trwały przez cały ten rok. Chomeini, jak powszechnie wiadomo, stał się imamem, osiągnął świętość. Jego profil wyryty był na księżycu, pukiel jego włosów znaleziono między stronami Koranu.

- Czas wyjeżdżać - powtórzyła Pawica jak echo opinię Cyrusa, gdy następnym razem przyszła zobaczyć się z Heszmat. - Za późno dla mnie, ale wy musicie wyjechać, póki jeszcze możecie.

Rozmawiały na osobności, z dala od uszu służby, która na ogół popierała zmiany.

- Spakujcie, co możecie, i nawet nie myślcie o powrocie tutaj.

Następnego dnia Iranki - kobiety, które uwolniono od zasłon, którym pozwolono na

rozwoły, zapewniono ochronę przed ich ojcami, a nawet dano prawa wyborcze - te kobiety przywdziały czarne czadory i maszerowały tysiącami, domagając się przywrócenia zasłon.

- To przez Amerykanów - wściekał się najstarszy syn Heszmat porzucając dom i interesy i udając się, jak twierdził, na czasową tylko emigrację. - Amerykanie chcą, żeby szach odszedł. Zrobił się zbyt niezależny, zbyt pewny siebie, a oni nigdy takich nie lubili. To oni namówili mułłów.

Być może, pomyślała Pawica. Lecz w całym Iranie maszerowały kobiety opowiadające się za noszeniem czadorów, przytrzymywały rogi swoich chust i skandowały imię Chomeiniego.

Demonstracje były coraz bardziej masowe i coraz gwałtowniejsze. Policja zaczęła strzelać. Chomeini wzywał do kolejnych demonstracji, żeby opłakiwać zabitych, i za każdym razem rosła liczba ofiar. Generałowie błagali szacha o podjęcie akcji; najwyższy czas, mówili, powstrzymać Chomeiniego.

Lecz szach nie mógł się zdecydować.

Mizerny, wychudzony i już przegrany wzywał niemal codziennie do pałacu ambasadora amerykańskiego i brytyjskiego. Prosił ich o wytyczne.

- Co mam zrobić? - pytał. - Co wasze rządy chcą, żebym zrobił?

Ambasadorowie udzielali mu sprzecznych i niejasnych rad. Zrozumiał, że oba rządy już go skreśliły jako rzeczywistego przywódcę Iranu i poszukują sojuszników wśród opozycji. Generałowie klękali przed nim, przysięgali posłuszeństwo i obiecywali, że mogą uratować tron Pahlawich mimo Amerykanów; trzeba tylko wyeliminować kilka tysięcy osób odpowiedzialnych za rewolucję. Taką ofiarę warto ponieść. Bez szacha mułłowie albo komuniści zabiją miliony ludzi. Nieprzyjaciel Iranu, Saddam Husajn, najedzie kraj i nie okaże litości.

Szach wezwał znowu ambasadorów do pałacu.

- Z iloma zabitymi pogodzi się Jimmy Carter - spytał - żeby ratować nieocenionego sojusznika?

Generałowie uświadomili sobie, że szach jest chory i utracił wolę walki - ogrom nienawiści wobec jego rządów złamał mu serce. Stany Zjednoczone wywierają na niego presję, żeby się poddał, stracił poparcie w kraju i za granicą, i wie, że nigdy go już nie odzyska. Podejrzewali, że poddano go kuracji onkologicznej, która utrudnia mu ocenę sytuacji i sprawia, że waha się między jedną a drugą opcją. Jest przygnębiony, utracił kontakt z rzeczywistością, odmawia nawet czytania prasy, która już nie nazywa go „Królem Królów” i „Światłem Rasy

Aryjskiej”, lecz po prostu „szachem”. Wiedzieli, że zdradzili go najbardziej zaufani przyjaciele, jego armia, jego strażnicy. Szach zaś, widząc upadek swojego tronu, zaczął przede wszystkim troszczyć się o własne imię w historii i raz na zawsze zdecydował, że nie będzie zabijać rodaków.

Przez jakiś czas idąc na kolejne ustępstwa, próbował ugłaskać masy. Udawał, że nie wiedział o ich niedoli. Zwrócił się przeciwko najbardziej lojalnym przyjaciom, obwinił ich o korupcję i okrucieństwa własnego rządu, zwolnił ze stanowisk i posłał do więzienia albo na wygnanie. Pojawił się w telewizji - schorowany, wymizerowany i pogrążony w żalu - i po raz pierwszy w ciągu dwudziestolecia próbował przemawiać do swojego narodu, jakby ten go rozumiał. Nie używał, mówiąc o sobie, królewskiego „My”, nie nazywał się Królem Królów. Prosił o cierpliwość, kompromis, zaufanie. Ostrzegał przed podziałami i zamętem, które rodzą słabość. - Nie ulegajcie planom cudzoziemców - ostrzegał. - Nie pozwólcie, żeby Iran został pochłonięty przez Rosjan. Nie pozwólcie, żeby wojna zniszczyła Bliski Wschód.

W Paryżu, dokąd przeniósł swoją główną kwaterę, zareagował Chomeini, oznajmiając, że czas kompromisów minął. Szach musi odejść, oświadczył, a straty wśród wiernych się nie Uczą. Imam nie bał się poświęcać ludzi dla zwycięstwa; każdy zabity stanie się męczennikiem i natchnie innych, by umierali za sprawę.

W piątek 8 września roku 1978 mułowie wezwali do strajku okupacyjnego na placu Żale w teherańskiej dzielnicy slumsów. Szach, wahał się raz jeszcze, zezwolił na użycie siły. Wojsko otworzyło ogień i znalazło się w morzu krwi.

Pawica wyjrzała przez okno swego domu w Nijawaranie. Był wczesny ranek 1 stycznia 1979 roku. Poprzedniej nocy spadł śnieg i na ulicy panowała cisza. Mężczyzna w piżamie otworzył frontowe drzwi. Chwyciło go trzech innych z bronią maszynową. Zastrzelili go, podpalili zwłoki i zniknęli.

W całym Nijawaranie ludzie słyszeli strzały i widzieli płomienie. Nikt nie wychodził z domu. Były to ostatnie dni panowania szacha, rozpoczynały się rządy terroru.

W ciągu trzech miesięcy poprzedzających wyjazd szacha do Egiptu uciekło na Zachód ponad trzysta tysięcy Irańczyków. Była wśród nich córka Pawicy i jej wnuki - pojechali dołączyć do Cyrusa Wspaniałego w Hollywood - wszyscy jej żydowscy znajomi i większość muzułmańskich. Heszmat błagała matkę, żeby z nimi jechała.

- Ja się tu urodziłam - odparła Pawica. - Tu jest pochowana moja córka.

Przeżyła stulecie wojny i wstrząsów. Zobaczy jego koniec.

Szach wyjechał 16 stycznia 1979 roku. Dwa tygodnie później wrócił Chomeini. Niemal natychmiast przywódcy rewolucji skonfiskowali majątki i dobytek bogaczy. Pawica straciła wszystko prócz domu, w którym mieszkała.

Mimo wszystko została w Teheranie - sama jedna, jeśli nie Uczyć Naimy, która przychodziła odwiedzać ją raz na kilka tygodni. Znały się od lat, od dnia gdy Pawica pierwszy raz przyniosła brylantowy naszyjnik, który Beszarat podarował Jasmine z okazji urodzin syna. Naima nie lubiła Pawicy, ale teraz gdy zostały same, uwięzione przez wojnę, zaczęła szukać jej towarzystwa. Beszarat Bękart, jak powiedziała, nie chce opuścić domu. Ostrzegł już Naimę, że rewolucja go zniszczy. Służący po kolei rzucali pracę, potem wracali - kobiety w czadorach, mężczyźni z brodami - ostrzegając Naimę, że przyjdzie na nią kryska.

- Nie mogę skłonić Beszarata, żeby opuścił dom, rozumiesz - wyplakiwała się Naima przed Pawicą, która nie reagowała. - Serce mi pęka, gdy go widzę tak zrezygnowanego, tak nie chcącego się ratować. Wiesz, że ten człowiek był jak lew. W czasach świetności nikt na świecie nie dorównałby mu odwagą ani wyobraźnią.

Na ulicach uzbrojone bandy Komite, komitetów rewolucyjnych, i Pasdarów, Strażników Rewolucji, przeprowadzały masowe aresztowania i dokonywały na miejscu egzekucji. Podejrzanych aresztowano w domach, wciągano do zaparkowanych w każdej dzielnicy furgonetek, gdzie w trybie przyspieszonym sądzono ich i skazywano.

- W sądach rewolucyjnych nie ma miejsca dla adwokatów - oświadczyli przywódcy rewolucji. - Ci odwołują się do przepisów prawnych, żeby zyskać na czasie, wystawiając na ciężką próbę cierpliwość ludu.

W dniu 15 lutego Chomeini zatwierdził pierwsze oficjalne egzekucje. Stracono czterech najwyższych doradców szacha, zdradzonych przez niego i wydanych opozycji w ostatniej próbie ratowania korony. Wśród nich generała Nasiriego, który służył mu od początku panowania i walczył za niego z Mosaddekiem w latach pięćdziesiątych. Generała zaprowadzono na dach dawnej żeńskiej szkoły w Teheranie i zabito strzałem w głowę. Jego zdjęcie ukazało się na pierwszej stronie popołudniówki obok zdjęcia premiera Howejdy.

Potem dokonywano tysięcy egzekucji. Chomeini powierzył narodowi misję obrony rewolucji islamskiej przed nieprzyjaciółmi, położenia kresu demoralizacji bogaczy i niewiernych, likwidacji wpływów dawnych agentów szacha. Dziesiątki bezrobotnych młodzieńców zaciągały

się do oddziałów Strażników Rewolucji. Dano im zielone mundury z żółto-niebieskimi odznakami w plastikowej osłonie przyczepianymi do kieszeni na piersiach. Dostali broń - skonfiskowaną, gdy wojsko przyłączyło się do rewolucji - i posłano ich, by zatrzymywali podejrzanych. Nie umieli posługiwać się bronią palną, którą teraz dysponowali, nie znali jej budzącej grozę mocy. Każdego dnia podczas zabaw z granatami i automatami ginęły niechcący dziesiątki dzieci. Dziesiątki dorosłych trafiały kule z karabinów w rękach rozbrykanych młodzieńców. Nazwano ich męczennikami - bohaterami rewolucji.

Na teherańskim cmentarzu Beheszte Zahra kolejka oczekujących na pochówek miała pół kilometra długości. Żałobnicy zanosili zwłoki pod bramę cmentarza, po czym stali przez cały dzień w kolejce, czekając na grabarzy, którzy umyją i pogrzebią zmarłego. Wielu ludzi czekało jeszcze nawet o zmroku. Zostawiali ciała pod gołym niebem, koło bramy „Raju Zahry”, i szli spać do domu. Nazajutrz stawali znowu w ogonku i czekali, a na koniec wielu odchodziło rozczarowanych. Grabarze odmawiali pochowania tych, którzy stali się ofiarami rewolucji. Wrogowie islamu, mówili, nie zasługują na muzułmański pochówek.

*

Naima słyszała przez sen nadjeżdżające dżipy. Było ich osiem, a w nich trzydziestu Strażników Rewolucji z automatami gotowymi do strzału. Wyłamali bramę domu Beszarata Bəkarta w Zafaranije, przejechali przez wymarły ogród z suchymi kwietnikami, gdzie od lat nic nie rosło. Wdarli się przez drzwi frontowe, wysadzając je z zawiasów w tumanie kurzu, który podniósł się wokół nich, niemal ich oślepiając. Naima usłyszała huk i usiadła na łóżku.

- O Boże - szepnęła. - Stało się.

Wezwała służącą, żeby przyszła i pomogła jej wstać z łóżka. Słyszała, jak Strażnicy Rewolucji biegają po domu, wpadają po kolei do wszystkich pokojów i wołają Beszarata Bəkarta. Naima ponownie krzyknęła na służącą i nagle przypomniała sobie, że ta przecież odeszła - rzuciła pracę jak reszta służby. Tylko Mirza Muhammad Kucharz został z Beszaratem, ale to był człowiek nabożny i nigdy nie wszedłby do kobiecej sypialni.

W końcu Naimie udało się wydostać z łóżka. Kiedy stanęła na podłodze, pod jej ciężarem uniósł się obłok kurzu. Koszulę nocną miała zrobioną z dwu dużych białych prześcieradeł zszytych na górze. Długie siwe włosy wisiały jej wokół olbrzymiego oblicza ociekającego potem ze strachu i wyczerpania. Wzięła kule i ciężko stąpając wyszła ze swego pokoju na parterze. Krągłe, pulchne stopy zostawiały ślady na warstwie kurzu.

Kilkunastu Strażników Rewolucji bieгло po marmurowych schodach na piętro. Reszta rozproszyła się po domu, przeszukując salon i kuchnię, podwórko, łazienki. Przebijali ściany, opróżniali szafy i szuflady, zdierali obicia z mebli, niszczyli portiery i dywany, robili dziury w wywietrznikach i suficie w poszukiwaniu obciążających dowodów i ukrytych pieniędzy, whisky pozostałej z czasów zepsucia albo kupionej na czarnym rynku po cenie osiemdziesięciokrotnie wyższej od normalnej, portretów szacha czy jego rodziny, które niegdyś musiały być w każdym domu na znak wierności Koronie, a teraz stały się dowodem opozycji wobec imama. Przeszukali pokoje nie używane przez nikogo od dwudziestu lat, gdzie leżała warstwa kurzu grubości trzech centymetrów, nienaruszalna i suwerenna w domu Beszarata Bękart.

- Cofnąć się! - wrzasnął Strażnik Rewolucji, ujrzawszy Naimę w drzwiach. Poznała Mustafę Storczyka, ogrodnika, którego zatrudniał Beszarat w swoim domu przy Alei Tulipanów. Zamarła. Strażnicy biegli po schodach na piętro. Znaleźli pokój Beszarata Bękart i kopniakiem otworzyli drzwi.

- Wstawaj! Wstawaj! Jesteś aresztowany! Beszarat Bękart stał ubrany w garnitur z kamizelką, ciężkie skórzane buty miał idealnie wyczyszczone, twarz ogoloną, włosy - rzadkie i siwe - zaczesane starannie do tyłu. Stał przy rzeźbionym drewnianym stole z ryczącymi lwimi głowami, przyciskając palce prawej dłoni do blatu, i nie poruszył się, gdy strażnicy wpadli do pokoju. Przyłożyli mu karabin maszynowy do piersi.

- Jesteś Beszarat Żyd, syn Asal z Jamy?

Beszarat opuścił głowę, potwierdzając.

- Jesteś aresztowany za zbrodnię syjonizmu i demoralizację.

Strażnik Rewolucji pchnął go z tyłu i Beszarat Bękart zaczął iść. Poruszał się z trudnością, nieużywane stawy uległy zwyrodnieniu, ubranie nie noszone od lat wisiało na nim. Dotarł do szczytu schodów i ujrzał Naimę - twarz miała białą, pokrytą potem i pyłem, dłońmi podobnymi do czerwonych baloników kurczowo przytrzymywała końce czadom pod brodą.

- Beszaracie! - zawołała, gdy ich wzrok się spotkał. - Mój Beszaracie!

Zaczął schodzić po schodach. Był chudy, stary, bezradny. Dojrzała w jego oczach morze smutku.

- Ruszaj się! - Przywódca Strażników szturchnął go lufą karabinu.

U stóp schodów ukląkł przed Beszaratem Mirza Muhammad Kucharz i pocałował go w rękę.

- Aga - szlochał - mówiłem im, że się mylą. Wczoraj Komite zatrzymał mnie, żeby o ciebie spytać, a ja im powiedziałem, że nigdy nikogo nie skrzywdziłeś. Aga, ci ludzie są wrogami islamu, to nie są muzułmanie. Aga, oni są gorsi od szacha, gorsi od Sawaku.

Mustafa Storczyk przyłożył Muhammadowi broń do karku i strzelił.

- Idziemy - rzekł i szturchnął znów Beszarata.

Przy drzwiach Beszarat Bękart zatrzymał się na moment. Z tyłu za nim zawodziła Naima. Popatrzył na krew i ciało, które było Mirzą Muhammadem, po czym obrócił głowę i spojrzał w górę schodów. Nikogo tam nie zobaczył.

Szedł przez ogród zwirowaną ścieżką. Czekał na niego dżip. Beszarat Bękart, któremu towarzyszył kurz i rozpaczliwe krzyki Naimy, spokojnie przywitał się ze Strażnikami. Kiedy miał już wsiąść do auta, obejrzał się w stronę domu i spostrzegł, że Jasmine obserwuje go ze swojego okna.

Zamarli oboje, patrząc na siebie. Beszarat Bękart uniósł rękę i pomachał Jasmine, prosząc o rozgrzeszenie.

Jasmine zobaczyła wysokiego mężczyznę, przystojnego i aroganckiego, a zarazem niepewnego, stojącego pod domem jej rodziców w Paryżu. Machał do niej tego pięknego ranka, gdy wyszła w białolawendowej sukience, którą włożyła na swój ślub. Matka szlochała z tyłu.

- Moje dziecko - powiedziała. - Nigdy już cię nie zobaczę.

„Policja Rewolucyjna dokonała egzekucji syjonistycznego zbrodniarza.”

Pawica wpatrywała się w nagłówek w popołudniówce i czuła skurcze w żołądku ze strachu. Poszła do domu Beszarata Bękarta.

- *Ja-Allah! Ja-Allah!* - krzyknęła w głąb zakurzonego korytarza, ale nikt nie odpowiedział. Naimy nie było w domu. Znalazła Jasmine w jej pokoju.

- *Ja-Allah*, pani Jasmine - powiedziała, wchodząc niezaproszona. Jasmine odwróciła się od okna. Twarz miała zalaną łzami.

- Usłyszałam złe wieści. Przychodzę złożyć kondolencje i zapytać, czy nie mogłabym w czymś pomóc, przydać się przy pogrzebie i czuwaniu.

Oczy Jasmine były jak szklane. Na jej twarzy, pomarszczonej i zdeformowanej przez brak zębów, nie pozostał ani cień urody, którą kiedyś się szczyciła. Wobec jej zachowania Pawica

poczuła się mała, zmieszana i zbędna.

- Mogłybyśmy pójść do Ewinu i zażądać wydania ciała - nie dawała za wygraną. - Może udałoby się nam załatwić miejsce na starym żydowskim cmentarzu.

Jasmine odwróciła się do niej plecami i wyjrzała przez okno.

- Rób, co chcesz - odparła. - Ma to, na co sobie zasłużył.

Naima wróciła do domu wiele godzin później. Włókła się noga za nogą przez ogród, ciężko dysząc z powodu tuszy, i jak tylko zobaczyła Pawicę, wybuchnęła płaczem.

- Pawico, Pawico - szlochała, starając się iść szybciej.

- Oni go zabili. Zabili mojego Beszarata. Chwyciła rękę Pawicy w wilgotne dłonie.

- Byłam tam, wiesz - zaczęła znów mówić, powstrzymawszy łzy. - Byłam w więzieniu, gdy to się stało. Błagałam o jego życie, obiecywałam dolary, a tu nagle wchodzi Strażnik Rewolucji i mówi, że właśnie go zastrzelono.

Znowu się rozszlochała. Podeszła do schodów i zaczęła wołać Jasmine.

- Zejdz na dół. Obie jesteśmy teraz wdowami. Siadła na podłodze. Twarz miała siną. Nie mogła zaczerpnąć powietrza.

- I teraz on nie żyje - powiedziała do Pawicy. - Teraz kiedy nie żyje, nie ma nawet syna, który by go pochował. Oddał wszystko, żeby mieć dziecko, a oni wszyscy zabrali się, wyjechali z kraju i w końcu nie został nikt, kto by go pochował. Wiesz, tego się zawsze najbardziej bał, że nie będzie mieć syna, by go pochował. Nie zdołam nawet zebrać w tym mieście dziesięciu mężczyzn, żeby odmówili modlitwę za jego duszę.

Zawołała znowu:

- Zejdz na dół, Jasmine. Mamy to za sobą. Nie musimy już być nieprzyjaciółkami!

Obróciła się do Pawicy.

- Rzecz w tym, rozumiesz, że on nigdy nie dał ani riała Izraelowi. W tym rzecz. Nie był syjonistą. Miał gdzieś Izrael. A teraz oni go zabili, bo jak mówią, był syjonistą. Wiesz, jest jak w dawnych czasach, gdy mówili, że Żydzi nie są Irańczykami. Wyobrażają sobie, że wszyscy jesteśmy szpiegami izraelskimi i mieszkamy tu tylko po to, by robić pieniądze i wysyłać je Moszemu Dajanowi.

Już miała zawołać Jasmine po raz trzeci, ale się zawahała. Przestała płakać. Popatrzyła na Pawicę świetlistymi oczami. Miała pewną sprawę, pytanie, które dręczyło ją od chwili, gdy uświadomiła sobie, że jest bezpłodna, i zrozumiała, że Beszarat Bękart weźmie drugą żonę i

będzie miał z nią dzieci.

- Czy sądzisz - spytała na koniec, gdy już nic innego nie miało znaczenia - czy sądzisz, że on myślał o niej?

W kuchni Pawica znalazła woreczek suszonych listków pierwiosnka, zaparzyła mocną herbatę i zmusiła Naimę, żeby się napiła. Naima zrobiła się po niej senna i po chwili położyła się na ziemi, opierając głowę na kolanach Pawicy.

Zapadła noc. W domu panowała cisza. Naimie przyśnił się mąż. Wysoki, blady i przerażony stał w swoim zimowym garniturze zakuty w kajdanki. Strażnicy przyparli go do ściany. Pluton egzekucyjny wycelował broń. Ktoś krzyknął. Karabiny wystrzeliły.

Beszarat Bękart przyjął śmierć na stojąco, ale gdy miał upaść, obrócił się ku Naimie. Wtedy zobaczyła jego ciemne źrenice, zanim na zawsze straciły blask. Młoda kobieta o białej skórze i miedzianych włosach spojrzała z nich fiołkowymi oczami na Naimę i posłała jej bursztynowy uśmiech.

Było lato, w powietrzu pachniała smoła, drewno i proch. O szóstej rano słońce paliło już okrutnie, o siódmej, gdy Pawica się zbudziła, koszula lepiała jej się do skóry i żołądek skręcał z gorąca.

Chciała spędzić noc na dachu, uciec z sypialni, gdzie ściany wypacały upał. Przed zwycięstwem Chomeiniego większość mieszkańców Teheranu sypiała w lecie na dachach. Teraz nikt nie odważał się zostać na dworze.

Pawica umyła twarz. Pomyślała, że powinna coś zjeść, ale było za gorąco. Włączyła radio, „rewolucyjne wiadomości” z frontu. Saddam Husajn w roku 1980 zaatakował Iran wykorzystując chaos, który zapanował w irańskim wojsku po upadku szacha. Wojna potrwa osiem lat i zginą w niej setki tysięcy ludzi. Codziennie każda ze stron będzie ogłaszać ostateczne i całkowite zwycięstwo nad przeciwnikiem.

Pawica zostawiła włączone radio i wyszła z domu. Szła bez celu koło osmalonych budynków i zgliszcz domów, przez kopce rozbitego szkła, wokół stanowisk Strażników Rewolucji, gdzie uzbrojeni mężczyźni na chybił trafił rewidowali i przesłuchiwali przechodniów. Widziała ołtarzyki - ślubne ołtarzyki stawiane na każdym rogu na cześć młodych chłopców, którzy zginęli na tej wojnie. To był dar wdzięczności Chomeiniego dla rodzin, które utraciły

synów na wojnie z Saddamem Husajnem: ślubny ołtarzyk dla zabitego syna i worek ryżu dla rodziców.

W odległości trzech ulic od domu Pawica usłyszała dzieci - śpiewały rymowaną i klaskały w dłonie. Skręciła za róg i natknęła się na zbombardowany budynek. Zajrzała do środka.

Zobaczyła czwórkę chłopców, trzech nastolatków i dziecko. Byli nadzy, nogi mieli skute łańcuchami, ręce skrepowane z tyłu. Wokół nich dwanaście dziewcząt tańczyło w kole. Przyszły świętować; miały przyglądać się egzekucji.

Jak się dowiedziała, chłopców oskarżono o zdradę, o spiskowanie w myślach, jeśli nie w czynach, na szkodę rewolucji islamskiej. Jeden wyrażał się obraźliwie o imamie. Dwaj wstąpili w szeregi mudżahedinów. Ostatni, ledwie dziesięcioletni, uciekł z frontu do domu.

- Mamo - prosił teraz szlochającą kobietę, która błagała trzech Strażników Rewolucji o życie swojego syna.

- Powiedz im, że teraz już zostanę.

Był tak przerażony, że nie panował nad kiszkami i cały się ubrudził. Pozostali chłopcy trzęśli się tak bardzo, że łańcuch, którym skuto im kostki, dźwięczał niemal równie głośno jak śpiew dziewcząt.

Dowódca Strażników wykrzyknął rozkaz. Dziewczęta przestały śpiewać. Strażnik podszedł z bronią w ręce i wyrecytował modlitwę po arabsku.

- Niech żyje imam! - krzyknął.

Niech żyje imam! - powtórzyli jego towarzysze. Chłopiec wyciągnął ręce do matki i zaczął biec. Zrobił jeden krok, potknął się o łańcuch i upadł.

Karabiny maszynowe wystrzeliły. Pawica widziała, jak krew dzieci ochlapała brudnożółte niebo, widziała, jak ciała padały w drgawkach. Widziała ich twarze, gdy usłyszeli strzały - zanim trafiły w nich kule. Słyszała krzyk rodziców, którzy widzieli błaganie swoich synów, ostatni oddech, ostatnią modlitwę.

Chłopiec z prawej upadł na plecy, brzuch miał rozpruty i trzy dziury w twarzy. Najmłodszy zwinął się w kłębek i leżał nieruchomo.

„Mój lud - powiedział szach - nie chce demokracji.”

Dowódca Strażników odłożył karabin maszynowy.

- Niech żyje imam.

- Niech żyje imam.

- Śmierć Ameryce.

- Śmierć Ameryce.

- Śmierć agentom Syjonu.

Zapanowała chwila ciszy; chwila, kiedy oczy Pawicy spotkały się ze wzrokiem Strażnika Rewolucji i gdy poczuła, że wyzbyła się strachu. Zrozumiała, że musi działać, zaprotestować, choćby tylko raz, zanim umrze. Wkroczyła opanowana i rozsądna na podwórze, gdzie odbyła się egzekucja. Ręką, która nie zadrżała, podniosła karabin maszynowy i przyłożyła lufę do piersi mężczyzny. Nie strzeliła.

- Śmierć tobie, bękarcie, i twoim braciom, sukinsynom.

Epilog 1982

W więzieniu kobiecym, dokąd Strażnicy Rewolucji zabrali Pawicę, mułowie skazali ją na śmierć. Była w bliskich stosunkach z szachem, pomagała rodzinie królewskiej ograbiać lud, sprzedając jej klejnoty. Niewątpliwie szpiegowała dla Sawaku. Niewątpliwie była syjonistką. Jej dzieci przebywały w Ameryce, wszystkich znajomych oskarżono o demoralizację, a ona sama groziła Strażnikowi i wykrzyczała publicznie swoją zdradę. Mułowie wysłali Mehrullaha Strażnika, żeby zabrał Pawicę poza teren więzienia i zabił ją w miejscu, gdzie ciała nie będzie można się doliczyć.

- Więc ile lat miałaś? - spytał i Pawica zrozumiała, co ją czeka. Wyszła z celi przy akompaniamencie śmiechu współwięźniarki i poczuwszy twardą ziemię pod stopami, modliła się do Boga o ucieczkę.

Przeszli jeden szary cementowy korytarz i weszli do drugiego. Po prawej stronie była naga ściana, po lewej sporo od siebie oddalone cele. Podeszli do sklepionych drzwi. Mehrullah Strażnik walnął kolbą karabinu w metal i wykrzyknął swoje imię. Wrota się otworzyły. Pawica zaczerpnęła pierwszy od trzech tygodni haust świeżego powietrza.

Była noc i księżyc się do niej uśmiechał.

Przemierzyli puste podwórko. Ktoś zajechał peykanem - samochodem irańskiej marki - i Mehrullah otworzył drzwiczki przed Pawicą. Odesłał kierowcę. Drugi mężczyzna nie był potrzebny; Pawica była zbyt słaba, by stanowić zagrożenie.

Wyjeżdżając z terenu więzienia, Mehrullah spojrział we wsteczne lusterko. Pawica płakała.

- Boisz się? - spytał.

Nie odpowiedziała.

Pojechał do śródmieścia i zatrzymał samochód koło starego getta żydowskiego. Ulice były puste, bo obowiązywał stan wyjątkowy, za to wszędzie stali Strażnicy Rewolucji. Dwukrotnie podchodzili do samochodu i sprawdzali tożsamość Mehrullaha.

- Jadę ją załatwić - powiedział o Pawicy. Siedział w samochodzie z zamkniętymi oknami i wypalił całego papierosa. Opuścił szybę tylko po to, żeby wyrzucić niedopałek.

- Mój syn zginął - rzekł nagle. - Wszedł na minę... przed czołgiem.

Zaskoczona Pawica poszukała wzrokiem Mehrullaha we wstecznym lusterku. Zobaczyła tylko jego oczy.

- Dlaczego go wysłałeś?

Nastąpiło długie milczenie. Mehrullah westchnął.

- Dlatego że wierzę.

Wziął karabin i położył obok siebie na fotelu pasażera. Obszedł samochód i otworzył drzwiczki Pawicy. Wysiadła. Zdjął jej kajdanki.

- Nie chodź do domu - powiedział, zwalniając ją. - Nie chodź nigdzie, gdzie cię znają.

Mehrullah Strażnik zabił dla Sprawy wielu ludzi. Wiedział, że zabije więcej. Lecz w dniu gdy opłakiwał własne dziecko, czuł obrzydzenie do swojego gniewu i nie mógł znieść łez starej kobiety.

Pawica położyła mu dłoń na piersiach.

- Bądź błogosławiony - powiedziała.

Mehrullah Strażnik zrozumiał, że wróg stał się jego przyjacielem.

- I ty też - odparł.

Szła przez getto o brzasku pod niebem w kolorze indygo. Dotarła do Jamy, gdzie natychmiast rozpoznała dom Zilfy Różarki: stał nietknięty między dwoma budynkami zrównanymi z ziemią przez irackie bomby. Podeszła bliżej. Drzwi nie były zamknięte, podwórko pełne śmieci, ale ściany zdobiły niebieskie gwiazdy.

W sypialni odnalazła alkowę, w której Zilfa Różarka posłała kiedyś ślubne łoże i dzieliła je z Monsieur Jeanem. Pawica siadła, oparła się o ścianę i spała pod gwiazdami.

Była młoda, niedawno stała się kobietą i jej oczy miały kolor ryżowych pól o świcie. Stała w białej szacie i z połyskliwą zasłoną przed lustrem skrzącym się w słońcu. Była wysoka, smukła, zgrabna. Włosy miała gęste, skórę gładką i olśniewającą.

Wyczuła za sobą jakiś cień. Obróciła się, ujrzała Salomona Mężczyznę. Miał dwadzieścia lat i przyszedł zobaczyć swoją narzeczoną. Odsunął zasłonę z twarzy Pawicy.

- Jesteś piękna - powiedział i tym razem mu uwierzyła.

Salomon uniósł zasłonę nad ich głowy, tworząc baldachim ze światła i cienia, pod którym mieli być zaślubieni. Słońce przenikające przez woal wydawało się niemal białe.

Dotknął ręki Pawicy.

- Wróciłem po ciebie.

Wiaterek dmuchnął w zasłonę.

- Tylko jej nie wypuść - ostrzegła Pawica. Bez baldachimu nie mogliby wziąć ślubu.

Wiaterek wyrwał mu zasłonę z ręki.

- Patrz! - zaśmiał się Salomon. Wiatr uniósł zasłonę przez ścianę domu Zilfy Różarki, ponad dachami sąsiednich domów, w roziskrzone niebo, gdzie stała się małym białym obłoczkiem i zniknęła.

Podziękowania

W naszym domu przy ulicy Szacha Rezy pokoje pełne były ech, korytarze długie, mroczne i nawiedzane przez cienie, ogród - tak duży, że nie sądziłam, bym sama zdołała znaleźć jego koniec - ukrywał duchy nieznanomych, którzy ożywali w księżycowym świetle i rozmawiali ze mną aż do świtu.

W naszym domu przy ulicy Szacha Rezy mój dziadek, Chanbaba Barchordar - znany wszystkim jako Aga (Pan) - chodził o lasce, zawsze ubrany w garnitur, i rozkazywał służącym, jakby domagając się ich duszy. Był to wysoki mężczyzna o wielkim autorytecie i bezgranicznych ambicjach. Należał do pierwszego pokolenia Żydów wyzwolonych z getta, powodziło mu się dobrze za czasów szacha Rezy i wymawiał jego imię z czcią należną bogu. Miał jedyne syna - mojego ojca - o którego troszczył się najbardziej na świecie i który miał spłodzić - Aga stanowczo tak twierdził wielu dziedziców. Ojciec ukończył siedemnaście lat, gdy wraz z Agą poszedł do domu mojej matki na ulicy Simorg. Był to olśniewający młodzieniec, elegancki, ubrany po europejsku w garnitur, z włosami lśniącymi od brylantyny i zaczesanymi do tyłu zgodnie z ówczesną modą.

- Ależ ona ma dopiero czternaście lat - protestowali rodzice mojej matki, gdy Aga poprosił o jej rękę dla syna. Jak mi mówiono, matka zerknęła przez portiery w salonie na swojego konkurenta i oświadczyła, że albo on, albo nikt.

Wyprawiono bajkowe wesele w klubie oficerskim w Teheranie. Aga zaprosił tysiąc gości, obsypał pannę młodą klejnotami i skłonił nowożeńców, aby zamieszkali z nim w domu przy ulicy Szacha Rezy. Moi rodzice mieli trzy córki. Aga nie będzie mieć dziedziców.

W naszym domu przy ulicy Szacha Rezy Aga się postarzał, pochorował i zgorzkniał z powodu nielojalności życia. Przestał wychodzić na dwór - jego zdrowie pogorszyło się tak gwałtownie, że niemal nigdy nie opuszczał swojej kancelarii na parterze i odwiedzających przyjmował w domu. Pamiętam mężczyzn i kobiety, którzy w tym okresie przychodzili tłumnie do naszego domu i czekali na swoją kolej, żeby zobaczyć się z Agą. Pamiętam, że siadywałam obok niego w dużym pokoju z kamienną posadzką i wielkimi drzwiami na taras i na ogród różany, przyglądając się wszystkim i słuchając ich opowieści. Wśród odwiedzających był siwowłosy dżentelmen, wuj szacha - przychodził co roku i rozmawiał z Agą o wspomnieniach z

młodości, której obaj żalowali. Był stary służący, trzęsący się jak galareta nałogowy palacz opium, który stracił zdolność do pracy i przychodził raz w tygodniu tylko po swoją pensję. Była kobieta - Aga nazywał ją sarkastycznie „Panią Światła” - która dwukrotnie wychodziła za mąż i pochowała jednego i drugiego męża, gdy „przypadkowo” wypili filiżankę zatrutej herbaty. Przeglądając się tym obcym ludziom i słuchając ich opowieści, już jako dziecko wiedziałam, że ich głosy będą mnie prześladować przez całe życie.

Agę mężczyli odwiedzający i stopniowo zaczął odmawiać audiencji niemal wszystkim. W czasach młodości nie uznawał żadnych ograniczeń. Na starość nie chciał się pogodzić z losem. Siedział w domu, prawie nie chodził i złościł się na Boga, jakby chcąc się z nim wadzić. Moje siostry i ja, choć byłyśmy dziewczynkami, stałyśmy się dla niego jedynym źródłem szczęścia. Nalegał, żebyśmy chodziły do najlepszych szkół, żebyśmy otrzymały jak najstarsze wykształcenie, żeby wysłano nas za granicę - do Europy, gdzie dziewczęta wychowywano na damy - bo chciał być z nas dumny. Umarł, gdy byłyśmy jeszcze uczennicami, lecz moi rodzice podzielali jego marzenia. W tych czasach i w tym świecie, gdzie od dziewcząt oczekiwano co najwyżej „dobrego wyjścia za mąż”, rodzice mówili moim siostram i mnie, że musimy pracować. Im i dziadkowi winna jestem w pierwszym rzędzie podziękowanie.

Wiele zawdzięczam też mojemu mężowi, Hamidowi, który spotkał się ze mną pierwszy raz na terenie kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles jesienią roku 1980 i powiedział mi, że muszę dać nowe życie głosom tamtych mężczyzn i kobiet zabranym z domu przy ulicy Szacha Rezy. Był młody, przystojny i błyskotliwy. Zobaczyłam Hamida i tak jak moja matka, która zerknęła przez portierę w dniu, gdy poproszono o jej rękę, pomyślałam: on albo nikt. Tylko dzięki niemu wytrzymałam od chwili napisania pierwszego wyrazu do dnia ukończenia pracy. Miał znaczny wkład w tę książkę, między innymi zaproponował jej tytuł.

Wdzięczna jestem również mojemu nauczycielowi, Johnowi Rechy'emu, który najpierw zobaczył tę książkę w postaci szkicu, a potem pracował ze mną nad każdą linijką. Domagał się konstrukcji tam, gdzie panował chaos, udoskonalenia tego, co było mierne, cierpliwości, gdy pojawiała się rozpacz. „Z pisaniem jest jak z życiem - mówił - musisz próbować osiągnąć choćby chwilę wielkości.”

Chciałabym też podkreślić nieocenione zasługi nieżyjącego już doktora Habiba Levy'ego, czołowego żydowskiego historyka, którego życiowe dzieło „Dzieje Żydów w Iranie” służyło mi jako źródło większości informacji historycznych zamieszczonych w „Pawim krzyku”.

Wdzięczna jestem mojej dozgonnej przyjaciółce, Pardis Mirzai Parwaresz, która czytała cierpliwie i z uwagą każdą linijkę tej książki i której sugestie uchroniły mnie przed popełnieniem licznych błędów.

A nade wszystko podziękowania należą się tym ludziom, których życie zostało opisane w tej książce. Zaczynałam od własnych wspomnień, potem zadawałam pytania. Rozmawiałam z setkami Irańczyków, żydami i muzułmanami, starymi i młodymi. Dzięki wywiadam przeprowadzanym przez lata i przestudiowanym książkom zapoznałam się z historią - aczkolwiek niedawną - która została pogrzebana przez ostatnich z „pokolenia getta”, jakby chcieli zatrzyć trzy tysiące lat cierpień. Przekonałam się, że Iran to kraj paradoksów i sprzeczności, że jego mieszkańcy - żydzi, a także muzułmanie - są ofiarami dzikości natury, okrucieństwa bogów i własnej niewiedzy. A przede wszystkim dowiedziałam się, że dzieci Iranu są dzielne i silne - wszystkie zdolne do osiągnięcia „choćby chwili wielkości”. I wierzę, że w tym Iran znajdzie ocalenie.